WESOŁA TEORYA I SMUTNA PRAKTYKA. — PAJĘCZYNA

ELIZA ORZESZKOWA

PISMA

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE ZE WSTĘPEM
AURELEGO DROGOSZEWSKIEGO

TOM XVII

WESOŁA TEORYA I SMUTNA PRAKTYKA. — PAJĘCZYNA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK ▫ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

ELIZA ORZESZKOWA

WESOŁA TEORYA I SMUTNA PRAKTYKA

PAJĘCZYNA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK ▫ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

884-3

WOJEWÓDZKA i MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Nr 33876 XVII
w Białymstoku
CZYTELNIA DLA DOROSŁYCH
KOMPUTER

821.162.1-311.2

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW.
WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.
1914

WESOŁA TEORYA I SMUTNA PRAKTYKA.

(OPOWIADANIE).

Drukowane po raz pierwszy w roku 1871.

I.

»Tu l'as voulu, Georges Dandin!«
(Molière).

Roku Pańskiego 186... w niezbyt wielkiem, ale ludnem i zamożnem mieście X., w ładnie urządzonym saloniku, którego okna wychodziły na jedną z głównych ulic miasta, siedziały pewnego jesiennego wieczora dwie młode jeszcze i przystojne kobiety. Jedną z nich była żona miejscowego adwokata, pani Ludwika R., drugą — przybyła do niej na wieczorną pogadankę, krewna jej i przyjaciółka, pani profesorowa Zofia W.

Pani Ludwika z pośpiechem i zajęciem szyła maluchną i ładniuchną sukienkę, wyraźnie przeznaczoną dla drobnej jakiejś istotki, co niedawno oczy swe na świat otworzyć musiała; pani Zofia przeglądała dzienniki i nowo wydane książki, któremi zarzucony był okrągły stół, przed kanapą umieszczony.

Dwie kobiety prowadziły z sobą ożywioną i przyjacielską pogadankę, przerywaną kiedy niekiedy śmiechem lub głośnem czytaniem.

Bronzowy zegar, stojący na ładnej, lubo niezbyt kosztownej konsoli, wygłosił godzinę siódmą, a w tejże samej prawie chwili w przedpokoju ozwał się donośny głos dzwonka.

— To nasz poczciwy doktór przybywa! — z widocznem zadowoleniem rzekła pani Ludwika, podnosząc od roboty swoje wielkie błękitne oczy, w których z za wyrazu swobodnej wesołości przeglądała niemniej prawdziwa i nieprzymuszona dobroć.

— Jakże to szczęśliwie, że on przybywa! — zawołała pani Zofia wesoło — pomówimy dziś z nim o tem, co wiesz, nieprawdaż?

— Koniecznie! koniecznie! — potwierdziła gospodyni domu — dziś mamy właśnie najlepszą po temu sposobność!...

Wymawiając te wyrazy, dwie kobiety zamieniły takie znaki i spojrzenia, jak osoby, które spiskują i coś bardzo ważnego pomiędzy sobą układają.

Do pokoju wszedł mężczyzna średniego wzrostu, bardzo przyjemnej powierzchowności.

Nie był on pięknym, ale można go było nazwać bardzo przystojnym.

Włosy miał gęste i czarne, twarz ściągłą i bladawą, czoło myślące i spokojne, oczy duże, szafirowe, z głębokim i łagodnym wyrazem.

Postawa jego była naturalna i niewymuszona, a zarazem nacechowana pewną powagą, znamionującą człowieka, który życie swe poświęcał rzeczom poważnym.

Dwie w saloniku znajdujące się kobiety powitały go z uprzejmą poufałością, dowodzącą długoletniej i ścisłej znajomości.

— Byłam pewną, że pan dziś przyjdziesz — rzekła gospodyni domu. — Trzy dni nie byłeś już u nas.

— A u nas pan Władysław nie był już od tygodnia — odezwała się pani Zofia.

Doktór Władysław usiadł na stojącym przy kanapie fotelu.

— Zajęcia! zajęcia! moje panie — rzekł wpół żartem, wpół seryo — chorych w tym roku wiele, pacyentów mam bez liku!

— Ach, mój Boże! — westchnęła pani Ludwika — w tym roku to ludzie i chorują, i prawują się więcej, niż kiedy! Mąż mój także ani chwili wolnej nie ma, tylu klientów codziennie przybywa do niego!

— Macie też na co narzekać, moi państwo! — żywo przerwała Zofia. — Doktór i adwokat zawsze znajdą choć parę godzin czasu dla siebie i swoich; ot profesorski zawód, to dopiero wieczna praca! Mój mąż albo uczy, albo sam się uczy!

— Jakkolwiek przykro to jest — ozwała się Ludwika — że w każdej porze nie możemy przestawać z naszymi mężami, zawsze jednak czujemy się daleko szczęśliwszemi, niż gdybyśmy były żonami jakich próżniaków i pasorzytów.

— Ależ spodziewam się! — zawołała Zofia — zbluźniłybyśmy, mówiąc, że nie jesteśmy szczęśliwe!

— O, i jak jeszcze! — potwierdziła Ludwika.

I oczy obu kobiet zaświeciły pięknym blaskiem wewnętrznego, z zacnych pobudek i serdecznych uczuć wypływającego zadowolenia.

Doktór Władysław z zajęciem słuchał rozmowy dwóch kobiet.

— Widząc i słysząc panie — rzekł — można doprawdy pozazdrościć ludziom żonatym...

— A dlaczegoż pan się nie żenisz? — jednogłośnie przerwały mu mowę obie kobiety.

— Aj! — zawołał doktór z uśmiechem — czy nie za późno!

— Za późno! — jednogłośnie znowu zawołały kobiety — co to pan sobie myślisz? pan naszym mężom uchybiasz! obaj przecie starsi byli od pana, gdy się z nami żenili.

— Ba! alboż wiele na świecie takich aniołów, jak panie!

— Tylko bez aniołów! bardzo proszę! — oburzyła się Ludwika — nie jesteśmy wcale aniołami, tylko mamy pretensyę być kobietami-ludźmi.

— I jesteście panie takiemi — poważniej wyrzekł doktór. — A któż mi powie, czy znajdę podobną kobietę-człowieka?

Ludwika i Zofia zamieniły pomiędzy sobą spojrzenia, w którychby można było wyczytać nakreślony okrzyk:

— Do ataku!...

Pierwsza wszakże spuściła oczy na swą robotę i z dość obojętnym wyrazem twarzy rzekła:

— Jeżeli pan zaufasz naszemu smakowi i naszej znajomości ludzi, to my już dla pana znajdziemy taką żonę, któraby była kobietą-człowiekiem.

Doktór zaśmiał się.

— Prawdę to ludzie mówią — rzekł — że do trzydziestu lat człowiek sam się żeni, a po trzydziestu latach go żenią. Mnie trzydziestka od roku dopiero minęła, a oto widzę się w niebezpieczeństwie zostania ożenionym...

— Niebezpieczeństwa żadnego niema — podjęła Zofia. — Jesteśmy obie od kilku lat zamężnemi i wcale nie powierzchownie patrzymy na sprawy małżeńskie. Wiemy dobrze, jakich warunków potrzeba, aby para ludzi była dobraną i miała w sobie wszystkie żywioły, z jakich składać się powinno rodzinne życie i szczęście. A przytem przyjaźń nasza dla pana...

— Wielka! serdeczna! — przerwała Ludwika.

— I wdzięczność! — ciągnęła Zofia.

— O, wdzięczność dobrze uzasadniona! — zawołała znowu pierwsza.

Doktór kłaniał się na obie strony.

— Ależ, moje panie... — usiłował mówić, ale kobiety nie dopuszczały go do słowa.

— Winnam panu życie mego dziecka — z przejęciem się mówiła Ludwika.

— A ja cudowne prawie uzdrowienie mego męża — dodała Zofia.

— Nigdy nie zapomnę, jak pan czuwałeś nad moją malutką, jak pan gorliwie i gorąco ją leczyłeś.

— Jak pan zapominałeś o własnem zdrowiu, po całych nocach siedząc przy łożu mego biednego chorego męża...

Obie kobiety, wspominając o swych przebytych nieszczęściach, łzy miały w oczach, i z istotną wdzięcznością patrzyły na doktora Władysława.

On rumienił się, jak panna.

— Wszystko to było moim obowiązkiem — rzekł, dobiwszy się do słowa z wielką trudnością — przytem wiadomo, jak serdecznym i dawnym przyjacielem jestem i pań, i ich mężów...

— Otóż to! — zawołała rozweselona zawsze Ludwika — my chcemy teraz odwdzięczyć się panu i ożenić go z najlepszą i najmilszą istotą pod słońcem...

— Chcesz pan nas mieć za swachy, czy nie? — rezolutnym tonem spytała Zofia.

Doktór kłaniał się znowu.

Na wypogodzonej jego twarzy malował się wyraz pewnej ciekawości.

— Niechże wiem — rzekł — kto jest ta najlepsza i najmilsza istota pod słońcem, którą mi panie swatać myślicie?

Kobiety zamieniły spojrzenia, mające znaczyć: dobrze idzie! dalej do ataku!

— Zgadnij pan! — figlarnie rzekła Ludwika.

— Mam zgadywać? ciężka to sprawa! — odparł doktór — wszak, z nielicznymi wyjątkami, wszystkie panny wydają się anielsko dobre i zachwycająco miłe...

— To nasza blizka, bardzo blizka znajoma — rzuciła Zofia.

— Panie macie tyle blizkich znajomych... — tłómaczył się doktór.

— Jasnowłosa, błękitnooka... — zaczęła gospodyni domu.

— Oj, to już źle! — zawołał doktór.

— Dlaczego źle? — chórem zapytały kobiety.

— Bo przedewszystkiem podobają mi się brunetki.

— At! — zaśmiała się Ludwika — nie myślisz pan o tem, co mówisz! Cóż znaczy kolor włosów tam, gdzie idzie o spokój, zacność i szczęście całego życia? Pogodzisz się pan z jasnymi włosami, gdy ujrzysz inne przymioty.

— Jakimiż są one? — spytał doktór z coraz wzrastającą ciekawością.

— Co do powierzchowności, nie jest ona klasycznie piękna, ale bardzo ujmująca, a nawet zajmująca. Na twarzy bowiem rozlewa się wyraz istotnej dobroci i łagodności, układ znamionuje wysokie estetyczne i towarzyskie wykształcenie, przez oczy błękitne, spokojne i głębokie, przegląda umysł żywy i niepospolicie rozwinięty...

— Ba! — zawołał nagle doktór — jak mi się zdaje, zaczynam się domyślać. Umysłów niepospolicie rozwiniętych tak mało znajduje się pomiędzy naszemi pannami, że, doprawdy, w ogólnym opisie osoby jest to rys najłatwiej mogący wprowadzić na drogę...

— Jest to rys, który najłatwiej doprowadzić może takiego mężczyznę, jak pan, na drogę ku ślubnemu ołtarzowi... — przerwała Ludwika.

— Zapewne, pani — odpowiedział doktór — jest to rys bardzo ponętny, który, jak mi się zdaje, odznacza pannę Józefę K.

Przy ostatnich wyrazach doktór znowu zarumienił się nieco, ale młode i ładne swachy pokraśniały całe od zadowolenia, a zarazem niespokojnego oczekiwania.

— Cóż, czy zgadłem? — zapytał doktór.

— Zgadłeś pan! — była jednogłośna odpowiedź, poczem nastąpiło kilkanaście sekund milczenia.

Doktór zamyślił się, kobiety bacznie na niego poglądały.

Ludwika przestała szyć; złożyła ręce na kolanach i z fizyognomią, którąby była niezmiernie poważną, gdyby nie wesoły uśmieszek, wciąż zakradający się w kąciki warg różowych, zaczęła mówić:

— Posłuchaj, kochany panie Władysławie: to, cośmy w tej chwili powiedziały, nie jest bynajmniej żartem ani pustotą, którąby wcale tu nie była właściwą. Obie z Zosią znamy pana oddawna, wysoko cenimy pański charakter, i — jakeśmy to powiedziały wprzódy—poczuwamy względem pana wdzięczność za wyratowanie od śmierci najdroższych sercom naszym istot. Obok

tego wiemy dokładnie, jakie są pana wyobrażenia o świecie, o życiu i jego zasadach, przywyknienia, zamiłowania i t. d. Jesteś pan człowiekiem zacnym, pracującym, sam sobie winieneś wszystko, co posiadasz, a posiadasz wiele, bo wiedzę, szacunek ludzi uczciwych i rozsądnych i niezależne stanowisko materyalne, jakie własnemi siłami, własną pracą sobie zdobyłeś. Otóż trzeba, aby przyszła żona pańska posiadała zalety, odpowiednie charakterowi i pojęciom pana, aby była także wykształconą, lubiącą spokój, domowe życie, zdolną słowem zrozumieć, ocenić i uszczęśliwić takiego, jak pan, mężczyznę. Kiedyśmy tedy spostrzegły, że pan zbliżać się począłeś do Józi K., wszędzie, gdzieś tylko ją spotkał, i wyraźne znalazłeś upodobanie w jej towarzystwie, zaraz błysnęła nam myśl: jakaby to dobrana i szczęśliwa z was była para.

— Z Józią znamy się od dzieciństwa — podjęła z kolei Zofia — a lubo nie jest ona naszą krewną, kochamy ją, jak siostrę. Obok tego, nie znam kobiety, młodej panny szczególniej, któraby tyle, co ona, pięknych, gruntownych zalet serca i umysłu posiadała...

— Wierz mi pan, panie Władysławie, że jesteście stworzeni dla siebie — ciągnęła Ludwika — i wcale nie zdziwiłam się, gdym zobaczyła, że zbliżacie się ku sobie wzajemnie i radzi przestajecie z sobą, a tylko z dnia na dzień oczekiwałam wiadomości o oświadczynach i zaręczynach.

— To się tak długo nie spełnia — powtórzyła Ludwika — żeśmy pana posądziły o nieśmiałość lub kunktatorstwo, właściwe nieżonatym ludziom, którzy już przekroczyli trzydziestkę, i postanowiłyśmy sobie z Zosią dodać panu odwagi i bodźca, powiedzieć panu: oświadcz się, a będziesz przyjęty!

— Zapukaj, a będzie ci otworzono — zaśmiała się Zofia.

— Nie zwlekaj, nie odkładaj, bo przez to zwlekasz i odkładasz własne swoje szczęście — dodała Ludwika.

W tym sensie obie ładne swachy mówiły długo jeszcze, a gdy przestały mówić, doktór Władysław sięgnął po ich drobne rączki i ucałował je z kolei.

Potem rzekł:

— Nie umiem znaleźć słów na podziękowanie paniom za tak serdecznie dobre ich dla mnie życzenia i tak gorące interesowanie się moim losem. Co do panny Józefy...

Tu urwał mowę na chwilę, a oczy jego, żywszym niż zwykle migocące ogniem, wyraźnie mówiły, że był nieco wzruszony.

— Co do panny Józefy — mówił dalej — jest to osoba, ze wszech miar godna szacunku i sympatyi, a mówiąc o niej, nie przesadziłyście panie wcale jej zalet. Wyznaję, że poświęcenie się, z jakiem pielęgnuje starego i chorego ojca, praca trudna i ciągła, której się oddaje z taką męską nieledwie wytrwałością, wzbudzają we mnie prawdziwe uwielbienie, że towarzystwo jej niezmiernie jest miłe i zajmujące, że... nakoniec, podoba mi się ona więcej, niż wszystkie inne panny, jakie obecnie znam; wyznaję to wszystko, ale...

— Cóż ale? jakie ale? — zawołały dwie kobiety, całe rozpromienione od radości, z jaką słuchały pochwał, oddawanych ich przyjaciółce.

— Ale — kończył doktór — całemu temu bogactwu przymiotów, jakie tak świetnie przyozdabiają pannę Józefę, niedostaje takich, które ja koniecznie i nieodbicie widzieć muszę w osobie, mającej zostać moją żoną...

— Jakichże to przymiotów jej niedostaje? — z zadziwieniem i zmartwieniem zapytały swachy.

— Może źle się wyraziłem — kończył myśl swą doktór Władysław — zamiast przymiotów, powinienbym powiedzieć: talentów!

— Talentów! — zawołały dwie panie — jakto talentów? jakich talentów?

— Tak jest, talentów! — powtórzył młody mężczyzna, poważnie skłaniając głowę. — Nie mogę ożenić się inaczej, jak z osobą pięknie grającą i śpiewającą; panna Józefa zaś, jak panie wiecie, nie gra i nie śpiewa...

Kiedy doktór to mówił, pani Ludwika i pani Zofia patrzyły na niego szeroko otwartemi od zdumienia oczyma.

— Panie Władysławie, czy pan żartujesz? — spytała pierwsza po chwili milczenia, tonem lekko urażonym.

— Nie, pani, nie żartuję wcale — była odpowiedź, wymówiona takim głosem i z takim wyrazem twarzy, iż w istocie ani przypuszczać można było, aby żartował.

Dwie panie wpatrzyły się w niego z większem jeszcze osłupieniem, poczem obie razem wybuchnęły głośnym i długim śmiechem.

— Ach, jakież to zabawne! jakież to oryginalne! jakież to śmieszne zdanie! — wołały, śmiejąc się coraz bardziej.

— Śmiejcie się sobie panie, śmiejcie się, ile chcecie — mówił młody doktór — ja się pewnie za to nie rozgniewam. A jak przestaniecie śmiać się, to wytłómaczę to, tak zabawnie

wam wyglądające zdanie, a może przekonacie się, że nie jest ono tak pozbawione sensu, jakeście sądziły.

Panie przestały śmiać się, a nawet wkrótce w oczach ich, tak wesołych przed chwilą, zjawiły się iskry prawdziwego żalu.

— Ach, panie Władysławie! — westchnęła Ludwika, smutnie wstrząsając głową — czyż ja się mogłam spodziewać, że pan tak powierzchownie zapatrujesz się na małżeństwo i rodzinę, tak lekceważąco obchodzisz się z najpewniejszemi uczuciami.

— Pani! — przerwał doktór — sąd sprawiedliwy nie wygłasza nigdy wyroku przed wysłuchaniem obwinionego...

— Nie pojmuję — rzekła — jaką teoryą mógłbyś pan usprawiedliwić tak dziwne wyobrażenie...

— Warto posłuchać jej choć przez ciekawość — dodała Zofia.

— Wiecie panie o tem, a może i nie wiecie — zaczął doktór — że, zostając lekarzem, wcale nie powodowałem się wrodzonym mi pociągiem i naturalnemi potrzebami mego umysłu i charakteru. Byłem postawiony w takich okolicznościach, że mogłem zostać lekarzem, albo niczem. Wybrałem pierwsze, a gdym się zapoznał dobrze z pięknemi i szlachetnemi stronami tego zawodu, z wielkością nauki, jaka mu przewodniczy, umiłowałem go szczerze i dziś nie złorzeczę bynajmniej losowi, który mnie wtrącił na nielubioną przedtem drogę. Niemniej jednak zostało we mnie zawsze coś ze starego człowieka. Kocham naukę i oddaję się jej sumiennie i z zamiłowaniem, ale sztuki piękne pociągają mnie do siebie urokiem czarodziejskim...

Muzyka szczególniej wywiera na mnie wpływ prawie cudowny. Niema smutku, troski lub niepokoju, któreby pod tym wpływem nie zmieniły się we mnie w uczucie cichej i uspokajającej rzewności; niema pięknego czynu, niema ofiary, którychbym nie dopełnił z zapałem, gdyby w mem uchu brzmiało bohaterskie uczucie wzbudzającą je muzyką; niema kobiety, którejbym nie pokochał, gdyby muzyką, śpiewem, przemówić do mnie potrafiła.

Być może, iż był we mnie przez naturę złożony materyał na artystę; że, kochając sztukę namiętnie, powinien byłem zostać jej kapłanem. Stało się inaczej i powtarzam, że tego nie żałuję; ile razy jednak myślę o możebności ożenienia się, moja przyszła nigdy nie przedstawia się inaczej w mej wyobraźni, jak istotą powiewną, eteryczną niemal postacią, siedzącą przy fortepianie,

z kruczymi włosami, w bogatych zwojach opadającymi na posągowo piękne ramiona, z różanemi ustami, z których płyną tony czarującej melodyi.

Umilkł na chwilę doktór Władysław, a po rozpromienionej niezwykle jego twarzy można było poznać, iż to, co powiedział, nie było wcale żartem ani wymysłem, ale tłem istotnych jego upodobań.

Po chwili mówił dalej:

— Wysoko szanuję w kobiecie powagę charakteru, gruntowność zasad i szerokie wykształcenie umysłowe; kobietę, obdarzoną tymi przymiotami, mogę uwielbiać, podziwiać, z największą przyjemnością korzystać przy każdej sposobności z jej towarzystwa, mogę nawet radzić serdecznie najlepszemu memu przyjacielowi lub rodzonemu bratu, aby ją pojął za żonę. Co więcej, przypuszczam, iż dla kobiety podobnej mogłaby nawet w sercu mojem żywa obudzić się sympatya; ale w takim razie tylko uległbym jej i pozwolił na to, aby mnie na ślubny zawiodła kobierzec, jeślibym, obok wyliczonych wyżej przymiotów, widział w kobiecie i te, które nietylko zabezpieczają spokój domowego życia, ale jeszcze rozweselają je, barwią, poetyzują.

— Ależ tak! — zawołały obie panie, słuchające dotąd w milczeniu mowy doktora — wiemy dobrze, iż człowiek z umysłem światłym i sercem gorącem potrzebuje w żonie swej posiadać nietylko dobrą gospodynię i cnotliwą żonę, ale jeszcze i miłą towarzyszkę, którąby w treść jego życia wlała poezyę, wplotła wdzięk i zjednoczyła się z nim nietylko w tem, co stanowi materyalną, prozaiczną osnowę bytu, ale i w tem, co najwznioślejszego pomyśli jego umysł lub poczuje serce...

— Tak, tak! — potwierdził z zapałem młody doktór — kobieta powinna wyobrażać w małżeństwie żywioł estetyczny, słowem: powinna być połową jego, radością i pięknem, gdy mężczyzna przedstawia sobą stronę surową i poważną... My szczególniej, pracownicy, my zwłaszcza lekarze, którzy nieustannie mamy do czynienia z nauką o pewnikach niezaprzeczalnych, jak matematyka, realnych, jak nieubłagana rzeczywistość, którzy oprócz tego patrzymy wciąż na nędze ludzkie w najszpetniejszych przedstawiające się postaciach, słuchamy ustawicznie jęków ludzkich, płaczów, narzekań, często im ulgi i pomocy, przy najgorętszych chęciach i najszczerszej wiedzy, przynieść nie mogąc, my lekarze, przed których wzrokiem rozkłada się odwrotna, brzydka strona życia ludzkiego, ze wszystkiemi jej chorobami, ranami, boleściami; my więcej, niż ludzie innych zawodów, po-

trzebujemy na żony istot radosnych, uśmiechnionych, pięknych, artystycznych, przy których boku wracałyby ku nam, choćby na chwilę, słodkie złudzenie i marzenie, przygnębione nieubłaganym realizmem nauki, których muzyka czarowna, śmiech swobodny i bez troski, postać zachwycająca, zakryłyby przed nami, kazałyby nam zapomnieć o tych tragicznych, bolesnych, a częściej jeszcze brzydkich i nudno-prozaicznych rzeczach, na które patrzeć rozkazuje nam zawód nasz.

Ludwika i Zofia z większą uwagą i namysłem przysłuchiwały się całej rozprawie doktora, a gdy przestał mówić, milczały jeszcze chwilę i ważyły sobie w ładnych główkach różne myśli.

W końcu Ludwika pierwsza uśmiechnęła się i wstrząsnęła głową.

Uśmiech ten i giest wyrażały powątpiewanie.

— Oj, panie Władysławie! — wymówiła — nie znasz pan kobiet, jeżeli sądzisz...

— Jakto nie znam kobiet? — wesoło przerwał doktór — ja, pani, trzy razy już kochałem się w mem życiu...

Dwie obecne panie, jakkolwiek były rozsądnemi i myślącemi kobietami, były jednak kobietami, a wyraz: »kochałem się« sprawił na ich umysłach efekt, jaki zwykł sprawiać na umysłach kobiecych.

Oczy ich błysnęły ciekawością.

— Kochałeś się pan i jeszcze trzy razy! — zawołały — i nic pan nam o tem nie powiedziałeś nigdy! Jakże to było? gdzie to było? w kim? jak? kiedy?

— Po raz pierwszy — rozpoczął opowiadanie swe doktór — kochałem się w blizkiej mojej kuzynce. Skończyłem był dopiero co szkoły i przyjechałem na wakacye do domu mego krewnego, którego właśnie śliczna moja kuzynka była jedyną córką; miałem wówczas lat ośmnaście, a ona skończyła szesnasty. Imię jej było Julcia.

Ciemne miała włosy, płeć bardzo białą, oczy szafirowe, a rączęta i nóżki tak małe, jakby o lat dziesięć młodsze były od niej samej.

Otóż w Julci pokochałem się od pierwszego na nią spojrzenia szalenie...

Wiejski domek mego krewnego otoczony był ogrodami, a naokoło ogrodów rozkładały się wielce malownicze błonia i łąki, przyozdobione poetycznymi strumykami, gaikami i tym podobnemi sielskiemi pięknościami.

Otóż po tych ogrodach, błoniach, łąkach i gajach, nad brzegami tych strumyków nosiłem się z miłością moją po całych dniach i nocach, nie lubiłem słońca, a szukałem cienia, rwałem niezapominajki, rozmawiałem z szumiącemi gałązkami brzeziny, gwiazdom zadawałem pytania, na które odpowiedzi nigdy nie otrzymywałem, a do księżyca paliłem oracye, godne Cycerona i Demostenesa, a tak żałosne i przenikające, że, na ich odgłos, smętny powiernik kochanków przysłaniał sobie lice srebrzystą gazą obłoków... A nie byłem jeszcze doktorem.

— A Julcia czy płaciła panu wzajemnością? — wtrąciła pytanie pani Zofia.

— Julcia — odpowiedział doktór Władysław — była wcielonym w kobiecą postać uśmiechem, lubiła nadzwyczajnie tańczyć, i walcowaliśmy z sobą często po całych kwadransach.

Nigdy nie zapomnę tych srebrzystych iskier, które zdawały się tryskać z jej oczu, gdy, zawieszona na mojem ramieniu, ze szkarłatnym rumieńcem na białej twarzyczce, walcowym wirem obiegała dokoła obszerny salon, drobnemi nóżkami zaledwie dotykając ślizkiej posadzki.

Każdego ranka dawała mi na dzień dobry swoją białą rączkę, a czasem wyjmowała z włosów strojący je kwiatek i rzucała go na mnie z głośnym śmiechem.

Wieczorami patrzyliśmy razem przez otwarte okno salonu na niebo letnie, usiane gwiazdami, a kilka razy dostrzegłem, że promyk księżyca przejrzał się w kryształowej łzie, drżącej na brzegu długiej jej rzęsy. W jednej z chwil takich, zamiast, jak zwykle mówiła „»kuzynku!«, powiedziała mi:

— »Mój Władziu!«

Jam upadł przed nią na kolana i oświadczył jej gorące afekty moje tak, jakby już lepiej i sam Werter uczynić nie potrafił.

Ona długo trzymała chusteczkę przy oczach, potem spojrzała na gwiazdy, na mnie, na księżyc, na rąbek swojej sukienki, potem znów na mnie, aż w końcu szepnęła cichutko:

— »Kocham!«

Potem była chwila milczenia, druga cichej rozmowy, a potem ktoś trzeci wszedł do salonu, usiadł przed fortepianem, zagrał, a ona porwała się z siedzenia i zawołała:

— »Potańczmy walca«!

I tańczyliśmy walca przez całe dziesięć minut, nie przestając.

Słowem, kochaliśmy się... przez całe trzy miesiące...

Umilkł na chwilę doktór Władysław, a pani Ludwika, korzystając z przerwy, pełna ciekawości, rzuciła pytanie:

— I cóż się stało z tą miłością państwa? Jak się ona skończyła? kto was rozłączył?

— Rozłączyła nas akademia — z powagą odparł doktór.

— Akademia? — zawołały obie panie.

— Tak, akademia; albowiem czas wakacyi minął, a mnie trzeba było odjechać do stolicy, aby oddać się akademickim studyom. Przy rozstaniu płakaliśmy oboje, jak małe dzieci, a w przeddzień mego wyjazdu Julcia przysięgła mi na gwiazdy, strumyk i szmer gaiku, że czekać na mnie będzie, że, gdy za lat kilka wrócę, zostanie moją żoną.

— I cóż? — spytały dwie panie.

— Nic — odpowiedział doktór — na tem kończy się historya mojej pierwszej miłości...

— Jakto! — z żalem prawie zawołały kobiety — i nigdyś już pan więcej Julci nie widział?

— Nigdy! — była odpowiedź.

— Czy umarła?

— Nie; żyje dotąd.

— Więc nigdy pan jej nie spotkałeś?

— Owszem, spotkaliśmy się bardzo prędko po moim powrocie z akademii, aleśmy już siebie nie znaleźli. Ona z Julci stała się panną Julią, ja ze studenta doktorem medycyny. Ona przepędziła kilka lat w zabawie i nieprzerwanych prawie tańcach, ja w trudnej, ustawicznej pracy. Przemówiliśmy do siebie i wydało się nam, jakoby głosy nasze wcale inaczej brzmiały, niż dawniej; spojrzeliśmy sobie w oczy i nie poznaliśmy w nich dawnych naszych znajomych! Po kilku minutach rozmowy, nie znaleźliśmy nic do powiedzenia jedno drugiemu i rozeszliśmy się tak, jak ludzie, którzy, prócz ceremonialnego ukłonu, nic sobie wzajem ofiarować nie mogą...

Dwie słuchające panie westchnęły cicho i pochyliły głowy, jedna nad robotą, a druga nad dziennikiem.

Po twarzy doktora szybko przesunął się odcień smutku.

Wszyscy troje milczeli parę minut.

— A druga miłość pańska czy podobna była do pierwszej? — zagadnęła po chwili Ludwika.

— O, wcale niepodobna — odparł doktór Władysław z wesołym uśmiechem. — Historya drugiej miłości mojej wydarzyła się w pierwszym zaraz roku po ukończeniu akademickich stu-

dyów, a przedmiotem jej była wdowa, mająca lat trzydzieści pięć.

— Ach! — krzyknęły kobiety.

— Tak, panie — z wielką powagą opowiadał dalej doktór — przedmiotem drugiej miłości mojej była osoba, mająca lat trzydzieści pięć.

Była to wdowa po zmarłym profesorze uniwersytetu, córka profesora uniwersytetu i siostra dwóch braci, którzy obaj także byli profesorami. Mądrość, jaką odznaczała się cała rodzina jej, objawiała się też i w niej samej, do najwyższego spotęgowana stopnia. Pani Eufrozyna była uczoną, bardzo uczoną, nadzwyczaj uczoną. Znała trzy języki umarłe, studyowała astronomię, fizykę, geologię, chemię i fizyologię; czytała Hegla, Kanta, Fichtego, ba, Kartezyusza nawet i Bacona, umiała na pamięć kilka kazań ojca Lacordaire'a i połowę dykcyonarza encyklopedycznego, wydanego przez ś. p. Diderota, Woltera, d'Alemberta i różnych innych podobnych bezbożników. Była to encyklopedya chodząca, osoba, złożona nie z ciała i kości, ale z prochu, pozostałego po spalonej bibliotece Aleksandryjskiej. Wzrost miała wysoki, twarz chudą i bladą, oczy małe, koloru nijakiego, przykryte szafirowemi szkłami okularów. Włosy miała krótko przystrzyżone, ubierała się zawsze czarno.

— Wielki Boże! — zawołały, śmiejąc się, dwie kobiety — i pan się w niej kochałeś!

— Dalszy ciąg mego opowiadania wyjaśni paniom tę kwestyę — ciągnął doktór.

Pani Eufrozyna uderzyła mnie zrazu oryginalnością całej swojej figury i wzbudziła we mnie taką ciekawość, jaką budzi zwykle niepospolite zjawisko. Przy drugiem widzeniu się, wiedząc o tem, że jestem doktorem, przemówiła do mnie po łacinie. Zrazu poczułem coś nakształt trwogi, ale potem przyszła mi myśl żartobliwa, i tym samym językiem, jakiego ona użyła, mówiąc do mnie, zagadałem do niej o składzie kolumny wertebralnej u zwierząt ssących.

Jakież było moje zdziwienie, gdy pani Eufrozyna, odpowiedziawszy na pytanie moje co do kolumny, rozpoczęła rozmowę o naczyniach włoskowatych i komórce zarodkowej.

Osłupiałem! lecz zaledwie zdołałem przyjść do siebie, gdy pani Eufrozyna ojczystym już naszym językiem zapytywała mnie, jaki systemat filozoficzny uznaję za słuszny, i czy jestem idealistą, materyalistą, sceptykiem lub spirytualistą?

Nie pamiętam już, pod który z czterech tych sztandarów

zapisałem się w owej chwili, ale wiem dobrze, iż w kwadrans potem rozmawialiśmy o greckich heksametrach, rzymskim Pliniuszu i Plaucie, niemieckich Nibelungach i skandynawskich Sagach. Byłem zdumiony i zaciekawiony.

Nazajutrz po owych rozmowach oddałem wizytę pani Eufrozynie.

Widzę się jednak zmuszonym dodać tu kilka słów o ówczesnym nastroju własnego mego umysłu. Wchodziłem dopiero w życie, pierwsze kroki czyniłem w rozpoczętym zawodzie. Głowa moja pełna była wiedzy uniwersyteckiej, serce pałało miłością dla nauki, a wszelkie marzenia o innej miłości pracowite studya i surowe życie daleko i na długo odegnały ode mnie.

Świat znałem mało, a kobiety jeszcze mniej. Oprócz Julci, z żadną inną nie łączył mnie nigdy dłuższy i serdeczniejszy stosunek.

W takiem też będąc usposobieniu, zbliżyłem się do pani Eufrozyny.

Wszechstronna, rzec można, olbrzymia jej wiedza, jako też prawdziwie spartańska surowość życia i olimpijska powaga układu, niezmiernie podziałały na moją wyobraźnię. Przytem, w owej porze i danem miejscu, niewielu mogłem naokoło siebie znaleźć ludzi ukształconych i nam nie obcych, rad więc byłem, że spotkałem w pani Eufrozynie chętnego do rozmowy kolegę.

Bywałem zrazu co dwa dni, potem zacząłem bywać codzień, i przepędzałem z nią całe długie jesienne wieczory, jakich pozazdrościćby nam mógł niejeden z czterdziestu paryskich nieśmiertelnych.

Rozmawialiśmy... ach!... i o czemżeśmy nie rozmawiali...

Ona siadywała na staroświeckiej, z wysoką, żółtą poręczą kanapie, w czarnej swej sukni i szafirowych okularach; ja zaś naprzeciw niej na fotelu, a pomiędzy nami był stół, dźwigający na sobie tyle woluminów zadrukowanego i zapisanego papieru, że starczyłoby ich na obładowanie dwóch dromaderów.

Z woluminów tych wymykały się pyły niewidzialne i owiewały Eufrozynę tą mgłą tajemniczą i nieokreśloną, w jakiej oczom naszym okazują się pewne rzadkie przedmioty, do dziedziny archeologii należące.

Z posiedzeń tych, które zwyczajnie kończyły się późno, po północy, wychodziłem w stanie podniesienia ducha nadzwyczajnego. Podniesienie to bywało niekiedy podobne do przygnębienia, albo do jakiegoś dziwnego pomieszania; a wtedy wszystko, cośmy sobie wzajemnie przez cały wieczór nagadali, tak mi się w głowie kręciło i mąciło, że z trudnością odnajdowałem drogę do domu.

Bądź co bądź, podziwiałem Eufrozynę i uwielbiałem ją.

Po dwóch tygodniach znajomości doszedłem do przekonania, że ma ona w sobie naturę troistą: męską, żeńską i jeszcze jakąś trzecią, która była w niej niezawodnie, ale której gatunku stale określić w żaden sposób nie mogłem.

Wpadłem na myśl, że jest to natura przejściowa, której jedna strona graniczy z człowieczeństwem, a druga roztapia się w tem wielkiem N i c, które buddyści wyrażają słowem O m.

W końcu uwierzyłem stale w migracyę dusz i patrzyłem na Eufrozynę, jak na wziętych razem siedmiu mędrców Greckich w metempsychozie, a kto wie? może i z królem Salomonem włącznie.

Jedna tylko rzecz w pani Eufrozynie kłopotała mnie nieco. Było to najzupełniejsze niepodobieństwo, w jakiem zostawałem co do odszukania jej własnej indywidualności.

Jaką była, jak myślała, jak o różnych rzeczach sądziła, w co wierzyła, czego pragnęła, jakie piastowała nadzieje dla siebie i świata — nie wiedziałem.

Gdym patrzył na nią, gdym słuchał jej, przed oczyma przesuwali się z kolei różni filozofowie, astronomowie, teolodzy, różne systemata planetarne, pokłady ziemi aluwialne, wulkaniczne i inne; niekiedy widziałem całe szkielety ludzkie, rozebrane z dokładnością, jaka przyniosłaby zaszczyt niejednemu gabinetowi anatomicznemu; albo znowu całe szeregi okazów, wydobytych z rozmaitych ras, na jakie dzieli się ród ludzki, począwszy od szlachetnych potomków Aryi, aż do Hotentotów i Eskimów, lecz w całym tym szeregu wielce uczonych zjawisk, przyrządów i produkcyi Eufrozyny nie widziałem.

Pocieszałem się tem, że zjawisko to powinno było być przypisane owej trzeciej naturze, jaką w niej dostrzegłem, a jaka jedną ze stron swoich rozpływała się w wielkiem buddyjskiem N i c. Naturę tę nazwałem sobie w końcu »umkliwą«, ponieważ umykała wciąż najbaczniejszym moim spostrzeżeniom.

Kilka razy postanowiłem sobie bądź co bądź zmusić Eufrozynę, aby stanowczy uczyniła wybór między ojcem Lacordaire'm a francuskimi encyklopedystami; pragnąłem dowiedzieć

WOJEWÓDZKA MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA Nr ... W Białymstoku

się, która z tych dwóch powag wydaje się jej zasługującą na wiarę.

Przy pierwszej tedy sposobności zapytałem jej, czy we wszystkich punktach potwierdza mniemanie ojca Lacordaire'a, czy też różni się z nim w niektórych?

— »To wielki mówca i teolog — odparła mi na to Eufrozyna — ażeby pana o tem przekonać, powiem ci jedno z jego kazań, które umiem na pamięć«.

I powiedziała.

Słuchałem w skupieniu ducha, ale kazanie było tak długie, że, gdy skończyła je, zagadałem co prędzej o czem innem, obawiając się w skrytości serca, aby nie rozpoczęła drugiego.

Uważając, że przez pośrednictwo ojca Lacordaire'a nie dopiąłem zamierzonego celu, zacząłem nazajutrz szturm do indywidualności Eufrozyny od strony Woltera; spotkało mnie tu również niepowodzenie. Uczona moja przyjaciółka nazwała Woltera wielkim filozofem i dramaturgiem, tak, jak Lacordaire'a mówcą i teologiem, a dla przekonania encyklopedycznego, wypowiedziała z pamięci pierwszą scenę trzeciego aktu »Zairy«. Tak samo było ze wszystkiem. Bądź co bądź, zawody te moje tłómaczyłem oną trzecią, »umkliwą« naturą Eufrozyny, i podziwiać jej nie przestawałem.

Nieraz, opuszczając wieczorne z nią posiedzenia, ogłuszony sumą cyfr i imion własnych, jakie, nakształt wód Niagary, lały się z ust mojej uczonej przyjaciółki, przybity do ziemi ogromem jej wiedzy, a zarazem wirujący z pędem nieporównanym w chaosie, brzemiennym całymi nieporachowanymi światami pojęć i myśli, nieraz w owych chwilach ogłuszenia, przygnębienia i niepodobnego do opisania wirowania myślałem sobie:

— »Ach, gdyby ta kobieta mogła tylko choć raz mi powiedzieć, czyje teorye za swoje uznaje: ojca Lacordaire'a, czy też Woltera i innych podobnych mu heretyków, uznałbym się za najszczęśliwszego pod słońcem śmiertelnika«.

Próbowałem odgrzebać, wydobyć na jaw jej indywidualizm różnymi środkami i na różnych drogach, a zawsze bez najmniejszego powodzenia. »Umkliwa« natura jej, ta, która to zlewała się z najwyższem Nic wyznawców Buddy, stała mi wiecznie na przeszkodzie.

W końcu zrezygnowałem się i wyrzekłem wszelkich w tej mierze dalszych usiłowań; natomiast, z zamkniętemi oczyma a wytężonym słuchem, zanurzyłem się cały w bezdennym oceanie wiedzy, wylewającym się na moją głowę z ust Eufrozyny.

Tak upłynęło dni dziewiętnaście; ja życie moje liczyłem na wieczory, a w końcu tak do nich przywykłem, że, jak tylko szarzeć zaczynało, bezwiednie prawie brałem kapelusz i wychodziłem na ulicę, kierując się w stronę pomieszkania mojej przyjaciółki.

Ona przyjmowała mnie z całą godnością i powagą, właściwą istocie tak nadzwyczajnej, niemniej jednak z uprzejmością, większą niż ta, jaką okazywała innym ludziom.

Kilka razy na wargach jej wązkich i bladych dojrzałem coś, co posiadało lekkie podobieństwo do uśmiechu, a pewnego wieczora, gdym wcześniej przyszedł, niż zwykle, wydało mi się, jakoby słaby rumieniec okrasił w szanownych trudach pobladłe jej policzki.

Dziś nie zaręczyłbym za to, czy spostrzeżenie moje było słusznem; wtedy jednak byłem najmocniej przekonany o prawdziwości tego rumieńca, i poczułem się nim tak zaszczyconym i w miłości mej własnej zadowolonym, jak gdyby się Minerwa sama na widok mój zapłoniła wstydliwą krasą.

Dnia dwudziestego znajomości naszej Eufrozyna, przy oddawaniu mi życzenia dobrej nocy, ścisnęła mię lekko za rękę, a zarazem powiedziała, że uczyniłbym jej ogromną przysługę, gdybym nazajutrz zrana dostarczył jej zwłok świeżo umarłej sowy...

Wyznaję, że przeląkłem się nieco tą prośbą.

Po głowie mojej przemknęła myśl, że Eufrozyna posiada może czarodziejską sztukę warzenia tych różnych podejrzanej świętości kordyałów, jakie stanowiły jakoby umiejętność dawnych czarownic.

Uspokoiłem się jednak zupełnie, gdy mi powiedziała, iż przedmiot żądany potrzebny jej jest do studyów anatomicznych. Czytała bowiem w wielu fizyologicznych traktatach, że wątroba predominuje wielkością swą nad wszystkiemi innemi częściami sowiego organizmu, lecz oddawna pragnęła naocznie przekonać się o tej prawdzie.

Zaraz po powrocie do domu rozesłałem posłańców w różne strony, w celu wynalezienia świeżych zwłok nocnego ptaka, i byłem tak szczęśliwy, że nazajutrz zrana tryumfalnie wnosiłem do mieszkania mojej przyjaciółki piękny bardzo okaz sowiego trupa.

Uczyniliśmy tedy sekcyę, a raczej czyniła ją sama Eufrozyna, i tak zręcznie obchodziła się ze skalpelem, tak wprawnie chodziła około muskułów, z taką punktualnością oddzielała je od

żył i kości, że aż poczułem pewną, że tak powiem, fachową zazdrość.

Obok tej zazdrości jednak wzrosło i uwielbienie moje dla niej.

— »To mi to właśnie doktorska żona!« — pomyślałem, a tknięty tą myślą pochyliłem się i usiłowałem zajrzeć pod szafirowe okulary, aby promienie wzroku mego wniknęły w źrenice zachwycającej amatorki.

Ale Eufrozyna tak była zajęta wydobywaniem i oglądaniem wątroby sowiej, że na moje czułe spojrzenie najmniejszej nie zwróciła uwagi, co najbardziej jeszcze podniosło w oczach moich jej wielkość i napełniło mnie uczuciem, podobnem do pokornej skruchy.

Resztę dwudziestego dnia i cały dzień dwudziesty pierwszy przepędziłem w towarzystwie mojej przyjaciółki.

Byłem niespokojny, rozmawiałem z roztargnieniem, a po głowie mojej kręciła się nieustannie myśl:

— »To mi to właśnie doktorska żona!«

Widząc niezwykły humor mój, Eufrozyna niespodzianie rzuciła mi pytanie:

— »Czy nie chciałbyś pan pojechać ze mną do Południowej Ameryki?«

— »A po co?« — spytałem.

— »Dla studyowania tamecznej Fauny i Flory«.

— »Pani! — rzekłem — jestem lekarzem, mam wielu pacyentów, czuję obowiązek poświęcenia się usługom rodzinnego kraju, słowem, do Ameryki Południonej nie pojadę, ale pragnę tu na zawsze z panią pozostać».

— »Jak to pan rozumiesz?« — zapytała Eufrozyna.

Nie upadłem przed nią, jak kiedyś przed Julcią, na kolana, ale wziąłem na traf jeden z woluminów, stół obciążających, a trafiwszy właśnie na historyę Genezy, przeczytałem na głos ustęp, w którym znajdowały się słowa:

— »Crescite et procreamini«.

W kilka minut po tem przeczytaniu zostaliśmy narzeczonymi.

Zmęczony długiem mówieniem, doktór Władysław umilkł na chwilę, a dwie słuchające go i w czasie jego opowiadania śmiejące się wciąż kobiety zawołały z wyrazem przerażenia na twarzach:

— Zostaliście państwo narzeczonymi! Wielki Boże! Dla-

czego nie było wówczas jakiej akademii, któraby was rozłączyła?

— W braku akademii, z którą nie miałem już nic do czynienia — odpowiedział doktór — rozłączyła nas Fauna podzwrotnikowa.

— Ach! — swobodniej odetchnęły kobiety.

— Narzeczona moja — opowiadał dalej doktór — po przyrzeczeniu mi swej ręki, wydawała się przez cały wieczór mocno jakąś myślą ukrytą zaniepokojona.

Przypisywałem to nagłej odmianie, jaka zaszła w jej położeniu, a jak pochlebiałem sobie, i pewnym afektom dla mnie, które zmąciły zwykłą wielkiemu jej umysłowi pogodę. Nie odgadywałem jednak, że w tym umyśle toczyła się naówczas straszna walka, której ofiarą miałem być ja.

Nazajutrz bardzo rano zostałem wezwany przez jednego z moich pacyentów, mieszkających na wsi. Pojechałem i przepędziłem przy nim dwie doby.

Kiedym wrócił, znalazłem w mieszkaniu mojem list od pani Eufrozyny, w którym donosiła mi, że, powodowana pragnieniem wiedzy i poczuciem powinności swych dla naukowych kwestyi, ujrzała się zmuszoną wyrzec się uczuć i pragnień osobistych, i przełożyć nad nie te uczucia i pragnienia, jakie nieprzepartą siłą pociągały ją oddawna w podzwrotnikowe krainy.

Odjeżdżała i życzyła sobie nie widzieć mnie więcej, aby nie wznawiać tej walki, jaka stoczyła się w jej sercu pomiędzy mną a Fauną, z zupełnym tryumfem tej ostatniej. Starała się jednak pocieszyć mnie upewnieniem, że podróż jej i studya, dla jakich ją przedsiębrała, trwać będą nie dłużej, jak lat dziesięć i że, gdy po tym przeciągu czasu wróci w rodzinne miejsca, nic już połączeniu naszemu na przeszkodzie nie stanie.

Po odczytaniu tego listu uczułem się tak ogłupiałym, że nie mogłem dwóch myśli skleić w mej głowie. Zdało mi się, że odstąpił ode mnie duch mądrości, unoszący mnie przez czas pewien po bezbrzeżnym oceanie wiedzy. Po chwili jednak poczułem w całym swym organizmie lekkość taką, jaką zapewne czuć musiał Jowisz, gdy z głowy swej wyrzucił na świat długo siedzącą w niej Minerwę.

Ogarnęła mnie jakaś skrzydlatość; zdawało mi się, że przez wszystkie pory w mojej skórze wnikają we mnie powiewy świeżego powietrza, jakiego niby długo pozbawiony byłem; doświadczyłem szalonej ochoty do latania, a przynajmniej do tańczenia; gdy zaś w tej samej chwili weszła do mego mieszkania stara

gospodyni, która mi zwykle usługiwała, pochwyciłem ją wpół i, przyśpiewując dla niestracenia taktu, przetańczyłem z nią dwa razy naokoło bawialnego mego pokoju »polkę tremblante«.

Poczem schwyciłem kapelusz i, wypadłszy na miasto, kilka godzin biegałem po ulicach, przypatrywałem się błękitnym obłokom, jakbym pragnął przekonać się o ich rzeczywistem istnieniu, zaglądałem w twarze spotykanym przechodniom i cieszyłem się w głębi, że żaden z nich nie zakrawał na filozofa, teologa ani astronoma; stanąłem nad brzegiem rzeki i zachwycałem się tem, że szum jej nie był podobny do żadnego z języków umarłych.

Potem udałem się na wieczór do najweselszych i najmniej uczonych ludzi, jakich znałem w całem mieście, a gwałtowna reakcya, której uległem, przeciągnęła się tak długo, że przez cały miesiąc żadnej książki ani nie dotknąłem palcem.

Nie potrzebuję dodawać, że dziesięcioletni, naznaczony mi przez Eufrozynę, termin, uznałem za wieczny, naprzód dla tej przyczyny, że, po upływie jego, miałbym szczęście poprowadzić do ołtarza czterdziestopięcioletnlą oblubienicę, następnie dla innej, którą było głębokie przeświadczenie, iż tylko tak młody i świeżo ze studenckiego munduru wyemancypowany człowiek, jakim byłem podówczas, posiadać może dostateczną sumę sił na podźwignięcie tej sumy umiejętności, którą reprezentowała sobą pani Eufrozyna.

Byłem pewny, że za lat dziesięć nie zdołam już podnieść na barkach mych tak znakomitego brzemienia, i przestałem myśleć o tem zupełnie.

Takiemi słowami zakończył doktór Władysław opowiadanie o drugiej swej miłości.

Dwie obecne panie długo śmiały się jeszcze.

— Ależ naopowiadałeś pan nam dziwolągów! — wołała pani Ludwika.

— Płonę cała od ciekawości dowiedzenia się, jakim był trzeci przedmiot miłości pana — dodała Zofia.

— To prawda — potwierdziła Ludwika — chciałabym co prędzej wiedzieć, czy trzeci ów przedmiot podobny był do Julci czy do Eufrozyny.

— Ani do pierwszej, ani do drugiej — odparł doktór. — Gdy bowiem Julcia była dziewczęciem skrzydlatem, kryształowem, Eufrozyna kobietą przedstawiającą sobą kartę zżółkłego pergaminu, zapisaną od góry do dołu faktami, cyframi i nomenklaturami naukowemi, trzecia bohdanka moja, panna Helena, należała do rzędu istot, które są zarazem lwicą, rusałką, wulkanem i lodem.

Dwie panie słuchały z ciekawością, doktór Władysław po krótkim przestanku opowiadał dalej:

— Historya trzeciej mojej miłości wcale nie była długa, bo trwała tylko trzy dni. Nastąpiła ona po historyi z panią Eufrozyną w lat cztery z okładem, a wydarzyła się w tem samem mieście, w którem przebywamy obecnie. Tylko, że panie jeszczeście tu nie mieszkały, a zatem i panny Heleny nie znacie. Zjawiła się tu ona na krótko i przemknęła przez horyzont nasz, jako meteor, który blaskiem swym oślepia ludzi, lecz po zniknięciu najmniejszego za sobą nie pozostawia śladu, oprócz może na chwilę zwiększonej ciemności.

Była to panna przeszło dwudziestoletnia, córka rodziców niegdyś bogatych bardzo, ale którzy gonili już w owej porze ostatkami majątku i używali tych ostatków na jak może być najokazalsze prezentowanie całemu światu swej jedynaczki, czego następstwem miało być naturalnie świetne jej wyjście za mąż.

Panna Helena... ach, aby opisać paniom wszystkie jej wdzięki i czarodziejskie powaby, muszę wprzódy zawezwać ku pomocy wszystkie muzy, które od początku świata wspierały niedołężną mowę ludzką, gdy wdawać się ona chciała w niepodobną walkę z naturą i odtwarzać to, co tamta utworzyła w chwili najpiękniejszego swego natchnienia.

Przebaczcie tedy, panie, jeśli tym razem muzy, których wzywać nie miałem dotąd we zwyczaju, odmówią mi swej pomocy, a ja wam pannę Helenę opiszę nieco po doktorsku. A najprzód, wszystkie kształty jej postaci znajdowały się w tej doskonałej pełni rozwoju, która znamionuje zdrowie wyborne i siłę fizyczną niepospolitą. Przytem harmonizowały one z sobą tak przewybornie, tak zgadzały się z najsurowszymi warunkami klasycznej, plastycznej piękności, iż, patrząc na nie, możnaby się omylić i wziąć je nie za kształty żyjącej istoty, ale posągu, wykonanego przez Fidyasza, Canovę, Michała Anioła, lub kogokolwiek z tej samej kompanii.

Następnie, miała ona profil grecki, co znaczy, że grzbiet jej nosa był jakby przedłużeniem czoła, że tedy czoło jej i nos stanowiły linię zupełnie prostą. Mógłbym ręczyć, że linia ta była najbardziej, jak tylko to być może, równoległa do kolumny pacierzowej, w górę przedłużonej, której to równoległości stopień

stanowi, jak panie wiecie, jakość kąta, nazywanego zwykle kątem twarzy.

Owóż u panny Heleny kąt ten, nakreślony według metody Campera, to jest wzięty od otworu ucha do spodu nosa, a w drugiej linii od najbardziej wystającej wypukłości na czole do miejsca najbardziej wystającego szczęki wyższej, posiadał, jak mniemam, niezawodnie stopni 92, co znaczy, że był kątem istotnie greckim. Poczynając bowiem od Negrów, których kąt twarzy wynosi stopni 50 aż do...

— Litości, doktorze! — zawołała, śmiejąc się, Ludwika — skończ-że już raz historyę tego kąta! Jesteśmy z góry przekonane, że kąt twarzy panny Heleny był zupełnie, doskonale, niezaprzeczalnie grecki. Powiedz nam pan co o jej oczach... wszak to zwierciadło duszy...

— Co do oczu panny Heleny — odparł doktór — na te natura wyekspensowała wiele i r y s u, bo źrenice jej podobne były do dwóch okrągło wyciętych płatków czarnego puszystego aksamitu, gdzieniegdzie złotem przetykanych i pływających po dwóch, w kształt migdała urobionych, szkiełkach ciemno-niebieskiego koloru.

Nad oczyma temi podnosiły się brwi, niby przepowiednią tryumfów ich właścicielki, w łuk tryumfalny wygięte; nad brwiami było czoło, z kości słoniowej wyrzeźbione, a nad czołem włosy, bogato piętrzące się, pozaplatane, pozwijane, pokręcone i postrzępione, a tak czarne, że, patrząc na nie, mimowoli przypominała się znowu obfitość znajdującego się w naturze irysu.

Pod greckim nosem były usta włoskie, karminowe, drobne i pulchne; za ustami ukazywały się ząbki olśniewającej białości; a skóra na twarzy, ramionach i rączkach cienkością i przezroczystością nie ustępowała listkowi śnieżnej lilii.

Jak możecie zatem panie wnosić z opisu tego, lubo wyznaję, że wielce niedołężnego, panna Helena posiadała piękność przerażającą, przytem była ona tragicznie wesoła.

— Tragicznie wesoła! — zawołały kobiety — to dopiero rzecz całkiem dla nas nowa! Jakże to wesołość może być tragiczną?

— Tak, panie — ciągnął doktór. — Wesołość panny Heleny zakrawała na tragiczność, była ona bowiem jakąś wesołością niespokojną, gorączkową, pełną niby jakichś tęsknot ukrywanych, żalów tłumionych, porywów nieokreślonych. Panna Helena śmiała się często i dość głośno, była bowiem w towarzystwie bardzo śmiałą i układ miała swobodny; ale gdy śmiała się, mogło się zdawać, że wnet wybuchnie spazmatycznym płaczem, takie w tym śmiechu drgały dziwne jakieś tony płomieniste i zawrotne.

Wtedy także złote niteczki, które gdzieniegdzie przetykały czarny aksamit jej źrenic, przemieniały się w węże błyskawiczne, albo iskry, podobne do tych, jakich roje wyrzuca z siebie wulkan przed wybuchem.

To samo działo się z jej oczyma wtedy, gdy grała lub śpiewała. Grała bowiem, jak Liszt, którego, powiadano, że była uczennicą, a śpiewała, jak... Cherubin.

Co do mnie, nie mógłbym stanowczo określić, czy w chwili śpiewania panna Helena podobna była do największego z archaniołów, lub do najbardziej ziemskiej z ziemskich teatralnych prymadon; było w niej bowiem coś i z jednego gatunku, i z drugiego, a to właśnie połączenie niebieskości z ziemskością stanowiło pewien urok niezmiernie, że tak rzekę, drażniący...

Poznajomiłem się z panną Heleną w sposób wielce prozaiczny, ponieważ pierwszym powodem, który sprowadził naszą znajomość, była pieczeń barania...

— Ach, mój Boże! — zawołała pani Ludwika — otóż znowu wpadasz pan na tor dziwolągów! Czyliż nie możesz pan opowiadać porządnie?

— Ach, pani! — westchnął doktór — takie to już przeznaczenie lekarza, że, kędy się obróci, spotykają go wielce prozaiczne rzeczy i zjawiska...

Ojciec panny Heleny był sławnym swego czasu gastronomem, a jedną z ulubionych jego potraw była baranina, którą, jak słyszałem, kucharz jego przyprawiać umiał, w sposób jemu tylko wiadomy.

Otóż pewnego dnia szanowny czciciel sztuki kulinarnej spożył tej ulubionej potrawy swej ilość cokolwiek większą, niż przenieść mogła siła trawiących jego organów, z czego prostem następstwem wyniknęła lekka słabość gastryczna, a wskutek znowu tej słabości, ja zawezwany zostałem do zapisania ojcu panny Heleny mikstury, proszków lub pigułek, według własnej w tej mierze uwagi.

Przyszedłszy, znalazłem dwa salony napełnione ludźmi. Ludzie ci byli wszech stanów, wieków i nastrojów, tak fizycznych jak duchowych, a wszyscy wydawali się globami, same przez się ciemnymi i martwymi, a z nadzwyczajną dokładnością i zarazem pędem niezrównanym odbywającymi ruch obrotowy około

słońca, którego sile ciążenia byli poddani, i które rzucało na nich ogień i światło.

Słońcem tem była panna Helena.

Przechodząc napełnione w ten sposób salony i dążąc do pokoju gospodarza domu, daleki byłem od myśli, że wkrótce sam przemienię w jeden z globów takich i własną osobę moją rzucę na firmament panny Heleny, jako smutny obraz człowieka, zmienionego w planetarnego satelitę, czyli w salonowy księżyc... Tak jednak stało się...

Po zapisaniu bowiem mikstury czy pigułek, już tego dobrze nie pamiętam, lekko słabemu ojcu, zostałem przez matkę i córkę zatrzymany w salonach, już nie w charakterze doktora, ale gościa.

Zrazu pozostałem z niechęcią i jedynie przez grzeczność, a umieszczając kapelusz mój pod krzesłem, na którem usiadłem, przyrzekałem sobie w myśli, że nie zabawię dłużej nad pięć minut.

Aliści... któż odgadnie wyroki przeznaczenia?

Pięć minut przemieniło się w dwanaście godzin: przyszedłszy o czwartej po południu, wyszedłem z domu panny Heleny o czwartej po północy. Wychodząc, czułem się zarazem i złym, i zachwyconym.

Czułem, ach! czułem w głębi duszy, że w przeciągu dwunastu tych godzin zostałem globem, wykonywającym ruch obrotowy około słońca. Metamorfoza ta gniewała mnie, śmieszyła i do rozpaczy doprowadzała; a jednak nazajutrz, korzystając z otrzymanego zaproszenia, zaraz po odbyciu należnych pacyentom mym wizyt, udałem się znowu tam, kędy wielu bliźnich moich zostawało w tem samem położeniu, w jakie ja tak niespodzianie wpadłem.

Gdybyście mnie panie zapytały, co myślałem, idąc do domu panny Heleny, albo znajdując się już przy niej, albo od niej odchodząc, mógłbym najsolenniej zaręczyć, w potrzebie nawet przysiądz, że nie myślałem nic a nic. Co czułem? to inne pytanie.

Czułem atrakcyę.

Atrakcya ta była w nadzwyczajnie wielkim stopniu, a posiadała tę właściwość, że oczy panny Heleny, w których znajdowało się główne jej siedlisko, nietylko mnie pociągały do siebie, ale jeszcze ja, oddalając się od nich, ciągnąłem je za sobą. Stały one bowiem przede mną wszędzie, gdziem się tylko obrócił, do tego stopnia, że, kiedym się zabierał do jedzenia, widziałem je

najwyraźniej leżące na talerzu, i z obawy, aby ich jak prostej sztuki mięsa nie pokrajać, rzucałem nóż i widelec i nie jadłem nic. A kiedym miał pić wino, albo herbatę, widziałem znowu te oczy na spodzie kieliszka lub filiżanki, i połykałem napój z chciwością, łakomstwem i zażartością, myśląc, że razem, z którymkolwiek haustem, połknę i oczy panny Heleny.

Co zaś do muzyki jej i śpiewu, te były tak piękne i czarujące, i tak ciągle dźwięczały w mem uchu, że, zaklęty niemi, rozum mój utracił głos i mowę, a medycyna skamieniała i usnęła na dnie mej głowy, jak zaczarowana królewna z bajki w swym zaczarowanym pałacu.

Panna Helena była prawdziwem słońcem, które świeci dla wszystkich jednakowo i tylko w taki sposób wywiera siłę ciążenia, że wirujące wkoło niego planety raz bliżej od niego są położone, drugi raz dalej, tak, że gdy na jednym globie, lub jednej strefie panuje nadzieją kwitnąca wiosna, drugą zalega ostra i trzęsąca się zima, albo ponura, chmurna jesień, aż znowu tam, kędy była wiosna, przychodzą chmury i mrozy, a na miejscu zimy i jesieni zjawia się wiosna i lato.

Wszystko to zaś odbywało się w najdoskonalszym porządku, nieustępującym bynajmniej temu porządkowi, jaki rządzi naszym systematem planetarnym. A ta tylko pomiędzy dwoma systematami zachodziła różnica, że w systemacie panny Heleny żaden z wirujących wkoło niej globów nie zajmował tego przyjemnego położenia, jakie jest udziałem planety Jowisza, po którego przestrzeni wieczna i nieustanna rozlewa się wiosna.

Co do mnie, to, nie będąc wcale zarozumialcem, ani człowiekiem, budującym zamki na lodzie, mogłem zrazu śmiało wyobrażać sobie, że zostanę Jowiszem, tak mi przez cały pierwszy dzień znajomości było ciepło i świetlano, tak promienie mojego słońca ogrzewały mnie i oświecały jednakowo i nieustannie, tkliwie i paląco zarazem.

Po całej powierzchni globu, jaki osobą moją reprezentowałem podówczas, rozlała się najprzyjemniejsza wiosna, a na długo drzemiącym, świeżo poruszonym gruncie poczęły wyrastać liczne kwiaty, barwy i natury podzwrotnikowej. Ta-to, jak sądzę, obfitość rzuconego na mnie ciepła i światła zatrzymała mnie odrazu przy pannie Helenie przez dwanaście godzin. Byłem pewny, że w systemacie jej zajmę miejsce Jowisza i z rodzajem tryumfu spoglądałem na nieszczęsnych Uranów, Neptunów, którzy, odrzuceni w najdalsze od słońca strefy salonu, trzęśli się od zimna i złości.

Za tę dumę moją sprawiedliwie ukarany zostałem, albowiem zaraz nazajutrz jeden z wczorajszych Neptunów objął przyjemne stanowisko Jowisza, ja zaś, jednodniowy król planet, zbladłem i poszedłem z kolei do najodleglejszego kąta, gdzie pozwolonem mi było trząść się do woli z zimna i gniewu. Nagła ta jednak zmiana pozycyi, zamiast zrazić mnie i na zawsze odtrącić od mego słońca, wzbudziła we mnie szaloną chęć przedarcia się ku niemu, utorowania sobie do niego drogi przez tłum szczęśliwych globów, chociażby z pomocą łokci i pięści. Zbudziła się we mnie natura wojownicza, do jakiej wprzódy nigdy się nie poczuwałem. Ręka moja machinalnie prawie podnosiła się do góry i podkręcała wąsa na sposób rycerski; począłem stąpać krokiem żołnierza, idącego do ataku, głowę zadzierałem tak, jak wojownik, zdecydowany bądź co bądź, choćby przelewem krwi własnej, przedrzeć się przez nieprzyjacielskie szeregi i zatknąć chorągiew swą na murach fortecy, rozstrzygającej losy zażartej wojny.

To moje nawskroś wojownicze usposobienie musiało mnie uczynić podobnym do starożytnego Marsa, bo, pod koniec wieczora, panna Helena, dbała o nadanie każdemu ze swych globów właściwego mu stanowiska, pozwoliła mi zbliżyć się do siebie na tak małą odległość, w jakiej planeta, nosząca wyżej wymienione nazwisko, krąży około słońca.

Najbliższym skutkiem tego zbliżenia się było to, że wyszedłem onego wieczora z domu panny Heleny spalony na węgiel i najformalniej przekonany o nieprawdziwości teoryi, dowodzącej, iż wszystkie planety, nie wyłączając Marsa, mogą być miejscem pobytu istot organicznych.

Po samym sobie czułem, że dłuższe przebywanie w bliskości słońca, jeśliby nie zlało mnie z niem w nierozdzielną jedność, doprowadziłoby osobę moją do zupełnego spopielenia. A jednak, pomimo niebezpieczeństwa, które groziło mi przemienieniem się z człowieka i doktora medycyny w proch marny i nieużyteczny, nazajutrz szedłem znowu tam, kędy wabiły mnie dwa płatki czarnego puszystego aksamitu, pływające po ciemnoniebieskich, w migdał wykrojonych szkiełkach, i kędy rozlegał się czarujący śpiew panny Heleny.

Cóż miałem czynić?

Nie mogłem spać, gdyż, z powodu ciągłego pozostawania słońca na firmamencie mej wyobraźni, nocy dla mnie nie było; nie mogłem jeść, bo, zamiast potraw, widziałem na talerzu leżące oczy panny Heleny, a czasem i grecki jej nosek; nie mogłem pisać recept, gdyż obawiałem się zapisać któremukolwiek z moich chorych dwóch granów czarnych oczu, coby niezawodnie w wielki ambaras wprowadziło miejscowych aptekarzy, a zarazem wzbudziło w nich niepochlebne mniemanie o przytomności mego umysłu...

Szedłem więc tam, kędy miałem perspektywę albo zamienić się w popiół, albo zostać Jowiszem. Byłem podobny do mola, rzucającego się w płomień świecy. Wprawdzie pomiędzy molem a człowiekiem, zwłaszcza doktorem, powinna zachodzić znakomita różnica. Mól bowiem rządzi się tylko instynktem, człowiek zaś rozumem, a doktór jeszcze i pewnikami, a także regułami, do jakich przyzwyczaiła go nauka.

Wszakże, jak powiedziałem paniom wprzódy, rozum mój pozostawał w owej porze w pożałowania godnym stanie głuchoniemego, a medycyna spała w mej głowie, jak zaklęta królewna.

Pozostał mi więc tylko instynkt, i ten pchał mnie do panny Heleny, jak mola do świecy. Ach! co też czasem nie dzieje się z człowiekiem!

Tu doktór Władysław westchnął i, pochyliwszy głowę, milczał chwilę.

W swobodnym i żartobliwym tonie, jakim opowiadał historyę swojej trzeciej miłości, przebijało się pewne przykre wzruszenie, a jeżeli o Julci wspominał z lekkim smutkiem, o pani Eufrozynie ze szczerą wesołością, to myśl o pannie Helenie i znajomości z nią zdawała się budzić w nim pewien gniew nieokreślony, pewną, do siebie samego żywioną, urazę.

Być może, iż nie mógł on zapomnieć i darować sobie tego, że była chwila, w której z człowieka zamienił się w glob, bezwiednie wirujący wkoło słońca, albo w mola, instynktem pociąganego ku świecy, od której, gdyby miał rozum, trzymałby się w największej, jaka być może, odległości.

— Przewidujemy blizki koniec znajomości pańskiej z panną Heleną — ozwała się pani Ludwika — wszak powiedziałeś pan, że trwała ona tylko trzy dni.

— Tak, pani — ciągnął doktór — znajomość moja z panną Heleną trwała trzy dni.

Owóż dnia trzeciego tej znajomości naszej szedłem do domu panny Heleny w poobiedniej porze; mógłbym nawet powiedzieć, zamiast szedłem, leciałem, bo płatki czarnego aksamitu, haftowane złotem, unosiły się przede mną, a ja, ścigając je, bie-

głem tak prędko, jak nie biega nigdy żaden, w normalnym stanie umysłu będący, doktór medycyny.

Gdy wszedłem do salonów, jak zwykle, napełnionych gośćmi, czarne płatki aksamitu poruszyły się żywo na swych błękitnych szkiełkach, i osypały mnie całego deszczem iskier i błyskawic. Zrobiło mi się ciepło, jasno, wiosna nadziei zakwitła na gruncie reprezentowanego przeze mnie globu, poczułem się Jowiszem, patrzyłem w moje słońce oczyma, nużącemi się od olśnienia, a zarazem rozpływającemi się w zachwyceniu: — słowem, ach! wyglądać musiałem na arcy-głupca!

Wieczoru tego panna Helena ubrana była w błękitną suknię, w której pływała po salonach, jak bogini, owinięta falą obłoków.

Nad kruczymi włosami jej błyszczał srebrny dyadem, niby muzułmański półksiężyc, a przy drobniuchnych uszkach wisiały po dwie srebrne gwiazdy. Wyglądała tak promieniście, tak rozkosznie, jak cała Astronomia i Mitologia, razem wzięte.

Gdy śmiała się, śmiech jej chwytał moje serce, szarpał je i rozdzierał na drobiutkie kawałki. Własną rączką zdjęła z tacy filiżankę herbaty i podała mi ją; prawda, że czyniła to samo dla czterech czy pięciu innych gości, ale zaczęła ode mnie, alem ja był pierwszy!

Z wyższością i tryumfem spojrzałem na tych, których kolej przyszła po mojej. Słowem, przez cały wieczór ów czułem się najszczęśliwszym, najdumniejszym i najszaleniej rozkochanym z pomiędzy wszystkich, na kuli ziemskiej mieszkających, doktorów medycyny. Byłem też zapewne z pomiędzy nich najgłupszym, ale tego nie czułem wcale.

Tak trwało do godziny jedenastej.

O godzinie zaś jedenastej panna Helena stanęła przy fortepianie, przy którym siedział jakiś, mający jej akompaniować, łysy jegomość, i zaczęła śpiewać.

O! jakże śpiewała! O, jakże zazdrościłem łysemu jegomościowi, który umiał uderzać w klawisze tak, że tony, które z nich wydobywał, żeniły się z tonami jej głosu! Gdybym był mógł, oddałbym moją gęstą czuprynę wzamian za okrągłą i błyszczącą, jak szkło, łysinę owego jegomościa, aby tylko być na jego miejscu, aby tylko módz akompaniować jej śpiewowi.

Śpiewała, oczy w górę wzniosła, ramiona jej, widniejące z pod przezroczystej koronki, posiadały nieruchomość posągu, tworzącą tajemniczy kontrast z cudnem łonem, podnoszącem się i opadającem, jak fala wody, wzdymana i kołysana burzą!

Postać śpiewaczki odpowiadała śpiewowi, śpiew zgodny był z postacią, a wzrok i słuch otaczających fortepian śmiertelników nurzały się w tych pięknościach, jak w zawrotnym odmęcie.

Jam stał zrazu w oddalonym punkcie salonu, ale zaraz po pierwszych dźwiękach wielkiej aryi uczyniłem dwa kroki naprzód; im dłużej zaś panna Helena śpiewała, tem dalej ja na palcach, kołysząc się dla niestracenia równowagi i nieuczynienia najmniejszego szelestu, postępowałem, aż przy końcu aryi, sam nie wiedząc jakim sposobem, znalazłem się o parę zaledwie kroków od niej i ujrzałem, wyraźnie ujrzałem, jak oczy jej spuszczały się od sufitu i zwolna, zwolna spoczęły na mojej twarzy.

Byłem w tej chwili w stanie najkompletniejszego szaleństwa. Odrzuciłem w tył głowę, zawróciłem oczy tak, że aż dosięgłem niemi wierzchołka ściany, która znajdowała się za memi plecami, a ponieważ arya miała się ku końcowi i głos panny Heleny podnosił się stopniowo do najwyższego fortissimo, które stanowiło finał, ja także podnosiłem ręce moje, aż podniosłem je tak wysoko, że, lubo głos panny Heleny wzmagał się jeszcze, nie mogłem już wyżej ich podnieść, i tylko rzucałem je w różne kierunki, lub pływałem niemi w powietrzu, stosownie do mniej lub więcej energicznych modulacyi, w jakie łamała się przecudowna arya.

W tej samej chwili, nagle, niby świst wężowej paszczęki, niby syknięcie nikczemnego gadu, zabrzmiał w mem uchu szept stłumiony:

— »Pan B. zachorował na cholerę, od godziny szukają pana doktora po całem mieście!«

Wstrząsłem się, jak człowiek, na którego głowę spada raptem całe wiadro zimnej mody; ręce moje w dół opadły, oczy opuściły ścianę, wznoszącą się za memi plecami, i mętnem i zarazem gniewnem spojrzeniem przylgnęły do twarzy pochylonego nad mem uchem służącego.

— »Jaka cholera? skąd cholera?« — zapytałem, jak mogłem najciszej.

Ale w tej samej chwili arya skończyła się, panna Helena przestała śpiewać, a zamiast frenetycznych oklasków, jakieby niezawodnie w każdym innym razie nastąpiły, po całym salonie rozległ się ponury i trwogą przejęty okrzyk:

— »Cholera! cholera!«

Długo wsłuchiwałem się w ten powtarzany przez kilka-

dziesiąt ust okrzyk i w opowiadanie służącego, który go pierwszy wywołał, a w końcu pojąłem, zrozumiałem wszystko.

W mieście naszem ukazała się cholera, a pan B., zwyczajny mój pacyent, człowiek o łapczywem podniebieniu, a słabych organach trawienia, stał się jedną z najpierwszych ofiar tej plagi.

Załamałem ręce i przez kilka sekund zostawałem w stanie przygnębienia nadzwyczajnego. Uczciwość bowiem i poczucie obowiązku nie postradały we mnie mowy i słuchu tak, jak to od trzech dni stało się z moim rozumem, i teraz wyraźnie wskazywały mi drogę, którą postąpić miałem, a która wiodła mnie prosto i bezpośrednio za drzwi tych czarownych salonów, gdzie jaśniało me słońce, z półksiężycem na głowie i gwiazdami przy uszach.

Ha! nie mogłem uczynić inaczej!

Wziąłem kapelusz, skłoniłem się wszystkim obecnym, przycisnąłem do ust atłasową rączkę panny Heleny i, z ciężkiem westchnieniem w piersi, puściłem się ze schodów pierwszego piętra.

I tak skończyło się wszystko...

— I nie wróciłeś już pan więcej do panny Heleny? — spytała pani Zofia.

— O! pani — odpowiedział doktór — z cholerą żartów niema.

Przy łożu pana B. przepędziłem resztę całej owej, tak czarownie rozpoczętej, nocy, a o świcie zostałem wezwany przez medyczną zwierzchność, która, nic a nic nie troszcząc się ani o pannę Helenę, ani o moje ku niej afekty, poleciła mi zarząd nad dwoma szpitalami, które z przerażającą szybkością napełniały się chorymi i umierającymi.

Trzy tygodnie srożyła się w mieście naszem cholera, trzy tygodnie doglądałem szpitali.

Oprócz tego pędzono mnie do prywatnych domów, jak pocztowego konia, tak, że nie miałem czasu do pomyślenia nietylko o pannie Helenie, ale nawet o własnej mej osobie i najbliższych potrzebach.

Przytem zaklęta królewna, vulgo medycyna, ocknęła się ze swego snu zaczarowanego i poczęła maszerować po głowie mojej przyśpieszonem tempem, a razem i mnie do podobnegoż ruchu pobudzać.

Słowem, gdy, po trzech tygodniach, dzięki gorliwym i umiejętnym staraniom lekarzy, a także dobroczynnej zmianie

atmosfery, złowieszcza plaga opuściła nasze miasto, ja przyszedłem do mieszkania mego, trzęsący się od zimna, niewyspany, nawskroś przesiąknięty octem, którego używałem jako antydotum od zarazy, od wielu dni nieumyty i nieprzebrany, z włosami rozczochranymi; a po przełknięciu kilku szklanek gorącego napoju rzuciłem się na łóżko i przespałem całą dobę, bez najmniejszej przerwy.

Gdym obudził się i pomyślał, że nie potrzebuję już biedz do żadnego szpitala, byłem tak uradowany, jak człowiek, który, po długiej i ciężkiej chorobie, pierwszy raz oczy na świat otwiera. Panna Helena ani mi na myśl nie przyszła. Pomiędzy nią i mną stało straszne widmo cholery, a wspomnienie o świetnem słońcu, którego przez trzy dni wiernym byłem satelitą, pogrążyło się w tem olbrzymiem morzu nędz, nieszczęść i cierpień ludzkich, na jakie przez trzy tygodnie patrzyłem, i zupełnie w niem zatonęło.

Kiedym potem przypomniał sobie pannę Helenę i moje trzydniowe szaleństwo, zaśmiałem się na całe gardło i zawołałem:

— »O niewiasty, Ewy, zwodnice, kusicielki! Czyliż potęga wasza do tego dochodzi stopnia, że nawet doktorów medycyny umiecie przemieniać w martwe globy, instynktem rządzące się mole!«

I — dziwna rzecz! zamiast tęsknoty do panny Heleny, uczułem taką do niej urazę, jakbym się gniewał na nią, że potęgą wdzięków swych i talentów uczyniła ze mnie przez czas jakiś najformalniejszego głupca.

Kiedym wreszcie pierwszego spotkanego znajomego zapytał o nią, dowiedziałem się, że w czasie, gdym ja chodził około cholery i jej ofiar, ona wraz z rodzicami wyjechała do stolicy, aby tam zimę przepędzić, co do reszty utrwaliło mnie w przekonaniu, że ani się zanosiło nawet na to, abym w jej planetarnym systemacie mógł zostać Jowiszem, obdarowanym wiecznie kwitnącą wiosną nadziei i szczęścia. Nie martwiło to mnie jednak wcale i nie zmartwiła nawet wiadomość, którą w kilka miesięcy potem otrzymałem, że panna Helena bardzo świetnie wyszła za mąż, naturalnie, że nie za żadnego doktora, ani za nikogo z podobnego gatunku ludzi, ale za bogatego właściciela wiejskiego, posiadającego rozległe dobra, pałac, karetę, liberyę i paszport za granicę, wyrobiony dla siebie i żony.

Tak więc, gdy pierwszej miłości mojej stanęła na prze-

szkodzie akademia, druga padła ofiarą Fauny podzwrotnikowej, trzeciej kres położyła cholera.

Odtąd nie kochałem się już ani razu...

Doktór Władysław przestał mówić, a dwie kobiety patrzyły na niego i milczały parę minut.

— A ja powiem panu — ozwała się pierwsza pani Ludwika — że jeżeli wszystkie uczucia, jakich pan doznawałeś względem kobiet, ograniczają się do tych trzech, których historyę nam opowiedziałeś, toś pan wcale i ani razu nie kochał prawdziwie.

— A jednak — przerwał doktór — za każdym razem byłem najszczerzej przekonany, że tak było...

— A ja panu powiadam, że tak nie było — ciągnęła pani Ludwika — pierwszy przedmiot, tak zwanej przez pana, miłości pańskiej, śliczna i urocza Julcia, była aniołkiem, milutkiem dzieckiem; a ponieważ i pan byłeś jeszcze więcej dzieckiem, niż człowiekiem, uczucia wasze były nie miłością, ale marzeniem o miłości, wysnutem przy muzyce polki i walca.

O pani Eufrozynie niema co i wspominać! Był to dziwoląg, a pan czułeś dla niej uszanowanie takie, z jakiem pogląda antykwaryusz na zwój spleśniałego pergaminu, zapisanego drażniącymi uczoną jego ciekawość znakami.

Co do panny Heleny, no, to był już szał, żadnego wcale psychologicznego znaczenia nie posiadający. Amor zasłonił panu oczy, a po trzech dniach otworzyła je cholera. Słowem, z owych trzech quasi miłości, których historyę nam pan opowiedziałeś, żadna nie była prawdziwą miłością.

Tu pani Ludwika umilkła na chwilę i, popatrzywszy na doktora Władysława pół figlarnie, pół poważnie, dokończyła:

— Koniec końcem, powiadam panu, że teraz właśnie pan pierwszy raz w życiu i prawdziwie kochasz...

— I ja to samo utrzymuję — poparła słowa przyjaciółki pani Zofia.

Doktór milczał i patrzył na dywan, zaścielający posadzkę. Z twarzy jego zniknął całkiem wyraz żartobliwości, — spoważniał i zamyślił się.

Kobiety spoglądały na siebie i dawały sobie oczyma znaki porozumienia.

Ogólne milczenie przerwała pani Ludwika.

— Kochany panie Władysławie — rzekła — nie obrażaj się na mnie, jeśli ci powiem, że w tem żądaniu twojem posiadania żony, zachwycająco pięknej i talentami świetnymi błyszczącej, obok fałszywej teoryi, jaką wyrobiłeś sobie o kobietach i małżeństwie, niepoślednią także rolę gra miłość własna, a raczej po prostu próżność.

— Jak to pani rozumiesz? — spytał doktór.

— Myślisz pan sobie — ciągnęła Ludwika — że wielce szczęśliwym jest mąż, którego żona jaśnieje w świecie uderzającym urokiem wdzięków i talentów, że wielce pochlebnem jest dla mężczyzny, kiedy, wskazując na kobietę ogólnie adorowaną i powszechny wywołującą poklask, powiedzieć może: oto moja żona!

Doktór Władysław z lekkiem podziwieniem patrzył na tak mówiącą kobietę.

— W istocie — ozwał się po kilku sekundach milczenia — zmuszony jestem przyznać słuszność tym, którzy płci niewieściej przypisują dar nadzwyczajnej przenikliwości. Czuję się mocno upokorzonym, ale prawość moja nakazuje mi wyznać...

— Że nie omyliłam się w mych przypuszczeniach — dokończyła pani Ludwika.

— Tak, pani — z lekkiem wahaniem się przytwierdził doktór — my mężczyźni częstokroć podlegamy maluchnej tej próżnostce...

— Która sprowadza ogromne nieszczęścia — dokończyły razem dwie kobiety.

— Dlaczegoż koniecznie nieszczęścia? — zapytał doktór — czyliż kobiety, doskonale piękne i obdarzone świetnymi talentami, mają być pozbawione innych gruntownych zalet?

Na twarzach dwóch pań odmalował się taki wyraz, jakby wiele miały do odpowiedzenia na to pytanie doktora, ale w tej samej chwili otworzyły się na oścież drzwi do przyległego pokoju i ukazały okrągły stół, stojący pośrodku niewielkiej salki jadalnej, a na nim wesołą parą buchający samowar, jasną lampę i całą obfitą zastawę herbacianą.

— Otóż i herbata — wyrzekła gospodyni domu, powstając z kanapy i brzękając pękiem kluczyków, wydobytym z kieszonki ładnego fartuszka — odkładam tedy dalszy ciąg rozprawy naszej na później i proszę państwa za mną...

Kończąc te słowa, była już na progu jadalnej salki. Za nią udali się pani Zofia i doktór.

— Czyliż dzisiejszego wieczora nie zobaczymy już męża pani? — zwrócił się doktór do gospodyni domu wtedy, gdy ta,

pięknemi a zwinnemi rękoma, z wesołym uśmiechem na ustach, wlewała do filiżanek płyn woniejący.

— O, mój biedny Witold dziś jest bardzo zajęty — odrzekła pani Ludwika. — Od godziny piątej po południu zasiadł w swoim gabinecie nad ogromną pliką papierów i prosił, aby mu nikt w pracy nie przeszkadzał. To też ja uśpiłam moją małutką, starszemu dziecku poleciłam spokojnie bawić się przy piastunce, a że Zosia była już u mnie, zasiadłyśmy cichutko w bawialnym pokoju, aby najmniejszy szmer nie dochodził do mego zapracowanego męża. Z góry bowiem zapowiedział mi, że ważnych zajęć swych nie ukończy przed północą.

To mówiąc, pani Ludwika z nadzwyczajną starannością ustawiała herbatę i różne przysmaki na tacy, które służący miał zanieść do gabinetu swego pana.

— Staraj się tylko wejść, jak można, najciszej — troskliwie mu zalecała miła gosposia.

— Ach! — westchnął doktór — wielkiem to jest w istocie szczęściem dla pracującego człowieka, jeśli posiada żonę, która mu stworzy w domu tak pełne wdzięku i spokoju życie.

— Ale większe stokroć, jeśli mu zagra pięknie i zaśpiewa, albo dogodzi jego miłości własnej, wzbudzając dla siebie admiracyę licznych i świetnych towarzystw — złośliwie nieco uśmiechnęła się pani Zofia.

— Najszczęśliwiej zaś, jeśli w jednej osobie łączą się wszystkie te przymioty razem — odciął się doktór.

— Otóż to właśnie bieda, że najczęściej chodzą one osobno — zauważyła pani Ludwika — osoby bowiem, zdolne do stworzenia domowego spokoju, nie zawsze umieją świetnieć, świetne zaś nie znoszą spokoju.

Doktór nic nie odpowiedział na tę ostatnią uwagę i gawędka potoczyła się innym torem.

Przy drugiej jednak szklance herbaty doktór Władysław na chwilę przestał rozmawiać; oczy jego pobiegły w przestrzeń, jakby tam szukały niewidzialnego jakiegoś przedmiotu.

Potem spojrzał po kolei na obie panie, aż nakoniec, nie bez pewnego wahania, zapytał:

— Czy dawno widziałyście panie pannę Józefę?

Zalewie dostrzegalny uśmieszek przebiegł po różowych wargach dwóch kobiet.

— Widziałyśmy ją przed dwoma dniami. Była trochę zmartwioną, ponieważ utraciła dwie uczennice, które z rodzicami odjechały na wieś. A pan wiesz zapewne, jak w obecnej porze trudno o otrzymanie nowych lekcyi.

— Gdyby Józia była samą — podjęła pani Zofia — nicby jej nie obchodziło materyalne niepowodzenie: sądzę bowiem, że, przy odwadze i skromnych przyzwyczajeniach, mogłaby poprzestać na bardzo małem; ale ojciec jej, stary i chorowity, potrzebuje mnóstwo wygód, które podtrzymują jego egzystencyę.

Doktór Władysław nic nie rzekł na to, i znowu zaczęto rozmawiać o czem innem, ale przy trzeciej filiżance herbaty najniespodzianiej w świecie odezwał się:

— Należy przyznać, że, w obecnym ustroju społecznym, kobieta, a do tego panna, która sobie, a jeszcze i komuś innemu własną pracą byt wytwarza, posiadać musi niepospolitą dozę odwagi i wytrwałości.

— Nikt temu nie zaprzeczy, z pewnością — odpowiedziały dwie panie.

— To też prawdziwie podziwiam w tym względzie pannę Józefę — wymówił doktór Władysław.

— W tym tylko względzie? — zwolna zapytała pani Ludwika.

— Owszem, i w wielu innych jeszcze — odpowiedział doktór, nie podnosząc oczu od filiżanki.

— Żeby jeszcze grała i śpiewała, a była nie po prostu ładną, ale plastycznie, doskonale piękną, byłaby zupełnym, według pana, ideałem — wtrąciła pani Zofia.

— Żartujecie panie ze mnie — odparł doktór — a ja jednak nie przestaję utrzymywać, że artystyczne wykształcenie jest dla kobiety rzeczą niemal konieczną.

Obie panie nic na to nie odpowiedziały, i przez cały wieczór nie było już żadnej wzmianki, ani o pannie Józefie, ani o małżeństwie.

O godzinie dziesiątej doktór pożegnał się i odszedł.

* *
*

Pani Ludwika i pani Zofia, zostawszy same, stanęły naprzeciw siebie i długo, patrząc jedna na drugą, nic nie mówiły.

— Biedna Józia! — wyrzekła nakoniec pierwsza.

— Ona go kocha — ozwała się druga.

— Jestem tego pewną — wymówiły obie razem.

— Wprawdzie nic mi nigdy nie mówiła o tem — ciągnęła

pani Ludwika — ale czyniłam spostrzeżenia, i te z pewnością mnie nie omyliły.

— Nie trzeba zresztą wielkiej przenikliwości, aby to odgadnąć.

— Józia jest tak prostą i prawą, że wzruszenia jej i uczucia przeświecają się, jak tęczowe kolory przez szybę kryształu.

— Byłam pewną, że on się z nią ożeni...

— I ja także; myślałam tylko, że nie śmie pierwszego słowa wymówić i że go ośmielimy, zachęcimy.

— Otóż-to! zamiast tego dowiedziałyśmy się pięknych rzeczy.

Pospuszczały głowy i milczały znowu chwil kilka.

Po łagodnych, myślących ich twarzach mknęły uczucia żalu, gniewu i lekkiej ironii.

— Otóż to nieszczęście! — wyrzekła pani Ludwika — czego im trzeba? Lalek, cacek, świecidełek. I jeszcze tacy mężczyźni, jak pan Władysław! czego można spodziewać się od innych?

— Ja przecie utrzymywać nie przestaję, że i on także ją kocha.

Pani Ludwika z powątpiewaniem wstrząsnęła głową.

— Kochać nie kocha — odparła — bo gdyby kochał, toby go takie drobnostki i wywarzone teorye nie wstrzymywały od ożenienia się z nią. Ale, że ma w niej upodobanie, że podoba mu się ona bardzo, w tem żadnej wątpliwości niema. Cała rzecz w tem, że panuje nad swem własnem uczuciem, wyobraziwszy sobie, iż Józia niestosowną dla niego byłaby żoną.

— Dlatego, że nie umie grać i śpiewać — ironicznie wyrzekła pani Zofia.

— I że nie potrafi błyszczeć w salonach i ciągnąć za sobą roju adoratorów — dokończyła Ludwika.

Obie kobiety uśmiechnęły się, ale smutnie, i długo potem milczały.

Po głowach ich szczególne jakieś krążyć musiały myśli, bo białe czoła sfałdowały się nieco, a po ustach, łagodnych zwykle, przebiegały ironiczne uśmieszki.

II.

Salonik pani Ludwiki miał to do siebie, że, czy słońce świeciło, czy deszcz padał, czy nad murami miasta rozpościerał się namiot z najczystszego błękitu, czy wisiały grube chmury jesienne, on zawsze był widny, jasny i wesoły.

Właściwość ta pochodziła może od nieposzlakowanej czystości, jaką przyobleczone były ściany, sprzęty i posadzka, albo od śnieżnego muślinu, gustownie ułożoną draperyą zwieszającego się nad oknami, albo od świeżej zawsze zieleni ozdabiających pokój kilkunastu wazonowych roślin, albo jeszcze od pogodnego lica gospodyni domu, białego, spokojnego jej czoła i wielkich, błękitnych oczu, które, kędy się tylko ukazały, świeciły wszędzie, jak gwiazdy dobrej nadziei.

W tworzeniu tej spokojnej pogody i światłości, jakie panowały nietylko w saloniku, ale we wszystkich innych pokojach, składających mieszkanie, i we wszystkich kącikach wszystkich pokojów, niemały też brał udział gospodarz domu, adwokat Witold R.

Był to człowiek, mający lat czterdzieści z górą. Góra ta wprawdzie była niewielka, niemniej jednak mieścił się już na niej kawałek piątego krzyżyka, a pan Witold nietylko, że nie starał się ukrywać góry i krzyżyka, ale przeciwnie, często i z rodzajem zadowolenia wymawiał:

— Człowiek, któremu, jak mnie, minęła czterdziestka...

Na to słowo, pani Ludwika robiła zwykle żartobliwie gniewną minkę i mówiła:

— No, cicho już bądź, Witoldzie! po co to wyjeżdżanie ze swemi latami.

A on jej na to odpowiadał:

— Moja Ludwiniu! spostrzegałem zawsze, że tacy tylko ludzie ukrywają się ze swemi latami i pragną liczbę ich zmniejszyć w oczach innych ludzi, którzy nie radzi są ze swego życia, czują, że ono inne powinno było być, niż było, i pragnęliby zawrócić powóz tam, skąd on wyjechał, aby go lepszą poprowadzić drogą. Mój powóz jechał sobie zawsze Bożą drogą, nie bez tego naturalnie, aby od kiedy niekiedy nie potknął się o jaki kamień, albo nie toczył się jaką chwilę zbyt prędko, czy zbyt powoli; toć jednak ani razu nie wywrócił się do rowu, a wszystkie jego koła i resory są dotąd w najzupełniejszem zdrowiu

i całości. A gdy jeszcze do tego powozu zabrałem ciebie i dwoje naszych dzieciaków, to już i spokojnie wjeżdżam sobie na górę, na której wznosi się piąty krzyżyk mego życia, i wcale a wcale się tem nie martwię, że cztery już inne pozostawiłem za sobą. A mam nadzieję także, że to nie ostatnia góra i nie ostatni mój krzyżyk, ale nastąpi po nim jeszcze szósty i siódmy.

— I ósmy, i dziewiąty, i dziesiąty — śmiejąc się i całując męża w czoło, przerywała pani Ludwika.

— O, moja Ludwiniu! z tobą możnaby Matuzalowe lata przeżyć i sądzić, że to była jedna chwila — odpowiedział mąż.

Pani Ludwika zaś po krótkim namyśle mówiła:

— Ależ znowu z drugiej strony, zdaje mi się, że jedna chwila wspólnego naszego życia więcej zawiera w sobie, niż Matuzalowe lata innych ludzi.

Komuś, ktoby słuchał tej rozmowy małżonków, mogłoby się wydawać, że wypowiedziane przez nich ostatnie dwa zdania są najzupełniej sprzeczne z sobą. A jednak tak nie było, bo i pan Witold miał słuszność, gdy twierdził, że Matuzalowe lata przeżyte z panią Ludwiką mogłyby się wydać jedną krótką chwilą, i pani Ludwika nie myliła się, mniemając, że jedna chwila wspólnego ich życia więcej zawierała w sobie, niż Matuzalowe lata innych ludzi.

Zagadkę tę niech odgadnie, kto może i umie, aby zaś ułatwić zadanie, to tylko nadmienimy, że pan Witold i pani Ludwika posiadali każdemu z nich właściwy zakres czynności, że kochali serdecznie mnóstwo pięknych i wielkich rzeczy, i że pobrali się z prawdziwej miłości.

Jakimi były atrybuty miłości tej, co ją udostojniły nazwą: »prawdziwej« (która to nazwa, mówiąc nawiasem, wielkim jest, a nie każdemu uczuciu właściwym honorem), to znowu zagadka, którą niech zgadnie, kto potrafi.

Naszem zaś zdaniem, rozwiązanie jej znajdzie ten tylko, kto je we własnem nosi sercu, a kto wie? może nietylko w sercu, ale i w głowie.

A! być może, że jesteśmy w błędzie, mniemając, że każdy korpus, pozbawiony głowy, jest sobie mniej więcej trupem, który rusza się przy sztucznem chyba nagalwanizowaniu, z wyjątkiem zapewne żab, które po dekapitacyi skaczą jeszcze niekiedy, i niektórych gatunków gadzin, które, pozbawione głowy, spacerują sobie po stole anatoma, jakby były oddzielnemi i całemi w sobie istotami.

Co do nas, wyznajemy otwarcie, iż mamy wstręt nieprzezwyciężony do ciał bezgłowych, i z tej-to może przyczyny wszelkie nawet abstrakcyjne postacie, utworzone z pojęć o cnocie, naprzykład miłości, poświęcenia i t. d., ukazują się wyobraźni naszej, jako nietylko obdarzone sercem, ale także najregularniej zaopatrzone w głowę.

To wyraziwszy, wracamy do pana Witolda.

Owóż pan Witold, jak nie był bardzo młodym, tak też i nie mógł wcale nazywać się pięknym. Miał wszakże wielce przyjemną powierzchowność, której główną, rzec-by można, jedyną ozdobą, był wyraz fizyognomii i niewymuszona łatwość układu.

Średniego wzrostu i średniej tuszy, rysy twarzy miał wielkie i wyraziste, oczy wypukłe, ściągłe, ciemno-szare i ocienione szerokiemi, gęstemi brwiami, czoło otwarte, lekko sfałdowane i wysokie, tem wyższe, iż nad niem... wznosiła się... ach!...

O, młode, miłe czytelniczki! wy, w których wyobraźni mężczyzna, godny szacunku i sympatyi, przedstawia się nieodmiennie z głową, osypaną gęstymi kędziorami kruczych lub złocistych włosów, wy, istoty doskonale estetyczne i nawskroś przejęte pojęciami o doskonałej piękności, jaka zdobić powinna każdego porządnego bohatera każdej porządnej powieści, wy pojmiecie i przebaczycie chwilę wahania, jakiej doświadczamy przed nazwaniem po imieniu tej składowej części osoby pana Witolda, która wznosiła się powyżej jego czoła...

Powyżej czoła pana Witolda wznosiła się — spora łysina.

Stało się! słowo wyrzeczone i cofniętem być nie może.

Pan Witold posiadał na głowie swej sporą łysinę, co jednak, jak ośmielamy się piastować nadzieję, wybaczonem mu będzie przez młode i miłe czytelniczki, gdy raz jeszcze je upewnimy, iż brak włosów na głowie nie pociągał wcale u niego braku rozumu w głowie, ani szlachetnych uczuć w piersi. Aby zaś zupełną już dla poczciwego męża pani Ludwiki otrzymać absolucyę, dodajemy jeszcze i to, że pan Witold nie zajmuje w niniejszej opowieści miejsca głównego bohatera, bo to miejsce z góry już w myśli naszej przeznaczone zostało dla doktora Władysława, którego przecie nie uczyniliśmy wcale łysym, aleśmy przeciwnie dali mu bardzo piękną, gęstą czuprynę. Nie jesteśmy bowiem do tyla pozbawieni artystycznego smaku i znajomości stosunków światowych, abyśmy mogli sympatyi i współczuciu miłych młodych pań przedstawiać mężczyznę z głową, w czwartej części ogołoconą z włosów.

Nie, wiemy dobrze, co się komu należy, a pragnąc, aby

cała suma sympatyi i współczucia czytelniczek przelała się na doktora Władysława, gęstą opatrzonego czupryną, dla łysego pana Witolda prosimy tylko o szacunek i życzliwość, na które to uczucia, jak upewniamy najsolenniej, w zupełności on zasługuje.

Przez miłość jednak sprawiedliwości, dodać tu powinniśmy, że panu Witoldowi z łysiną było bardzo do twarzy, podnosiła ona bowiem szlachetny, myślący i otwarty charakter jego czoła, a przytem dobrze zgadzała się z nieco surowym wyrazem ciemno-szarych oczu.

Oczy pana Witolda były w istocie nieco surowe; odbijało się w nich życie nie na żart spędzone, niejedna troska przebyta i ciężka przeciwność pokonana; że jednak te troski i przeciwności, jakie niezbędnie towarzyszyć musiały życiu człowieka pracującego i trudem własnym drogę sobie wśród świata torującego, nie uczyniły pana Witolda jednym z tych ludzi, których dla pedanteryi, srogości, oschłości i zarozumiałości możnaby nazwać ciężkim do podźwignięcia fantem i twardym do zgryzienia orzechem, świadczył o tem znowu wyraz ust jego, na których mieszkał często uśmiech żartobliwy, swobodny, niekiedy nawet serdecznie wesoły i jowialnie dowcipny.

W tej swobodzie i wesołości, z jaką pan Witold uśmiechał się i mówił, znać było spokój wewnętrzny człowieka, zadowolonego ze sposobu, w jaki upływały dni jego, i zgodę, w jakiej zostawał z samym sobą i tem, co go najbliżej otaczało.

Takim był pan Witold; jaką zaś była pani Ludwika, wiemy o tem, a przynajmniej dorozumiewać się możemy od samego już początku opowieści niniejszej.

Gdy więc jeszcze zwrócimy uwagę na to, że obok tej pary poczciwych, myślących, pracujących i kochających się ludzi mieszkała para drobniutkich istotek, zdrowych, rumianych, złotowłosych, wesołych, a od rana do wieczora świergocących owym porannym językiem, którego znaczenie rozumie jedno tylko ucho matczyne, jak poranny świergot ptasząt zrozumiałym bywa jednej tylko matce-naturze; to nikogo z nas dziwić nie będzie, że, czy na świecie były chmury, czy słońce świeciło, w niewielkim, ładnym saloniku pani Ludwiki i we wszystkich innych pokojach, mieszkanie składających, i we wszystkich zakątkach tych pokojów, widno było, jasno i pogodnie.

* * *

W tym tedy saloniku widnym, jasnym i pogodnym, siedziała około południa pani Ludwika, a lubo godzina dość wczesną jeszcze była, salonik i jego pani wyglądały tak świeżo i porządnie, jak gdyby oddawna ukończyły już były swoją tualetę. Przed miłą gosposią stał koszyczek z robotą, a z pod kraciastej pelerynki ładnego jej szlafroczka wyglądała książka, na której kartach spoczywały jej oczy.

Nieco dalej, na zaścielającym posadzkę dywanie, piłką i drewnianym konikiem bawił się trzyletni chłopczyk, istny Rubensowski aniołek, biały, rumiany, pyzaty, z szeroko otwartemi szafirowemi oczyma i ruchliwą główką, zarzuconą lasem złotych kędziorków.

Pani Ludwika to czytała, to przemawiała do bawiącego się u jej stóp chłopczyka, który znowu ze swej strony wielce ożywioną a nieustającą prowadził rozmowę ze swym konikiem i ze swą elastyczną piłką.

Za ścianą saloniku z wielkiem ożywieniem i wesołością rozmawiały dwa męskie głosy.

U drzwi wchodowych ozwał się dzwonek, a po kilku minutach dał się słyszeć w przedpokoju szelest sukien jedwabnych.

Do saloniku wszedł służący i oznajmił wizytę pani prezesowej D. z córką.

— Pani D.? — ze zdziwieniem zawołała pani Ludwika, a zarazem chmurka lekkiego niezadowolenia przemknęła po jej czole.

Odłożyła jednak książkę na stronę i wyrzekła:

— Proś!

W tejże samej chwili do saloniku wchodzili dwaj mężczyźni.

— Pani D.? — wymówił pan Witold, z takiemże samem zdziwieniem, jak jego żona.

A tylko zniżonym głosem dodał:

— Skądże znowu wzięła się tu ta baba?

— Któż to taki? — również cicho zapytał doktór Władysław.

Pan Witold pochylił się do jego ucha i szepnął:

— Jest to najwytrwalszy myśliwy z całego świata chrześcijańskiego. Wiecznie bowiem poluje, pudłuje i znowu poluje.

— Nie rozumiem — odparł doktór Władysław.

Po żartobliwym uśmiechu, z jakim zwrócił się ku niemu pan Witold, poznać można było, że zabierał się do wyjaśnienia

mu słów swoich, ale nagłe a szerokie otworzenie się drzwi nie pozwoliło mu spełnić zamiaru.

Drzwi otworzyły się szeroko, bardzo szeroko, a przez nie weszły dwie panie, ubrane bogato, bardzo bogato. Miały na sobie suknie, których długość czyniła je podobnemi do komet, wróżących wojny, zarazy i nieurodzaje.

— O, jakże dawno nie widziałam lubych, kochanych państwa! — mówiła starsza z dwóch pań, ściskając naprzemian ręce pani Ludwiki i pana Witolda w dłoniach, okrytych żółtemi rękawiczkami.

— A ta luba, kochana Ludwinia, jakże wypiękniała, jak mi cudownie, zachwycająco wygląda! Słyszałam, że macie dwoje dziatek? o, jakżebym chciała widzieć te lube kochanki! Nie posiadam się z radości, że przybyłam do waszego lubego, kochanego miasteczka. Małe to wprawdzie, ale takie lube, kochane! Wprawdzie rozstałam się z moją lubą, kochaną wioseczką, ale, mój Boże, dla osób, które, jak my, żyć mogą tylko w kółku miłych, lubych towarzystw, wieś jest prawdziwem pustkowiem, szczególniej też po śmierci mego nieboszczyka męża, pana prezesa D., tego lubego człowieka.

Niewiadomo, coby dalej powiedziała pani prezesowa o swoim nieboszczyku mężu, panu prezesie D., lecz gospodyni domu przerwała jej mowę zaproszeniem, aby usiadła na kanapie.

Nie zaraz jednak zaproszenie to przyjęte zostało, bo pani prezesowa wprzódy jeszcze wykonała kilka szybko po sobie następujących dygów, którym towarzyszyły nadzwyczajnie miłe uśmiechy.

Ostatni dyg i ostatni uśmiech stosowały się wyraźnie do doktora Władysława, co widząc, gospodarz domu wygłosił z wielką powagą następującą rekomendacyę:

— Przedstawiam lubej, kochanej pani mego kochanego, lubego przyjaciela, doktora Władysława X.

Pani prezesowa uczyniła kilka nowych wydań dygów i uśmiechów, a zarazem oświadczyła, że nieskończenie miło jej jest i lubo...

Przerwała jej wszakże pani Ludwika trzeci czy czwarty raz wygłaszanym wnioskiem umieszczenia całego towarzystwa na kanapie i fotelach.

Wniosek ten, nadzwyczajnie stanowczym tonem wygłoszony przez gospodynię domu, z której czoła nie schodziła lekka chmurka niezadowolenia, przyjęty na końcu został, i towarzystwo, z pięciu osób złożone, obsiadło okrągły stolik, przyozdobiony lampą i zarzucony dziennikami.

Nie należy mniemać, aby pani prezesowa, zasiadłszy na kanapie, przestała dygać, siedząca bowiem postawa, nietylko nie zdawała się kłaść tamy tym niezmiernie uprzejmym i szybko po sobie następującym poruszeniom, ale owszem, skupiając te poruszenia w ciaśniejszy punkt dośrodkowy, jakim była górna połowa jej ciała, czyniła je bardziej jeszcze wydatnemi i wpadającemi w oko.

Te ciągłe dygi, jako też nadzwyczajna ruchliwość szanownej tej damy, a bardziej jeszcze szczupłość, drobne rozmiary kibici i ożywione giesty, jakimi poruszały się żółto odziane ręce, nadawały jej szczególniejsze podobieństwo do pewnego milutkiego, zgrabniuchnego i ruchliwego stworzenia, zwanego wiewiórką.

Podobieństwo to znacznie powiększało się tem, że suknia pani prezesowej była orzechowego koloru, a wielkie strusie pióro takiejże barwy, strojące jej kapelusz, puszystością swą i sposobem, w jaki było umieszczone na głowie, przypominało bardzo ogon wyżej wymienionego stworzonka wtedy, gdy ono, przestraszone lub zadumane, przykrywa nim górną część pyszczka.

Oprócz tego, można było jeszcze porównać panią prezesową do karmelka i do zmarzniętej pomarańczy.

Pierwsze podobieństwo pochodziło od niezrównanej słodyczy, jaką tchnęło każde jej słowo, drugie — od koloru jej twarzy, która była niepomiernie żółta, a tu i owdzie zmarszczkami pokreślona.

Włosy pani prezesowa miała orzechowego koloru, w bardzo symetrycznych lokach obiegające czoło dookoła, ale oczy były piwne, i lubo wcale nie odznaczały się zbytnią wielkością, zwracały jednak na siebie uwagę niezmierną swą żywością i ruchliwością.

Nie brakło im także i bystrości, a także pewnych ostrych połysków, sprzeczających się ze słodyczą nieustannych uśmiechów.

Wogóle, nie można powiedzieć, aby osoba pani prezesowej przedstawiała całość uroczą i pociągającą.

Ale o jakże inaczej było z młodszą damą, która zajęła miejsce na fotelu i, w postawie pełnej najponętniejszego wdzięku, siedziała teraz obok gospodyni domu, przemawiając do niej dźwięcznym, srebrzystym głosem, w którym z góry już sły-

szałeś najpiękniejszą, naturalną zdolność do śpiewania kontr-altem!

Jeżeli matka młodej damy przypominała wiewiórkę, karmelek i zmarzniętą pomarańczę, ona przywodziła przed wyobraźnię patrzącego na nią śmiertelnika wszystkie nieśmiertelnej piękności Nimfy, Dryady, Rusałki i tym podobne legendowe lub mitologiczne istoty.

Patrząc na nią, możnaby sądzić, że niebo Mahometa zstąpiło na ziemię, albo, że ona była jedną z Hurysek tego nieba, którą, zazdrosne o wyższość jej piękności, współ-niebianki wygnały na padół płaczu.

Zwoje i fałdy jedwabnej tkaniny wspaniale opływały kibić jej, pełną doskonałych uroków, a drobny płatek aksamitu, mający pretensyę przedstawiać kapelusz, nie ukrywał wcale czarnych, jak krucze pióra, włosów, które, pozwijane, posplatane i postrzępione, wznosiły się nad czołem i migotliwe cienie rzucały na śnieżną, gibką szyję.

Profil miała grecki, co znaczy, że grzbiet jej nosa tworzył bezpośrednie przedłużenie czoła, a pod brwiami, zagiętemi w tryumfalne łuki, mieszkały dwie czarne, aksamitne źrenice, z których każda pływała po tle ciemno-niebieskiem i błyszczała słabą gwiazdą.

Usta, ząbki, rączki, płeć i wszystkie inne drobiazgi, należące do twarzy i postaci młodej panny, doskonale odpowiadały wyżej wymienionym pięknościom i przykładały się znacznie do utworzenia jednego z najmilszych widoków, jakie oglądać mogą oczy mieszkańców naszej planety.

— Jest to najpiękniejsza panna w całem chrześcijaństwie— szepnął na ucho doktora Władysława pan Witold, w chwili, gdy panie, zajęte rozmową, usłyszeć go nie mogły.

Ale doktór Władysław nie zdawał się zrazu olśnionym, ni podbitym tylu wdziękami, które tak nagle zajaśniały przed jego wzrokiem.

Usiadł nieco na uboczu i najobojętniej w świecie bawił się przeglądaniem albumu, żadnego w rozmowie nie biorąc udziału.

— Tak tedy, luba kochaneczko — mówiła pani prezesowa, usiłując utrzymać w swych dłoniach rękę pani Ludwiki — tak tedy jesteśmy znowu sąsiadkami; gdyż, jak mówiłam ci, mieszkanie nasze znajduje się na tej samej ulicy, co i wasze, lubi, kochani państwo! Przyznam ci się otwarcie, że miałam do wyboru wiele lokalów, pomiędzy którymi były daleko piękniejsze

i obszerniejsze, ale, dowiedziawszy się, gdzie mieszkasz, powiedziałam sobie, że lepiej nam będzie znieść trochę niewygody, byleby zamieszkać bliżej naszej kochaneczki Ludwisi.

— Bardzo wdzięczna jestem pani prezesowej za jej względy, na które, nie wiem, czy zasłużyłam — wtrąciła pani Ludwika.

— I Kornelka powiedziała to samo — ciągnęła pani prezesowa, nie zważając na przerwę. — Nieprawdaż, Kornelko, że powiedziałaś: »wolę ciaśniejszy i mniej piękny lokal, byleby znajdować się w blizkości naszej lubej kochaneczki Ludwisi«?

Panna Kornelia podniosła na matkę swoje wielkie, aksamitne oczy, uśmiechnęła się prześlicznie i odpowiedziała:

— Tak, mamo.

— A widzisz, a widzisz, że tak powiedziała — wołała pani prezesowa, wstrząsając rękę gospodyni domu, której ani na chwilę nie wypuszczała ze swych dłoni. — Wszak kiedyś kochałyście się z sobą, lube kochaneczki, jak dwa aniołki, wtedy, gdy ty, luba kochaneczko Ludwisiu, mieszkałaś jeszcze przy swych lubych, najdroższych rodzicach! Wprawdzie Kornelka była jeszcze dzieckiem, ale ona taka czuła, kochająca, i jeśli kogo pokocha, to już nigdy nie zapomina; upewniam lubych, kochanych państwa, że nigdy nie zapomina.

Przy ostatnich słowach pani prezesowa powiodła po otaczających twarzach niemal uroczystym wzrokiem, jakby przez to wyrazić chciała, że najlżejsza wątpliwość co do prawdziwości tych słów byłaby uważana przez nią za urazę i najobrzydliwszą nieprzyzwoitość.

Nikt też z towarzystwa nie ośmielił się objawić najlżejszego powątpiewania, a wszyscy owszem wydawali się mocno zbudowanymi tą dobrą pamięcią, jaką, według słów matki, obdarzone było serce panny Kornelii.

Pan Witold nawet odezwał się z westchnieniem, świadczącem, jak mocno był zbudowanym:

— Jakże to piękny przymiot i rzadki w teraźniejszym świecie!

— O, rzadki! bardzo rzadki! mój luby, kochany panie! — ciągnęła pani prezesowa — ale Kornelka odziedziczyła go po rodzicach. Ja przez całe moje życie byłam taka, i mój nieboszczyk mąż, pan prezes D., był taki. Pewną jestem, że i Kornelka będzie taka.

Teraz panna Kornelia, jakby nagle sobie o czemś przypomniała, żywo zwróciła się do pani Ludwiki:

— Czy pamiętasz, Ludwisiu — rzekła — moją małą Zorynkę, pudliczkę białą, z którą nieraz bawiłyśmy się, gdyś bywała u nas ze swemi rodzicami?

— W istocie, nie przypominam sobie dobrze Zorynki — odrzekła pani Ludwika.

— O, mój Boże! ja o niej nigdy, nigdy nie zapomnę! — zawołała panna Kornelia — zmarła mi przed rokiem, pochowałam ją w ogrodzie pod krzakiem różanym, i to mnie tylko pociesza, że o każdej wiośnie najpiękniejsze centyfolie kwitnąć będą na jej grobie.

O, jakiż cudowny kontralt dźwięczał w głosie panny Kornelii, gdy to mówiła!

Mowa jej wydawała się najrzewniejszym, najmuzykalniejszym trenem, jaki kiedykolwiek wygłoszony został nad zgonem jakiejkolwiek Zorynki.

Panna Kornelia nie ograniczyła się zresztą na tem krótkiem wspomnieniu pośmiertnem, ale z wielkiem ożywieniem i zawsze tym samym głosem, z którego wydobywały się najcudowniejsze tony kontraltu, poczęła opowiadać pani Ludwice o wszystkich rzadkich przymiotach i nadzwyczajnych wdziękach przedwcześnie zgasłego w rodzie psim fenomenu.

— O, ja jej nigdy nie zapomnę! — powtórzyła parę razy, a za każdym razem, giestem pełnym rzewności, składała drobne rączki, a dwiema złotemi gwiazdami patrzyła w sufit.

Pani Ludwika słuchała mowy swej dawnej znajomej z uśmiechem i lekkiem roztargnieniem, źle świadczącem o zamiłowaniu jej w Zorynkach i tym podobnych uroczych stworzonkach, pani prezesowa zwróciła swą mowę do pana Witolda, który zdawał się jej słuchać w wielkiem skupieniu ducha, a doktór Władysław przeglądał ciągle album i kilka razy, w czasie, gdy panna Kornelia rozpowiadała o śmierci Zorynki i pełnym chwały jej żywocie, podniósł głowę i przelotne spojrzenie rzucił na rozmawiającą piękność.

Nie zdawało się wszakże, aby zwracał uwagę na słowa rozmowy, gdyż wyraz jego fizyognomii, obojętny i zamyślony, nie zmienił się ani na chwilę i nie ożywił rozczuleniem, ani wesołością, z których-to uczuć jedno musiałoby koniecznie w przeciwnym razie wstrząsnąć jego sercem lub umysłem.

A wszakże pewnem było, że kilka razy podnosił głowę i przelotne spojrzenie rzucił na pannę Kornelię.

Być może, że zdarzyło się to właśnie wtedy, gdy głos jej podniósł się o jedną skalę wyżej i zabrzmiał najpiękniejszym

kontraltem, a zwoje i fałdy jedwabnej tkaniny poruszyły się wśród zapału, z jakim mówiła, i wydały szelest, podobny do tego, jaki sprawują skrzydła gołębicy, unoszącej się w obłoki.

— Więc luba, kochana pani zupełnie już rozstała się ze wsią? — pytał pan Witold pani prezesowej.

— O, tak, luby, kochany panie — była odpowiedź — ja i Kornelia zgodziłyśmy się jednogłośnie na zupełną wyprzedaż dóbr naszych, ponieważ, po śmierci mego nieboszczyka męża, pana prezesa D., nie mogłyśmy słabemi naszemi siłami podźwignąć całego gospodarstwa. Przytem chciałam, aby Kornelia poznała trochę świata; to lube, kochane dziecię nie zaznało jeszcze przyjemności, właściwych swemu wiekowi.

Przy ostatnich wyrazach pani prezesowej szybko powstrzymane uśmiechy przemknęły po ustach gospodarza i gospodyni domu, ale mówiąca nie dostrzegła tego bynajmniej i, dygając, uśmiechając się, rzucając oczyma w różne strony pokoju i powiewając w powietrzu żółto odzianemi rękoma, rozpoczęła długie jakieś opowiadanie, zwracając się przeważnie do pana Witolda.

Doktór Władysław zaś po raz pierwszy przemówił:

— Nie pojmuję, jak można nie lubić wsi...

Mówiąc to, patrzył na gospodynię domu, ale panna Kornelia, która od kilku chwil, milcząc, patrzyła na rozrzucone po stole dzienniki, podniosła oczy i zwolna wymówiła:

— Nie pojmuję.

I nic więcej nie powiedziała; wszakże jedyny wyraz, jaki rzekła, zabrzmieć musiał w uchu pana Władysława jak najmelodyjniejsze echo, własny jego głos powtarzające, gdyż poruszył się na swem krześle i spojrzał na pannę Kornelię.

Spojrzał i zobaczył — cóż? oto dwie złote gwiazdy, błyszczące pośrodku puszystych czarnych źrenic i blask swój prosto, prosto na jego twarz rzucające.

Posunął się nieco z krzesłem w kierunku gwiazd i, nie spuszczając wcale wzroku na album, zapytał:

— Więc pani lubi wieś?

Panna Kornelia złożyła drobne rączki z rzewnym nader giestem, podniosła oczy aż do połowy przeciwległej ściany i wymówiła:

— Kocham ją nad życie!

— A jednak opuściłaś ją pani dla zamieszkania w mieście — ciągnął doktór Władysław.

— Zastosowałam się w tem do woli mamy — odrzekła piękność.

A zarazem spuściła powieki tak, że z przed oczu doktora Władysława zniknęły całkiem dwie gwiazdy.

W głosie zaś jej, gdy wymawiała ostatnie owe wyrazy, zadźwięczała uległość dziecka i słodycz gołębicy.

Może doktór Władysław zapragnął ponownego ujrzenia tych gwiazd, które mu tak raptem znikły, bo wnet nowe zadał pytanie:

— Jakże pani na wsi czas przepędzała?

— Połowę dni spędzałam przy fortepianie — odrzekła panna Kornelia.

Doktór Władysław zamknął album, które, rozwarte dotąd, leżało na jego kolanach.

— Więc pani lubisz muzykę? — zapytał jeszcze.

Powieki podniosły się, złote gwiazdy błysnęły znowu, a koralowe usta wymówiły:

— Kocham ją nad życie!

Doktór Władysław położył album na stole i bliżej jeszcze przysunął się z krzesłem do gwiazd i ich właścicielki.

Być może, iż szelest posuwającego się po dywanie krzesła doktora zwrócił uwagę pani prezesowej, bo latające jej oczy dłuższą nieco chwilę zatrzymały się na jego twarzy.

— Jakiż rodzaj muzyki przekładasz pani nad inne? — pytał doktór Władysław, patrząc na gwiazdy panny Kornelii.

— Czy przyjaciel lubego, kochanego pana obszerną ma praktykę? — pytała zniżonym głosem pani prezesowa, przechylając się bardzo blizko ku panu Witoldowi.

— Przedewszystkiem podoba mi się muzyka przyszłości — odpowiedziała piękność.

— Mój przyjaciel posiada tylu pacyentów, ile gwiazd jest na niebie, luba, kochana pani — brzmiała w innej stronie odpowiedź.

— Muzyka Wagnera wydaje mi się zbyt głośną i huczną— mówił doktór.

— Przyjaciel lubego, kochanego pana wydaje mi się człowiekiem bardzo zajmującym — ciągnęła pani prezesowa.

— To prawda! muzyka Wagnera jest zbyt huczną, ale ile w niej czucia! — brzmiał kontraltowy głos młodej piękności.

— To najbardziej zajmujący człowiek z całego chrześcijaństwa — szepnął pan Witold.

— Najulubieńszą moją operą był zawsze »Prorok« — przemawiał doktór.

— Najżywszą zawsze sympatyę miewałam dla doktorów i tym podobnych ludzi — mówiła matka panny Kornelii.

— A jakież jest zdanie pana o »Cyruliku Sewilskim«? — pytała panna Kornelia.

— A ile mniej więcej rocznego dochodu mieć może przyjaciel lubego, kochanego pana? — brzmiało w innej stronie cichutkie pytanie.

— »Cyrulik Sewilski« ma mnóstwo miejsc prześlicznych — odpowiedział doktór.

— Przyjaciel mój fenomenalne miewa dochody — odszepnął pan Witold.

— Pomimo wielkich piękności, jakie przyznać należy innym rodzajom muzyki, najwięcej jednak mam zamiłowania w muzyce przyszłości — mówiła panna Kornelia.

— Pomimo wielkiej wagi, jaką przywiązywać należy do innych warunków naszego biednego życia, znaczne dochody stanowią niemałą rękojmię szczęśliwej przyszłości — czyniła uwagę pani prezesowa.

— Witam państwa! — ozwał się przy drzwiach świeży i mile wpadający w ucho głos kobiecy i przerwał nagle kwartet rozmawiających wkoło stołu osób.

Pani Ludwika, która od kilku chwil bardzo była zajęta swoim malcem i nie słyszała nawet kwartetu, z radosnym okrzykiem poskoczyła ku drzwiom, z ust pana Witolda zaś wyrwało się bardzo wesołe:

— A! witamy, witamy kochaną panią!

A doktór Władysław zerwał się z krzesła, przestał patrzeć na piękność, z którą przed chwilą tak ożywioną prowadził był rozmowę, i całą uwagę swą, jak się zdawało, wielce nawet baczną, zwrócił na dwie kobiety, które niedaleko drzwi bardzo serdeczne zamieniały powitania, a z których jedną była gospodyni domu, drugą — nowo przybyły gość.

Tym nowym gościem pani Ludwiki była panna, mniej więcej dwudziestoletnia, wysoka, szczupła blondynka, bardzo miłej powierzchowności i bardzo skromnie, lubo także zupełnie przyzwoicie ubrana.

— Moja serdeczna przyjaciółka, panna Józefa K. — wymówiła po pierwszych przywitaniach pani Ludwika, przedstawiając młodą i miłą pannę pani prezesowej i córce jej.

Panna Józefa skłoniła się panom i giestem, nacechowanym prostotą i łatwością układu, podała rękę obu paniom.

Doktór Władysław oddał jej głęboki ukłon, a pan Witold zawołał wesoło:

— Węglem na kominie napiszę sobie datę dnia dzisiejszego!

— A to dlaczego? — zapytała z uśmiechem panna Józefa.

— A dlatego, że pani raczyłaś nas dziś odwiedzić.

— Panna Józefa tak jest zwykle bardzo zajęta — wymówił doktór Władysław, który nie spuszczał oka z nowo przybyłej i zdawał się zupełnie zapominać o pannie Kornelii, gwiazdach jej i kontraltowym głosie.

Panna Józefa podniosła na mówiącego oczy, podobne do dwóch błękitnych obłoków, przeglądających z za przezroczystej a głębokiej szyby kryształu, i chciała snadź coś odpowiedzieć, bo otworzyła usta, gdy nagle malec pani Ludwiki wypadł z przyległego pokoju z głośnymi objawami wielkiej radości, rzucił się ku niej i usiłował objąć ją drobnemi rączkami.

Znajomość ta serdeczną widać była i na wzajemnej poufałości ugruntowaną, bo rezolutny malec wołał na młodą pannę po imieniu, a nawet doprowadzał to imię do ostatnich granic formy zdrobniałej, ona zaś pochyliła się, pocałowała go najprzód w czoło, a potem, mówiąc:

— Oj, mój ty olbrzymie! — podniosła z ziemi i posadziła u siebie na kolanach.

I radość malca, i pieszczoty panny Józefy, objawiły się w sposób tak wdzięczny i naturalny, a postać i twarz tej ostatniej takim niewymuszonym, a jednak ponętnym okryły powabem, że aż oczy pani Ludwiki zaświeciły szczerą radością, spojrzenie pani prezesowej błysnęło prędko utajonem niezadowoleniem, doktór Władysław zapatrzył się na wdzięczną grupę, z miłej młodej panny i złotowłosego dziecięcia złożoną, a przytem w takie popadł zamyślenie, że zapomniał o zajęciu dawnego swego miejsca w pobliżu panny Kornelii.

Panna Kornelia przez cały ten czas siedziała, lekko oparta plecami o poręcz fotelu, z główką nieco podniesioną, z oczyma błądzącemi po otaczających twarzach, a jedwabna tkanina jej sukni, obfitymi zwojami opływająca uroczą kibić i szeroko rozpostarta na dywanie, dodawała całej postawie jej wiele malowniczości i nakazującego przepychu.

Wypadek zrządził, że dwie te młode panny znalazły się umieszczonemi obok siebie tak, że kto patrzył na jedną, nie

mógł całkiem pominąć wzrokiem drugiej i nie uczynić pomiędzy niemi porównania.

Porównanie to zresztą nastręczało się samo przez się, jak zwykle bywa przy blizkiem zetknięciu się dwóch sprzeczności.

Sprzeczność pomiędzy dwiema pannami zachodziła wielka, poczynając od układu postaci i wyrazu twarzy, aż do koloru włosów i ubrania.

Na pierwsze wejrzenie mogło się zdawać, że panna Józefa zgasła i okryła się cieniem, usiadłszy obok panny Kornelii; ale przy drugiem cienie rozpraszały się, przy trzeciem znikały zupełnie, aż po kilku minutach przyglądania się, nie możnaby już stanowczo upewnić, czy panna Kornelia nie gasła i nie okrywała się cieniem obok panny Józefy.

Zresztą były to dwa zupełnie odrębne rodzaje powierzchowności, z za których przeglądały, zupełnie do siebie niepodobne, moralne i umysłowe ustroje.

Oba zaś były niepospolite, ponętne, piękne, i kazały się domyślać wielce zajmujących rzeczy. Aby te wszystkie różnice krótkiemi skreślić słowy, powiemy: że panna Kornelia była doskonale piękną brunetką, a panna Józefa ładną tylko blondynką; że oczy panny Kornelii błyszczały, płonęły, a także umiały spuszczać się z cudowną naiwnością, lub podnosić się w górę z wyrazem czarującego zachwycenia, a oczy panny Józefy były spokojne, przezroczyste, z dwoma ogniskami srebrzystych świateł na głębi źrenic, nie spuszczały się wcale ku ziemi, rzadko wznosiły się w górę, a zwykle patrzyły prosto przed siebie, takiem spojrzeniem, jak gdyby doskonale rozumiały wszystko, na co patrzą, i niczego a niczego nie lękały się i nie wstydziły; że z za cery twarzy panny Kornelii, świeżej, jak lilie i róże, przeglądało życie łatwe, w uciechach, a przynajmniej bez troski i pracy pędzone, a bladawa i pozbawiona rumieńca, lubo wcale niezwiędła, lecz owszem delikatna i przezroczysta płeć panny Józefy świadczyła o jednej z tych egzystencyi, którym bardzo wcześnie przychodzi łamać się z troską, trudem i doświadczeniem życia; że ubiór panny Kornelii, nadzwyczajnie modny, kosztowny i pełen wykwintnego smaku, znamionował w niej pannę światową i znającą się na prawidłach salonowej estetyki, suknia zaś panny Józefy, z popielatej wełnianej sporządzona tkaniny, a także śnieżny kołnierzyk z prostego płótna, otaczający szyję, i poprostu splecione warkocze, obfitymi splotami okrążające głowę, mówiły o mierności, graniczącej z ubóstwem, a także o porządku i wrodzonym dobrym smaku, który z małych rzeczy

umie utworzyć bardzo wdzięczną całość; że nakoniec panna Kornelia powabnym ruchem obracała w paluszkach pugilaresik z kości słoniowej, zawierający wizytowe bilety, a panna Józefa trzymała dziecię swej przyjaciółki i patrzyła na nie tak, jak patrzeć na dzieci umieją tylko kobiety dobre.

Być może, iż wszystkie porównania te i wypływające z nich różnice nasuwały się myślom doktora Władysława, bo stał wciąż na jednem miejscu, mocno zamyślony, aż pani Ludwika przemówić do niego musiała, zapraszając go, aby usiadł.

Pochlebiamy sobie, że czytelniczki nasze choć trochę są ciekawe dowiedzieć się, przy której z dwóch panien zajął miejsce doktór Władysław: przy pannie Kornelii, czy przy pannie Józefie?

Otóż stało się tak, że nie zabrał on miejsca przy żadnej z nich, ale umieścił się znowu nieco na uboczu i wziął do rąk porzucone wprzódy album.

A gdy zważymy, jak powabnym, lubo całkiem odmiennym urokiem jaśniały dwie młode panny, nie będziemy poczytywali za złe doktorowi Władysławowi tego braku natychmiastowego zdecydowania się, nie spuszczając z uwagi i tego względu, że nie był on wcale żadnym lowelasem, ani pustym jakimś wietrznikiem, ale doktorem medycyny, z kawałkiem czwartego krzyżyka na plecach.

— Jakże się miewa szanowny ojciec pani? — zwrócił się do panny Józefy pan Witold.

— Od kilku dni ma się zupełnie dobrze — odpowiedziała — ale przed tygodniem tak był zasłabł, że byłam w wielkiej, wielkiej obawie...

Przy ostatnich wyrazach, lubo zupełnie prostych i po prostu wymówionych, panna Józefa bardzo pięknie wyglądała, może dlatego, że po twarzy jej przemknął wyraz serdecznej troskliwości o osobę ukochaną.

— Pan Władysław przybył nam z pomocą — mówiła dalej — i z pomocą skuteczną. Biedny ojciec cierpiał mocno dni parę, ale teraz ma się już znacznie lepiej...

I znowu bardzo pięknie wyglądała, bo, gdy mówiła ostatnie wyrazy, spojrzenie jej upadło na doktora Władysława, a w tem spojrzeniu była szczera wdzięczność i oprócz wdzięczności jeszcza coś, coś, co żadnym sposobem ukryć się całkiem nie mogło w kryształowych źrenicach.

Doktór Władysław podniósł wzrok od albumu, i oczy jego spotkały się z oczyma panny Józefy.

I znowu wkoło stolika ożywiona wszczęła się rozmowa, tylko już nie z czterech, jak pierwej, ale z sześciu głosów złożona, którym towarzyszył wesoły akompaniament srebrnego głosiku siedzącego u panny Józefy na kolanach malca.

— Czy przyjaciółka twoja, luba kochaneczko, stale w X. mieszka? — pytała pani prezesowa pani Ludwiki.

— Tu się urodziła i tu pozostaje ciągle.

— Kochany Władysławie, uczyń mi tę przyjemność i porzuć to album; któż widział, aby młody kawaler siedział tak wobec dam, milczący i zachmurzony, jak rycerz posępnego oblicza — mówił pan Witold.

— Mój drogi, wiesz dobrze, iż człowiekowi przychodzą do głowy czasem różne myśli...

— Pani tak lubi dzieci? — po raz pierwszy przemówiła do swej sąsiadki panna Kornelia.

— Jak wszystko, co świeże, poranne i niewinne — odpowiedziała panna Józefa, podnosząc na piękną pannę, przy której siedziała, swoje błękitne, kryształowe oczy.

— Kim jest ojciec twojej przyjaciółki, luba kochaneczko?

— Jakie ty masz piękne oczy, Józiu, takie zupełnie, jak niezabudki! — wołało dziecię.

— Jak niezabudki, oblane kryształową rosą! — zcicha do swego albumu wymówił doktór Władysław.

— Józiu! Józiu! teraz tyś taka różowa, jak różyczka, co kwitnie u mamy w wazonie!

— Ten chłopiec jest najsprytniejszym malcem z całego chrześcijaństwa! — decydował ojciec małego wielbiciela panny Józefy.

— Jakże się pani bawi w tutejszem mieście? — zapytała znowu panna Kornelia.

— Więc ojciec twojej przyjaciółki, luba kochaneczko, posiada tylko szczupłą emeryturę, która mu na utrzymanie nie wystarcza?

— Czas mi przechodzi jednostajnie, ale bardzo prędko; na zabawach wcale nie bywam, ale godziny, które mi pozostają od zwykłych zatrudnień, przepędzam z moim ojcem lub przyjaciółmi.

— Józia jest nauczycielką i daje lekcye na mieście; z tego się wraz z ojcem utrzymuje.

— A! a! a! więc jest nauczycielką! a czy wielkie z tych swoich lekcyi miewa dochody?

— Takie tylko, jakie starczyć mogą na skromne utrzymanie dwóch osób...

— A! a! na skromne utrzymanie! to bardzo niewiele, luba kochaneczko!...

— Józiu, nie widziałaś mego konika? chodź, zobacz mego konika.

— Później, Józiu, później; zaczekaj!

— Niech panie raczą zobaczyć ten piękny rysunek — zwrócił się do dwóch panien doktór Władysław i podał im album.

— Cudowny krajobraz! — zawołała panna Kornelia.

— Zdaje mi się, że jest trochę wymuszony i przywodzi na myśl bardziej wprawę rysownika, niż piękność natury — dodała zdanie panna Józefa.

— Pani ma słuszność! — potwierdził doktór.

— Kochani, lubi państwo, musicie zapewne wielu przyjmować gości?

— Mąż mój, jako prawnik, posiada obszerne stosunki, przytem ma wielu przyjaciół, którzy go często odwiedzają.

— Luba, kochana Ludwisieńko! jakże cię kocham! jakeś wypiękniała! a tańcujące zabawy wydajecie u siebie?

— Takich zabaw nigdy nie wydajemy; mamy na to za szczupłe mieszkanie, a przytem, przeszkadzałoby to Witoldowi w pracy i mnie mąciłoby spokój, który przedewszystkiem lubię.

— Lubisz przedewszystkiem spokój! A! a! a! luba kochaneczko! nie szkodziłoby jednak potańczyć trochę! w twoim wieku!

— Widziałam tę dolinę, przepędziłam w niej nawet z mamą dni parę — mówiła panna Kornelia, wskazując na jeden z rysunków, znajdujących się w albumie.

— Pani podróżowała za granicą? — zapytał doktór Władysław.

— Byłam we Francyi, Szwajcaryi i Włoszech. O, Włochy! Włochy!

Tu drobne rączki złożyły się znowu giestem rzewnym, a czarne, aksamitne źrenice z dwiema gwiazdami pośrodku utkwiły w twarzy doktora Władysława, tak, jak gdyby na jej-to właśnie powierzchni rozkładała się czarująca pannę Kornelię kraina włoska.

— Józiu! pójdź zobacz mego konika! — krzyczał już na dobre malec.

Panna Józefa nie opierała się dłużej prośbom swego małego przyjaciela i wraz z nim udała się na oględziny drewnianego konika i innych tym podobnych pięknych rzeczy.

Tymczasem panna Kornelia ciągnęła rozmowę.

— Kto ma zamiłowanie do sztuk pięknych, powinien koniecznie zwiedzić Włochy... Wprawdzie najlepszą operę słyszeć można w Paryżu, najpiękniejsze koncerty dają w Niemczech, ale we Włoszech znowu...

Tu doktór Władysław zmienił miejsce i przesiadł się ze swego krzesła na to, które zajmowała przed chwilą panna Józefa, przez co znalazł się przy pannie Kornelii w takiej blizkości, na jaką tylko dozwalał rozpostarty na dywanie ogon jej sukni.

A złote gwiazdy znowu blask swój prosto, prosto mu w twarz rzucały...

Pan Witold zbliżył się do panny Józefy, która opodal od całego towarzystwa bardzo ożywioną rozmowę prowadziła z jego synem.

— Jak pani serdecznie jesteś dobrą — rzekł — że dla tego malca opuściłaś towarzystwo i rozpoczętą rozmowę.

— Są na świecie dwa rodzaje istot, których prośbom nigdy oprzećbym się nie mogła... — z uśmiechem odrzekła panna Józefa.

— I jakież to? — zapytał pan Witold.

— Dzieci i starcy — odrzekła młoda panna.

Pan Witold popatrzył w milczeniu na nią przez chwilę, a potem zawołał:

— Jeżeli pani nie jesteś najlepszą istotą w całem chrześcijaństwie, to niech mnie... aniołowie żywcem do nieba zabiorą!

Józia zaśmiała się i złotowłosy Jaś rozśmiał się także, sam zapewne nie wiedząc z czego, jak często zresztą bywa u dzieci.

Stworzyło to duet dźwięczny, świeży i podobny do tego, jaki czasem, na czystem polu i pod otwartem niebem, wyprawiają skowronki.

W tej samej chwili panna Kornelia przypominała sobie jakąś komiczną sytuacyę z ulubionej opery swej, »Cyrulika Sewilskiego«, a mówiąc o niej, zaśmiała się prawie głośno.

Doktór Władysław zaśmiał się także, mimowoli zresztą może, jak bywa często z młodymi mężczyznami, ulegającymi

wpływowi dwóch wpatrzonych w nich aksamitnych źrenic ze złotemi gwiazdami pośrodku.

Stworzył się z tego duet, podobny do muzyki zawrotnego i głowy zawracającego balowego walca.

Gdy tak dwa duety wesołych śmiechów brzmiały w salonie, pani prezesowa, powstawszy z kanapy, wykonywała przed panią Ludwiką wielkie solo dygów.

— Adieu! adieu! luba kochaneczko — mówiła, wstrząsając rękę gospodyni domu i posyłając jej w powietrzu pocałunki — jak na pierwszą wizytę, może zabawiłam zbyt długo, ale ja was tak kocham, lubi, kochani państwo, i Kornelka także tak was kocha! Już to my obiedwie jesteśmy takie! Jak raz kogo pokochamy, to już nigdy, nigdy nie zapominamy!

— O, i ja jestem zupełnie taki sam! i Ludwisia jest taka!— ozwał się pan Witold, a dygi pani prezesowej zwróciły się ku niemu, tylko, zamiast pocałunków, rzucanych w powietrze, towarzyszyły im najpiękniejsze uśmiechy szanownej damy.

— Odwiedzajcie nas często, lubi, kochani państwo! będziemy z sobą żyli en famille! nieprawdaż? Trzeba przecież, aby i luba kochaneczka, Ludwisia, zabawiła się trochę! W jej wieku, mój Boże! to konieczne! A luby, kochany pan masz obszerne stosunki i wielu przyjaciół, którzy go często odwiedzają, to i wieczorki złożą się same przez się!

— Same przez się! zupełnie same przez się! — upewniał pan Witold z wyrazem, który nasuwał silne wątpliwości, co do jego własnego udziału w urządzaniu wieczorków.

— Spodziewamy się, że i przyjaciel lubego, kochanego pana Witolda zechce nas odwiedzać — zwróciła się z dygiem pani prezesowa do doktora Władysława.

Doktór Władysław skłonił się w milczeniu.

Przez cały czas pożegnań i dygów pani prezesowej, Kornelia stała nieruchomo w takiej postawie, która najwspanialej ukazywała posągowe kształty jej postaci i bogatą draperyę ubrania.

W postawie tej, ze swym profilem greckim i wielkiemi, wzniesionemi nieco w górę oczyma, podobna była do klasycznego posągu starożytnej muzy, ubranej w nowożytną suknię z ogonem.

Podobieństwo to wyróżniło ją znacznie pomiędzy gronem obcych osób i ściągnęło na nią oczy doktora Władysława, który, jak wiadomo, był wielkim muz wielbicielem... On sam zresztą przypominał bardzo w tej chwili armię zdemoralizowaną i cofającą się przed atakiem nacierającego nieprzyjaciela, cofał się bowiem i uchylał, o ile tylko przyzwoitość i przestrzeń saloniku pozwalała na to, od coraz bardziej nacierających i okrążających go dygów pani prezesowej.

Tak cofając się i z coraz ponawianymi ukłonami ustępując z placu, dotarł do miejsca, na którem stała muza, w sukni z ogonem.

Ale tu właśnie znalazł się w położeniu żołnierza, który, uciekając od kul karabinowych, wpada pod ogień działowy. Albowiem cóż znaczyły dygi i uśmiechy zmarzniętej pomarańczy, w porównaniu z tym uśmiechem rozkosznym, z jakim zwróciła się ku niemu wygnana z mahometańskiego nieba huryska?

A źrenice aksamitne? a płonące w nich gwiazdy złote? a perełkowe ząbki, które pokazały się z za warg koralowych?

Wszystko to wielce, o! wielce przyczyniło się do tego, że doktór Władysław, skłaniając się przed panną Kornelią, wymówił:

— Będę miał szczęście paniom jutro złożyć moje uszanowanie!

Panna Kornelia skinęła główką i podała mu rączkę.

— Pomówimy o sztuce! — rzekła.

— O, pomówimy! — odrzekł doktór Władysław.

— Kornelka pasyami kocha sztukę! — zawołała pani prezesowa, która dosłyszała ostatek rozmowy. — Przychodźcie państwo do nas, przychodźcie jak najprędzej; Kornelka będzie wam grała i śpiewała.

— Pani śpiewa! — zawołał doktór Władysław.

— Trochę — odrzekła panna Kornelia.

— Przyjdźcie, lubi, kochani państwo!

I, po wydaniu na świat pięciu jeszcze lub sześciu dygów, i takiejże lub większej liczby uśmiechów, pani prezesowa opuściła salonik.

Pan Witold i doktór Władysław odprowadzili panie do przedpokoju, jak nakazywała grzeczność.

Pod oknem, z rękoma nieruchomo złożonemi na poręczy krzesła, stała panna Józefa.

W postawie tej nie była podobna do posągu klasycznej muzy, ale pełnej wdzięku kobiety, na której białe czoło spłynęła chmurka zamyślenia, a w jasne oczy wpadło parę iskierek smutku.

Ktoby był baczną uwagę zwrócił na pannę Józefę, a raczej na Józię, jak ją pani Ludwika nazywała, i z którą-to nazwą bar-

dzo jej było do twarzy, dostrzegłby może, iż ta chmurka, te iskry, zjawiły się w chwili, gdy doktór Władysław, ustępując z placu przed dygami pani prezesowej, dostał się do miejsca, gdzie stała panna Kornelia, i piękną postać jej obrzucił wejrzeniem, które nie mogło w zupełności uchodzić za obojętne.

Pani Ludwika, odprowadziwszy gości swych aż do progu, szybko zwróciła się ku swej młodej przyjaciółce, podbiegła i ogarnęła ją ramionami.

— Moja ty droga, najlepsza Józiu! — mówiła, okrywając twarz jej pocałunkami, a gdy to mówiła, w głosie jej, obok czułości, rzewna zadźwięczała struna.

Zdawało się, jakby poczciwa kobieta odgadywała zawieszony ręką losu nad głową jej przyjaciółki miecz przyszłej a niedalekiej boleści, ciężkiego jakiegoś smutku, i użalała się nad tem w tajemnicy swego dobrego serca.

Józi twarz rozjaśniła się; oddała pani Ludwice uścisk i rzekła:

— Moja Ludwisiu, przyszłam dziś tu umyślnie, aby cię prosić o zachowanie przed ojcem tajemnicy, co do niepowodzenia, jakie mnie niedawno spotkało. Gdy będziesz u nas, nie wspominaj wcale o tem, że utraciłam parę lekcyi, bo biedny ojciec zmartwiłby się mojem zmartwieniem.

— Ale jakże ty, biedaczko, dasz sobie radę teraz z tak zmniejszonymi dochodami? — zawołała pani Ludwika.

— Myślałam już nad tem — odpowiedziała Józia ze spokojnym, acz smutnym nieco, uśmiechem — pozostało mi przecie kilka jeszcze lekcyi i zresztą zaprowadzę oszczędności...

— I jakież ty jeszcze oszczędności zaprowadzać możesz w tak skromnie urządzonem swem życiu!

— Dlaczegożby nie? Jakkolwiekby człowiek mało dla siebie wydawał, zawsze jednak może jeszcze wyrzec się czegoś. Nie kupię sobie naprzykład w tym roku żadnej sukni i poprzestanę na tych, które mam; zresztą wezmę się do innej jeszcze, niż dawanie lekcyi, roboty.

— Do jakiejże się weźmiesz roboty?

— Będę szyła. Zosia dała mi już nawet do sporządzenia kilka sztuk bielizny...

— Aleś ty taka zajęta lekcyami i staraniami około ojca! kiedyż czas znajdziesz na szycie?

— Wstanę codzień o godzinę raniej i położę się parę godzin później.

Pani Ludwika milczała parę sekund i miała minę bardzo poważną.

— Moja Józiu — rzekła z pewnym odcieniem nieśmiałości w głosie — gdybyś na tę ciężką chwilę zechciała od przyjaciółki twojej przyjąć cokolwiek, pożyczyć...

— Ani słowa więcej, Ludwisiu! — zawołała Józia, po której czole lekki przemknął rumieniec — pożyczać nie mogę, bo nie miałabym środków uiszczenia się z długu, a daru nie przyjmę, póki mam zdrowe ręce i głowę. Jak Jaś podrośnie, to go będę uczyła, a wy mi płacić za to będziecie; jeśli będziesz potrzebowała kiedy, aby ci coś uszyto, zamiast innej jakiej szwaczce, powierzysz mnie i zapłacisz tak, jakbyś to uczyniła dla kogo innego, ale darmo nie wezmę. Potrzebuję niewiele i o żadnych kosztownych uciechach nie myślę, ani ich pragnę, całą zaś usilnością moją, jedynym celem mych żądań jest to, aby mój biedny ojciec spokojną miał starość i aby mu na niczem nie zbywało. Celu tego dosięgałam przez lat już kilka, a mam nadzieję, że i dalej tak będzie.

To rzekłszy, Józia serdecznie uścisnęła panią Ludwikę, na twarzy jej rozlał się wyraz spokojnej ufności, wzbudzonej wiarą we własne siły i przeświadczeniem o prawości tej drogi, jaką postępowała i postępować zamierzała zawsze.

Właśnie, gdy rozmowa dwóch pań kończyła się serdecznym i długim uściskiem, dwaj panowie wrócili do saloniku.

Pan Witold rzucił się na sofę, wołając:

— Jeżeli ta pani prezesowa nie jest najnieznośniejszą babą z całego chrześcijaństwa, niech... przegram najważniejsze z powierzonych mi procesów!

— A panna Kornelia? — zapytał doktór Władysław z uśmiechem, który nie był zupełnie wolnym od wszelkiego przymusu.

— Panna Kornelia! — odpowiedział przeciągle pan Witold — hm, to królewski kąsek!

— Nigdy nie widziałam piękniejszej osoby — ozwała się Józia.

— Tak, jest ona w istocie bardzo piękną, ale ja ani do niej, ani do jej matki najmniejszego nie czuję pociągu — zadecydowała pani Ludwika.

Doktór Władysław brał za kapelusz, wyglądał tak, jakby był roztargniony nieco i jakoś nie w zwykłym sztosie.

— Pan już odchodzisz! — zawołała pani Ludwika. — Bę-

dziemy mieli na obiedzie Zosię i jej męża; liczyliśmy także na pana. Może i ty, Józiu, zostaniesz z nami?

Przy ostatnich wyrazach pani Ludwiki, zwróconych do Józi, doktór Władysław zatrzymał się z kapeluszem w ręku na środku pokoju i zdawał się oczekiwać na odpowiedź.

Miał taką minę, jakby mówił sobie w duchu:

— »Jeżeli ona zostanie, to i ja zostanę«.

Józia, która właśnie w tej chwili patrzyła na doktora Władysława, spostrzegła to jego zatrzymanie się i odgadła może myśl, bo spuściła nagle oczy i parę sekund stała, nic nie mówiąc, tak, jak gdyby nawet trochę z sobą walczyła.

Po chwili jednak podniosła wzrok na panią Ludwikę i rzekła:

— Bardzobym chciała zostać u was, droga Ludwiniu, ale żadnym sposobem nie mogę...

— Dlaczego nie możesz pozostać?

— Pozostań pani choć parę godzin z nami — dorzucił pan Witold.

— Ojcu memu smutnoby było zasiąść do stołu beze mnie. Jest to chwila, w której zwykle bywamy z sobą i on do tego tak przywykł — mówiła Józia z lekkiem wahaniem, jakby zawstydzało ją wyznanie szlachetnej pobudki, dla której wyrzekała się może przyjemności.

Ani pani Ludwika, ani pan Witold nie starał się zbijać przytoczonego przez Józię argumentu, a doktór Władysław, wymówiwszy się pilnemi zatrudnieniami, po krótkiej chwili opuścił salonik.

. . . . . .

. . . . . .

W pół godziny potem Józia także wychodziła z domu swych przyjaciół.

Zarzuciła na twarz lekką zasłonę, przyozdabiającą skromny jej ciemny kapelusik, i lekkim, lecz pewnym krokiem stąpając, torowała sobie drogę przez tłum ludzi, zalegający wązki chodnik, i przez zawieję zimową, dmącą ostrym wiatrem i miotającą w powietrzu śnieżystymi tumanami.

. . . . . .

. . . . . .

Tego dnia znajdowały się w mieście X. dwie osoby, z których jedna była trochę smutną, druga w gniewliwem i niespokojnem usposobieniu.

Pierwszą z tych osób była Józia, drugą doktór Władysław.

* * *

Józia około północy siedziała w małym, bardzo skromnie urządzonym pokoiku, którego głównym sprzętem było biało zasłane łóżko, a jedynemi ozdobami kilka zielonych wazoników, napół ukrytych za firankami z gładkiego muślinu, i kilkadziesiąt książek, złożonych na dużym stole, pomiędzy oknami umieszczonym.

Na tym samym stole paliła się lampa i białe swe światło rzucała na pochyloną nad robotą, jasnowłosą głowę młodej panny.

Józia szyła pilnie, igła błyskała szybko w zwinnej jej ręce, niekiedy podnosiła głowę i przysłuchiwała się przez chwilę nierównemu oddechowi ciężkim snem usypiającego starca, którego odgłos dochodził do niej, wśród ciszy nocnej, z przyległego pokoju.

Niekiedy także odrywała wzrok od roboty i przez kilka sekund patrzyła nieruchomo w przestrzeń; wtedy po gładkiem czole jej przepływała chmurka troski czy niepokoju, pierś lekkiem podnosiła się westchnieniem.

Wkrótce jednak z nową usilnością brała się do roboty, a biały płomyk lampy oświecał twarz jej spokojną i łagodną, ale pobladłą nieco i kiedy niekiedy mieniącą się wyrazem smutnego zamyślenia.

* * *

Na innej ulicy, w innem mieszkaniu, doktór Władysław szerokimi krokami przebiegał kosztowny i ze smakiem urządzony gabinet.

W gabinecie tym pełno było książek, rękopisów i narzędzi naukowych; na wielkiem biurku, przyozdobionem piękną zastawą do pisania, paliło się światło w ozdobnej lampie, a wkoło

lampy leżało w nieładzie kilka poroztwieranych grubych tomów i spory, do połowy zapisany, zeszyt.

Doktór Władysław czuł się dnia tego w usposobieniu takiem, w jakiem żaden człowiek, choćby był najzdolniejszym i najochotniejszym do pracy, nie czyta i nie pisze z korzyścią. To też nie czytał on i nie pisał tego wieczora, ale chodził i chodził po swym gabinecie, tak zawzięcie i nieustannie, jakby w ten sposób dopełniał votum pobożnej jakiejś pielgrzymki.

Uczucia jego wszakże wcale nie były pobożne, gdyż gniewał się w duchu na wszystkich i wszystko, co otaczało go i żyło na świecie.

Dnia tego nic mu nie szło według myśli: pacyenci gorzej chorowali, podwładni felczerzy opuszczali się w swych czynnościach, mieszkanie za mało było ogrzane, ogień na kominku co chwila zagasał, książka, do której czytania wziął się był, od początku wiersza była fatalnie napisana i wcale mu nie przypadła do smaku i przekonania.

Szczególniej owi felczerzy leżeli mu na sercu wielkim ciężarem: jeden z nich bowiem najniepotrzebniej wytoczył dnia tego całą kwartę krwi z żył człowieczych, drugi najniemiłosierniej ostawił chorego bańkami i pijawkami, pomimo najwyraźniejszego zakazu doktorskiego, aby tego nie czynił.

Oddawna już doktór Władysław żywił w sobie niechęć dla tego rodzaju ludzi, a raczej dla nieumiejętności i niesumienności, jaka ich odznaczała w mieście, w którem przebywał. Czuł gwałtowną potrzebę zaprowadzenia reform w tym względzie i, przez miłość dla nauki i ludzkości, rozpoczął był pisanie rozprawy w tym przedmiocie, rozważając go ze stanowiska naukowego i humanitarnego.

Owóż wieczora tego, kiedy tak srodze był rozgniewany na felczerów i ich nieuctwo, zasiadł przed swojem biurkiem, z zamiarem napisania przynajmniej dwóch arkuszy swojej rozprawy. Aliści pokazało się, że nie mógł pisać: myśli pierzchły mu z głowy, jak spłoszone ptaki, i połapać ich nie było żadnego sposobu; wyrazy nie kleiły mu się pod piórem; przeszkadzał mu wiatr, który szumiał za oknami, przeszkadzały nierówności papieru, na którym pisał, lampa za mało dawała światła i t. d.

Rzucił tedy pióro, począł chodzić, chodził i myślał o felczerach, o tej krwi, wytoczonej dziś z żył ludzkich, o bańkach i pijawkach niepotrzebnie choremu przystawionych, i tym podobnych przyjemnych rzeczach, które gryzły go i w niepomierny gniew wprowadzały.

Nagle, ni z tego, ni z owego, przestał myśleć o felczerach, bańkach i pijawkach, a pomyślał o tem, że strasznie jakoś cicho było w jego mieszkaniu; wydało mu się, że przebywa na jakiejś głuchej i martwej pustyni, o tysiąc mil oddalonej od świata żyjących.

Za tą myślą przyszła inna: że dobrzeby było, gdyby w tej chwili znajdował się obok niego ktoś, z kimby mógł pomówić o swoich kłopotach i przed kimby mógł wynurzyć ten gniew, jakim go przejmowali felczerzy.

Spojrzał na kominek, na którym leniwo tlała wiązka drewek, i pomyślał sobie, że przyjemnieby było siedzieć przed tym kominkiem na miękkiej wygodnej sofie z kimś drugim jeszcze, a w niemożności pracowania, w jakiej czuł się dzisiaj, gawędzić sobie spokojnie i wesoło.

Sąż jednak na świecie ludzie, którzy, gdy nie czują się w usposobieniu pracowania, albo uznają, że dość już pracowali, zasiadają sobie w ten sposób przed kominkiem z drugą jaką osobą i gawędzą, i śmieją się, i wypowiadają wszystkie myśli swoje, tak, że te, które są smutne, przestają być ciężkiemi, a te, które miłe, stają się sto razy milszemi?

Doktór Władysław pomyślał, że u takich ludzi ogień na kominku bucha niezawodnie wesołym, obfitym płomieniem, a nie tleje tak mizernie i leniwie, jak w tej chwili u niego; może nawet odgłosy zimowej zamieci nie sprawiają im przykrości, ale owszem przynoszą na swych skrzydłach mnóstwo marzeń, wspomnień, uczuć i myśli, z któremi zwierzają się oni przed tą drugą osobą, siedzącą obok nich przed kominkiem na miękkiej, zgrabnej sofie?

— To dziwna rzecz — pomyślał doktór Władysław — do jakiego stopnia człowiek jest towarzyskiem stworzeniem! Nie dość mu tego tłumu sobie podobnych, jaki, chcąc nie chcąc, napotykać musi, gdy podoba mu się przestąpić próg swego mieszkania, niedość mu nauki, którą miłuje, pracy, do której przywykł; trzeba mu jeszcze koniecznie posiadać żyjącą jaką, czującą i myślącą istotę, tuż obok siebie, aby, w chwilach samotności, w chwilach szczególnej troski, lub niezadowolenia, mieć na swe zawołanie jej twarz, rozmowę, współudział.

— Tak — prowadził dalej wewnętrzny monolog swój doktór Władysław — człowiek przez większą połowę chwil, składających jego życie, nie może obejść się bez towarzystwa i moralnej, jeśli nie materyalnej, pomocy swych bliźnich. Bądź sobie, jakim chcesz, uczonym doktorem, miłuj naukę jak najserdecz-

niej, wczytuj się we wszystkie dzieła, jakie tylko wychodzą z pod pras drukarskich na całej kuli ziemskiej, pisz, jakie chcesz uczone i humanitarne rozprawy; a zawsze przyjdzie ci jakiś dzień fatalny, w którym poczujesz się zmartwionym, złym, roztargnionym, do pracy niezdolnym i zapragniesz zobaczyć przy sobie kogoś serdecznego, miłego, o którym byłbyś pewnym, że życzy ci dobrze, że cię rozumie, że współczuje z tobą w zmartwieniu, z kimbyś nakoniec mógł usiąść sobie przed kominkiem i wygadać się przed nim. A kto wie? może rady dobrej, a z pewnością sił i zachęty do dalszej pracy zaczerpnąć.

— I ten-to właśnie jest początek rodziny — myślał sobie dalej doktór Władysław. — Stworzyciel znał dobrze najgłębsze potrzeby swego tworu, a pożałowawszy Adama, który inaczej musiałby żyć samotnie i, koniec końcem, wpaść w smutną mizantropię, stworzył dla niego Ewę.

Ewa była żoną Adamową: za przykładem tej pary, wszyscy następni ludzie żenili się, i tylko tym sposobem ludzkość przeciągnęła swą na kuli ziemskiej egzystencyę przez 7,000 lat około, jak nas naucza Pismo Święte, a przez nierównie większą ilość wieków, jak utrzymują geologowie. Zwyczaj żenienia się jest tedy wielce szacownym, tak przez swą starożytność, jak i usługę, jaką oddał ludzkości, przedłużając jej na kuli ziemskiej egzystencyę.

W historyi patryarchów małżonki ich niepoślednią grają rolę. Sara bardzo poważnie i szanownie wyglądać musiała pod namiotem Abrahama, a Rebeka była pełną wdzięku, w chwili, gdy, siedząc na wielbłądzie, po raz pierwszy podniosła zasłonę, aby spojrzeć na swego narzeczonego Izaaka.

Wszakże ród takich oblubienic, jaką była oblubienica Izaakowa, nie wygasł jeszcze chwała Bogu na świecie, i dziś każdy porządny człowiek, pragnący wstąpić w ślady patryarchów, może znaleźć pełną wdzięku i dobroci dziewicę, która, odchodząc z nim od ślubnego ołtarza, odgarnie z twarzy ślubną zasłonę i okaże mu lice, kto wie? piękniejsze może i milsze jeszcze, niż było lice Rebeki? Potem oblubienica taka zasiądzie z małżonkiem swym przed wesołym kominkowym ogniem, a z oczu jej i serca wytryśnie dla niego źródło pociechy, spokoju i szczęścia.

W tym punkcie wewnętrznego swego monologu doktór Władysław zatrzymał się na środku pokoju i, uderzając się dłonią w czoło, zawołał w myśli:

— Ciekaw jestem bardzo wiedzieć, dlaczego to niektórzy mężczyźni tak długo się nie żenią?

Człowiek, dopóki dwudziestu lat nie skończy, toby się z całym światem ożenił; potem już zaczyna przebierać i majaczyć, a jak mu trzydziestka na kark wlezie, to już i samemu aniołowi z nieba dziesięć lat będzie się przyglądał, póki mu się nie zbierze na odwagę poprosić go o rękę. I cóż z tego kunktatorstwa i mazgajstwa wynika?

Oto, że człowiek taki, pozbawiony tych słodkich węzłów, jakimi sam Stworzyciel związał Adama z Ewą, zasklepia się w sobie, jak ślimak w skorupie, zasycha, jak ziele, włożone do książki i przyciśnięte w prasie, traci przywiązanie do ludzkości, z którą nie łączy go żaden bezpośredni węzeł, słowem, prędzej czy później, włazi po uszy w suchą, nudną i zgryźliwą mizantropię.

To bardzo źle! bardzo źle! tego prawdziwy filantrop pochwalić nie może!

Rodzina jest fundamentem, na którym opiera się budowa społeczna.

A cóż to będzie za fundament, jeżeli nikt nie zechce zostać jednym ze składających go kamieni?

Ma się rozumieć, że fundament w takim razie będzie słaby, przez co budowa społeczna zachwieje się na swych podstawach, ba, nietylko zachwieje się, ale runie: każda cegiełka potoczy się z osobna i w przepaść poleci; na świecie nastąpią nieporządki nie do zniesienia, wszystko przewróci się do góry nogami; niezgody, mordy, pożogi zapanują, cały szereg klęsk zwali się na nieszczęśliwą ludzkość, która przemieni się w hordę barbarzyńców... a wszystko to nastąpi dlatego, że mężczyźni za mało żenią się!

Trzeba ożenić się! — pomyślał doktór Władysław i, zmęczony długą przechadzką, usiadłszy przed kominkiem, począł mieszkiem rozdmuchiwać leniwy ogień.

Dmuchał, dmuchał, aż rozdmuchał szeroki płomień, który wyskoczył w górę kilku żółtymi językami, zaszumiał w kominie, wyrzucił z siebie bogaty rój swawolnych iskierek i oświecił cały pokój wesołą różową łuną.

Doktór Władysław przestał dmuchać i wyciągnął się na fotelu.

Żywsze rozpalenie się ognia na kominku umniejszyło nieco zły jego humor.

Wszakże nie rozweselił się zupełnie, bo oprócz felczerów,

baniek i pijawek, o których wcale zapomnieć nie mógł, przed oczyma jego stał wciąż ponury obraz budowy społecznej, rozwalonej w gruzy i oddanej na pastwę najstraszliwszym klęskom z winy mężczyzn, którzy żenić się nie chcieli.

I trudno bardzo powiedzieć, jakim sposobem, dlaczego, przez jakie psychiczne powody, lub za pomocą jakich optycznych środków, ponury ten obraz rozwalonej i klęskami napastowanej budowy społecznej zniknął nagle z przed oczu doktora Władysława, a na jego miejscu, otoczony różową łuną ogniska, pojawił się wcale inny widok.

Zamiast bowiem gruzów, klęsk, mordów, pożog i ludzkości zamienionej w hordę barbarzyńców, przed oczyma wyobraźni doktora Władysława stanęła panna Józefa w swojej popielatej wełnianej sukience, ze swymi jasnymi warkoczami nad czołem i w takiej zupełnie postawie, w jakiej ją widział zrana, to jest z Rubensowskim aniołkiem pani Ludwiki na ręku.

— Jakaby z niej była śliczna młoda matka! — pomyślał doktór Władysław i lekki uśmiech okolił jego usta.

Ale w tej samej chwili zewnątrz domu wiatr z nadzwyczajną zahuczał wściekłością, całą falą śniegu uderzył o szyby, które przeraźliwie zadzwoniły, i na finał zapiszczał w kominie najżałośliwszym tonem, jaki tylko wydobyć z siebie może potężna pierś miotającego się pomiędzy niebem i ziemią żywiołu.

Doktór Władysław poruszył się z niecierpliwością.

Wdzięczny obrazek młodej dziewicy ze złotowłosem dziecięciem na ręku pierzchnął mu z przed oczu, jakby spłoszony szumem i poświstem wichrów, a na jego miejscu rozkładały się znowu smutne ruiny rozwalonej budowy społecznej.

— Przeklęty wiatr! — pomyślał doktór Władysław — ach! gdyby to był fortepian, a do tego jeszcze ktokolwiek, ktoby na nim zagrać umiał, nie słyszałbym odgłosów tej szalonej burzy, których słuchając, chcąc nie chcąc, muszę myśleć o felczerach i o tej kwarcie krwi ludzkiej, która dziś tak marnie przepadła z ich powodu!

— Ach, gdyby teraz ktokolwiek był łaskaw zagrać...

Myśl o muzyce przywiodła przed doktora Władysława obraz panny Kornelii.

— Ciekawym też posłyszeć jej muzykę — pomyślał — piękna panna — dodał jeszcze — pójdę tam jutro z wizytą.

* * *

Gdy tak działo się z doktorem Władysławem, na innej jeszcze ulicy i w innem mieszkaniu, w pięknym obszernym salonie, dwa razy przynajmniej obszerniejszym od saloniku pani Ludwiki, na aksamitem obitej sofie leżała panna Kornelia.

Ubrana była nie tak bogato, jak zrana, niemniej jednak malowniczo, strojnie i powłóczysto.

Główkę, z której w różnych kierunkach spływały węże czarnych warkoczy i strugi włosów rozplecionych, oparła na wzorzysto haftowanej poduszce w taki sposób, że twarz jej wyglądała, jak prześlicznie wyrobiony medalion haut relief, a wzrok swobodnie błądzić mógł po suficie.

Obie ręce zarzuciła sobie pod głowę co zaokrągliło ramiona w miękkie i faliste linie, a drobną stopę, wyglądającą z pod zwojów muślinu, oparła na krawędzi sofki.

W postawie tej, trochę dziecinnej, trochę swawolnej, a trochę rozpieszczonej i zalotnej, niemniej była piękną, jak w owej chwili, gdy, stojąc nieruchomie na środku saloniku pani Ludwiki, wyglądała jak posąg muzy, ubranej w suknię z ogonem.

Na drugim końcu salonu wcale inny przedstawiał się widok, tam bowiem na fotelu siedziała przed stołem i pod światłem lampy pani prezesowa, wykończając swą wieczorną tualetę.

Przed chwilą włożyła była z pomocą służącej szlafrok watowany i tak wyglądający, jakby już nie pierwszą zimę przebywał na tym padole płaczu, a teraz postawiła przed sobą małe lusterko w srebrnej oprawie i z wielką starannością wkładała na swe orzechowe włosy, w cieniutki warkoczyk zaplecione z tyłu głowy, czepek nocny z białego perkalu.

Strój ten czynił twarz szanownej damy bardziej jeszcze podobną do zmarzniętej pomarańczy, z żółtą pomarszczoną skórką.

Małe bystre oczki biegały jednak po swojemu i rzucały się z zadziwiającą szybkością; tylko żwawy uśmiech zniknął bez śladu i wraz z nim zniknęły także dygi.

— Mamo! — ozwała się nagle panna Kornelia.

— Czego chcesz? — zapytała pani prezesowa głosem, który wcale nie przywodził na pamięć śpiewu słowika.

— Niech też mama będzie łaskawa powie mi, po cośmy tu do tej dziury przyjechały? — zapytała piękność, nie zmieniając wcale leżącej postawy.

— Prawdopodobnie po to, po cośmy dotąd wszędzie jeździły — odpowiedziała matka leżącej piękności.

Po tej odpowiedzi była chwila milczenia, przerwała ją panna Kornelia głośnem i szerokiem ziewnięciem.

— Ależ poziewasz! — ozwała się dość kwaśno pani prezesowa.

— Ciekawam, co mam innego robić w tej dziurze — odrzuciła córka.

I wraz potem zanuciła kilka taktów modnego podówczas walca »Il Baccio«.

Nagle przerwała sobie śpiewanie i ozwała się znowu:

— Nie lepiejby to było pojechać na zimę do Warszawy?

Pani prezesowa, która w tej chwili skończyła zawiązywać czepek, żywym bardzo ruchem zwróciła się ku córce.

— Daj pieniędzy! — zawołała, rzucając obie ręce w stronę córki — daj pieniędzy, daj, daj! to pojedziemy do Warszawki!

— Ba! gdybym je miała! — wyrzekła piękność i ziewnęła po raz drugi.

— Dziura! dziura! — mówiła pani prezesowa w sposób, który odejmował jej wszelkie podobieństwo do karmelka — gdyby twój kochany ojczulek nie był rozrzucał pieniędzy nakształt plewy, miałybyśmy za co jeździć do Warszawy i wszędzie...

— Ach, mój Boże! niech też już mama da święty spokój biednemu ojcu, który nie wstanie przecie z grobu, aby słuchać wiecznych wyrzutów mamy, jak to czynił za życia — przerwała panna Kornelia.

— Wyrzutów! wyrzutów! — wołała pani prezesowa — alboż nie zasługuje na nie! Wniosłam mu przecie 300,000 złp. posagu! gdzież one są teraz? gdzie? gdzie?

— Ja sądzę — ozwała się panna Kornelia, nie opuszczając wzrokiem sufitu — ja sądzę, że przecież i mama nie była bez udziału w tej ruinie, o którą obwinia ojca ..

— Ja!? — krzyknęła pani prezesowa, zrywając się z krzesła i pochylając ku córce swą szczupłą, maleńką postać — ja? ja? — powtarzała. — I jakiż to ja w tej ruinie mogłam mieć udział, moja panno? Wniosłam twemu ojcu 300,000 złp. posagu, a oszczędzałam się zawsze, jakby najprostsza szlachcianka. Nigdy nie miałam w garderobie mojej więcej jedwabnych sukien nad piętnaście, albo najwyżej dwadzieścia; raz w rok tylko wyjeżdżałam za granicę; pięć zim tylko przepędziłam w Warszawie; cóż to wszystko znaczy? mów! mów!

Zamiast odpowiedzi, znowu zabrzmiały w salonie pierwsze takty modnego walca, a zarazem panna Kornelia porwała się z sofki i, wciąż przyśpiewując sobie, poczęła zawrotnie walcować wkoło salonu.

— Szalona dziewczyno! — krzyknęła pani prezesowa — u ciebie zawsze pustki w głowie! ja ci mówię o interesach, a ty tańcujesz!

Panna Kornelia, zdyszana cała, zatrzymała się przy fortepianie.

— Co mi tam interesy! — rzekła — to strasznie nudna rzecz! wolę tańczyć, choćby sama!

Mówiąc to, rozkładała nuty na pulpicie.

— Cóż to, myślisz jeszcze o graniu! proszę iść spać!

— Będę jeszcze egzercytowała się dwie godziny!

— Ależ pora spać! — krzyknęła pani prezesowa, porywając córkę za szeroki rękaw od szlafroczka.

Panna Kornelia targnęła rękaw i wyrwała go z rąk matki.

— Niech mama idzie sobie spać, kiedy chce, ja będę jeszcze egzercytowała się!

Wraz z temi słowami rozpoczęła muzykę.

— Idź spać! idź spać! — krzyczała nad nią matka, z ustami przyłożonemi prawie do ucha córki.

Panna Kornelia zagrała mocniej.

— Idź spać! idź spać! — nie przestawała wołać pani prezesowa, ale odstąpiła parę kroków, bo krzykliwe tony wiolinu przeraźliwie wpadały w jej ucho.

— Idź spać! idź spać! idź spać! — wołała jeszcze ochrypłym nieco głosem, starając się przekrzyczeć fortepian.

Panna Kornelia grała fortissimo.

— Aj! — krzyknęła pani prezesowa, przyciskając uszy obu rękoma — szalona dziewczyna! nieznośna dziewczyna! pusta, uparta, zła, niegodziwa dziewczyna!

Z tymi wyrazami na ustach i cofając się ciągle, doszła do drzwi przyległego pokoju.

— Idź spać! — krzyknęła jeszcze, stojąc w progu.

Panna Kornelia zagrała con tutto brio.

Pani prezesowa wyskoczyła za próg i trzasnęła drzwiami.

W salonie wraz z muzyką rozległ się długi i głośny wybuch śmiechu.

Panna Kornelia grała i śmiała się, śmiała się i grała; sre-

brzyste tony jej śmiechu drgały w powietrzu, jak fantastyczny akompaniament, ułożony do zawrotnie padających z pod jej rąk tonów.

Nagle przestała śmiać się, oderwała ręce od klawiszy i nieruchomemi oczyma wpatrzyła się w przestrzeń.

W oczach tych nie było w tej chwili gwiazd złotych, ale błąkały się po nich jakieś chmurki mętne i gasiły całkiem blask źrenic.

Twarz jej przeciągnęła się nieco, gładkie czoło sfałdowało się, ziewnęła szeroko i zaplotła obie dłonie za głowę, nieco w tył odrzuconą.

W tej postawie pozostawała sekund kilka, potem wyprostowała się i szepnęła:

— Ciekawam, co też tam porabia biedny Gustaw?

W tej chwili otworzyły się drzwi, umieszczone naprzeciw fortepianu, i wyjrzała przez nie głowa pani prezesowej w nocnym czepku.

— Idź spać, Kornelio! — zawołała.

Panna Kornelia zwolna zwróciła oczy na matkę.

— Mamo, jak myślisz? co porabia w tej chwili biedny Gustaw?

Pytanie to, przeciągłym i zniżonym nieco wymówione głosem, nie otrzymało odpowiedzi.

Głowa pani prezesowej zniknęła szybko i dał się słyszeć tylko stuk drzwi, zatrzaśniętych z gniewem.

Panna Kornelia odrzuciła w tył zwoje rozpuszczonych włosów i poczęła z wielką uwagą decyfrować jakąś bardzo trudną kompozycyę muzyczną.

* * *

O tej samej porze i na tej samej ulicy, lecz tylko w innem mieszkaniu, w ciepłym i przytulnym pokoju, spało dwoje dzieci: jedno w łóżeczku wysokiemi krawędziami otoczonem, drugie w kołysce.

Pomiędzy łóżeczkiem i kołyską stała młoda, przystojna kobieta ze świecą zapaloną w ręce i przypatrywała się chwil kilka uśpionym dzieciom z rozkosznym uśmiechem na ustach.

Potem, lekką dłonią otuliwszy starannie każde z nich, zwróciła się ku zamkniętym drzwiom przyległego pokoju i zcicha zapukała.

— Proszę wejść — ozwał się głos z wnętrza.

Pokój, do którego weszła młoda kobieta ze świecą zapaloną w ręce, był wyraźnie gabinetem prawnika, bo pod ścianami leżały na półkach całe szeregi grubych stosów papierów, z których każdy nosił osobny numer, a pomiędzy oknami stało obszerne biurko, zarzucone papierami, księgami, listami w kopertach i bez kopert i t. p. rzeczami.

Przy biurku, pilnie zajęty pisaniem, siedział mężczyzna, w którym na pierwszy rzut oka trudnoby w tej chwili poznać wesołego i jowialnego w porze wolnej od pracy pana Witolda.

Teraz, gdy z całą usilnością oddawał się ważnym zapewne zatrudnieniom, łagodne i wesołe usta jego zapożyczyły nieco surowości od oczu, na czole zarysowały się zmarszczki głęboko skupionej myśli, a oczy ciskały błyskawice z pod powiek spuszczonych na papier, na którym wprawna ręka jego szybko kreśliła szeregi wyrazów.

— Zaczekaj trochę, Ludwiniu, zaraz skończę — wymówił, nie przerywając sobie pracy.

— Nie przerywaj sobie, Witoldzie, ja zaczekam — zcicha odpowiedziała pani Ludwika.

I na palcach przystąpiła do stołu, umieszczonego przed obszerną i wygodną kanapą, stojącą pod jedną ze ścian gabinetu.

Na stole tym znajdowało się mnóstwo dzienników, książek i broszur, które, wszystkie przeglądane snadź i czytane przez licznych gości pana Witolda, w najwyższym leżały nieporządku.

Pani Ludwika postawiła świecę na stole i ręką, po której ruchach można było poznać przywykłą do porządkowania gosposię, doprowadziła porozrzucane na stole przedmioty do mile w oko wpadającego ładu.

Potem obejrzała się po pokoju i przeszła ku oknu, gdzie poprawiła firankę, zanadto w dół opuszczoną przez kogoś zapewne, kto w dzień wyglądał przez okno; następnie zajęła się porządnem ustawieniem na dywanie foteli i wyprostowała gałązki bluszczu, któremi zapewne sama oplotła kiedyś zwierciadło, wiszące nad kanapą.

Gdy w ten sposób ozdabiała i do porządku doprowadzała pokój swego męża, ani wieczorny szlafroczek z białej, miękkiej flaneli, ani lekkie jej stopy nie czyniły najmniejszego szelestu, i pan Witold mógł bez przeszkody pracować dalej. Kiedy nako-

niec ostatni na arkuszu umieścił wyraz, postawił przy nim kropkę, zakończającą całą pracę, i głowę ku pokojowi odwrócił, zobaczył panią Ludwikę, siedzącą spokojnie na fotelu i czytającą dziennik.

— Skończyłem już, Ludwiniu! — zawołał, zacierając ręce z zadowoleniem.

— Czyś pisał obronę w tej trudnej i ważnej sprawie, o której mi opowiadałeś? — spytała pani Ludwika, odkładając na bok dziennik.

— Tak, tak — odpowiedział pan Witold — pisałem właśnie tę obronę i zdaje mi się, żem ją nieźle napisał.

— Przeczytajże mi to swoje dzieło — rzekła z uśmiechem pani Ludwika.

Wiadomo całemu światu, że wszyscy ludzie piszący, poczynając od najnędzniejszych wierszokletów, aż do twórców najpyszniejszych arcydzieł, bardzo lubią czytać swoje utwory innym ludziom.

Częstokroć nie czynią oni w tym względzie zbyt wybrednego wyboru osób, czego dowodem jest znane ogólnie podanie o Molierze, który jakoby komedye swe czytywał przed swoją kucharką. Ale już wielkiej przyjemności doświadcza każdy, kto utworem swym podzielić się może z osobą pojętną i myślącą, która zdolną jest nietylko pojąć go, ale jeszcze krytycznie osądzić.

To też i pan Witold z chęcią przyjął propozycyę żony, a po łatwości, z jaką rozpoczął czytanie, poznać można było, iż podobne rzeczy należały do codziennych prawie zwyczajów obojga małżonków.

Obrona była napisana uczenie i logicznie, a z uczuciem i pięknie.

Znajdowała się w niej cała historya nielitościwie pokrzywdzonej i w nędzę wtrąconej rodziny, której interesów bronił pan Witold, z wymową i zapałem, na krzywdziciela ciskając gromy, wyjęte z ksiąg prawodawczych i z niemniej pełnej argumentów karty pojedyńczego i społecznego sumienia.

Pani Ludwika, słuchając zacnych i rozumnych słów, które wypływały z pod pióra jej męża, widocznie rosła z radości i dumy: kibić jej prostowała się, głowa się podnosiła, a błękitne oczy nabierały coraz gorętszych połysków.

Kilka razy oczy te zamgliły się łzą drobną, a było to wtedy, gdy obrona pana Witolda, wychodząc z suchego zakresu prawniczych argumentacyi, kołatała do uczuć i pojęć ogólnie

ludzkich, w żywych i pełnych wymowy słowach malując niedolę tych, którzy stali się ofiarą bezsumiennej zręczności krzywdziciela.

Przy odwracaniu kart pan Witold spoglądał na żonę, a na widok jej przejęcia się i rozpromienienia, promieniał także i w coraz większy dla swego przedmiotu wpadał zapał. W najwymowniejszem miejscu utworu porwał się z krzesła i dokończył czytanie, stojąc.

Skończywszy, pytającym wzrokiem patrzył na żonę, ale niedługo potrzebował oczekiwać odpowiedzi na pytanie, jakie jej wzrokiem zadawał, bo pani Ludwika poskoczyła żywo i, rzucając się na szyję mężowi, zawołała ze śmiechem radości i rozczulenia:

— Jesteś najdoskonalszym adwokatem z całego chrześcijaństwa!

Pan Witold zaśmiał się wesoło, częścią z powodu przyjemności, jaką sprawiały mu radość i uznanie żony, częścią z powtórzonego przez nią własnego jego przysłowia.

Małżonkowie uścisnęli się serdecznie i usiedli obok siebie na kanapie.

A gdy tak przy sobie siedzieli, usta pana Witolda nie pożyczały już od oczu zwykłej im surowości, ale, przeciwnie, te ostatnie zaczerpnęły od pierwszych pogody i cechującej je łagodności.

Cała fizyognomia uczonego prawnika rozjaśniła się, a uśmiech rozlewał się po jego twarzy, gdy patrzył na żonę.

Pani Ludwika pięknie wyglądała w swoim wieczornym szlafroku z białej flaneli i z włosami, ułożonymi już na noc, to jest splecionymi w dwa grube warkocze, którę okręcały jej głowę podwójnym złocistym sznurem.

Kilka chwil toczyła się pomiędzy małżonkami rozmowa, o tylko co przeczytanej obronie pana Witolda i nieszczęśliwej rodzinie, której historyę zawierała, gdy pani Ludwika, jakby jej coś nagle przyszło do głowy, zawołała:

— Czyś czytał, Witoldzie, w dzisiejszej gazecie artykuł o Gustawie?

— O Gustawie X., kuzynie twoim i panny Kornelii?

— Tak, dawał on pierwszy swój koncert w mieście Y.

— A! jakże mu się udało?

— Trudno to zaiste bywa nieraz dojść całej prawdy ze sprawozdań dziennikarskich. Sprawozdawca prowincyonalnego miasta ma styl nieco ciemny i w artykule jego można dopatrzyć

wielu całkiem przeciwnych rzeczy. Nie umiem też dokładnie i stanowczo powiedzieć, ile pochwały, a ile nagany dla Gustawa mieści się w tym artykule, ale posłuchaj...

To rzekłszy, pani Ludwika wzięła ze stołu jeden z dzienników i zaczęła czytać:

»Wczoraj w mieście Y., w sali X., odbył się koncert niedawno przybyłego skrzypka, pana Gustawa X. O ile znane już i uznane, lubo to uznanie nie zawsze idzie w parze, jakkolwiek w niej iść powinno, z prawdziwą zasługą, talenty budzą w nas pewne, choć nie zawsze na słusznych, jak zresztą zwykle bywa na świecie, oparte zasadach, zajęcie, i od tego zajęcia żywsze jeszcze, mianowicie w masach, dających się powodować więcej zapałem zwodnym najczęściej, niż rzeczywistem pojęciem sztuki, uwielbienie; toć jednak młode, jeżeli młodym nazwać się godzi jakikolwiek objaw ludzkiej duchowości, unoszący na sobie znamię etyki wszechświatowej i wszechwiekowej, ufne we własne siły, ufnością przewyższającą nieraz istotną tych sił doniosłość i rzucające się w tajemnicze głębie sztuki, lecz nie z pełną wiadomością tego, co, parte rozpierającemi ich wnętrza mocami, czynią i czynić odnośnie do obranego zakresu działania zamierzają, talenty wywierać zwykły na ludzi pewien wpływ przyciągający, który-to właśnie i wczoraj objawił się, choć nie tak dobitnie, jak zwykł objawiać się w podobnych razach, licznem zgromadzeniem publiczności, chętnej zawsze do pośpieszenia tam, gdzie znaleźć może, czy to w formie pożywczej sztuki mięsa, czy ckliwego kremu podaną sobie strawę duchową!«

— Uf! co za okres! — zawołał pan Witold.

Pani Ludwika uśmiechnęła się, odetchnęła głęboko i czytała dalej:

»Programat koncertu pana X. obiecywał nam strawę, acz zmieszaną z pewnemi przyprawami, które widocznie były tam umieszczone dla podłechtania podniebienia ciekawości słuchaczy, pożywną i świadczącą o szlachetnem zaufaniu, lubo my, choćby nas tu kto miał o sceptycyzm i pesymizm obwiniać, wyznajemy, że podobne, z góry już powzięte zaufanie stawimy bardzo blizko zuchwałej zaro-

zumiałości artysty we własne siły. To też i w grze artysty objawiła się tak ta zuchwała, lubo przybierająca na się pozory skromności zarozumiałość, jak owa szlachetna, choć znowu tamtą poniżona i w błąd wprowadzona ufność.

Numer pierwszy wykonany był przez młodego debiutanta, acz nie jesteśmy pewni, czy właściwie debiutantem nazwać się go godzi, ze względu tylko na to, że po raz pierwszy w mieście naszem występuje, boć jeszcze mógł występować gdzieindziej, o czem my możemy nie wiedzieć, coby jednak stało w przeciwności z naszymi obowiązkami dziennikarza i sprawozdawcy, numer pierwszy tedy wykonany był przez młodego debiutanta, czy jak zresztą w niewiadomości naszej co do przeszłych jego dziejów nazwiemy młodego artystę (choć znowu z drugiej strony nazwa ta wydać się może zbyt śmiałą, zastosowaną do młodzieńca zaledwie rozpoczynającego zawód artystyczny).

Numer więc pierwszy wykonany był bez zarzutu, o ile określenie takie stosować się może do gry, która przy wysoko udoskonalonej i, jak to znać, z wielkim kosztem nabytej technice, ukazuje w pewnych szczegółach młodzieńcze niemal wyrobienie, lubiące zagłębiać się w drobiazgach i stroić maluczkowate bogactwo kunsztownej fiorytury, tracąc z uwagi poważną i surową stronę kompozycyi, acz i ta nie zdaje się być młodemu artyście niezrozumiałą, ani pojęciu jego niedostępną, jak o tem mieliśmy sposobność przekonać się, słuchając finału, którego pełne i okrągłe brzmienie, lubo gdzieniegdzie samymi już niedostatkami, w fakturze muzycznej zachodzącymi, nadpsute i zachwiane, artysta dosadnie i z wielką dokładnością odtworzyć potrafił, która-to jednak dosadność i dokładność przechodziła u niego chwilami w monotonię i zbyt wybredne szczegółkowanie, które nazwalibyśmy szkodliwą pedanteryą, jeśliby kiedykolwiek sumienne oddanie myśli kompozytora dla grającego daną kompozycyę, lub dla słuchaczy, wobec których zajmuje on niby miejsce tłómacza, wyjaśniającego niezrozumiałe dla nich okresy muzyczne, szkodliwem być mogło«.

— Ależ to istna apokalipsis! — zawołał zniecierpliwiony pan Witold.

— Cały artykuł napisany jest podobnym tonem i w podobnym stylu — rzekła pani Ludwika — to też wcale a wcale nie dowiedziałam się z niego, jakie sądy wywołała i jakie wrażenie wywarła gra Gustawa. W innem jednak miejscu znalazłam o Gustawie wzmiankę daleko jaśniejszą.

Mówiąc to, pani Ludwika wzięła do ręki inny dziennik i przeczytała z niego następujący krótki wyjątek:

»Po wczorajszem wystąpieniu, które słusznie zakończone zostało rzęsistymi oklaskami publiczności, a w umysłach wszystkich ludzi, dbających o wzrost sztuki krajowej, najmilsze pozostawiło wrażenie, pan Gustaw X. zaproszony został na wielki, składkowy obiad, na którym znaleźli się najgodniejsi reprezentanci umysłowego i artystycznego życia naszego miasta.

W czasie obiadu wzniesiony był toast na cześć młodego artysty, na który odpowiedział on wierszem swojego utworu.

Wiersz ten wzbudził ogólny zapał w sercach słuchaczy i współbiesiadników, a zarazem wlał w nich to przekonanie, że pan Gustaw X., nietylko jest znakomitym muzykiem, ale też i wysoko natchnionym poetą, który potrzebuje tylko wyciągnąć rękę, aby sięgać nią po wawrzyny, jakimi ludzkość wieńczyć zwykła swych ulubionych wieszczów«.

Tym razem czytanie pani Ludwiki stłumione zostało głośnym śmiechem pana Witolda.

— To dopiero kolosalne głupstwo! — wołał, śmiejąc się — to dopiero dytyramb, napisany na cześć dwudziestocztero-letniego młodzieńca, którego jednak talenty nie objawiały się, o ile wiem, tak wcześnie, jak u Michała Anioła, albo Paganiniego! Otóż to, jak krytyka kształci u nas młode zdolności! Młody debiutant występuje po raz pierwszy publicznie, a dwaj weterani, dwie powagi w sztuce i literaturze, piszą o nim. Jeden z nich używa takiej retoryki, że i sam Cyceron niby w niej nie zrozumiał, choć kilka grubych tomów o retoryce napisał; drugi tnie odę pochwalną, która debiutanta rozśmieszy, jeśli jest rozumnym, a jeśli jest głupim, nadmie go pychą i postawi na kolumnach, na których, jeśli raz stanie jakakolwiek młoda i zaczynająca dopiero wyrabiać się zdolność, to już z pewnością spadnie z nich i nos sobie najszkaradniej roztłucze.

— Bardzo się obawiam, aby Gustaw nie uległ temu ostatniemu losowi! — przerwała pani Ludwika.

— Bardzo to prawdopodobne — potwierdził pan Witold. — Znałem Gustawa przed pięciu laty, kiedy jeszcze miał zaledwie rok dziewiętnasty, a był już wtedy zarozumialcem pierwszego kalibru...

— A przecież ma on bardzo dobre serce i nie jest wcale ograniczonym — odezwała się pani Ludwika.

— To prawda — odrzekł pan Witold — zawsze jednak zdawało mi się, gdym patrzył na niego, że on sam nie wierzył w powołanie swe artystyczne; że do tego zawodu mniej pociągał go zapał, niż próżność i żądza tryumfów.

— Ja także byłam tego samego zdania, skąd wynikały ciągłe sprzeczki pomiędzy mną a matką i siostrami Gustawa, które wmawiały w niego talent i w artystycznym zawodzie widziały dla niego środek do zdobycia chwały i świetną karyerę...

— Dwa artykuły, któreś mi przeczytała, bardzo źle wróżą o tej jego karyerze...

Gdy małżonkowie rozmawiali w ten sposób o młodym artyście i sądach, wyrażonych o nim w dziennikach, głosom ich wtórował szum i żałosne jęczenie zimowej burzy.

— Czy odgłos tych wichrów nie sprawia ci, Witoldzie, przykrego wrażenia? — zapytała pani Ludwika.

— Przeciwnie — odparł pan Witold — odgłosy takie wzmagają we mnie miłe poczucie spokojności i łączą z niem pewien rzewny nastrój, który o tyle więcej ma dla mężczyzny uroku, o ile on rzadziej w nim się znajduje. Słuchając huku burzy, szalejącej po świecie, silniej niż kiedy, poczuwam słodycz tego pokoju, ciszy i ciepła, jakich używam...

Mówiąc to, pan Witold objął żonę ramieniem, a ona złożyła głowę na jego piersi i mówiła:

— I ze mną dzieje się tak samo, jak z tobą. Głosy rozhukanych żywiołów, żałosne i groźne, przywodzą na usta moje dziękczynne wyrazy za ten spokój, jakiego używam sama.

Wszystko, co kocham, znajduje się wkoło mnie w zdrowiu i bezpieczeństwie. Głowę moją opieram na twojem ramieniu; dzieci moje pod dachem opiekuńczym, w ścianach ciepłych, usypiają cichym snem aniołów; jutro moje takie pogodne i spokojne, jakiem było dziś i wczoraj.

A jeżeli, w taką noc burzliwą, smutek ogarnia moje serce, to tylko na myśl, że kędyś na świecie są nieszczęśliwe kobiety, które smutno i samotnie, ze łzą zaschłą na wybladłem licu, słu-

chają tych napowietrznych jęków, będących niby echem własnego ich życia; albo biedne, malutkie dzieci, do moich podobne, bez dachu i opieki, budzone w jakim ciemnym zakącie przeraźliwym hukiem burzy, aby płakać znowu i drżeć od głodu i zimna...

Pan Witold długi pocałunek złożył na czole żony.

— Są na świecie nieszczęścia różne i srogie — rzekł z powagą — i na nas-to, szczęśliwych tego świata, wielka spoczywa powinność przychodzić im z pomocą, ile razy tylko uczynić to możemy. Ludzie najszczęśliwsi powinni być zarazem najlepszymi; jeżeli takimi nie są, snadź szczęście ich nieprawdziwe, albo oni go niewarci i prędko je utracą...

— O, ja nie chcę utracić mego szczęścia! — zawołała pani Ludwika.

I oba ramiona zarzuciła na szyję męża.

Zegar, umieszczony w rogu pokoju, ogłaszał kwadrans po kwadransie, a małżonkowie nie mogli skończyć rozmowy swej, do której zdawali się coraz nowego nabierać natchnienia od smutnych i monotonnych odgłosów zimowej burzy.

Gdy nakoniec północ wybiła, przypomnieli sobie, że pora im udać się na spoczynek, a pan Witold przycisnął żonę do piersi i szepnął jej na zakończenie rozmowy:

— Jestem najszczęśliwszym mężem z całego chrześcijaństwa!...

III.

Minęła jesień, minął zwykłą koleją rzeczy adwent, nastąpił karnawał.

Nie należy sobie wyobrażać, aby w miasteczku X., lubo dość zamożnem, ale niespełna trzydzieści tysięcy mieszkańców liczącem, karnawał podobny był do tych, jakie odbywają się w bogatych i wielkich grodach, mających na zawołanie swe teatry, koncerty, sale balowe, sklepy jubilerskie, napełnione brylantami, świeże kamelie i róże, kwitnące w cieplarniach, na przekor mroźnemu niebu północnej zimy.

Wszystkich tych pięknych i świetnych rzeczy miasto X. nie posiadało wcale, ale ponieważ mieszkali w niem, jak i gdzieindziej, ludzie, ponieważ, jak gdzieindziej, większość tych ludzi puszczać się lubiła na Letejskie fale wesołości, w której tonęły, na chwilę choćby, wszystkie kłopoty i kłopotki, smutki i smuteczki powszedniego życia; więc też i tu, jak gdzieindziej, bawiono się wedle sił i możności, a szczególniej wedle miary zamożności każdego z osobna i wszystkich w ogólności.

To też często gęsto na głównych ulicach widzieć można było całe rzędy okien, iskrzących się rzęsistem oświetleniem, przy którem mizerne latarnie uliczne, mające niby sterować przechodniom w ciemnościach nocnych, wydawały się jeszcze mizerniejszemi i, niby strwożone lub wstydem przejęte, chowały, jak mogły najlepiej, żółte płomienie swoje pomiędzy okopcone i zapłakane szkiełka.

Okna te, rzęsiście oświetlone, wyrzucały na ulicę nietylko strugi światła, ale także i fale muzyki, a po szybach migotliwie przesuwały się cienie tańczących par, lub strojnych głów kobiecych.

Dni również ożywione były, jak wieczory, bo zima tęga i w śnieg obfita sprzyjała szlichtadom, które, urządzone na wielką skalę, z brzękiem i dzwonkami przebiegały miasto w różnych kierunkach.

* * *

Pewnego dnia pani Ludwika i pani Zofia, zajęte robotami, siedziały w saloniku pierwszej, gdy na ulicy dały się słyszeć dzwonki, parskanie koni i szelest licznych sań, posuwających się po zamarzłym śniegu.

Obie panie poskoczyły do okna, aby zobaczyć wesołą szlichtadę.

Zrazu blask słońca i oślepiająco roziskrzonego śniegu uderzył wzrok ich tak, że nie mogły rozpoznać osób, jadących dwojgiem na przedzie mknących sań, na trzecie jednak z rzędu sanie jasno już spojrzały i zobaczyły siedzącą na nich i, pomimo siedzącej pozycyi, dygającą niemłodemu jegomości, który obok niej jechał, panią prezesową.

Głowa szanownej damy zaopatrzona była w watowany kaptur, a głowa jadącego z nią niemłodego jegomościa dosłownie tonęła w ogromnym i puszystym lisim kołnierzu.

Była to para wcale niepowabna i oddająca się przyjemnościom kuligu widocznie z krwią skrzepłą od zimna w żyłach.

Ale na czwartych saniach jechało dwoje ludzi, którzy całkiem inaczej wyglądali i nie posiadali ani watowanego kaptura, ani ogromnego lisiego kołnierza, ani krwi skrzepłej od chłodu.

Było to dwoje ludzi młodych i pięknych, a przynajmniej kobieta była piękną, mężczyznę zaś można było nazwać co najmniej przystojnym.

Kobietą ową była panna Kornelia, mężczyzną doktór Władysław.

Panna Kornelia, ubrana w piękną szubkę aksamitną i takiż kapelusik, który przedziwnie przypadał jej do twarzy, mówiła do niego z takiem ożywieniem, że aż wyjmowała od czasu do czasu rączkę z gronostajowego zarękawka i poruszała nią w powietrzu.

Wywołany chłodem i szybkim ruchem sań, karminowy rumieniec krasił białe policzki młodej piękności, a oczy jej świeciły i migotały, jakby nabrały w siebie pełno tych iskier i blasków, którymi słońce usiało śnieżystą oponę, pokrywającą domostwa i ulicę.

Twarz doktora Władysława napół okryta była podniesionym do góry futrzanym kołnierzem paltota; trzymał się prosto i nieco sztywnie, powieki miał spuszczone, i w ogólności wyglądał jak człowiek, znajdujący się niezupełnie we właściwym sobie żywiole.

Z ust dwóch pań, patrzących przez okno, wyrwały się okrzyki:

— Patrz! patrz! doktór Władysław z Kornelią!

— No, proszę! on, co tak nie lubi wszelkiego rodzaju szlichtad!

— On, który nienawidzi mrozu i wystawia się na niego tylko z konieczności!

— On, który w zeszłym roku ani razu należeć nie chciał do żadnej szlichtady!

— Ciekawam, o czem też prawi mu Kornelia z takiem zajęciem?

— Może o nieboszczce Zorynce! — zaśmiała się nieco złośliwie pani Zofia.

— A może o teraźniejszym faworycie swoim, pudelku Fidzie — dodała pani Ludwika.

Panna Kornelia, wbrew domysłom dwóch pań, nie musiała mówić ani o Zorynce, ani o Fidzie, lecz o przedmiocie jakimś, nierównie więcej zajmującym, gdyż doktór Władysław odrzucił

nagle kołnierz, który mu twarz zasłaniał, zwrócił się ku swej towarzyszce, spojrzał na nią i uśmiechnął się.

Ona zaśmiała się i skinęła kilka razy główką na znak twierdzenia, on, uśmiechając się ciągle, kręcił głową na znak przeczenia.

Wyraźnie wywiązała się pomiędzy nimi jedna z tych miłych sprzeczek, w których właściwie o nic nie idzie, a które jednak rozstrzygają wszystko.

Za nimi przesuwało się jeszcze kilkoro sań, a na każdych jechało po dwie osoby; ale dwie panie, patrzące przez okno, na nic już nie zwracały uwagi, a gdy wesoły orszak skręcił w inną ulicę, spojrzały po sobie i wzruszyły ramionami.

Nic jednak nie rzekły, tylko, jakby zasmucone trochę, czy zamyślone, w milczeniu usiadły przy stole i wzięły się do robótek.

Po chwili pani Ludwika przestała szyć i ozwała się:

— Czy wiesz, Zosiu, że żal mi doktora Władysława.

Pani Zofia kiwnęła głową.

— Prawda — rzekła — to taki poczciwy człowiek! a, o ile mi się zdaje, zamienia się właśnie w glob, wirujący koło słońca.

— Byleby przynajmniej został Jowiszem! – uśmiechnęła się pani Ludwika.

— Wątpię, aby to być mogło; znasz przecie Kornelię i wiesz, ile już było koło niej Jowiszów, którzy potem pozamieniali się w Neptunów.

— Zdaje mi się, że i nasz Gucio był kiedyś w podobnem położeniu.

— Ależ tak! — zawołała pani Zofia — widziałam sama, będąc w zeszłym roku u rodziców, jak Kornelia żywo się nim zajmowała. Była to jednak poprostu sztuka dla sztuki, i Kornelia żadnego wyraźnego zamiaru co do Gucia mieć nie mogła...

— Któż wie? może go i kochała? — zagadnęła pani Ludwika.

— Trudno ją zrozumieć — odparła pani Zofia. — Zdaje się, że nie jest złą, niekiedy nawet wygląda na bardzo uczciwą; ale zmienna, jak kameleon, lekka, jak piórko, a przytem Gustaw jest chłopcem ubogim...

— To prawda; a onaby nigdy nie poszła za człowieka bez majątku...

— A przynajmniej bez ustalonego i wygodnego stanowiska.

— Ona możeby i poszła, gdyby pokochała prawdziwie, ale pani prezesowa...

— Ba! ta nie lubiła wcale Gucia! nie nazwała go nawet ani razu »lubym kochankiem«.

Rozmowa przerwana została wejściem pana Witolda.

— Czy widziałyście, panie — wołał, śmiejąc się już od progu — naszego Eskulapa, jadącego na rydwanie panny Kornelii?

— Nie śmiej się z tego, Witoldzie — rzekła pani Ludwika.— Z tego może wyniknąć nieszczęście.

— Ho, ho, ho! — zawołał pan Witold — a że to najrozsądniejsza z kobiet zawsze być musi choć trochę egzaltowaną! I gdzież tu widzisz powód do nieszczęścia, moja Ludwiniu? Panna piękna, wesoła, utalentowana, to i dlaczegoż nie podobać w jej towarzystwie? a że Władysław nie zastrzeli się, ani utopi z miłości, za to ręczę.

— Ale może się ożenić! — zarzuciły dwie panie.

— Ożenić się z Kornelią! Tego głupstwa nie uczyni — odparł pan Witold wesoło.

Ale potem umilkł i zamyślił się.

— A toby dopiero było wierutne głupstwo, gdyby się on ożenił z panną Kornelią! — zawołał nagle i już nie śmiał się; snadź przypuszczenie, nasunięte przez dwie kobiety, wcale mu, ze względu na szczęście przyjaciela, nie przypadło do smaku.

* * *

W parę dni potem doktór Władysław siedział w saloniku pani Ludwiki i wesoło rozmawiał z gospodynią domu.

— Czy pani pamiętasz — mówił — historyę moich trzech miłości, o których przed dwoma czy trzema miesiącami opowiadałem paniom?

— Pamiętam — odrzekła pani Ludwika.

— Otóż, wyobraź sobie pani — ciągnął żartobliwie doktór — jaki dziwny zbieg okoliczności! panna Kornelia zadziwiająco przypomina mi moją pierwszą i moją trzecią miłość; kształty bowiem kibici i żywość układu posiada Julci, a oczy i głos panny Heleny.

Pani Ludwika podniosła wzrok od roboty, i pół figlarnie, pół smutnie popatrzyła na doktora.

— Jak się pan lepiej przypatrzysz Kornelii, to zobaczysz,

że ona także niejakie ma podobieństwo do przedmiotu drugiej z rzędu miłości pana.

— Do pani Eufrozyny? — zawołał doktór Władysław z przymuszonym nieco uśmiechem.

— Tak — odpowiedziała pani Ludwika.

— Nie pojmuję, jakieby to mogło być podobieństwo? — mówił doktór — przecież, o ile wiem, nie mówi ona umarłymi językami i nie jest ciekawa ujrzeć wątroby sowiej.

— Ale posiada ona naturę »umkliwą«, która była właściwością pani Eufrozyny, a tyle zadawała panu frasunku — rzekła pani Ludwika z lekkim uśmiechem.

Doktór Władysław zamyślił się na chwilę, z miną człowieka, zakłopotanego trochę postawionem mu zadaniem.

Potem jednak ozwał się z wielką powagą:

— Nie, pani; natura panny Kornelii nie jest »umkliwą«, jaką była pani Eufrozyny. Tamta nie miała wcale żadnego, właściwego sobie indywidualizmu, a umysł jej stanowił poprostu zlepek różnych, na pamięć wyuczonych, systematów filozoficznych i faktów naukowych. Panny Kornelii natura jest nierozkwitłą jeszcze i, jak mi się zdaje, znajduje się właśnie w porze rozkwitania. Organizacya ta, pełna życia, ognista, nawskroś promienna, a przedziwnie artystyczna...

— Tak pan sądzi? — przeciągle wyrzekła pani Ludwika.

— Tak, pani — odparł doktór tonem, znamionującym pewien upór.

— A ja powiadam — ciągnęła gospodyni — że Kornelii natura jest »umkliwą«, i prędzej pan pochwycić zdołasz w dłoń parę, unoszącą się w powietrze, niż znajdziesz ostatnie jej słowo...

— Tak pani sądzi? — wyrzekł z kolei doktór.

— Tak — odparła pani Ludwika i urwała rozmowę, zaczynając mówić o innym przedmiocie.

. . . . . .

. . . . . .

Nieprędko też podobna rozmowa ponowioną być mogła, bo doktór Władysław coraz rzadziej odwiedzał swych przyjaciół, a kiedy się pojawiał, to najczęściej bywał zły, nachmurzony i milczący, albo znowu przymusowo i nienaturalnie wesoły.

Raz w towarzystwie pani Ludwiki, pani Zofii i obu ich

mężów przesiedział dobrą godzinę, nie powiedziawszy ani słowa, z oczyma utkwionemi w gazetę, którą niby czytał.

Potem rzucił gazetę, przysunął się do pani domu i zcicha zapytał:

— Dawno pani widziałaś pannę Józefę?

— Przed dwoma dniami — odpowiedziała pani Ludwika.

I wraz zapytała:

— A pan, czy dawno odwiedzałeś ojca Józi?

— Byłem tam dwa tygodnie temu — odrzekł doktór Władysław — ale panny Józefy nie zastałem w domu, i nie widziałem jej chyba już od miesiąca.

Pani Ludwika nic nie odpowiedziała, lubo doktór patrzył się na nią, jak ktoś, co pragnie i spodziewa się usłyszeć coś więcej o przedmiocie rozmowy.

— Jakże tam z lekcyami panny Józefy? — zapytał w końcu, nie bez pewnego wahania — czy otrzymała już inne wzamian tych, które utraciła?

— Nie — odrzekła pani Ludwika — pan wiesz, jak trudno o to w waszem mieście, gdzie podobno więcej znajduje się uczących, niż uczących się.

— Musi więc cierpieć z tego powodu wiele niedogodności — wymówił jeszcze doktór Władysław.

— Zapewne — odparła pani Ludwika — ale pan znasz Józię i wiesz, jak jest mężną, cierpliwą i umiejącą sobie radzić...

Po tej rozmowie doktór Władysław siedział jeszcze więcej zamyślony, niż wprzódy, aż na niego wesoło zawołał pan Witold:

— No, rycerzu posępnego oblicza! o czem tak dumasz?

— O tyfusie, który zjawił się w naszem mieście — odparł doktór Władysław.

* * *

Nazajutrz widziano doktora Władysława, wielce krzątającego się po mieście; odwiedzał on nietylko te domy, w których miał pacyentów, ale i te nawet, które poprostu, i to ledwie zdala były mu znane.

Ci, którzy owego dnia widzieli go, tak chodzącego i jeżdżącego po mieście w różnych kierunkach, nie dziwili się temu bynajmniej, gdyż niedawno przedtem tyfus rozszerzył się był

niepomału pomiędzy mieszkańcami w X., a ogólnie wiedziano, jak gorliwym i czynnym bywał doktór Władysław w podobnych wypadkach.

Pod wieczór, na kilkanaście zaledwie minut przed zapadnięciem zupełnego zmroku, pani Ludwika wypadkiem spojrzała w okno i zawołała do męża, który w tym samym pokoju czytał książkę:

— Patrz, Witoldzie: doktór Władysław wraca do domu. Ależ najeździł się i nachodził dzisiaj! przynajmniej dziesięć razy widziałam go na ulicy.

Pan Witold rzucił spojrzenie przez okno i rzekł:

— Ho, ho! Eskulap wielce jakoś uradowanym wygląda. Od dawnego czasu nie widziałem, aby miał tak wesołą minę.

— Zdaje mi się, że nawet uśmiecha się do siebie — dodała pani Ludwika.

— Gdybym go dobrze nie znał i nie wiedział, jak mało jest chciwym na pieniądze, mógłbym sądzić, że mu dziś wszyscy chorzy po dukacie płacili za wizytę! — zaśmiał się pan Witold.

— Ja zaś przypuszczam, że dokonał jakiego dobrego uczynku — zakończyła pani Ludwika.

* * *

W parę dni potem, przed południem, do saloniku pani Ludwiki wbiegła Józia.

Czysty błękit rozpogodzonego nieba nie był błękitniejszym od jej oczu, ani wesołe promienie słońca, w których kąpać się zdawał salonik, więcej wesołymi od wyrazu jej twarzy.

— Moja droga Ludwisiu! — zawołała, ściskając serdecznie przyjaciółkę — przybiegłam tu, aby podzielić się z tobą radością, która mnie spotkała!... Będę miała od jutra trzy nowe uczennice!

— Jakie? gdzie? jakże się to stało? — pytała uradowana pani Ludwika.

— Wczoraj przed wieczorem — zaczęła opowiadanie swe Józia — zajechał przed mieszkanie nasze piękny powóz i wysiadła z niego ustrojona bardzo i nieznana mi wcale pani. Weszła do pokoju, w którym znajdowałam się wraz z ojcem, zajęta przyrządzaniem dla niego herbaty, i zwróciła się do mnie z zapytaniem, czy to ja właśnie jestem panną Józefą K.

Otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, powiedziała mi swoje

nazwisko i oświadczyła, że od niedawna przybywszy ze wsi z zamiarem stałego w X. pobytu, poszukiwała właśnie nauczycielki dla trzech swoich dziewczynek, i dowiedziawszy się o mnie, postanowiła osobiście mnie prosić o udzielanie lekcyi jej córkom.

Powiedziała mi przytem mnóstwo bardzo pochlebnych rzeczy, których słuchając, ojciec mój, promieniał cały od radości. Następnie przepędziła z nami blizko godzinę, przyjęła nawet ode mnie filiżankę herbaty i była do najwyższego stopnia uprzejmą dla mnie, a szczególniej dla mego ojca. Co jednak najbardziej nas zdziwiło, to, że pani N. wiedziała o najmniejszych szczegółach naszego życia, naszej przeszłości, o wszystkiem słowem, co się nas tyczy, a najkorzystniejsze światło rzuca na mojego ojca i na mnie. Widocznie musiał jej ktoś o nas szeroko i długo rozpowiadać...

W tem miejscu Józia przerwała sobie opowiadanie, oczy jej jaśniej jeszcze zaświeciły, i zadumany trochę uśmiech okolił usta...

Po chwili opowiadała dalej:

— Dziś byłam u pani N. dla ostatecznego ułożenia się o zobopólne warunki, pod jakimi rozpocząć mam nauczanie jej córek.

Warunki te ułożyły się jak może być najdogodniej dla mnie: dziewczątka miłe i pojętne, a pani N. jest bardzo uprzejmą i, jak się zdaje, zacną kobietą.

Słowem, uszczęśliwiona jestem bardzo, bo troski moje i kłopoty, których przez kilka miesięcy doświadczałam, zniknęły, a ojciec mój będzie miał odtąd wiele przyjemności i wygódek, których, przy zmniejszonych dochodach, dostarczyć mu nie mogłam...

Pani Ludwika rozpytywała się jeszcze chwilę o panią N. i warunki, na których Józia zobowiązała się nauczania jej córek.

Potem spytała:

— Nie powiedziałaż ci pani N., jakim sposobem i od kogo dowiedziała się, nietylko o twojej egzystencyi, ale o wszystkich jej szczegółach?

— Pani N. nie chciała mi o tem powiedzieć, lubo ją o to zapytywałam — odpowiedziała Józia.

— A sama nie domyślasz się niczego? — ponowiła pytanie pani Ludwika.

Pełen promieni uśmiech okolił usta Józi: za całą odpowiedź serdecznie i długo uścisnęła przyjaciółkę.

Obie kobiety głęboko sobie w oczy spojrzały i zrozumiały się bez słów.

— O, moja Ludwisiu! — rzekła po chwili Józia — niepodobna większego dobrodziejstwa wyświadczyć bliźniemu, jak dostarczając mu sposobu uczciwego pracowania.

— Ten, kto ci oddał taką przysługę, rozumie dobrze znaczenie pracy, bo sam pełni ją sumiennie i winien jej wszystko, czem jest i co posiada — z powagą odparła pani Ludwika.

Opuszczając mieszkanie swej przyjaciółki, Józia była smętna i radosna zarazem, zadumana, jak dziewica z iskrą miłości w sercu, i lekka, jak ptaszek, lecący pod obłoki.

Wyszedłszy na ulicę, niebo i ziemię ogarnęła takiem głębokiem i wdzięcznem spojrzeniem, jakby całemu światu podziękować pragnęła za tę chwilę rozkoszną, w której, samotna dotąd i samotnie mocująca się z życiem, poczuła wyciągniętą ku niej rękę pomocną. A że tak przeczuciem serca, jak kombinacyą, zrodzoną w umyśle, odgadła i przeniknęła, czyja to była ręka, która tajemnie i szlachetnie usunęła z jej drogi trapiące ją trudności; nic więc dziwnego, że wieczorem dnia tego krzyknęła prawie głośno i zapłoniła się, jak róża, gdy do skromnej jej bawialni, w której siedziała z ojcem, wszedł doktór Władysław.

Radość Józi była tem większą, że gość nie przybywał sam, ale w towarzystwie pani Ludwiki, pani Zofii i obudwóch mężów tych pań.

Pani Ludwika bowiem powitała dnia tego doktora Władysława przyjaźniejszym jeszcze, niż zazwyczaj, uściskiem ręki, a po kilku chwilach rozmowy z nim rzekła niby od niechcenia:

— Panie Władysławie! Witoldzie! wyrządźmy dziś niespodziankę Józi i jej ojcu, i pójdźmy do nich na herbatę.

Obaj panowie przystali na ten zamiar.

Pani Ludwika podzieliła się nim z panią Zofią, która także z chęcią zgodziła się na propozycyę, tem bardziej, że był to dzień świąteczny, i mąż jej, wolny od codziennych swych zatrudnień, mógł wieczór cały przepędzić z przyjaciółmi.

Takim sposobem, w mieszkaniu Józi zebrało się tego wieczora kółko przyjacielskie, serdeczne, pobratymcze, w którem wszystkie składające je osoby rozumiały się doskonale, szanowały i kochały się wzajemnie.

Nigdy jeszcze sędziwa twarz ojca Józi, białymi, jak mleko,

otoczona włosami i poorana mnóstwem zmarszczek, świadczących o długiem i pełnem trudów życiu, nie wyglądała tak poważnie, a zarazem tak pogodnie, jak owego wieczora; nigdy pani Ludwika i pani Zofia nie były więcej ożywione i uprzejme, nigdy ich mężowie poufalej i weselej nie prowadzili rozmowy; nigdy też Józia piękniejszym i czystszym nie jaśniała wdziękiem.

Pośród tego miłego zgromadzenia, doktór Władysław ożywił się także i pozbył zamyślenia, w jakie od pewnego czasu wpadał był bezprzestannie, a wieczór przeszedł towarzystwu, obsiadującemu wielki okrągły stół, na którym paliła się jasna lampa i wesoły szumiał samowar, jak jedna cicha i pogodna ale pełna prawdziwej uciechy chwila.

Gdy nakoniec zebrani goście, szanując chwile spoczynku starca i młodej dziewczyny, która do pracy bardzo rano wstawać musiała, dość wcześnie zabierali się do wyjścia, pani Ludwika zwróciła się do całego towarzystwa i rzekła:

— Przyjdźcie państwo wszyscy do nas jutro, to znowu razem przepędzimy wieczorek...

— Kochanego pana zabierzemy do sań wygodnych, i jeżeli pora będzie łagodna, przywieziemy także do siebie — zwrócił się do ojca Józi pan Witold.

Wszyscy obecni, nie wyłączając nawet uczonego profesora, który bardzo rzadko zwykł był oddawać się przyjemnościom towarzyskim, przyjęli z chęcią zaproszenie; doktór Władysław tylko nic na razie nie odpowiedział, ale, gdy żegnał się z panią Ludwiką i jej mężem na schodach ich mieszkanla, rzekł:

— Bardzo żałuję, że nie będę mógł jutro państwu służyć, ale od kilku dni jestem zaproszony na jutrzejszy wieczór i dałem słowo...

— Dokądże to zaproszony jesteś? — zapytał pan Witold, z poufałością dawnego i dobrego przyjaciela.

Doktór Władysław zawahał się przez chwilę z odpowiedzią.

— Do pani prezesowej — rzekł nakoniec z pewnym przymusem w głosie.

— A! — zaśmiał się pan Witold — czarne oczy panny Kornelii pociągają cię do siebie! Patrz tylko, abyś nie zaszłapał się tam zanadto, bo to największa kokietka z całego chrześcijaństwa!

Doktór nic na to nie odpowiedział, ale oboje żegnający go małżonkowie dostrzegli, że cień niezadowolenia przemknął po jego twarzy.

Pomimo jednak tego spostrzeżenia, pani Ludwika przechyliła się przez poręcz schodów i zawołała na doktora Władysława, który stał już na dole:

— Rozmyśl się pan dobrze i przyjdź do nas jutro wieczorem.

— Nie mogę, pani; dałem słowo! — odpowiedział doktór Władysław, podnosząc ku niej głowę.

— No, to pamiętaj pan przynajmniej o tej »umkliwej« naturze, o której ci mówiłam, abyś nie miał z nią wielkich turbacyi wtedy, gdy będzie już po niewczasie — zawołała raz jeszcze pani Ludwika.

— Wdzięcznym pani za jej rady, ale mam dobre oczy i umiem rozpoznawać rozmaite organizmy i natury! — odpowiedział doktór głosem mniej uprzejmym, niż ten, którym przemawiał zwykle do swej zacnej przyjaciółki.

. . . . . .

. . . . . .

Pan Witold, chmurny nieco, wszedł do swego mieszkania.

— Ten Władysław — rzekł do żony — choć najlepszy doktór i najuczciwszy człowiek z całego chrześcijaństwa, ale w stosunkach towarzyskich naiwny jest i wierzący, jak tylko-co narodzone dziecię. Gotów uwierzyć w niewinne minki i słodkie słówka tej panny Kornelii, i zrobić jakie głupstwo...

— Cóż chcesz? — ozwała się nieco ironicznie pani Ludwika — Kornelia jest taką świetną panną, a przytem tak pięknie gra i śpiewa! Prawdziwie to szczęście mieć taką żonę, która cię na każde twe żądanie uraczy muzyką, w każdem towarzystwie opromieni cząstką padającego na nią blasku!

— Nie posądzam Władysława o tak próżny i mizerny pogląd na życie i rodzinę — odpowiedział pan Witold. — Cała rzecz w tem, że, pomimo swego doktorstwa, ma on charakter łatwo zapalny, a przytem, jak zwykle bywa z ludźmi, którzy całą młodość przepędzali zagrzebani w książkach i nauce, mało zna świat, a najmniej..

— Tacy ludzie wyrabiają w sobie o stosunkach społecznych, a mianowicie pomiędzy kobietami i mężczyznami za-

chodzących, pojęcia czysto teoretyczne, i trwają w nich z nadzwyczajnym uporem — zauważyła pani Ludwika.

— Dlatego widzimy, że najuczeńsi i skądinąd najrozumniejsi ludzie zawierają często najgłupsze małżeństwa — zakończył rozmowę pan Witold.

* * *

Wieczór u pani prezesowej, o którym mówił doktór Władysław, był wieczorem nielada; zebrało się na niego bowiem kilkadziesiąt osób, z których jednak większa część należała do rodzaju męskiego.

Panna Kornelia w całym blasku swej piękności jaśniała, jak istne słońce, a koło niej tyle prawie wirowało poddanych wywieranej przez nią sile atrakcyjnej globów, ile w towarzystwie znajdowało się czarnych fraków i gęstych młodych czupryn. Ba! te nawet głowy, które oddawna ogołocone były z owej wspaniałej ozdoby młodzieńczego wieku, plątały się pomiędzy młodymi rywalami, a tu i owdzie dawały się spostrzegać i takie, na które jesień życia sypnęła garść srebrem połyskującego szronu.

Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że doktór Władysław składał osobą swoją jedno z ogniw tego planetarnego systematu panny Kornelii. Nie; pamiętny może na smutną rolę, jaką odegrał w podobnym systemacie panny Heleny, w którym przychodziło mu przemieniać się z kolei z Jowisza w Neptuna i z Marsa w Jowisza, a może też i obciążony już nieco latami, od owej pory upłynionemi, i trudami, jakie mu przez ten czas zadały cholery, tyfusy, febry i najrozmaitsze tego rodzaju klęski, z których ustawiczne umartwienia, doświadczane przez niego z powodu nieumiejętnych felczerów, nie były zapewne najmniejszą, — trzymał się on nieco na uboczu, i zdawał się nawet pilne dawać baczenie na to, aby rydwan, wspaniale przez królowę zabawy ciągnięty, nie zajechał mu drogi i nie wplątał go w koło postępujących za nim w pokorze i uwielbieniu niewolników.

A jednak całkowite pozostawienie go na stronie nie należało snadź do zamiarów panny Kornelii, bo, wśród najżywszego oddawania się przyjemnościom tańca lub rozmowy, zwracała ona nieraz ku niemu śliczną swą głowę i blask tych złotych gwiazd, które na tle aksamitnych źrenic gorzały i migotały, jak prawdziwe rezerwuary iskier i płomieni, prosto mu w twarz rzucała.

Gwiazdy te posiadały właściwą sobie i wcale niepoślednią retorykę; zawierały się w nich całe szeregi okresów, nawpół wypowiedzianych, z drugą połową, przykrytą obsłonką lekkiej tajemniczości, wykrzykników, których brzmienie rozlewało się po najgłębszych zapadlinach uczuć człowieczych, westchnień wzlatujących w krainę szczęśliwości, uśmiechów brzemiennych obietnicą raju na ziemi.

Gwiazdy te zatem były bardzo wymowne, a kto choć przez sekundę wymowy ich posłuchał, temu zdawało się, że one go wołają, wołają kędyś w taniec jakiś zawrotny, długi, bezpamiętny, którego ostatnie »pas« odbyć się miały w samych już błękitnościach niebieskich.

Głos panny Kornelii, gdy mówiła, i dźwięk jej śmiechu, gdy się śmiała, wydawały się muzyką, umyślnie do tego w niebo lecącego tańca ułożoną, a wszystkie poruszenia jej ciała były akordami, w których objawiała się i śpiewała najpiękniejsza harmonia, jaką oko widzieć, a ucho ludzkie słyszeć kiedy mogło.

Owóż panna Kornelia kierowała ku swojemu zamyślonemu i na stronie trzymającemu się gościowi, nietylko retorykę swych oczu, ale jeszcze i akompaniament, retoryce tej przygrywający, a złożony z głosu, dźwięcznej gamy śmiechu i harmonijnych akordów poruszeń; wypadek zaś, który nieraz odgrywa w losach ludzi rolę wielmożnego pana, zrządził, że była ubrana w barwę, jaką najbardziej lubił doktór Władysław, to jest w błękitną, a na głowie miała przepaskę srebrną, w kształcie księżyca na nowiu, a w uszach kolce, z dwóch srebrnych gwiazd złożone.

— Pan nie tańcujesz? — rzuciła panna Kornelia pytanie doktorowi Władysławowi, przechodząc mimo niego w kontredansie.

— Bardzo rzadko — odparł doktór.

— To szkoda! wielka szkoda! — wymówiła piękność, i wyciągnęła naprzeciw tańcującemu mężczyźnie ramię, godne Fidyaszowego dłóta.

Doktór Władysław pomyślał, że jest przecie w wieku, w którym ludzie tańczą jeszcze, i że nie uwłaczałby może doktorskiej swej powadze i godności, gdyby sobie zwolna i poważnie przetańczył jednego kadryla.

Ale w tejże chwili ktoś go zapytał o zdrowie jednego z ciężko chorych na gorączkę jego pacyentów, a pytaniem tem przywiódł na pamięć wszystkie gorączki, febry i katary, które

pastwiły się w owej porze nad mieszkańcami miasta X. W ślad za tem przypomnieniem zjawili się przed wyobraźnią jego felczerzy z pijawkami, bańkami, niegodziwem krwi puszczeniem i odebrali mu wszelką ochotę do tańca, tak, że, gdy zagrano drugiego kadryla, został on nieporuszony na miejscu i rozmawiał z kilku poważniejszemi osobami, które go otaczały, a panna Kornelia, parę spojrzeń rzuciwszy na niego z pod wachlarza, schmurzyła na chwilę czoło i przez całą figurę kadryla nie zaśmiała się ani razu.

Aliści, po tym drugim kadrylu, zabrzmiały w salonie dźwięki fortepianowych akordów, wydobywające się z pod paluszków siedzącej przed fortepianem młodej piękności.

Panna Kornelia wyraźnie zabierała się do śpiewania, a doktór Władysław, rad zapomnieć na chwilę o gorączkach i katarach, o których, jak na złość, otaczający ludzie wciąż mu prawili, sądząc zapewne, że go tem uraczą, rad także, iż śpiew i muzyka odpędą od niego mary felczerów, z pełnymi pijawek słoikami w ręku, powstał i zbliżył się do fortepianu.

Panna Kornelia śpiewała pieśń francuską, opiewającą młodą dziewczynę, która wędruje po świecie w nadaremnem poszukiwaniu swego zgubionego serca.

Gdzie je zgubiła, nie wie sama, albo nie chce powiedzieć słuchaczom, przed którymi jednak w najsmutniejszych wyrazach użala się na swą niepowetowaną stratę, każdą zwrotkę swej pieśni zaczynając i kończąc bolesnym wykrzyknikiem: »j'ai perdu mon coeur!..«

Panna Kornelia śpiewała pieśń tę z tak głębokiem uczuciem, jak gdyby to ona sama była tą dziewczyną, opłakującą utratę swego serca, i lasów, pól, gwiazd, słońca, wszystkiego, słowem, co żyje na niebie i ziemi, zapytującą, kędy podział się ten niepokalany skarb jej piersi dziewiczej. Wyraz jej twarzy, zlekka rozrzewniony, odpowiadał doskonale znaczeniu słów, pieśń składających, które zresztą bardzo wyraźnie dochodziły do słuchaczy, bo panna Kornelia posiadała wokalizacyę bez zarzutu, dowodzącą doskonałości metra śpiewu, którego była uczennicą.

Po pierwszej zaraz zwrotce pieśni lekki uśmiech okolił usta doktora Władysława; nie był to jednak uśmiech zachwytu, ale raczej niedowierzania i lekceważenia.

Przyszło mu bowiem na myśl, że treść piosenki w najwyraźniejszej stoi sprzeczności z najelementarniejszemi pojęciami o fizyologii.

Serce bowiem stanowi w organizmie człowieka główny przyrząd krążenia krwi, bez którego to ostatnie w żaden sposób odbywać swych funkcyi nie może. Gdyby tedy młoda dziewczyna jakimkolwiek sposobem utraciła to najważniejsze ze wszystkich naczyń naczynie, jużby też żadną miarą nieszczęścia swego opiewać nie mogła, dla tej prostej przyczyny, że żyćby przestała, a po śmierci nikt nieszczęść swoich nie opiewa.

Słowa zatem piosenki, osądzone z racyonalnego stanowiska, nie posiadały żadnego sensu, a ułożenie ich należało przypisać lekkości, z jaką Francuzi traktują najważniejsze, choćby naukowe, przedmioty.

Niemiec, który do wszystkiego przystępuje z należytą powagą i z krytycznym poglądem, nie wydałby pewno na świat podobnego absurdu...

Tak myślał doktór Władysław w czasie przegrywki, poprzedzającej drugą zwrotkę pieśni, i uśmiechał się nieznacznie. Jakkolwiek jednak usiłował skrywać sceptyczny ten uśmiech, dojrzała go panna Kornelia, naprzeciw której stał, i w drugiej zwrotce zaśpiewała wyrazy: »j'ai perdu mon coeur!« z taką żałością, a razem gorącą intonacyą głosu, że doktór Władysław doświadczył takiego poczucia, jakby go ktoś końcem szpileczki bardzo delikatnie ukłuł w samo serce.

Zarazem pomyślał, że nie należy wyrazów śpiewu rozumieć w dosłownem ich znaczeniu, i że poecie, który je układał, przebaczyć trzeba niektóre pomyłki, względem czysto fizyologicznych pojęć popełnione...

Za trzecią zwrotką doktór Władysław myślał, że przebaczenie to udzielonem być powinno choćby dlatego, że w słowach, lubo nie przedstawiających ściśle rozumnego sensu, mieści się jednak wiele uczucia, i że panna Kornelia, uczucie to śpiewem wyrażająca, stała się podwójnie piękną i odkrywała przytem jedną z bardzo powabnych stron swej wewnętrznej istoty, jaką była rzewność głęboka i zdolność do silnego przejęcia się choćby tylko imaginacyjnem cierpieniem biednej, rozkochanej dziewczyny.

Przy czwartej zwrotce doktór Władysław zauważył, że przejęcie się to dosięga nawet granic wrzącej i palącej, lubo zlekka wstydliwością dziewiczą osłoniętej, namiętności; przy piątej zapytał siebie, czy tylko panna Kornelia nie znajdowała się sama w położeniu młodej dziewczyny, która zgubiła swoje serce, a raczej oddała je komuś; ale gdy zabrzmiała szósta

zwrotka pieśni i oczy doktora spotkały się z oczyma panny Kornelii, przejęło go szczególniejsze jakieś wrażenie, a zarazem przez głowę przemknęła myśl:

— Czyżby to biedne serce zgubione było na mojej drodze, i czyliżbym to ja właśnie przeznaczony był do podniesienia jego i umieszczenia przy własnem mojem sercu?...

Przypuszczenie to miało za sobą wiele pozorów prawdopodobieństwa, stwierdzonych retoryką oczu panny Kornelii, które spoczywały na twarzy doktora Władysława w chwili, gdy różane usta jej śpiewały po raz ostatni:

— J'ai perdu mon coeur!

Przestała śpiewać, ale nie przestała grać; palce jej przebiegały klawiaturę szybkimi pasażami, stanowiącymi przejścia z tonów minorowych w majorowe.

Doktór Władysław pochylił się nieco nad fortepianem i zadał grającej piękności następne, półgłosem wymówione, pytanie:

— Czy pani przypuszczasz, że własne jej serce może zostać zgubionem tak, jak serce młodej dziewczyny, o której śpiewałaś przed chwilą?

Panna Kornelia spuściła oczy na klawiaturę i zcicha rzekła:

— Dotąd nie było ono w podobnem położeniu, ale teraz... kto wie?...

Przy ostatnim wyrazie uderzyła kilka głośnych akordów i poczęła grać walca tak hucznie i na tak zawrotne, szybkie tempo, że dalsza rozmowa stała się niepodobieństwem.

Doktór Władysław odszedł od fortepianu z kręcącym się po głowie wyrazem:

— »Kto wie?«...

»Kto wie?« — śpiewały mu w uszach takty walcowe.

»Kto wie?« — powtarzało światło błyszczącego na głowie panny Kornelii półksiężyca.

»Kto wie?« — szeptały krucze sploty jej włosów i muskane przez nie alabastrowe jej ramiona, i gibka kibić, wdzięcznie nad klawiaturą pochylona.

»Kto wie?« — wołała najgłośniej bladość zwiększona, jaka na mgnienie oka pokryła twarz młodej piękności wtedy, gdy drżące wargi jej wymawiały to zagadkowe słowo.

Panna Kornelia bowiem w czasie krótkiej rozmowy zbladła widocznie, a potem grała walca z taką gorączką i zaciętością, jakby w zawrotnej fali wzburzonych tonów pragnęła utopić słowa swoje, a może i samą siebie.

Byłyż to symptomata nagle doświadczonej radości, czy boleści? nadziei, czy trwogi? trudno było odgadnąć, gdyż i te i owe w podobny sposób objawiać się mogły.

To tylko pewna, że muzyka panny Kornelii była ognistą, szaloną, porywającą; po twarzy jej przebiegały nieujęte jakieś, kameleonowe, tajemnicze błyski i cienie, a w myśli doktora Władysława, który, stojąc opodal, patrzył na nią, brzmiało ustawicznie słowo:

— Kto wie?

Rzecz to dziwna i uwagi godna, do jakiego stopnia wszelka tajemnica wywiera na ludzi wpływ pociągający. Jest to zapewne jeden ze spadków, przekazanych nam w dziedzictwie przez pierwszych rodziców, Adama i Ewę, którzy za spożycie jabłka wiedzy z raju wygnani zostali.

Straszny ten przykład mało zaprawdę podziałał na potomnych.

Biblia prawi swoje, a człowiek czyni swoje; i gdy tylko oko w oko spotka się z jakąkolwiek tajemnicą, wnet poczuwa pragnienie zstąpienia na samo jej dno najgłębsze, kędy znajdzie jej rozwiązanie.

Doktór Władysław był człowiekiem, zatem potomkiem Adama i Ewy, którzy za ciekawość swoją raj utracili. Do tego jeszcze był on doktorem medycyny, zatem naturalistą, zatem znowu człowiekiem, zapatrującym się na historyę Adama i Ewy z punktu na lekką herezyę zakrawającego, który to punkt sprawiał, że nauka, w historyi tej zawarta, nie wywierała na umysł i postępki jego zbyt potężnego wpływu.

Twierdził on zawsze, iż pragnienie wiedzy nietylko występkiem nie jest, ale, że przeciwnie, stanowi ono jeden z poważnych bodźców, popychających ludzkość ku mądrości, że następnie każda tajemnica, zgłębiona i wyświecona, przemienia się z cienia w światło, a ponieważ światło stanowi przedmiot żądania i cel dążenia ludzkości, zgnębienie więc i wyświecenie tajemnic, a przez to umniejszenie cieni, a powiększenie sumy panującego światła na ziemi, należy do najświętszych obowiązków każdego rozsądnego i uczciwego człowieka.

Tak sobie tę rzecz wyrozumiawszy, doktór Władysław, żadnej spotkanej na drodze swej tajemnicy nie opuszczał bez gruntownego zastanowienia się nad nią, bez względu na to, czy

tajemnica ta należała do rzędu zjawisk materyalnych, czy też miała swe źródło w psychicznych objawach jednostki, lub ogółu.

Do pierwszych bowiem przystępował jako anatom, fizyolog, słowem naturalista; drugie zajmowały go i pociągały, jako człowieka, a zatem członka ludzkości, osobiście po części zainteresowanego w sposobie myślenia i czucia swych bliźnich.

Jakże tedy być mogło, aby, takim usposobieniom i nawyknieniom umysłowym poddanym będąc, doktór Władysław, nieuważnie puścić miał mimo siebie ową tajemnicę, która zjawiła się przed nim w słowie panny Kornelii: »Kto wie?« i w nagłej bladości jej, gdy słowo to wymówiła, i w wyrazie jej oczu nieodgadnionym, i w owych niepochwytnych błyskach i cieniach, które mknęły po jej twarzy wtedy, gdy po rozmowie z nim grała zawrotnego walca!...

Obojętność taka tembardziej niepodobną była w tym razie, że doktór Władysław czuł wyraźnie, iż w tajemnicy, jaką spotkał, własna jego osoba niepoślednie zajmowała miejsce.

A gdy obok niego, również w tajemnicę tę wplątana, znalazła się tak piękna, świetna, utalentowana osoba, z takiem czuciem opiewająca stratę swego serca i w czarnych oczach tak wymowną posiadająca retorykę, że, słuchając jej, sam Demostenes i Cyceron, i wielu innych starożytnych i nowożytnych mówców, zawstydzeni być mogli; cóż przeto dziwnego, że doktór Władysław zapragnął zajrzeć na dno tej tajemnicy i ujrzeć, jakie w niej zajmował miejsce on, a jakie ona, i jak te miejsca wzajemnie miały się do siebie; jak się miały uczucia panny Kornelii do piosenki, którą śpiewała z takiem uczuciem i przejęciem się, do wyrazu: »Kto wie?« który z ust jej wypłynął tak tajemniczo a ponętnie, i nakoniec do jego własnej osoby, na którą (czego nie mógł nie spostrzedz) ustawicznie prawie padały spojrzenia jej oczu.

Doktór Władysław poczuł wielką ochotę do zgłębienia i przeniknienia tajemnicy, która, w tak wdzięczną i ponętną przybrana formę, niespodzianie zaszła mu drogę.

Najbliższym skutkiem tego poznania było to, że stanął z panną Kornelią do trzeciego kadryla; drugim i nieco dalszym, że przyjął zaproszenie pani prezesowej na jutrzejszy obiad i, przy tej okazyi, cały dzień przepędził z dwiema paniami, a raczej jedną z nich, młodszą, gdyż starsza miała dnia tego wiele do czynienia z gospodarstwem i załatwianiem sprawunków, przez co mogła w salonie chwilowo tylko przebywać.

Tajemnica jednak nie była wcale łatwą do odgadnienia, niekiedy nawet ukazywała się w niej taka przepaścista głębia, że doktór Władysław, usiłując wzrokiem jej dosięgnąć, poczuwał zawrót głowy, i przyrzekł sobie w duchu, iż za powrotem do domu zażyje porządną dozę proszków sodowych, które, jak wiadomo, skutecznem bywają na podobne zawroty lekarstwem. Wszakże tym razem proszki okazały się bezskutecznymi, gdyż oddziaływały przeciwko ich wpływowi tajemnicze błyski panny Kornelii i cudowny jej głos kontr-altowy; a im dłużej i gorliwiej doktór Władysław zaciekał się w tajemnicy, tem więcej pragnął ostatnie słowo jej pochwycić, tem więcej w umyśle jego wzrastały tego słowa urok i znaczenie.

Panna Kornelia zaś posiadała wybornie sztukę niedopowiadania; było to zresztą mniej może sztuką, niż istotnem wahaniem się, jakąś skrytą walką, toczącą się w jej wnętrzu, pomiędzy: tak i nie; pewną utajoną żądzą oddalenia chwili, w której ze słów jej, spojrzeń i uśmiechów spadnie zasłona, a usta jej będą musiały wymówić to, czego może serce...

Cóż serce?

Co działo się z sercem panny Kornelii?

Czy posiada ona jeszcze choćby szczyptę tych uczuć, które w potocznej mowie określają się wyrazem serce?

A może posiadała ich wiele, wiele niezmarnowanych dotąd, lecz tylko przytłumionych, milczących przed jakąś koniecznością żelazną, która im nakazywała milczenie?

Czy z tych uczuć dostawała się choć odrobina temu, do kogo codziennie, czy to ustami, czy oczyma mówiła tajemnicze, tyle obiecujące:

— Kto wie?

Czy też wszystkie one należały do niego, lub może komu innemu oddane były, komuś nieobecnemu, a w marzeniach wieczornych, lub przy dźwiękach muzyki wspominanemu?

Panna Kornelia nie wyglądała wcale na istotę nieczułą, nie miała powierzchowności kobiety kamiennej, której albo natura odmówiła zdolności czucia, albo którą świat i życie, a raczej przeżycie, obdarły z wszelkich ułud, marzeń i pragnień.

W oczach jej, przeciwnie, paliły się rezerwuary iskier i płomieni; śmiech jej był serdeczny, naiwny niemal, a razem całe gamy przeróżnych wzruszeń wygrywający; układ jej cały świadczył o pełnym życia porywie ku światu i wszelkim powabom jego i uciechom.

O ile pozory te były prawdą, a o ile udaniem?

Czy panna Kornelia była po prostu komedyantką salonową, odgrywającą doskonale wyuczoną na pamięć rolę, ku przewidywanej a samolubnej swej korzyści; czy też należała ona do rzędu tych nieszczęśliwych dziewcząt, które, od dzieciństwa kąpane w niezdrowem tchnieniu, uległy częściowemu zepsuciu, ale noszą się jeszcze z niewystygłą w piersi iskrą poczciwych i żywych uczuć, z której okoliczności dalszego życia wykrzesać mają ogień szlachetny, albo też uczynić garść popiołu, przygniatającą już na wieki serce i umysł ku najniższym sferom tej ziemi?

Na wszystkie te pytania po części przynajmniej znajdujemy odpowiedź w rozmowie, prowadzonej między matką i córką pewnego wieczora zimowego, po rozejściu się gości, pomiędzy którymi znajdował się i doktór Władysław.

* * *

Był to wieczór późny, wskazówki zegarów dobiegały północy, w bawialnym salonie pani prezesowej, gwarnym i rzęsiście oświetlonym przed chwilą, pogasły światła i zapanowała cisza.

Zato w obszernej i zbytkownie urządzonej sypialni, na stoliku z marmurową płytą, jasno paliły się dwie świece, przeglądając się w zwierciedle, umieszczonem przy ścianie przeciwległej, na kosztownej i błyszczącemi cackami zastawionej tualecie.

Matka i córka siedziały naprzeciw siebie, rozdzielone z sobą całą szerokością stołu.

Pani prezesowa włożyła już była swój watowany, nie pierwszej młodości szlafrok, i zajmowała się właśnie splataniem orzechowych włosów w warkoczyk bardzo drobnych rozmiarów, który zwykła była zakręcać na noc z tyłu głowy w kształt włoskiego orzecha.

Bogaty warkocz, który we dnie stroił jej głowę, spoczywał teraz na tualecie w cieniu złoconych kubków i flakonów.

Twarz pani prezesowej wyrażała wielkie znużenie fizyczne, zwiędłe jej wargi otwierały się co chwila szerokiem poziewaniem; pomimo jednak tego znużenia i poziewania, malował się na niej pewien wyraz niecierpliwości, a nawet gniewu, który

wzmagał się za każdym razem, gdy biegające ruchliwe jej oczy spotkały twarz córki.

Panna Kornelia nie zdjęła jeszcze z siebie sukni, w jakiej jaśniała przez cały dzień i wieczór, a tylko z włosów powyjmowała szpilki i przepaski, przez co kilka z pęt uwolnionych grubych warkoczy spłynęło na jej plecy strugami połyskującego hebanu.

Siedziała pochylona nieco nad stołem i, wsparłszy twarz na lewej dłoni, prawą niedbale przerzucała dzienniki mód, wyszukując pomiędzy nimi kolorowych rycin, z których każdej przyglądała się bacznie i z uwagą.

Niedaleko tualety, nieco w cieniu, stała jeszcze trzecia osoba; była nią garderobiana, w milczeniu oczekująca na rozkazy swych pań.

— Niech mama spojrzy na tę suknię: bardzo gustownie jest zrobiona, i to obszycie z koronek i aksamitu wybornie ją stroi — przerwała milczenie panna Kornelia, a zarazem posunęła ku matce rycinę, której przedtem długo przypatrywała się sama.

Ale pani prezesowa nie raczyła rzucić okiem na przedmiot, ukazany przez córkę, i splatała wciąż swój warkoczyk, nie mówiąc ani słowa.

Tylko wargi jej zacisnęły się nieco mocniej i małe oczki, przebiegając od okna ku drzwiom i od drzwi ku oknu, żywiej błysnęły kilka razy.

— Bardzo milutki kapelusik! — znowu zawołała panna Kornelia, nie zważając na to, że na pierwszą uwagę swą nie otrzymała żadnej odpowiedzi. — Pióra wcale ładnie są ułożone i fasonik zgrabny. Dołożyłabym tu tylko kokardę z aksamitu, albo atłasu sang de boeuf, i dałabym w górze lekką przepaskę z białej koronki.

Pani prezesowa wciąż milczała i kończyła splatanie warkoczyka.

— Czy mamie się nie zdaje — zaczęła znowu panna Kornelia — że takie ubranie z czarnych atłasowych rulonów dobrzeby ubrało moją szafirową suknię?

I znowu jedną z rycin podsunęła ku matce.

Ale tym razem pani prezesowa przeszyła ją spojrzeniem, jak na macierzyńskie, dość ostrem, i żywym ruchem zwróciła się do stojącej wciąż na uboczu garderobianej:

— Podaj mi czepek nocny, Maryanno, i odejdź! Nie będziesz dziś już mi potrzebną. Panienka rozbierze się sama.

Panna Maryanna podała żądany przedmiot i wyszła z pokoju, a pani prezesowa, z czepkiem nocnym w ręce, powstała, cichym, skradającym się krokiem podeszła ku drzwiom, otworzyła je i wyjrzała do przyległego pokoju; to samo uczyniła z drugiemi i z trzeciemi drzwiami, a przekonawszy się, że wszystkie trzy przyległe pokoje były puste, i nikt się w nich nie znajdował, zajęła się szczelnem wszystkich drzwi zamykaniem.

Panna Kornelia, oderwawszy oczy od żurnalów, z zupełną obojętnością przypatrywała się napiętnowanym tajemniczością czynnościom matki.

Kiedy nareszcie czynności te ukończone zostały i wszystkie drzwi były dobrze zamknięte, pani prezesowa zbliżyła się do stołu, na którym paliły się świece, i usiadła na dawnem swem miejscu.

Nie wkładała jednak na głowę czepka, ale trzymała go w ręku, suchymi i pomarszczonymi palcami szarpiąc szerokie, wykrochmalone garnirowanie. Zarazem kibić jej, okryta watowanym szlafrokiem, wyprostowała się sztywnie, a ruchliwe oczy utkwiły w twarzy córki, która znowu zajmowała się przeglądaniem żurnalów.

Milczenie trwało kilka minut, przerywane tylko kiedy niekiedy cichem nuceniem panny Kornelii i szmerem nakrochmalonego garnirowania, miętoszonego w palcach starszej damy.

— I cóż, Kornelio? — zawołała nagle pani prezesowa, głosem tak mało żartobliwym i tak mało zbliżonym do śpiewu słowika i tym podobnych przyjemnych dla ucha ludzkiego dźwięków, że panna Kornelia drgnęła nerwowo i podniosła oczy na matkę.

— Co, mamo? — zapytała Kornelia z lekką niecierpliwością w głosie.

— Pytam cię, Kornelio, co będzie z tego wszystkiego?

— Z czego, mamo?

— Z czego? z czego? — powtórzyła pani prezesowa, przedrzeźniając córkę — jakie mi niewiniątko! jakie dziecko naiwne, tylko co urodzone! Ona nie wie, o czem ja chcę mówić! Ona doprawdy niczego się nie domyśla! Miła córeczka! luba, kochana córeczka!

Słowom tym towarzyszyły ironiczne dygi, dokonywane wbrew siedzącej postawie, i bardzo żywa giestykulacya rąk, rzucanych w stronę pięknej panny, przeglądającej żurnale.

Piękna panna wzruszyła lekko ramionami, odsunęła nieco żurnale i zwolna zwróciła oczy na matkę.

— Za cóż się mama gniewa? — wyrzekła, tłumiąc lekkie ziewnięcie — proszę wyraźnie mnie zapytywać, a ja również wyraźnie odpowiem.

— Wyraźnie zapytywać! wyraźnie! wyraźnie! — wołała pani prezesowa, postacią i rękoma dokonywając zwykłych swych ruchów. — Otóż kiedy tak, to wyraźnie, bardzo wyraźnie ci powiem, że na pół roku tylko wystarczy nam pieniędzy, a jeśli przez ten czas zamąż nie wyjdziesz, to nie będziemy miały co jeść! Czy rozumiesz?

Panna Kornelia milczała.

— Czy rozumiesz to, co ci powiedziałam? Nie będziemy miały co jeść! krzyknęła pani prezesowa, pochylając się nad stołem tak, że usta jej dotykały prawie włosów córki.

— Czy rozumiesz? czy słyszysz? — powtórzyła parę razy.

— Rozumiem i słyszę — odparła panna Kornelia z niecierpliwym giestem — ale pocóż mama tak gniewa się i krzyczy? czego mama chce ode mnie?

— Chcę wiedzieć — wymówiła pani prezesowa z takąż, jak wprzódy, żywością — chcę wiedzieć, czy córka moja życzy sobie zostać żebraczką i matkę swoją wyprowadzić na starość w świat o żebraczym kiju?

— Nie; córka mamy z pewnością nie życzy sobie takich okropnych rzeczy — odpowiedziała panna Kornelia i zaśmiała się głośno, srebrzyście.

Pani prezesowa zerwała się z krzesła na równe nogi.

— Śmiej się! śmiej się! — krzyknęła — śmiej się dopóty, dopóki ostatniego rubla nie wydamy, a potem, kiedy przyjdzie sukienki sprzedawać na chleb, jedną po drugiej, gorzkiemi łzami płakać będziesz, luba kochaneczko!...

Na wzmiankę o sprzedawaniu sukienek, panna Kornelia przestała śmiać się, w oczach jej błysnął pewien niepokój, po ustach jednak, jak lekko-skrzydły motylek, przelatywał wciąż drobny uśmieszek.

— Moja mamo — rzekła — perspektywa sprzedawania sukienek wcale nie jest pocieszającą dla mnie, którabym przeciwnie chciała ich jeszcze nakupić, co niemiara. Ukazaniem mi tej perspektywy odebrała mi mama wszelką ochotę do śmiechu. Przyrzekam więc, że będę cicho siedziała i słuchała tego, co mi mama powie.

Pani prezesowa, uspokojona nieco i przebłagana tymi, ku

zgodzie dążącymi wyrazami córki, kręciła się jeszcze kilka sekund wkoło stołu, sapiąc głośno i machinalnie powtarzając ostatnie wyrazy, jakie się o jej uszy obiły, nakoniec usiadła i włożyła na głowę zmięty i wygnieciony czepek, nie zawiązała go jednak pod brodą, i z szerokiemi po obu stronach twarzy płóciennemi taśmami, spadającemi na pierś, z rękoma, rezolutnie splecionemi na kolanach, z oczyma, które, zamiast biegać po pokoju, tkwiły stale w twarzy panny Kornelii, zniżonym głosem mówić zaczęła:

— Pamiętasz pewno, a jeżeli nie pamiętasz, to ci właśnie przypomnę teraz o tem, że, po sprzedaży dóbr naszych, pozostało nam zaledwie trzy tysiące rubli w gotówce, z którymi właśnie postanowiłyśmy zjechać do X. na mieszkanie.

— A raczej na poszukiwanie! — przerwała bardzo obojętnie panna Kornelia, i ziewnęła szeroko.

— Tylko nie poziewaj, luba kochaneczko! uczyń mi tę łaskę i nie poziewaj — z ironią przemówiła pani prezesowa — to, co ci mówię, nie jest wcale żartem, ale rzeczą, na którą powinnaś zwrócić całą swą uwagę.

— Już ją zwróciłam; niech mama będzie łaskawa mówić dalej — rzekła panna Kornelia, niedbale opierając się o poręcz krzesła i wzrok podnosząc do sufitu, jakby, w braku innej rozrywki, pragnęła widokiem malowanej na nim rozety przyozdobić sobie cokolwiek rozmowę z matką.

Pani prezesowa popatrzyła na córkę przez chwilę z zaciśniętemi wargami, lecz, pragnąc widocznie wyłożyć przedmiot swój do końca, powstrzymała gniew, który tryskał przez jej oczy, i mówiła dalej:

— Jakim sposobem wielka niegdyś nasza fortuna stopiła się tak nędznie, żeśmy z tym szczupłym pozostały zaledwie zasobem, nie potrzebuję powtarzać. Ojciec twój, luba kochaneczko, był człowiekiem rozrzutnym i zapaloną głową, rzucał się w różne głupie antrepryzy, które go, koniec końcem, zrujnowały. Postawienie gorzelni kosztowało go, co najmniej, sto tysięcy złotych; jakiś młyn parowy, niewiedzieć do czego potrzebny, przynajmniej drugie tyle. Luby ten człowiek wszystkiego zawsze odmawiał żonie, a sadził pieniądze w swoje głupie przedsięwzięcia...

Tu panna Kornelia podniosła oczy i, zatrzymując je na twarzy matki, rzekła:

— Pocóż mi mama powtarza tę całą historyę, kiedy ja przecież znam ją tak dobrze i z innej cokolwiek strony zapatruję się na nią.

— Zapatrujesz się z innej strony! zapatrujesz się! — zawołała pani prezesowa — alboż ty umiesz zapatrywać się na co z rozsądkiem i rozwagą! Ty jesteś szaloną, niedorzeczną dziewczyną, umiejącą tylko zapatrywać się na swoje suknie i kapelusze!

— Dlaczego mnie mama czego innego nie nauczyła? — przerwała panna Kornelia, żywo podnosząc głowę.

— Cicho bądź! — odpowiedziała pani prezesowa — wiem przecie, że jesteś najgorszą córką ze wszystkich córek na świecie... Niema w tobie ani uszanowania dla matki, ani wdzięczności za tysiące trudów, które dla ciebie ponosiłam i ponoszę ciągle...

Panna Kornelia zarumieniła się zlekka, oczy jej bardzo żywo błysnęły, wzruszyła ramionami i rzekła:

— Moja mamo! czy nie mogłybyśmy już pójść spać, a przynajmniej mówić o czem innem?

Pani prezesowa przygryzła wargi, poruszyła się żywo na krześle, ale nie wybuchnęła.

Znała zapewne charakter córki i wiedziała, że uporem i gniewem nigdy z nią do końca nie dojdzie. Łagodniejszym tedy tonem, niżby się można było po wyrazie jej twarzy spodziewać, mówiła dalej:

— Otóż twój ojciec był głupim człowiekiem, rozmarnował fundusz niewiedzieć na co...

— Ojciec mój nie był szczęśliwym człowiekiem, i dlatego może nic mu dobrze nie szło... — ozwała się znowu panna Kornelia.

Ale tym razem lekki smutek zadrgał w jej głosie.

— Ojciec twój rozmarnował majątek niewiedzieć na co — nie chcąc zważać na przerwę, ciągnęła pani prezesowa — rozmarnował trzysta tysięcy złotych, które mu wniosłam w posagu tak, że po śmierci jego mnie i tobie pozostało więcej długów, niż włosów na głowie.

— O, ja mam więcej włosów, niż wszyscy ludzie razem wzięci długów mieć mogą — przerwała panna Kornelia, obu dłońmi zgarniając na przód olbrzymie swe sploty, i śmiejąc się przytem głośno i srebrzyście.

— I znowu śmiejesz się! — krzyknęła pani prezesowa. — Czy możesz być rozsądną choćby na jedną chwilę? luba kochaneczko! czy pozwolisz mi dokończyć?

— Pozwalam! — z komiczną powagą wyrzekła panna Kornelia i, odrzuciwszy w tył włosy, którymi przed chwilą bawiła się z upodobaniem, uroczyście wyprostowała się i skrzyżowała ręce na piersi.

Uśmiech tylko na żaden sposób opuścić nie chciał jej warg pół-otwartych, które także, od czasu do czasu, drżały stłumionem poziewaniem.

Pani prezesowa z gniewem rzuciła ramionami, splunęła za siebie, targnęła taśmy czepka i mówiła dalej:

— Kiedy ojciec twój umierał, miałaś lat siedmnaście, teraz kończysz rok dwudziesty drugi. Przez ten czas robiłam wszystko, co mogłam, aby cię dobrze wydać zamąż; spraszałyśmy do siebie sąsiedztwo i nie sąsiedztwo, woziłam cię do wód zagranicznych, dwie zimy przesiedziałam z tobą w Warszawie, stroiłam cię, wypisywałam corocznie po kilka żurnalów mód...

W tym punkcie panna Kornelia głośno i szeroko ziewnęła, a zarazem, podnosząc wskazujący palec prawej ręki do góry, zawołała:

— Trzydziesty siódmy!...

— Co trzydziesty siódmy? jaki trzydziesty siódmy? luba, kochana waryatko! — krzyknęła pani prezesowa.

— Trzydziesty siódmy raz wylicza mama przede mną te wszystkie swoje dobrodziejstwa od czasu, jak jesteśmy w tem mieszkaniu. Rachuję pilnie, i ani jednego razu nie dołożyłam.

I znowu zaśmiała się głośnym śmiechem, który stanowił dziwny uplot naiwności dziecięcej, ironii, pustej wesołości i namiętnego prawie bólu.

— Może zaprzeczysz, że nie były to z mej strony dobrodziejstwa? że nie ponosiłam ogromnych trudów? że mnie to połowy zdrowia nie kosztuje? — wołała pani prezesowa, starając się głosem swym zagłuszyć śmiech córki.

— Zdaje mi się, że razem ze mną i mama wcale nieźle się bawiła — przestając śmiać się, wyrzekła panna Kornelia, i zaraz potem zanuciła pierwsze takty walca »Il Baccio«.

— Czy będziesz ty mnie dziś słuchała! — krzyknęła pani prezesowa.

— Słucham — odpowiedziała panna Kornelia, i znowu wyprostowała się z powagą.

— Masz tedy, luba kochaneczko, dwadzieścia dwa lata — mówiła pani prezesowa tonem, w którym ironia łączyła się z łagodnością, którą przybrać wyraźnie usiłowała — masz tedy, luba kochaneczko, dwadzieścia dwa lata — powtórzyła jeszcze

dobitniej i podniosła w górę żółty pomarszczony palec — przez pięć już zatem lat może cię stroję, pokazuję ludziom i wypisuję dla ciebie po kilka żurnalów.

W długim tym przeciągu czasu miałaś, kochaneczko, adoratorów wielu, starających się o rękę twoją daleko mniej, a stosownych i dobrych partyi najmniej, te zaś ostatnie podobało ci się dotąd odrzucać, luba, kochana kapryśnico!

Dłużej jednak kaprysić ci nie wolno, ja ci to powiadam, matka twoja.

Musisz zdecydować się raz, i to bardzo prędko, gdyż nad głowami naszemi wisi nędza, rozumiesz ty to? nad głowami naszemi wisi nędza!

A wiesz ty, luba córeczko, co to jest nędza? jest to jedna ciasna izba do mieszkania, twardy stołek do siedzenia, łachman do okrycia się i raz na dzień kawałek czarnego twardego chleba do połknięcia.

Gdybyś była samą jedną na świecie, wolnoby ci było wybierać pomiędzy wyjściem zamąż a nędzą, wolnoby ci było zostać guwernantką i uczyć krnąbne dzieciaki klapania na fortepianie i szwargotania po francusku. Ale masz matkę, matkę, która tyle ofiar uczyniła dla ciebie, która, wożąc cię i pokazując ludziom, nadwątliła swoje słabe zdrowie, która, stroiąc cię i wypisując dla ciebie po kilka żurnalów w roku, dokonała swej majątkowej ruiny!

Masz matkę, która ci dała życie i świetną edukacyę, a nad której głową wisi teraz nędza... Nędza! nędza!...

Czy rozumiesz ty ten wyraz? pomyśl, co to jest nędza! Postaraj się tylko zrozumieć, czem jest nędza?...

Przy ostatnich wyrazach, wymawianych bardzo prędko, z gorączkowym niemal pośpiechem, pani prezesowa zaczęła drżeć prawie na całem ciele, drżące jej palce szarpały taśmy od czepka, pobladłe wargi wykrzywiły się nerwowo, głowa trzęsła się, a cała kibić, zgarbiona i kurczowo przyciśnięta do tylnej poręczy krzesła, objawiała poczucie przejmującej trwogi.

Po chwili drżącym jeszcze głosem zaczęła mówić dalej:

— Sam Bóg powiedział: »Czcij ojca twego i matkę twoją«. Sam Bóg powiedział, luba kochaneczko! Należy słuchać Boga i czcić matkę, a jeszcze taką matkę, która tyle ofiar uczyniła dla swego dziewczęcia.

Co to znaczy czcić matkę? znaczy to być jej posłuszną i chronić ją od nędzy... a zresztą i dla ciebie samej uczynić to powinnaś, i raz już przecie zdecydować się w wyborze. Dwa-

dzieścia dwa lata, to, luba kochaneczko, wiek, w którym kobieta bardzo myśleć o sobie powinna...

Czas leci... leci... leci... lata mijają... mijają... świeżość twarzy więdnie, oczy gasną, czoło marszczy się, włosy siwieją...

Do tego czasu, luba kochaneczko, miałaś adoratorów wielu, ale starających się o twoją rękę na seryo daleko mniej...

Dlaczego tak było?

Oto dlatego, że ludziska przewąchali, iż nie będziesz miała posagu, i rzadko który do tego stopnia zakochał się w tobie, żeby aż o tem zapomnieć...

A cóż to będzie potem, kiedy więcej jeszcze czasu upłynie?

Kiedy przyjdzie nędza, a świeżość twarzy zwiędnie, oczy zgasną, czoło pomarszczy się, włosy posiwieją... nie będziesz już miała wtedy starających się, luba kochaneczko, nie będziesz już miała nawet adoratorów, nie będziesz miała chleba i sukni! będziesz głodna, Kornelko, i zawsze źle ubrana! rozumiesz mnie, Kornelko?...

Ostatnie wyrazy pani prezesowa wymówiła szeptem prawie, i umilkła zmęczona i, z ciężkością oddychając, wpijała w córkę ostrym blaskiem migocące wejrzenie.

Panna Kornelia przez cały czas przemowy matki siedziała nieporuszona, z łokciem o stół opartym i głową na dłoń opuszczoną.

Wyraz twarzy jej zmienił się bardzo, zamiast bowiem uprzedniej płochej lekkości i wesołości, zapanowało w nim zamyślenie, z osłupieniem graniczące.

Przestała uśmiechać się, poziewać i nucić, rumieńce znikły z jej policzków, śliczne usta zacisnęły się nieco, oczy otworzyły się szerzej, niż zwykle, i nieruchomemi źrenicami, z których bez śladu zniknął czarodziejski blask gwiazd złotych, wpatrywała się w przeciwległą ścianę.

Kiedy niekiedy tylko nerwowe drgnienie przebiegało twarz jej marmurową, lub białe palce, na których skroń wspierała, zapuszczały się w las kruczych włosów i bezwiednym ruchem przebiegały pomiędzy lśniącymi i wijącymi się nakształt wężów kędziorami.

Kiedy pani prezesowa przestała mówić, parę minut głębokie trwało milczenie.

Nagle panna Kornelia podniosła głowę, wyprostowała się, skrzyżowała na piersi ramiona, wzrok przeniosła z przeciwległej ściany na twarz matki, i zniżonym nieco głosem ozwała się:

— I kogoż radzi mi mama wybrać z pomiędzy wszystkich tych ludzi, którzy mnie teraz otaczają?...

Na dźwięk tego pytania, pani prezesowa podskoczyła na krześle z radości, twarz jej rozjaśniła się w mgnieniu oka, na zwiędłych wargach pojawił się uśmiech zadowolenia.

— Ot tak to lubię — zawołała — nie śmiejesz się, nie poziewasz, nie śpiewasz, ale rozsądnie zapytujesz o radę matkę swoją! Ot tak, to lubię, ot tak, to grzeczną jesteś, luba, kochana córeczko!

Wymawiając te uprzejme wyrazy, pani prezesowa wyciągnęła rękę nad stołem i chciała nią pogładzić włosy swej córki.

Panna Kornelia nie poddała się tej pieszczocie, usunęła nieco głowę i takim samym, jak pierwej, głosem ponowiła pytanie:

— I kogoż mama radzi mi wybrać?...

Teraz pani prezesowa oparła się łokciem o stół, a brodę na dłoń spuściła.

W tej postawie pozostawała kilka sekund, zamyślona głęboko.

— Myślałam już o tem nieraz, luba kochaneczko — ozwała się po chwili — i nawet, ile mogłam, tyle zebrałam wiadomości o tych wszystkich panach, którzy tu koło ciebie się kręcą. Ryfka jest nieocenioną Żydówką. Zna ona całe miasto i jego okolice, jak swoją własną kieszeń, a ile tylko razy przyjdzie tu z towarami, zawsze mi mnóstwo ciekawych i pożytecznych rzeczy naopowiada.

Rzecz bardzo prosta, że zapłacę jej po kilka groszy drożej za każdy łokieć materyi. Z ludźmi, luba kochaneczko, trzeba umieć żyć i obchodzić się! trzeba umieć obchodzić się z ludźmi. Ja z Ryfką obejść się umiałam i dowiedziałam się od niej wiele rzeczy...

Pani prezesowa, zadowolona ze swej umiejętności obchodzenia się z ludźmi, pokazała w uśmiechu kilka żółtych zębów, a po chwili mówiła dalej:

— Kiedy, przed kilku miesiącami, sprzedałyśmy nasze dobra i pozostałyśmy z mizernymi trzema tysiącami rubli w ręku, pomyślałam sobie: »trzeba zrobić coup d'état«.

Jakież to było coup d'état, jakie umyśliłam zrobić? oto, luba kochaneczko, tem coup d'état było przywiezienie cię do prowincyonalnego miasta.

W stolicy byłaś już nieraz, robiłaś tam zawsze wielką furorę, ale mało z tej furory było pożytku. Stolice zepsute są bardzo, mężczyźni, w nich mieszkający, mają brzydki zwyczaj dopytywania się o posag młodej panny, a przytem w wielkiem mieście, to jak w lesie, największa nawet piękność długiego nie sprawia efektu, bo obok niej znajdą się wnet inne piękności, które ją zaćmią, a przynajmniej odbiorą jej urok osobliwości. W prowincyonalnem zaś mieście łatwiej o niewiniątka, które poprzestają na piękności i talentach, o posag nie pytają, a panna piękna i utalentowana jest w niem rzadkością, świetnem zjawiskiem słońcem tem więcej widzialnem, im na mniejszym błyszczy horyzoncie i im mniej ludzie, patrzący na nie, przyzwyczajeni są do podobnych widoków.

Otóż uczyniłam coup d'état i przywiozłam cię do X., które jest miastem niewielkiem, ale posiada wielu mieszkańców zamożnych i stoi w środku bogatej okolicy.

Pokazało się, że wyrachowanie moje było dobrem. Rój mężczyzn otoczył cię odrazu i w tem tylko bieda, że tu, jak wszędzie, daleko więcej znalazło się adoratorów, niż konkurentów na seryo; pierwszych bowiem masz bez liku, drugich, o ile z uwag moich wnoszę, tylko trzech...

Na ustach panny Kornelii znowu swawolny zaigrał uśmieszek.

— Ciekawam też bardzo — zawołała ze śmiechem — kogo mama zalicza do rzędu adoratorów moich, a kogo do konkurentów?

— Adoratorami twymi — z powagą odrzekła pani prezesowa — adoratorami, na których nic a nic liczyć nie można, są: naprzód pan M., panicz zrujnowany, który ożeniłby się chyba z pełną świadomością, że bierze za żonę pannę posażną; następnie pan N., stary kawaler, który nigdy się nie ożeni, gdyż ma przy sobie siostrę, strzegącą go od małżeństwa dlatego, aby wziąć po nim spadek; następnie jeszcze pan O., który ożenić się nie może, dla tej prostej przyczyny, iż jest już żonatym; dalej młody hrabia P., który za żonę nigdy nie pojmie szlachcianki bez tytułu; dalej znowu pan R., lubiący piękne oczy i piękną muzykę, ale marzący o żonie gospodarnej, oszczędnej, lubiącej wieś i dom, a nie lubiącej zabaw i strojów.

Oto i masz listę twoich adoratorów, luba kochaneczko, braknie w niej może kilku, ale dla tych samych mniej więcej przyczyn do tej kategoryi należą niezawodnie.

Wszyscy ci ludzie lubią z tobą przebywać, gdyż jesteś

piękną, ożywioną, rozmowną, lubią słuchać twojej muzyki i twego śpiewu, kochają się w tobie nawet po trochu, i każdy po swojemu, ale ożenić się z tobą żaden z nich nie myśli. Zostaje więc trzech tylko, którzy oświadczą się o twoją rękę, i z pomiędzy których jednego koniecznie wybrać powinnaś...

— I któż są ci trzej? kto są ci trzej? — wołała panna Kornelia, która przez cały czas wyliczania przez matkę jej adoratorów zanosiła się od śmiechu.

Zamyślenie i bladość bez śladu zniknęły z jej twarzy; była znowu zarumienioną, dziecinnie wesołą, z oczu sypała iskry.

— Ci trzej — mówiła dalej pani prezesowa, nie rozgniewana tym razem głośną wesołością córki — ci trzej są: pan Karol W., pan Ksawery Z. i pan Władysław X. Zobaczmyż, jakie warunki posiadają ci trzej panowie.

Tu pani prezesowa podniosła znowu swój wskazujący palec w górę i uroczyście niemal wymówiła:

— Ryfka jest nieocenioną Żydówką. Ona zna miasto i okolice, jak swoją własną kieszeń, i od niej to wiem, że pan Karol W. nie utrzyma się długo przy swych obszernych dobrach, bo po uszy jest obdłużony. Gra on rolę wielkiego pana i bogatego człowieka, ale ruina wisi mu nad karkiem, a niech cię Pan Bóg broni, abyś miała wyjść za zrujnowanego obywatela! Tym sposobem bowiem dostałybyśmy się obie z deszczu pod rynnę i, zamiast uchronić się od biedy, wzięłybyśmy tylko do kompanii trzecią gębę.

Tego rodzaju ludzie nic nie umieją robić i, jak stracą majątek, to, albo służą po prostu za ekonomów, albo umierają z głodu...

Gdybyś więc wyszła za pana Karola, albobyś wkrótce została panią ekonomową, albobyś z nim razem, a następnie i ze mną głód cierpiała...

— Fi! — zawołała, wstrząsając się, panna Kornelia — są to dwie perspektywy, z których jedna gorszą jest od drugiej!

— Widzisz sama, że tak jest, i bardzo cieszę się z tego, że to widzisz, luba kochaneczko — przytwierdziła pani prezesowa. Teraz więc zobaczmy pana Ksawerego Z.: jest to urzędnik, mający wysoką posadę i znaczne dochody, ale tetryk i skąpy, jak Molierowski Harpagon. Ryfka jest nieocenioną Żydówką, od niej się tego dowiedziałam. Strzeż cię Boże, abyś wyjść miała za skąpca! Będzie rachował kąski niesione przez ciebie do ust, i wyliczał, ile łokci wstążki wychodzić powinno na garniro-

wanie sukni, jeżeli jeszcze pozwoli ci kupować jakiekolwiek wstążeczki...

— Dziękuję za łaskę! — ozwała się panna Kornelia — nie życzę sobie wcale, aby przyszły mój mąż wtrącał się do moich sukien... Powinnam ich mieć tyle, ile mi się podoba...

— Otóż widzisz! — potwierdziła pani prezesowa, zadowolona uwagami córki — o panu Ksawerym tedy, jak i o panu Karolu mowy być nie może... Zostaje więc jeden doktór Władysław X. i za tego właśnie wyjść powinnaś!...

Przy ostatnich słowach pani prezesowej chmurka przebiegła po czole panny Kornelii, oparła znowu głowę na dłoni i milcząc patrzyła na matkę, która mówiła dalej:

— Ten doktór Władysław posiada wszystkie warunki, jakie przyszły mąż posiadać powinien. A najprzód, ma on wcale piękne dochody. Ryfka mi powiedziała, że rok rocznie miewa po trzy, cztery, a nawet pięć tysięcy rubli. Są to, luba kochaneczko, dochody w tych czasach niepospolite, i pogardzać takimi dochodami nie należy!

Takimi dochodami, luba kochaneczko, rzadko który obywatel pochwalić się dziś może! mając takie dochody, żyć można całą gębą! na wielką skalę żyć można, luba kochaneczko...

Gdy pani prezesowa wypowiadała te wyrazy, oczy jej błyszczały i migotały bardzo żywo, a wskazujący palec, podniesiony do góry, wstrząsał się w powietrzu nakazująco uroczystym ruchem.

— Przytem — mówiła dalej — przytem, luba kochaneczko, ma on, ile wnieść mogłam, charakter miękki, taki, z którym uczynisz wszystko, co zechcesz.

Mogę nakoniec zaręczyć za to, że, jak teraz nie myśli o twoim posagu, tak później nie będzie skąpił ci na wydatki. Będziesz sobie panią całą gębą, a co najwięcej, że nigdy nią być nie przestaniesz, bo takie stanowisko, jakie ma doktór Władysław, nie jest majątkiem obdłużonym i żadni wierzyciele nie mogą mu go odebrać...

Przestała mówić pani prezesowa, i swemi bystremi migotliwemi oczkami bacznie wpatrywała się w twarz córki.

Odpowiedź tę jednak nie prędko usłyszeć miała.

Panna Kornelia siedziała znowu nieruchoma, pobladła, oczy jej znowu, otworzywszy się nieco szerzej, niż zwykle, pałający swój blask utraciły, na białem gładkiem czole ukazała się zmarszczka.

Twarz jej wyglądała znowu marmurowo, a tylko przebiegały ją drgania dziwne, niby wydobywające się na zewnątrz objawy tych drgań wewnętrznych, które wstrząsały jej piersią prześliczną i nerwowo kurczyły palce zatopione w lesie czarnych kędziorów.

Nagle podniosła głowę, wyprostowała się ruchem szybkim, załamała ręce i wyciągnęła je przed siebie; zarazem zawołała:

— O, mamo, wolałabym Gustawa! sto razy! tysiąc razy! milion, miliard razy wolałabym Gustawa!

— Co! — krzyknęła pani prezesowa, i porwała się z krzesła, jak sprężyną poruszona — o! ty jeszcze myślisz o tym młodziku, o tym hołyszu, o tym skrzypicielu, który ledwie na suchy kawał chleba...

— Chleba! chleba! i zawsze chleba! — przerwała panna Kornelia, podnosząc głos i wyprężając przed sobą załamane ręce. — O! mamo! czy ty sama byłaś kiedykolwiek młodą?

Czy czułaś kiedy serce, uderzające w piersi?

Czy myślałaś kiedy o tem, że na całe, całe, całe życie zostaniesz z człowiekiem, dla którego nie miałaś żadnej, żadnej miłości?

Czy ty, mamo, mnie rozumiesz?

Czyś kiedykolwiek chciała mnie zrozumieć?

Czyś położyła dłoń na mojem sercu?

Czy choć raz zabolała cię myśl, że serce to oddasz wzamian chleba... chleba... chleba?...

Słowa te wypadły z ust panny Kornelii, jak potok wzburzone i gwałtowne.

Załamane ręce wyprężyły się, pierś wysoko podniosła się westchnieniami, na twarzy zaświeciła łuna ognistej, niepowstrzymanej namiętności, a z oczu gorejących, jak zarzewie, wypłynęły dwie grube łzy i zwolna stoczyły się po nagłym rumieńcem rozpalonych policzkach.

Pani prezesowa stała o kilka kroków od stołu, jak przykuta do miejsca, głowa jej trzęsła się, oczy mrugały i migotały, w prawej ręce, targanej kurczowym ruchem, potrząsała czepiec nocny, który w czasie słów zerwała sobie z głowy. I było kilkanaście minut zupełnego milczenia, przerywanego tylko ciężkim oddechem panny Kornelii, która siedziała także nieruchomo, z twarzą w górę podniesioną, rękoma wyprężonemi i dwiema łzami błyszczącemi, jak dyamenty na tle szkarłatnego rumieńca, zalewającego policzki.

W końcu pani prezesowa zwolna i zcicha mówić zaczęła:

— A ty, luba, kochana córeczko, czy byłaś kiedy głodną?

Czy trzęsłaś się kiedy od zimna, nie mając czem w piecu napalić dla ogrzania twego pokoju?

Czy brakło ci kiedy jedwabnych sukien, koronek, piór, kwiatów, karmelków i żurnalów mód?

Ha, moja panno, co takie piękne umiesz zadawać pytania, czy odpowiesz mi na te, jakie ci teraz zadaję?

Czy wiesz, jak smakuje głód, jak chłód dolega i jakiego koloru bywają łachmany?

Czyś pomyślała kiedy o tem, że i matce twojej coś się przecie należy także?... że za tyle trudów i ofiar, jakie dla ciebie poniosła, obowiązkiem twym jest zapewnić jej starość spokojną i wygodną?

Czy zabolała cię choć raz myśl, że matka twoja doświadczy nędzy?

Nie, nie, nie, ty o tem wszystkiem nie myślałaś, bo jesteś egoistką bez serca, złą córką, która ani na chwilę nie zawahałaby się przed poświęceniem swej matki dla własnej przyjemności, dla własnego kaprysu!

W tem miejscu zdyszana i zasapana szanowna dama w dwóch palcach obu rąk zlekka uniosła watowany szlafrok i, głębokie przed córką dokonywając dygi, w ten sposób dokończyła swej mowy:

— Uniżona sługa panny Kornelii dobrodziejki! bardzo dziękuję lubej, kochanej córeczce mojej za to, że przekłada młodzika jakiegoś i hołysza nad matkę swą, która ją osypywała zawsze tysiącem dobrodziejstw! Bardzo, bardzo dziękuję pannie Kornelii za troskliwość jej i czułość dla mnie! Uniżona sługa mojej lubej, kochanej córeczki i jej ulubionego skrzypiciela Gustawka...

Każdemu z tych ironicznie wymawianych słów towarzyszył dyg głęboki, za każdym z dygów, pani prezesowa cofała się o parę kroków w głąb' pokoju.

W chwili zaś, gdy wymawiała ostatni wyraz i ostatni dyg dokonywała, panna Kornelia opuściła ręce, w których czoło jej przez chwilę ukryte było, i spojrzenie swe zwróciła na matkę. Jednocześnie, jak rój figlarnych sylfów, tysiące swawolnych uśmieszków zaigrało na jej twarzy, i głośna gama śmiechu srebrzyście rozlała się po pokoju.

— O, moja mamo! — wołała, śmiejąc się, młoda piękność — gdyby kto w tej chwili wszedł do pokoju, mógłby doprawdy myśleć, że mama tańczy solo menueta...

Pani prezesowa wyprostowała się i przyskoczyła do córki.

Na jej twarzy jednak mniej było gniewu, niż przed chwilą.

— Z dwojga złego — zaczęła mówić, nakładając na głowę zmiętoszony czepiec — z dwojga złego wolę już śmiech twój, niż te głupie androny, które przed chwilą prawiłaś... No, i jakże, zdecydowałaś się nareszcie?

Panna Kornelia przestała śmiać się.

— Mój Boże! — odpowiedziała napół żartobliwym, napół poważnym tonem — tak mnie mama nastraszyła nędzą, głodem, łachmanami, siwymi włosami i tym podobnemi, wcale nieponętnemi rzeczami, że boję się, bym febry nie dostała z przestrachu. A jednak niech mi mama wierzy, że wszystkie te groźby wcale mi nie były potrzebne. Wiem dobrze, jakiem jest położenie nasze, i rozumiem, że niepodobna mi wyjść za Gustawa dla tej prostej przyczyny, że nie jest on bogatym, a ja nie wyobrażam sobie nawet, jak można żyć w biedzie. Z tem wszystkiem był to piękny sen mego życia, o którym myśleć i wspominać nikt, nawet mama, zabronić mi nie może.

— Ach, luba kochaneczko! — zawołała udobruchana nieco matka — myśl sobie i wspominaj o tym pięknym śnie twego życia, ile tylko ci się spodoba, byleby tylko te wspomnienia nie przeszkadzały ci postępować praktycznie i rozsądnie. Sny i marzenia swoją, a rzeczywistość swoją drogą.

Śnij sobie i marz o Gustawie, ile chcesz i kiedy chcesz, ale nie odrzucaj dobrej partyi, jeśli ci się ona nadarza, bo inaczej źle będzie z nami...

Panna Kornelia zamyśliła się znowu.

— Wolałabym tylko — ozwała się po chwili w zamyśleniu — wolałabym tylko, aby ten pan Władysław był mniej uczciwym człowiekiem...

— A toż co znowu za wyskok? — zawołała pani prezesowa — i cóż ci to szkodzi, że on jest uczciwym człowiekiem?

— Tak... wstyd mi jakoś trochę... — zwolna i zniżonym głosem wymówiła panna Kornelia.

Pani prezesowa machnęła ręką.

— At, głupstwo! — rzekła — alboż ty, luba kochaneczko, nie jesteś także uczciwą panną?...

Panna Kornelia nic nie odpowiedziała i parę minut siedziała nieruchomo, z oczyma utkwionemi w kolorową rycinę żurnalu.

Po wyrazie jej twarzy trudnoby odgadnąć, czy przypatrywała się ozdobnej sukni, wymalowanej na rycinie, czy też roz-

ważała, o ile prawo nazywania się uczciwą panną służyć jej mogło i skąd pochodził ten wstyd nieokreślony, o jakim mówiła przed chwilą.

Nagle w głębi pokoju, kędyś w pobliżu pieca ozwało się głośne i przeciągłe poziewanie.

Odgłos ten wyszedł z gardła małego angielskiego wyżełka, który spał dotąd spokojnie na miękkiej poduszce, a teraz obudziwszy się, w ten sposób obecność swoją przypominał dwom paniom.

— Fido! — zawołała panna Kornelia, i porwała się z krzesła — biedna, kochana psina! zapomniałam o niej zupełnie!

Z pieskiem na ręku stanęła na środku pokoju i, pieszcząc, głaszcząc i całując faworyta, zwróciła się do matki:

— Mamo! konferencya skończona, ja i Fido możemy już iść spać, nieprawdaż?

. . . . . .

. . . . . .

W kilka minut potem pani prezesowa, córka jej i wyżełek Fido ułożyli się do spoczynku.

Ten ostatni, rozciągnięty u nóg swej młodej pani na atłasowej jej kołdrze, wkróce głęboko zasnął. Ale panna Kornelia nie zaraz usnęła.

Oczy jej długo były otwarte i ścigały po ścianach białe błyski lampy nocnej, a kiedy pani prezesowa spała już spokojnym snem sprawiedliwych, usta panny Kornelii poruszały się i wypłynął z nich szept cichuteńki:

— Wolałabym Gustawa! sto razy, tysiąc razy, milion, miliard razy wolałabym Gustawa...

Gdy wymawiała to, pierś jej podniosła się westchnieniem, ale w tejże chwili wesołe jakieś przypomnienie przejść jej musiało przez głowę, bo na ustach swawolny zaigrał uśmiech.

Z tem niedokończonem westchnieniem w piersi i z tym rozpoczętym uśmiechem na półotwartych wargach, usnęła młoda panna, a my, którzyśmy byli świadkami tej tak ważnej rozmowy z matką, osądzimy, czy trafnym był sąd pani Ludwiki, gdy mówiła, że łatwiejby było pochwycić w dłoń parę, unoszącą się w powietrzu, niż znaleźć ostatnie słowo jej »umkliwej« natury.

Czyliż zresztą natury podobnej nie można porównać do dziwacznie pokłębionej, sprzecznymi prądami wiatrów szamotanej, w przezroczystem powietrzu miotającej się i błyszczącej pary?

Ale tu znowu myśli naszej nasuwają się pytania:

Czy jakakolwiek istota ludzka może przyjść na świat, z góry już tak »umkliwą« i kapryśną obdarowana naturą?

Czy mądrości twórczej może w tworzeniu jakiegokolwiek dzieła zabraknąć logiki i harmonii?

Czy też może sprzeczności i dysonanse natur ludzkich są już sztucznym wyrobem tych, pomiędzy których Twórca rzuca rozpoczęty w zaziemskich światach twór swój, aby go oni wedle ziemskich ukształtowali warunków?

Czy tedy dysharmonia, jaką odznaczało się wnętrze panny Kornelii, powinna była zostać policzoną na karb tej wysokiej siły i woli, która miliardy olbrzymich globów potrafiła stworzyć i przez wieki utrzymywać w doskonałym harmonijnym ładzie, czy też obwinić o nią należało tych, którym siła i wola powierzyła dokończenie rozpoczętego tworu swego?

Pani prezesowa była matką panny Kornelii; jej-to zatem powierzoną została w pierwszej instancyi sprawa życia i duszy jej dziecka...

Ale zostawmy panią prezesową w pokoju!

Usypia ona teraz snem sprawiedliwych i przez sen oderwane wymawia wyrazy o zięciu z wielkimi dochodami i o niezliczonych ofiarach, jakie poniosła dla szczęścia swej córki...

Zwróćmy się raczej do doktora Władysława i zobaczmy, o ile blizkim on jest chwili, w której u stóp młodej piękności złoży serce swe i swe... znaczne dochody.

* *
*

Tu, łaskawi czytelnicy, otwiera się przed nami niezmiernie szerokie pole, na którem moglibyśmy roztoczyć niezmiernie szczegółowy i poruszający obraz tych rozlicznych przejść, zmian i modyfikacyi, jakie od poznania panny Kornelii zachodziły w umyśle doktora Władysława.

Korzystając z przywileju, przysługującego tym, którzy prawią światu rozmaite o bliźnich swych opowieści, moglibyśmy na czas pewien odebrać szanownemu Eskulapowi serce jego, wyobrazić sobie, że jest ono własnem naszem sercem, i tak dokładną o wszelkich poruszeniach i uderzeniach tego serca zdać relacyę, jak gdyby one w naszej własnej odbywały się piersi.

Dla większej ścisłości i rzetelności sprawozdania, moglibyś-

śmy to serce położyć na stole, tuż obok papieru, na którym piszemy i, za każdym skreślonym wyrazem, zaglądać we wszystkie jego kąciki i wydobywać z nich treść dla następnych wyrazów. Takim sposobem ujrzelibyśmy sami i jasno wykazalibyśmy innym ludziom: w którym z kącików tych znajdował się poryw ślepy i instynktowy; w którym odzywała się spokojna rozwaga; kędy siedliska swoje założyły wzruszenia, a kędy znowu znajdowało się miejsce oddziaływających przeciwko tym wzruszeniom wahań się i niepewności; w którą komórkę najobfitszym strumieniem wpływały kontraltowe dźwięki głosu młodej piękności; na jaką najsilniejszy wpływ wywierała retoryka jej aksamitnych źrenic, a w jakiej jeszcze rozsiadła się pani Ciekawość, szepcąca sobie po cichu, ale ciągle, tajemnicze słowo:

— Kto wie?

Tak, kto wie, czy ciekawszych jeszcze rzeczy i misterniejszych uplotów nie zdołalibyśmy odkryć w tem sercu, leżącem przed nami na stole obok papieru, na którym piszemy?

Być może bowiem, że odkrylibyśmy w niem pewien kącik, w którym jednocześnie z kontraltowym głosem panny Kornelii dźwięczał świeży i głęboki głos panny Józefy, i inny jeszcze, połyskujący nietylko parą kobiecych źrenic, ale dwiema aż parami, z których jedna miała czarność aksamitu i blaski gwiazdowe, a druga była tak błękitną, jak niebo w południe, i przezroczystą, jak kryształ bez skazy.

Ujrzelibyśmy następnie w tem sercu, przed nami leżącem, dwie cieniuchne niteczki, z których każda miała swe źródło gdzieindziej, tak, że obie stanowiły prądy, w całkiem odmiennych płynące kierunkach, a czasem to tak szybko i gwałtownie płynące, że falami ich porwane biedne serce podnosiło się i wahało w różne strony, jak gdyby, nakształt łodzi, pozbawionej wiosła i sternika, puszczone było na wzdętą od burzy wód powierzchnię...

Ujrzelibyśmy dalej...

Tu zatrzymujemy szereg przypuszczeń i domniemań naszych, gdyż słyszymy głosy wasze, o mili czytelnicy, zwrócone ku nam z następnie brzmiącym zarzutem:

— Nieuważny powieściarzu! zapominasz o tem, że to serce, które leży przed tobą na stole, jest sercem nie zwykłego i powszedniego sobie prostaczka, nie pasterza z sielanki, uwieńczonego polnymi kwiatami; ale należy ono do doktora medycyny, zatem do człowieka, poświęcającego życie gruntownym i poważnym studyom, przypatrującego się wciąż najrealniejszym

widokom tej ziemi, zatem bardziej sceptyka, niż marzyciela, bardziej pozytywisty, niż entuzyasty, bardziej zbliżonego do mrozu, niż do upału, do uroczystej ciszy, panującej w świątyni nauki, niż do owych burz, które szumią w krainach sentymentów! Jeśli tedy to serce doktorskie tak napełnione jest, jak nam o tem opowiadasz, źrenicami czarnemi i błękitnemi, dźwiękami głosów kontraltowymi i innymi, prądami uczuć sprzecznych i wrzących; kędyż w niem sobie znajdą miejsce terapia i patologia, tyfus, cholera, katary, febry, gorączki i felczerzy, niepotrzebnie wytaczający krew z żył człowieczych, i rozpoczęta o tych felczerach pisana rozprawa, i ludzkość bolejąca, chorująca, jęcząca, a wielkim głosem wzywająca kapłana nauki, aby, w imię namaszczenia swego, dla niej jednej, dla niej wyłącznie, poświęcił serce swoje, bez żadnego względu na wszelkie czarne i błękitne źrenice, chyba, gdyby i te także znalazły się w stanie chorobliwym i potrzebującym rady medycznej?

Kędyż więc znajdą miejsce dla siebie: ludzkość i jej choroby, medycyna i jej działy, felczerzy i ich lancety, jeśli serce doktora, obciążone balastem, z ócz i postaci kobiecych złożonym, pływać będzie po rzece czułości, nakształt łodzi, pozbawionej wiosła i sternika?...

Zarzut ten, o łaskawi czytelnicy, moglibyśmy odeprzeć twierdzeniem, że wszystko, coście wymienili, jako to: ludzkość i jej choroby, medycyna i jej działy, felczerzy i ich lancety, nie ma najmniejszej styczności z sercem, bo siedliskiem ich, czyli pobytu miejscem, bywa zwykle głowa człowieka. Wszakże, nie chcąc zadawać kłamu własnym naszym przekonaniom, jakowe zawsze i u każdego porządnego człowieka pragną widzieć serce i głowę w nierozdzielnem połączeniu, nie będziemy posługiwać się tym argumentem, a po prostu powiemy, że w sercu doktora Władysława znajdowało się i to i owo, źrenice kobiece czarne i błękitne, i głosy kontraltowe i inne, i prądy uczuć, sprzeczne i wrzące, a obok nich ludzkość, ze wszystkiemi jej dolegliwościami, i medycyna, ze wszystkiemi jej akcesoryami, przemienione w jedno ogólne pojęcie i poczucie obowiązku, które i na sercu leżało, i tkwiło w niem głęboko, i ani na chwilę nie ustępowało przed wdzięcznym szeregiem wyżej wymienionych, a z wód rzeki czułości powstałych zjawisk. Nie wyobrażacie bowiem sobie, mili czytelnicy, jak to serce człowieka ogromnem nieraz bywa. Wy, którzy, przykładając rękę do piersi, czujecie pod dłonią waszą kołacący się i miotający drobny zale-

dwie punkcik waszego ciała, tak drobny, że mało większy od tego, co kołace i miota w łonie waszego zegarka, ani domyślacie się może, jak ten punkcik rośnie i olbrzymieje dla wzroku, który roztworzyć go i rozłożyć przed sobą umie, w tajemnicze, przemnogimi strumieniami płynące życie jego wejrzeć potrafi.

Na ziemi i niebie niema potęg takich i wielkości, któreby w tym drobnym na pozór punkciku zawrzeć się nie mogły, ani takich głosów mocnych, którymby on dać nie mógł odpowiedniego rezonansu, ani takiej mnogości zjawisk, by w jego wnętrzu dostatecznych nie znalazły przestrzeni, ani tak srogich sprzeczności, którymby dość obszernego do bojowania zabrakło w nim pola.

Wszystko jest i wszystko być może w tem biednem, drobnem sercu człowieczem.

Od najczystszej światłości niebieskiej do najgłębszych cieniów tej ziemi, od najwyższej cnoty do najniższego występku, od ideału z czołem w obłokach do robaka z tułowiem w błocie, od najsmętniejszego minoru do najweselszych majorowych tonów, od burzy szalonej do ciszy grobowej, od płomieni do lodu, od wniebowzięcia do wpiekłowstąpienia, wszystko w niem zawsze się zmieści, jeśli nie w jednym dniu, nie w jednym momencie, to w wielu dniach i momentach, i wielu stopniowaniami, zawikłaniami, węzłami, pasmami, wielu zaledwie dojrzanymi, nad włos subtelniejszymi strumykami, przepłynie przez to drobne biedne serce, unosząc je na prądach niezgłębionych kędyś w dal nieskończoną, w głębiny tego nieznanego Oceanu, który, nakształt olbrzymiego rezerwuaru, chłonie w siebie pojedyńcze prądy wszech duchów ludzkich.

To drobne, biedne serce człowiecze posiada długą i nieraz wielce zajmującą nić dziejów, ale także i właściwą sobie geografię, wśród której zagubiłby się niejeden najbieglejszy geograf, najdoskonalej znający wszelkie konfiguracye i właściwości wielkiej i bogatej kuli ziemskiej.

W tem drobnem sercu, jak na ziemskich rozłogach, podnoszą się góry, niebios sięgające, i czernieją otchłanie z dnem, jak noc ciemnem; są w niem strefy dziwnie urodzajne, pełne rajskiego kwiecia i woni upajających, i inne, jałowe, chwastami porośnięte i spieką zabójczą przepalone nawskroś; są w niem źródła gorące z wiecznem wrzeniem w głębi, wulkany, wzdęte nieśmiertelnym ogniem i nieśmiertelne iskry z wiecznie otwartych kraterów wyrzucające, i są także lodowiska ponure, z których od czasu do czasu odrywają się bryły twarde i skrzepłe,

aby odpłynąć w światy dalsze i mrozem ścinać wody życiodawczych strumieni.

Franklina pochłonęły surowe strefy północnego bieguna, lecz ilu ludzi skrzepło od mrozu na lodowiskach serc swych bliźnich — któż przeliczy?

Wędrowni Arabi konają nieraz z pragnienia na bezwodnych piaskach swych pustyń, lecz ilu ludzi pomarło od spieki, we własnych ich żarzącej się sercach, komuż wiadomo?

Odważna Ida Pfejffer objechała świat cały od końca do końca, lecz czy była kiedy jaka istota, któraby się dostała we wszystkie zakątki serca człowieczego?

Któż zdoła upewnić?

Alpejski pasterz chyżemi stopy najwyższych dosięga szczytów i silną pierś nurza w błękitach, które całują białych śniegów łono; lecz czy ktokolwiek dosięgnął wzrokiem punktu najwyższego, w którem serce człowieka pada w uścisk nieba?

Nikt nie odpowie!

Pompeji i Herkulaneum zagrzebane zostały pod czarną, brzydką lawą Wezuwiusza; lecz ilu z nas cierpi i marnie przepada pod brudną strugą błota, pian i mętów, płynącą na nas ze złych serc człowieczych — wszyscy o tem wiemy.

I oto takiem, jak pokornie wyznajemy, wielce niedołężnem określeniem wielkości i obszerności serca ludzkiego usprawiedliwiamy się przed wami, mili czytelnicy, ze śmiałości naszej, z jakąśmy w sercu uprzejmie łasce waszej poleconego doktora Władysława umieścili obok ludzkości i jej chorób, medycyny i jej różnych akcesoryi, aż dwie pary oczu kobiecych, z których każda innego była koloru, aż dwa głosy kobiece, z których każdy brzmiał inaczej, aż dwa źródła, z rzeki czułości wypływające, z których każde serce to w innym unosiło kierunku.

Co więcej, powiedzieliśmy wyżej, że, korzystając z przywileju, przysługującemu tym, którzy prawią światu rozmaite o bliźnich swych opowieści, moglibyśmy na czas pewien odebrać szanownemu Eskulapowi serce jego i wyobrazić sobie, że jest ono własnem naszem sercem, i tak dokładną o wszelkich jego poruszeniach zdać relacyę, jak gdyby one w naszej własnej odbywały się piersi.

I powiedzieliśmy jeszcze, że, dla większej ścisłości i rzetelności sprawozdania, moglibyśmy to serce położyć przed sobą na stole, tuż obok papieru, na którym piszemy, i za każdym skreślonym wyrazem zaglądać we wszystkie jego kąciki i wydobywać z nich treść dla następnych wyrazów. Byłaby to zapra-

wdę arcy-przyjemna robota, jeśli nie dla was, łaskawi czytelnicy, to dla nas, którzy szczególniejsze mamy zamiłowanie w anatomii; nie w tej wprawdzie, która panią Eufrozynę spowodowała do wydobywania wątroby z wnętrzności sowiego trupa, ale tej, która z piersi człowieczej wydobywa serce, i na niem, jak na karcie geograficznej, rozpatruje różne konfiguracye, szczyty i zapadliny uczuć ludzkich.

Byłaby to więc arcy-przyjemna dla nas robota, gdybyśmy z serca doktora Władysława urządzili podobną kartę geograficzną i, wodząc po niej palcem, ukazywali te różne zwroty, skręty, gzygzaki i wykrętasy, w jakie plątał się porywający je, a rozdwojony, prąd rzeki czułości.

Wszakże widzimy się w konieczności odmówienia sobie tej miłej zabawy; konieczność zaś ta wypływa stąd, że, przy rozpoczęciu tej opowieści naszej, postanowiliśmy sobie podróżować ekstrapocztą.

Podróżować ekstrapocztą, znaczy dla powieściarza: opowiadać zwięźle i ograniczać się w opowiadaniu do samych najwygodniejszych faktów, resztę pozostawiając domyślności słuchaczy lub czytelników.

W wieku parochodów i kolei żelaznych wszyscy mniej więcej lubią podróżować prędko. Nie jesteśmy pewni, czy to powszechne prędkie jeżdżenie wszechstronne, czy tylko jednostronne przynosi pożytki.

Powolna bowiem jazda nastręcza tysiące sposobności do rozglądania się w widokach przebywanej okolicy, badania jej natury, zachwycania się jej pięknością, słowem, uczenia się i używania, wtedy, gdy prędka jazda nie pozwala patrzeć i każe domyślać się wszystkiego, skąd znowu wyniknąć może ta niedogodność, że ludzie, nieobdarzeni od przyrody zbyt wydatnym guzem domyślności, przebywszy okolicę, pełną najpiękniejszych zjawisk, mogą wyobrazić sobie, że przebywali pustynię. Wszakże z drugiej strony ci, którzy posiadają bujną i ognistą wyobraźnię, stworzą sobie raj tam, gdzie była najzwyczajniejsza ziemia, ogród Semiramidy zobaczą na polu, zasadzonem rzepą, kałużę zamienią w ocean, rów w otchłań, a kępę, porośniętą zielskiem, w wyspę, zwieńczoną cyprysami. Kto wie, czy ta-to właśnie możność tworzenia światów na własną rękę nie stanowi głównego uroku szybkiej jazdy.

Bądź co bądź, my, rozpoczynając pisanie niniejszej opowieści, postanowiliśmy dążyć do ostatniego jej słowa ekstrapocztą i, wierni temu postanowieniu, wyrzekamy się przyjemności

szczegółowego rozpatrywania się w geografii serca doktora Władysława, pozostawiając domyślności czytelników bliższe określenie tych zwrotów i konfiguracyi, jakie zakreślały uczucia jego, dążące z jednej strony ku pannie Józefie, z drugiej porywające go ku siedzącej przy fortepianie i kontraltowym głosem opiewającej utratę swojego serca pannie Kornelii.

I któżby nie zapragnął, aby serce tak zachwycającej i zachwycająco grającej i śpiewającej panny na jego upadło drogę?

A gdyby upadło, któżby się nie pochylił, aby je podnieść, i obok własnego nie umieścił serca, aby już oba stukały sobie razem i zgodnie?

Ten, ktoby tak nie uczynił, byłby czemś mniej, lub czemś więcej, niż człowiekiem; doktór Władysław zaś był ni mniej, ni więcej, tylko człowiekiem, a jeszcze takim, przed którego oczyma stawała nieraz budowa społeczna, rozwalona i najstraszniejszemi klęskami zalana i prześladowana za winę mężczyzn, którzy żenić się nie chcieli.

Ostatnie to zjawisko, jakkolwiek przepełnione ruinami i wszystkiemi atrybucyami, stanowiącemi poezyę ruin, jako to: nietoperzami, dzikimi ptakami i bluszczami, oplatającymi sterczące ścian szkielety, nie miało w sobie nic ponętnego dla prawdziwego miłośnika ludzkości, jakim był doktór Władysław. Nic dziw więc, że, aby pozbyć się co prędzej tego zasmucającego widoku, chciał on ożenić się.

Kto wie zresztą, czy skutek nie był tu przyczyną, a przyczyna skutkiem, i czy chęć ożenienia się wypłynęła z obrazu rozwalonej za winą bezżennych mężczyzn budowy społecznej, czy też obraz ten powstał właściwie z chęci pojęcia towarzyszki życia, jaka, z upływem czasu, coraz silniej dawała się poczuwać osamotnionemu w swym uczonym gabinecie doktorowi.

Ostatnie przypuszczenie ma za sobą wszystkie pozory prawdopodobieństwa, albowiem niema na świecie ani jednego człowieka, choćby najuczeńszego i najpoważniejszemi zajętego pracami, któryby choć raz w życiu nie zapragnął usiąść przed kominkiem z jaką miłą, ukochaną istotą i, przy szumiących za oknami odgłosach burzy zimowej, wsłuchiwać się w cichy tętent jakiegoś drobnego i gorącego serca, któreby dla niego i tylko dla niego jednego zcicha i łagodnie nuciło pieśni bezgranicznej miłości.

Bywają w życiu epoki, w których życzenie to wzrasta do

pewnej, dość wysokiej potęgi, zamienia się w żądanie gorące, a potem w pragnienie despotyczne i nieodparte.

Epoką taką bywa najczęściej dla mężczyzny ta pora jego życia, kiedy, po długiej i sumiennej pracy, zdołał on w czynie choć w części sprawdzić samego siebie, w której, po wielu walkach i bojowaniach ze światem i samym sobą, pewną już stopą oparł się na właściwym sobie gruncie, kiedy wiosna życia pozostała już za nim, a z nią odleciał rój napowietrznych rojeń i ambitnych a niesprawdzonych marzeń młodzieńczych, kiedy niejeden doświadczony zawód, niejedna troska, osiadła pod czaszką, wielkim głosem woła o pociechę i zapomnienie, a serce tyle jeszcze posiada mocy, iż czuje, że z niego to właśnie ten zdrój letejski obficie wytrysnąć może.

Kiedy, słowem, człowiek silny jeszcze, lecz już nie zuchwały, smutny trochę, lecz nie zniechęcony, z wiarą w siebie i cele swoje, lecz z lekkiem powątpiewaniem o ludziach i szczęściu, pragnie do potężnego z jednej strony, lecz z drugiej osłabionego nieco, łańcucha swego żywota dołączyć jedno jeszcze ogniwo, splecione z uczuć i powinności rodzinnych. Wtedy to najczęściej mężczyzna rozumny, działający i doświadczony, pragnie na sercu kochającej kobiety, przy spokojnie oddychającej niewinnej piersi dziecięcia, zapomnieć o wielu rzeczach, a wiele innych przypomnieć sobie, stracić na chwilę część swojej siły, aby ją potem, wypoczętą i w zdroju zacnych uczuć skąpaną, w dwójnasób większą, niż była, odebrać, słodkimi węzłami tymi przybliżyć siebie i ściślej spoić z ludzkością całą, od której odstąpił był może nieco ze zniechęceniem i urazą, chowaną w sercu za niesprawdzone marzenia młodzieńcze, które czyliż komukolwiek ludzkość sprawdziła w całości?

W takiej-to właśnie epoce życia znajdował się doktór Władysław, kiedy po raz pierwszy do głowy mu przyszła myśl, że rodzina stanowi fundament budowy społecznej, że zatem ktokolwiek nie stara się o wzmocnienie fundamentu, jest winowajcą, sprowadzającym ruinę budowy i przybliżającym chwilę, w której ludzkość, z oświeconej i moralnej, jaką (przypuszczalnie zapewne) jest teraz, przemieni się w hordę dzikich barbarzyńców.

Doktór Władysław za nic w świecie nie chciałby należeć do liczby sprawców tak olbrzymich niedoli, a przytem dziwnie nie lubił odgłosów burz jesiennych i zimowych, i wolałby o wiele słuchać tętentu łagodnego jakiegoś serca, któreby obok niego i dla niego uderzało, albo raczej muzyki, płynącej

z pod alabastrowych paluszków, któreby obok niego i jedynie dla niego poruszały strunami dźwięcznego instrumentu.

Doktór Władysław tedy, jak ze wszystkiego wnosić można, serdecznie chciał ożenić się, i zresztą, całem sercem przyznajemy mu w tem żądaniu zupełną słuszność.

Czemże bowiem starokawalerstwo lepsze jest od staropanieństwa?

A jednak wiadomo powszechnie, jak to ostatnie szkaradnie zniesławionem zostało przed światem, ile do pojęcia o niem wiąże się w oczach ludzi wynikłych z niego szkód i niedorzeczności.

Otóż, co do nas, zdaje się nam, że starzy kawalerowie pod żadnym a żadnym względem nie mogą mieć pretensyi do jakiejkolwiek nad staremi pannami wyższości, a jeśli mniej ujemnej i obrażającej, niż one, używają sławy, przypisać to należy nie czemu innemu, tylko niesprawiedliwości świata i sądów jego, które, podobnie jak wszystkie potęgi grube i ślepe, przechylają się zawsze na stronę silniejszego.

* * *

Ergo doktór Władysław serdecznie chciał ożenić się, i właśnie w chwili, gdy chęć ta najsilniej w nim powstała, poznał on ładną, dobrą, wykształconą i mnóstwem niepospolitych cnót i zalet ozdobioną Józię.

Być może, że łaskawe przeznaczenie umyślnie zawiązało znajomość tę właśnie pomiędzy dwojgiem tych ludzi, aby następnie oni sami już ugruntowali ją, utrwalili i w dozgonny związek małżeński zamienili.

Być może, iż w związku tym byliby oboje o tyle szczęśliwi, o ile ktokolwiek szczęśliwym być może na tym świecie płaczu i wiecznych narzekań padole.

Aliści, jak z uczuciami ludzi, tak i z ich przeznaczeniami bywa niekiedy, i nawet często, że dzielą się one na dwa, sprzeczne z sobą, prądy, z których jeden płynie łaską, a drugi niełaską.

Niełaskawy tedy prąd przeznaczeń doktora Władysława przywiódł na drogę jego piękną, świetną, utalentowaną pannę Kornelię, i postawił ją pomiędzy nim a ładną, cichą, po prostu i skromnie cnotliwą Józią.

Z zetknięcia się tych dwóch prądów wynikło w sercu doktora Władysława wiele rozmaitych wahań się, komplikacyi, o których napomknęliśmy wyżej, dokładne ich określenie powierzając domyślności naszych czytelników; a wahania te i komplikacye zakończyły się tem, że pewnego wieczora (był to jeden z ostatnich wieczorów karnawałowych) doktór Władysław wpadł raczej, niż wszedł, do gabinetu swego najlepszego przyjaciela, znajomego nam pana Witolda, i po krótkiem powitaniu, bez żadnych wstępów i omówień, bardzo owszem krótko i węzłowato rzekł:

— Przyszedłem, aby cię uwiadomić, Witoldzie, że się żenię!

To rzekłszy, usiadł na fotelu, na który padał najgłębszy cień od zasłony, przykrywającej lampę, i skrzyżował ręce na piersiach z miną człowieka, który przewiduje burzę i postanawia mężne jej stawić czoło.

— Winszuję i pochwalam — rzekł pan Witold. — Radbym tylko dowiedzieć się, z kim się żenisz?

— Z panną Kornelią! — odpowiedział doktór najrezolutniej w świecie.

Pan Witold, dążąc do kanapy, w której blizkości zasiadł gość jego, stanął nagle na środku pokoju, wpatrzył się w przyjaciela, a po kilku chwilach milczenia wstrząsnął głową i wymówił zupełnie innym głosem, niż wprzódy:

— Nie winszuję i nie pochwalam.

— Kochany Witoldzie! — rzekł po chwili doktór, zwolna cedząc wyrazy — ile wiem, każdy z nas żeni się dla siebie samego, a nie dla swoich przyjaciół. Przyjaciele swoją drogą, a żona, którą sam sobie wybiera, swoją...

— Ani słowa, ani słowa przeciwko temu powiedzieć nie mogę! — odparł pan Witold.

I ze wzrokiem stale utkwionym w swego gościa, usiadł naprzeciw niego.

Kilka sekund patrzyli na się wzajem w milczeniu.

— I cóż? — przerwał milczenie pan Witold — oświadczyłeś się?

— Oświadczyłem się — krótko brzmiała odpowiedź.

— I otrzymałeś przyrzeczenie?

— Otrzymałem.

— Stało się! — zawołał pan Witold głosem człowieka, który rozpoczyna mowę pogrzebową wyrazem:

— »Nie żyje!...«

Potem zerwał się, parę razy przebiegł pokój wzdłuż i wszerz.

Nagle stanął przed doktorem Władysławem i z ciężkiem westchnieniem wymówił:

— Bóg mi świadkiem, kochany Władysławie, że nie nadużywam imion świętych i Pismo Święte cytuję bardzo rzadko. Teraz jednak nie mogę się powstrzymać od powiedzenia ci: habent oculos et non vident. Umiesz przecie po łacinie i wiesz, co to znaczy...

— I owszem—przerwł doktór Władysław, zawsze z jednakową obojętnością — mam dobre oczy i widzę w pannie Kornelii mnóstwo pięknych zalet, których, nie wiem dlaczego, wy dostrzedz w niej nie możecie; jeżeli zaś obok zalet są w niej i pewne wady...

— Są wady! o, są! — wtrącił, kręcąc głową, pan Witold.

— Jeżeli zaś obok zalet są w niej i pewne wady — nie zważając na przerwę, ciągnął doktór Władysław — to jest ona tak młodą, świeżą i niewinną, że, przy łagodnym i rozsądnym wpływie, z łatwością dadzą się one zagładzić i usunąć...

— Trudna sprawa! dyabelnie trudna sprawa! — wymówił, jak pierwej, pan Witold.

— Panna Kornelia — prawił dalej doktór — posiada wszystkie warunki, jakie pragnąłem zawsze widzieć w przyszłej mojej żonie, ile razy tylko przychodziła mi do głowy myśl ożenienia się. Piękna, młoda, pełna życia, utalentowana i z zamiłowaniem pielęgnująca swoje talenty, będzie ona właśnie tem, czem kobieta w życiu domowem powinna być dla mężczyzny, to jest: ozdobą, poezyą, artystyczną i wesołą stroną domu jego i jego egzystencyi. Przytem...

— Przytem — przerwał nagle pan Witold — przytem, jesteś zakochany po uszy, a do tego i więcej może jeszcze, niż zakochany, bo zaślepiony teoryą o kobietach i małżeństwie, jaką sobie kształciłeś w swoim gabinecie, patrząc nie na świat i ludzi, ale na puste kąty twego pokoju, które, wierzaj mi, nie zawsze bywają dobrymi poradnikami, albowiem siedzi w nich samotność i ma to do siebie, że o dalekich i wysokich rzeczach prawi bardzo mądrze i zbawiennie, lecz o najbliższych i poziomych nieraz bardzo głupio gada. Samotności, której najchętniej oddają się ludzie uczeni, świat zawdzięcza najmędrsze odkrycia i najgłupsze małżeństwa, jakie bywały kiedy pod słońcem...

Doktór Władysław zdawał się nieco zniecierpliwionym, co

spostrzegłszy, pan Witold zmienił ton, jakim mówił dotąd, i rzekł z odcieniem powagi w głosie:

— Przebacz, kochany Władysławie, jeśli zaczepiam o tak delikatny przedmiot i ośmielam się przemawiać w ten sposób o tej, która już jest twoją narzeczoną. Wszakże upoważnia mnie do tego wieloletnia przyjaźń nasza, a przytem, czyliż jedna para na świecie rozprzęgła się po najsolenniejszych zaręczynach, skoro jedna ze składających ją osób uczuła, lub została przekonaną, że dozgonna podróż z drugą nie zupełnie byłaby dla niej przyjemną i dogodną.

Przyznam ci się otwarcie, że w połączeniu się twojem z panną Kornelią nie widzę dla ciebie nawet takiej sumy szczęścia, jaka bywa udziałem małżeństw, znośnie przynajmniej, jeśli nie doskonale, dobranych, i najkompletniej nie podzielam tej teoryi, którą uważam za główną przyczynę uczynionego przez cię wyboru.

— A jednak — odparł doktór Władysław — sam wziąłeś za żonę kobietę pełną wdzięku, wesołego i miłego charakteru i starannie ukształconą...

— To prawda — z uśmiechem potwierdził pan Witold — Ludwika posiada wszystkie te przymioty, któreś wymienił, ale oprócz nich ma ona inne, gruntowne, które służą tamtym za fundament i podporę.

Moja żona jest rzeczywiście ozdobą, poezyą, piękną i wesołą stroną mego domu i mojej egzystencyi; ale, oprócz tego, jest ona jeszcze i czemś więcej, bo najlepszą i najrozumniejszą przyjaciółką moją, pojętną powiernicą myśli, jakie kiedykolwiek powstają w mej głowie, dzielną pomocnicą moją w pełnieniu surowych i twardych zadań życia, umiejętną doradczynią i tkliwą pocieszycielką w strapieniach, rozumną nakoniec i wiernie powinnościom swym oddaną matką moich dzieci...

Kiedy pan Witold wymawiał te wyrazy, łuna głębokiej i zacnej radości pokryła twarz jego; podniósł głowę i z lekkiem poczuciem tej dumy sprawiedliwej, jakiej doświadcza mężczyzna na myśl, że znalazł, ocenił i zdobyć dla siebie potrafił kobietę, nad którą lepszej i godniejszej nie zna na świecie.

— Ludwika! — mówił dalej, po chwili milczenia — takie kobiety, jak ona, są w dzisiejszych czasach rzadko rozsianymi po społeczeństwie dyamentami, niemniej jednak z takiemi tylko żenić się wypada ludziom, którzy, jak ty i ja, nie na żart żyją, którzy każdą piędź ziemi na drodze swojej sami sobie zdobywać muszą, którzy pracują, a trosk i trudności wszelkich spotykają

wiele, i w głowach swych myśli poczciwych noszą trochę, i dla serc, przykro nieraz światem i losem wstrząsanych, spokoju, wytchnienia, serca kobiecego, im wyłącznie oddanego, potrzebują.

Takim ludziom, jak ty i ja, nie muzyki, nie śpiewu, nie wiecznego chichotu i z artyzmem ułożonych fałd sukni potrzeba w żonie, ale umysłu pojętnego, któryby ich pracą i ich krwawym trudem zdobyte stanowisko w świecie i społeczności pojąć i ocenić potrafił; zasad, opartych na wysokich i wszechludzkich podstawach moralności, na którychby śmiało wesprzeć się mógł honor ich imienia i spokój ich domu; dobroci głębokiej, nie owczej lub cielęcej, ale prawdziwej, ludzkiej, czynnej i myślącej dobroci niewieściej, która, jak balsam uspokajający, spływa na rany, zadawane mężczyźnie zewnętrznemi życia jego okolicznościami, i cichą dłonią odsłania przed nim oblicze wiary i nadziei, jeśli złość ludzka, lub długi szereg niepowodzeń zarzucą na nie zasłonę zwątpień i zniechęcenia.

Kobiety zaś, grające i śpiewające, śmiejące się i strojące, jeśli nic więcej nie umieją i nie pojmują, prócz grania i śpiewania, śmiania się i strojenia, dobre są na żony dla bogatych próżniaków, dla ludzi, którzy tak, jak i one, życie pojmują, jako bal nieustający; dla tych, którzy w czczości umysłu swego i życia razem z niemi szukać będą wrzawy i blasków światowych, radzi, że najświetniejszym z tych blasków jest własna ich żona; ale nie dla nas, kochany Władysławie, nie dla nas!

Przestał mówić pan Witold, a doktór Władysław, który słuchał go z wielką uwagą, rzekł po chwili milczenia:

— Wszystko, co powiedziałeś, jest świętą prawdą, ale nie dowodzi bynajmniej, abym źle uczynił, pojmując za żonę pannę Kornelię. Jest ona bez kwestyi bardzo dobrą, o czem nieraz przekonać się mogłem z drobnych wprawdzie poszlak, które jednak rzadko mylić mogą; umysł ma także żywy i zdolny do pojęcia wszystkiego, co piękne i wielkie, czego najlepszym dowodem jest jej miłość dla sztuki; co do zasad... no... jest ona tak młodą... pani prezesowa niekoniecznie przedstawia wzór troskliwej matki... być może, iż wychowanie Kornelii było trochę za lekkie... że zanadto lubi ona świat i zabawy... ale, mój Boże! toć ja nie jestem przecie młodzikiem, i sam posiadam tyle zasad moralnych i innych, że ich z pewnością wystarczy na dwoje. Trzeba tylko, aby kobieta była dobra, pojętna i szczerze kochała męża, a potrafi on przelać w nią własne swe przekonania i zasady.

— Czy jesteś tylko zupełnie przekonany, że panna Kornelia, przystając na oddanie ci swej ręki, powodowana była szczerą i prawdziwą dla ciebie miłością? — spytał pan Witold z przenikliwem na przyjaciela wejrzeniem.

— W tem nie może zachodzić najmniejszy cień wątpliwości — odparł doktór Władysław z pewną dumą w głosie.

Pan Witold westchnął po raz drugi.

— Ha! szczęść ci Boże! — rzekł — jeśli taka twoja wola! Ja jednak z twoim wyborem na żaden sposób zgodzić się nie mogę, i z góry cię proszę, abyś się nie gniewał na mnie, jeśli w przyszłości przypomnę ci kiedy słowa z komedyi: »Tu l'as voulu, George Dandin!«

Doktór Władysław zaśmiał się.

— Jestem pewny, że nie będziesz miał nigdy sposobności zwrócenia słów tych do mnie; będę bowiem posiadał taką żonę, o jakiej zawsze sobie marzyłem.

— To jest piękną, brunetkę, grającą i śpiewającą — zaśmiał się pan Witold.

Ale po chwili z dumą na czole powtórzył:

— Szczęść Boże!...

* * *

W parę tygodni po tej rozmowie, doktór Władysław, przy boku swej narzeczonej, tonął w przepaścistych głębinach jej źrenic, i przy zawrotnym akompaniamencie srebrzystego jej śmiechu ulatywał myślą w napowietrzny taniec, którego ostatnie pas odbywały się w samych obłokach, a pan Witold, udając się na spoczynek, mówił do swej żony:

— No, i niechże mi kto powie teraz, że doktór medycyny popełnić nie może kapitalnego głupstwa!

— Mój drogi! — odpowiedziała pani Ludwika — Pismo Święte powiada, że najsprawiedliwszy człowiek siedm razy na dzień grzeszy; dlaczegożby rozumny jednej przynajmniej niedorzeczności w życiu swem popełnić nie mógł?

Mówiąc to, dobra kobieta uśmiechała się, ale w oczach jej był smutek.

Żałowała może doktora... myślała może o Józi...

* * *

Nazajutrz wieczorem, a był to wieczór mroźny, lecz i jasny zarazem, cicha smuga promieni księżycowych padała na okno jednego z najskromniejszych domów miasta, a przenikając podwójne szyby i srebrzystą tonią oblewając drobne listki ustawionych pod oknem mirtów i róż miesięcznych, spuszczała się na posadzkę i misternie utkaną draperyą zwieszała się na ścianach niewielkiego pokoju. W pokoju tym siedział starzec z włosami i brodą, którym światło księżyca dawało połysk srebra. Plecami wsparł się o wysoką poręcz staroświeckiego fotelu, ręce nieruchomo splótł na kolanach i dumał.

Przed starcem, na stole leżała książka otwarta, którą snadź czytał aż do dnia schyłku, a na książce spoczywały okulary, wierne ochroniciele zmęczonego wzroku, i spoglądały w głąb' pokoju oczyma, rozżarzonemi przeglądającym się w nich figlarnie promykiem księżyca.

W przyległym pokoju dały się słyszeć śpieszne kroki; szelest, jaki sprawiały, zwiastował stopy kobiety młodej, a jednak było w nich coś, co mówiło o jakimś, ku ziemi tłoczącym je, ciężarze.

Starzec podniósł głowę.

— Czy to ty, Józiu? — zapytał, zwracając twarz ku drzwiom wpółotwartym.

— Ja, ojcze! — wymówił w progu głos łagodny, w którym te same co w stąpaniu zabrzmiały echa ciężkiego przygnębienia.

Zarazem w świetle promieni księżycowych ukazała się smukła postać dziewicza, i zwolna, cicho, postąpiła w stronę starca.

— Dlaczego, mój ojcze, tak długo zostawałeś bez światła?

— Czekałem, abyś ty mi je roznieciła, dziecię moje!

Józia przystąpiła do stołu, na którym stała lampa i, zdjąwszy szklane nakrycie, rzuciła w głąb' iskrę z roznieconej zapałki.

Po chwili żółty płomyczek strzelił w powietrze i oświecił pochyloną nad lampą, bladą, bardzo bladą twarz młodej dziewczyny, i oczy jej, w których kryształe przeglądała się teraz ciemna, nieruchoma chmura.

Tak stała długo, z głową pochyloną nad kołyszącym się w powietrzu płomykiem, rękoma obejmując szklany glob lampy.

Patrząc na nią, możnaby sądzić, że z oczyma otwartemi zapadła w sen jakiś głęboki.

Nagle pierś jej podniosła się westchnieniem... stłumiła je szybko, przykryła płomyk szklaną pokrywką i zwróciła się ku pokojowi.

— Mój ojcze! — rzekła — dziś bardzo zimno na dworze.

— Czyś nie przeziębła? — z niepokojem zapytał starzec, przykładając dłoń do czoła, aby lepiej dojrzeć twarz córki.

— Nie, ojcze; trochę tylko więcej, niż zwykle, czułam wiatr, który dmie na ulicach.

I odwróciła twarz ku oknu, bo dojrzała poruszenie ojca i wzrok jego silący się, aby jej przyjrzeć się zblizka.

Drżącą ręką poruszyła sznurek rolety, która opadła w dół i przysłoniła okno.

— Dziewczynki moje ślicznie się uczą, ojcze — rzekła, zmieniając ład ustawionych przy oknie doniczek.

— Dlaczego głos twój drży? — zapytał starzec i uczynił takie poruszenie, jakby chciał podnieść się i postąpić ku niej, ale niemoc nóg przykuwała go do krzesła.

— Dlaczego głos mój drży? — odpowiedziała zwolna — nie wiem, ojcze; może dlatego, że mi trochę zimno.

— To okryj się czem ciepłem.

— Uczynię to wnet, mój ojcze.

I podeszła do komody, na której stało kilka naczyń szklanych, i poruszyła je wszystkie z kolei, a szkło dźwięczało od drżenia jej palców.

— Józiu! — zawołał starzec, a w głosie jego zadrgał niepokój.

— Co, ojcze? — zapytała, nie odwracając twarzy.

— Pójdź tu do mnie!...

— Zaraz, ojcze!...

I kilkanaście sekund stała jeszcze nieporuszona, z głową schyloną nad próżnymi otworami naczyń szklanych, w które latem wkładała zwykle kwiaty, rwane w ogródku.

Potem odwróciła się, i pewnym, lekkim już krokiem przystąpiła do stołu, przy którym siedział ojciec. Bladość wzrosła na jej twarzy, ale na ustach spokojny wisiał uśmiech, a chmura, która przed chwilą przyćmiewała kryształ jej oczu, silną wolą w głąb' cofnięta, zniknęła. Oparła się dłonią o stół i, pogodnym wzrokiem patrząc na ojca, rzekła:

— Powiedziano mi dziś wiadomość, która i ciebie pewno zajmie, mój ojcze.

Wyrzekłszy te słowa głosem supełnie spokojnym, umilkła i wciągnęła w piersi trochę powietrza.

— Jakąż jest ta wiadomość? — zapytał starzec, się w nią wpatrując.

— Wczoraj odbyły się uroczyste zaręczyny doktora Władysława z panną Kornelią N. — dokończyła Józia takimże pewnym, jak wprzódy, głosem, i tylko wzrok zwróciła ku lampie, może dlatego, aby jej światło zaćmiło i ukryło błyski nagłe, które w tej chwili trysnęły z jej oczu, a podobne były do łez palących, przemocą chowanych za powieki.

Postać starca opadła na tylną poręcz fotelu, usta jego drgnęły parę razy, i wyrwał się z nich przeciągły okrzyk:

— Tak?...

— Tak — mówiła Józia, patrząc znowu na ojca wzrokiem wolnym od łez i chmury — powiedziano mi dziś o tem w domu moich uczennic. Powiadają ogólnie, że oboje bardzo są sobą zajęci, i że ślub ich odbyć się ma w połowie kwietnia.

Rzekłszy to, usiadła przy stole i wyjęła z koszyka szydełkową robotę, pajęczej delikatności.

Starzec milczał i wpatrywał się w nią dziwnym wzrokiem, w którym trwoga śmiertelna łączyła się ze zdumieniem.

— I któż jest ta panna Kornelia? czy znasz ją? nic o niej nie słyszałem nigdy — mówił w końcu, a w głosie jego czuć było głęboką gorycz, z doznanego płynącą zawodu.

Józia niżej schyliła twarz nad robotą, ale szydełko nie przestało błyskać w białej jej dłoni.

— Jest to, mój ojcze — zaczęła mówić zwolna, lecz zupełnie spokojnym tonem — jest to bardzo piękna panna, najpiękniejsza może z kobiet, jakie widziałam kiedykolwiek. Przytem gra i śpiewa podobno prześlicznie, i w towarzystwie ma być bardzo ożywioną i zajmującą. Nic więc dziwnego, że pan Władysław upodobał ją sobie...

— Nic dziwnego! — zawołał starzec, prostując się, jak struna, i z oczyma nagle rozpłomienionemi — zapewne! nic w tem niema dziwnego, że pan Władysław upodobał sobie pannę piękną i prześlicznie, jak powiada, grającą i śpiewającą. Nic w tem niema dziwnego, bo ludzie są, jak dzieci: podoba im się zwykle to, co najwięcej błyszczy! Chciałbym tylko wiedzieć, jakie inne zalety posiada ta panna Kornelia, oprócz piękności, grania i śpiewania?

Czy potrafiłaby ona tak, jak inne młode dziewczęta, własnemi siłami, z anielskiego serca zaczerpniętemi, podtrzymać istnienie swoje i kogoś jeszcze innego, niedołężnego i do żadnej pracy niezdolnego?

Czy wstaje ona codzień o świcie i kładzie się o północy, aby, jak inne, pracować, wciąż pracować, i tym sposobem torować sobie drogę wśród obcych, obojętnych ludzi?

Czy potrafiłaby ona, jak to czynią inne, pielęgnować umysły i serca młodego pokolenia, aby z niego wyszła pociecha dla ludzi i nieba?

Czy za młodu już ją, skromną i ubogą, otacza dobrze zasłużony szacunek publiczny?

Czy jest ona, jak kto inny, słońcem dla zagasłych jakich oczu, wiosną dla jakiego zmęczonego serca, podporą, dumą i nadzieją ostatnią chylącego się do grobu ojca?...

Ostatnie słowa starzec wymówił drżącym głosem, postać jego opadła znowu na tylną poręcz krzesła, umilkł, i tylko zwiędłe wargi jego drgały i poruszały się, a wzrok, omglony wyrazem goryczy tłumionego gniewu, tkwił w przeciwległej ścianie

Józia milczała długo.

Na twarzy jej bladość wielka ustępowała miejsca przed palącym rumieńcem.

Po chwili jednak i ten zniknął, a młoda dziewczyna podniosła głowę i, spokojnym wzrokiem patrząc na ojca, rzekła:

— Mój ojcze! każdy na świecie człowiek ma inne powinności i stosowne do nich wykształca w sobie zalety. Panna Kornelia nigdy zapewne nie była w położeniu takiem, któreby skłaniało do pełnienia tego wszystkiego, coś wymienił przed chwilą. Rodzice jej byli podobno niegdyś bardzo bogaci; być może, iż dziś jeszcze matka jej znaczny posiada majątek; nie potrzebowała więc ona zapracowywać sobie na życie, ani miała sposobności wykazać, o ileby do tego była zdolną. Nie idzie za tem, mój ojcze, aby posiadać ona nie mogła pięknych i gruntownych zalet serca i umysłu, a nawet sądzę, że tak być musi koniecznie, skoro taki człowiek, jak pan Władysław, ukochał ją i wybrał sobie na żonę...

Rzekłszy to, Józia położyła robotę na stole i zarazem potem, zmieniając przedmiot rozmowy, dodała:

— Czas już, mój ojcze, abyś się napił herbaty; potem wybierz książkę, którą chcesz, abym ci dziś czytała. Pójdę, i wnet wszystko, co potrzeba, urządziwszy, powrócę.

Wstała; przechodząc mimo ojca, rzuciła mu uśmiech pogodny, jak niebo, i spojrzenie przezroczyste, jak kryształ, i zniknęła za drzwiami przyległego pokoju.

. . . . . .

Po jej odejściu starzec siedział nieruchomy, z wyrazem zdumienia w oczach.

Być może, że dziwił go spokój córki, który zadawał kłam przypuszczeniom i dotychczasowym spostrzeżeniom jego, które zdawały się ukazywać mu rozkwitającą w jej sercu pierwszą i gorącą miłość? być może jeszcze, że przenikał wnętrze młodej dziewczyny, i w zdumieniu przypatrywał się mocy niezmiernej, jaką posiadała jej pierś dziewicza?

Po chwili splótł ręce, głowa jego smutnie poruszyła się kilka razy, a drżące wargi wyszeptały:

— A jam myślał, że on ją kocha, że przed śmiercią zobaczę ją szczęśliwą i bezpieczną, że, gdy mnie nie stanie, na jego piersi wypłacze ona swoje łzy po mnie i nie będzie samą na świecie!...

Westchnął ciężko, a w tej chwili do pokoju weszła Józia, niosąc na tacy szklane przyrządy do herbaty, które jednak najlżejszego nie wydawały dźwięku, bo ręce młodej dziewczyny drżeć już przestały.

I była przez cały wieczór blada i bardzo zarazem spokojna.

W oczach jej kryształowych nie było ani chmury, ani łzy, a głos jej, gdy czytała, lub przemawiała do ojca, miał brzmienie przytłumione nieco i mniej świeże, niż zwykle, ale miękkie i tak łagodne, jakby do piersi jej nie zakradła się była nigdy najmniejsza kropla goryczy, lub urazy do ludzi, czy losu.

Aż dopiero, gdy nadeszła pora spoczynku, starzec pochwycił obie ręce młodej dziewczyny i przyciągnął ją do siebie.

— Dziecię moje! — wymówił, schylony nad jej czołem, podniesionem ku niemu — czy ci nic nie jest? czy ci nie smutno? czy ty nie cierpisz bardzo?

Spuściła wzrok i milczała; umiała przezwyciężać ból swój, skłamać nie potrafiła.

— Boże mój! — zawołał starzec z boleścią, załamując dłonie nad jej uginającą się głową — dlaczegoż nie masz matki, któraby cię lepiej ode mnie od cierpień ustrzedz mogła?

Dlaczego Bóg mi cię dał w późnej jesieni mojego życia, kiedy siły moje chyliły się już ku upadkowi, kiedy nic już uczynić nie mogłem, aby ci los szczęśliwy, spokojniejszy byt zapewnić?...

Co stanie się z tobą, dziecię moje, w tej długiej przyszłości, która na cię czeka, ciemna, nieznana?...

Co uczynisz na tym biednym świecie, który na tobie po-

znać się nie może, gdy i twoje siły wyczerpią się z czas
Do czyjej piersi przytulisz głowę twoją, gdy mnie już nie będzie... Ty... na zawsze samotna?

Okropny niepokój, dręcząca trwoga, brzmiały w głosie starca, gdy wymawiał te słowe.

Ale Józia podniosła ku niemu twarz, oblaną w tej chwili dziwnym blaskiem, i drżące dłonie ojca przycisnęła do ust rozpalonych.

— Ojcze mój! — mówiła zcicha — nie mów tak, bo popełniasz niesprawiedliwość względem mnie i siebie. Bóg dał ci mnie w jesieni twego życia, ale ty w sercu swem odnalazłeś wiosnę uczuć i myśli, aby ją przelać w moje. Nie mogłeś mi zapewnić bytu świetnego, aleś rozpalił we mnie to słońce wewnętrzne, które czuję w sobie, które jest światłem mojem i siłą, na które patrząc, będę szła zawsze drogą prawą, aż zajdę tam, kędy wszyscy, szczęśliwi, czy nieszczęśliwi, po wiekuiste przychodzą wytchnienie...

Spójrz na mnie, ojcze, i powiedz, że ufasz mi, że się nie trwożysz, że spokojnie patrzysz w tę przyszłość moją, która nie jest ani ciemną, ani nieznaną, bo pali się wśród niej i rozświeca ją to słońce moje, któreś ty we mnie rozniecił, którego ognie zawsze mnie ogrzewają, którego światłość zawsze mnie pocieszy...

Mówiąc tak, ogarniała ramionami chylącą się ku niej postać ojca, a to słońce, o którem mówiła, zdawało się całe występować na twarz jej i rozpalać ją, i opromieniać najpiękniejszemi światłami, jakiemi kiedykolwiek jaśniało oblicze kobiece...

* * *

W kwadrans potem Józia weszła do swego małego pokoiku i szczelnie zamknęła drzwi za sobą.

Była nakoniec samą, twarz jej wyrażała wielką i głęboką boleść, oddech szybki był i nierówny.

Podeszła ku oknu, odwinęła roletę i wzrok zatopiła w bladym błękicie nieba, po którym płynął okrągły księżyc, wiodąc za sobą wspaniały orszak napowietrznych wieszczek w szatach z bieli i srebra.

Józia długo nieruchomemi oczyma patrzyła na fantastyczną grę obłoków, które, łamiąc się z rozliczne kształty, po-

przez przezroczyste ciała swoje przepuszczały łagodny blask księżyca.

Zaplotła ręce i oparła je o wilgotną szybę, zarazem głowa jej nieco w tył się odgięła, niby pod spadłem na nią ciężkiem brzemieniem.

Pierś zadrgała i głośnem podniosła się łkaniem, a z oczu płynęły dwie strugi długo powstrzymanych łez i, z bystrością wzburzonego potoku, toczyły się po bladych policzkach.

— Gdyby on wiedział... — szepnęła po chwili — gdyby on wiedział!...

Nie dokończyła.

Ostatni wyraz jej pozostał niewymówiony i pochłonięty na dnie jej piersi... łzami.

Gdyby on wiedział!...

Gdyby doktór Władysław wiedział, jak i przez jakie serce ukochanym został!...

Gdyby był mógł przez cały ten wieczór przypatrywać się Józi i widzieć ją teraz, jak stała pod oknem, w blaskach księżycowych, z piersią wzdętą żalem, z wyrazem niezmiernej miłości w oczach, z jego imieniem zawieszonem na pobladłych wargach!...

Gdyby doktór Władysław wiedział i widział to wszystko, kto wie, czy pani prezesowa miałaby kiedy sposobność nazwania go swoim lubym, kochanym zięciem?

. . . . . .

. . . . . .

Ale doktór Władysław siedział tego wieczora przy narzeczonej swojej w takiej blizkości, na jaką tylko dozwalał rozpostarty na dywanie ogon jej sukni.

A patrząc w aksamitne źrenice młodej piękności i słuchając srebrzystych dźwięków jej chichotu, i pieszcząc z nią razem ulubionego Fida, a kiedy niekiedy spoglądając w stronę fortepianu, na którego pulpicie leżała rozłożona wielka arya z Roberta Dyabła, doktór Władysław wyobrażał sobie, że jest najszczęśliwszym z ludzi.

A gdy przy końcu wieczora, zostawszy sam-na-sam z narzeczoną, pochylił się ku niej, spojrzał w jej zachwycające oczy, ujął w swe dłonie jej dłoń atłasową i spytał po cichu:

— Czy kochasz mnie, Kornelio?

I kiedy ona, zarumieniwszy się i zbladłszy na przemian, po długiej chwili milczenia, bardzo cichutko odszepnęła:

— Kocham...

Doktór Władysław zapisał sobie w pamięci jej bladość i rumieniec, uznał je za najoczywistsze dowody silnej miłości, jaką w niej wzbudzał i, bez najmniejszego cienia wątpliwości, wyobrażał sobie, że jest najszczęśliwszym z ludzi.

IV.

I jak za najszczęśliwszego z narzeczonych, tak potem za najszczęśliwszego z mężów uważał się doktór Władysław, kiedy odchodził z panną Kornelią od ślubnego ołtarza.

Jakto! więc doktór Władysław i panna Kornelia już są po ślubie?

Tak, mili czytelnicy!

Ślub zajmującej tej pary odbył się z całą uroczystością w głównym kościele miasta, przy świetnej iluminacyi, jaką im urządziło słońce kwietniowe, staczające się z widnokręgu i na dobranoc ogarniające świątynię szeroką połą swego purpurowego płaszcza.

A więc zapewne i cała historya skończona?

Niezupełnie skończona, mili czytelnicy, bo ślub to nie śmierć, a śmierć tylko kończy historyę żywotów ludzkich.

Wielki Boże! mamy więc wysłuchać historyi żywotów dwojga ludzi, aż do ostatniej chwili doczesnego ich bytu?

Wcale nie, mili czytelnicy, gdyż w życiu człowieka bywa niekiedy jeden rok, miesiąc, godzina, lub nawet chwila, z której łona, jak motyl z gąsienicy, wylatuje cały dalszy żywot jego, ukształtowany już, urobiony, i taki, jakim ma na zawsze pozostać, szczęśliwy czy nieszczęśliwy, świetny czy brzydki, blaskiem pozłacany, czy pyłem usiany.

A całe zadanie opowiadacza zależy na tem, aby w życiu człowieka, którego dzieje przedstawić pragnie, wynalazł ową gąsienicę, urabiającą przyszły żywot człowieka tego, umiał roztworzyć jej łono i przyjrzeć się pierwszym zarysom przyszłego motyla.

Z zarysów tych słuchacze odgadną dalszy lot jego i nie będzie żadnej potrzeby opowiadać im całą historyę aż do chwili,

w której skrzydła motyle, podmuchem śmierci stulone, martwe, spoczną na listku róży lub kolcach pokrzywy.

My tedy przyjrzymy się tylko zblizka tych chwil szeregowi, z których łona, jak motyl z gąsienicy, wykluł się dalszy żywot doktora Władysława i pięknej jego żony. A że, jakeśmy o tem wyżej nadmienili, niezachwianem naszem postanowieniem jest podróżować ekstra-pocztą po drodze opowiadania naszego, niebawem więc dojedziemy do mety, w której motyl, całkiem urobiony i ukształtowany, sam już w świat poleci, a my złożymy pióro i historyę dalszego jego losu pozostawimy samodzielnym wnioskom i domniemaniom czytelników naszych.

Doktór Władysław tedy uważał się za najszczęśliwszego z ludzi, gdy, prowadząc oblubienicę od ślubnego ołtarza, patrzył na piękną bladą jej twarz, omgloną przejrzystym obłoczkiem białej gazy; i potem, gdy przechadzał się z nią pod rękę po ulicach miasta, a przechodnie obracali na nią głowy, jak słoneczniki, które podziwiają słońce; i wtedy, gdy, wprowadzając ją do domów licznych znajomych swych, jakich posiadał w mieście i jego okolicach, słyszał powszechny szmer uwielbienia, i widział oczy wszystkich młodych mężczyzn zwrócone na niego z tym miłym wyrazem zazdrości, z jakim ludzie mają zwyczaj spoglądać na bliźniego swego, skoro temu uda się pochwycić za poły umkliwą szatę czegoś, co wygląda przynajmniej na szczęście.

Każdy człowiek przynosi już z sobą na świat zarody ambicyi.

Żądza chluby jest tak wrodzoną ogółowi ludzi, że niedostawać jej może chyba tylko naturom nadzwyczajnie płaskim, lub... bardzo podniosłym.

Lubimy powszechnie być chwalonymi; cieszy nas, gdy nam zazdroszczą; a powodzenie tak nam zadziera nosy do góry, jak gdyby w samej rzeczy było ono dowodem, że głowy nasze sięgają nieba.

Doktór Władysław nie zadarł nosa, bo był na to zbyt rozsądnym i grzecznym człowiekiem; niemniej jednak posiadał on w samym sobie niezachwiane przekonanie, że nietylko głową, ale całą osobą swoją popadł w sam środek błękitów niebieskich, nad którymi to, jak wiadomo, mieści się raj i wszystkie jego rozkosze, o jakich ludzie tylko słyszą, i niewiadomo na pewno, czy ich kiedykolwiek używają.

Doktór Władysław dalekim był od sceptycyzmu, który w wątpliwość podaje istnienie raju; jakże bowiem mógłby on

zaprzeczać, iż ten znajduje się powyżej błękitów niebieskich, skoro, na ziemi jeszcze będąc, sądził, że się już przed nim wrota jego rozwarły?

Do kompletnego złudzenia, ziemię w raj przemieniającego, dopomagały wiosna i lato, które w owym roku dziwnie były pogodne, słoneczne i bogato rozkwitłą roślinnością woniejące; dopomagała zachwycająca muzyka Kornelii i śpiew jej, który koniecznie przywodzić musiał na myśl Cherubinów i ich lutnie; dopomagała także nieporównana słodycz i dobroć pani prezesowej, która, zamieszkawszy przy córce i zięciu, była wciąż samym cukrem lub miodem, a codzienną ranną i wieczorną herbatę, której przyrządzanie powierzonem zostało jej pieczy, nalewała zwykle zięciowi tak słodko, że aż nieraz prosić musiał, aby mu tę słodycz zbyteczną dolaniem odrobiny gorącej wody zmodyfikowano.

Dodać tu jeszcze należy, że szczęśliwość doktora Władysława ani trochę zaćmiona nie została wiadomością, zakomunikowaną mu przez panią prezesową, nazajutrz po ślubie młodej pary, o zupełnem majątkowem ubóstwie jej córki; posag bowiem nigdy nie jawił się jego oczom obok postaci pięknej Kornelii, a przeświadczenie, że ten ostatni nie egzystuje wcale, powiększyło jeszcze ekstazę młodego małżonka, który, jak każdy prawdziwie dobry i sił własnych pewny mężczyzna, niewypowiedzianą rozkosz znajdował w myśli, że ukochana przezeń kobieta jemu tylko jednemu wszystko zawdzięczać będzie.

Tak więc doktór Władysław uważał się za najszczęśliwszego z mężów i ludzi, a szczęśliwość ta bez najmniejszej skazy i przerwy trwała dobre kilka miesięcy...

Nagle...

Nagle w Europie wybuchnęła wojna.

Dwa wielkie chrześcijańskie mocarstwa, za wspólną umową, postanowiły z pomocą mnóstwa strzelb, armat, bomb, zniszczonych grodów, spalonych wiosek, pokaleczonych lub pozabijanych ludzi, osieroconych rodzin, w proch przemienionych arcydzieł sztuki i przemysłu, wystawić długi szereg argumentów, mający najwyraźniej dowieść całemu światu, na jak wysoki szczebel moralności wyniesioną została ludzkość przez wypielęgnowaną w łonie swem cywilizacyę i z jak nieporównaną szybkością ludzkość ta dąży po drodze postępu, tuż-tuż dotykając mety, którą jest powszechna miłość, zgoda, sprawiedliwość, pokój, braterstwo narodów i t. d.

Jakkolwiek miasto X. znajdowało się w państwie na ten

raz niewojującem, i jakkolwiek ludność jego nie pałała zbyt rycerskim animuszem, toć jednak wojna, pomiędzy dwoma wielkiemi mocarstwami zawiązana, uderzyła w nie tysiącem tych ech, które od wielkich wstrząśnień, powstałych w ludzkości, rozchodzą się po całej kuli ziemskiej, jak ogniste warkocze komety po firmamencie.

Wszystko, co żyło, a miało serce uderzające w piersi i mózg pod czaszką, nieuśpiony ciemnotą lub samolubstwem, poczuło w sobie drgania owej tajemniczej nici, która każdą pojedyńczą jednostkę wiąże z całem mnóstwem podobnych jej istot i czyni z niej ogniwo jednego wielkiego łańcucha.

Na ulicach i w domach drobnego miasta powstał wielki ruch.

Każdy przechodzień niósł w ręku kawał zadrukowanego papieru, i tak wlepiał weń oczy, iż nie czuł, jak łokcie omijających go ludzi ze wszech stron, i w wielce nieraz wyrazisty sposób, dotykały jego boków, a opamiętywał się wtedy dopiero, gdy głowa jego napotkała przed sobą nieprzebitą zaporę muru, albo uderzyła się o głowę w przeciwną stronę dążącego i w podobnyż sposób zajętego bliźniego.

Gdzieś stąpił, spotykało cię nieuchronne i nieustające pytanie:

— Co słychać?

I na pytanie to gradem sypały się z różnych stron odpowiedzi.

Zwycięstwo tam, przegrana owdzie, to miasto zburzone, owa forteca wzięta, tamta wieś spalona, sto tysięcy ludzi poległych, dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt, sto tysięcy istot ludzkich ze zgruchotanemi czaszkami, połamaną piersią, poodrywanemi nogami i rękami, leży na polu czerwonem, a milion innych istot ludzkich płacze po nich...

Brrr! jak to brzydko!...

Kto wie jednak, jaka idea, jaki postęp, jakie dobro moralne wyleci z tego stosu gruzów i kości ludzkich, jak Feniks z popiołów...

Zresztą, tak już świat urządzony, że panować na nim musi prawo walki o byt i wzajemnego niszczenia się.

Zielona trawka rośnie sobie na polu, świeża i rada ze słońca i rosy, przychodzi wół i zjada trawkę, wołu zjada człowiek, a człowieka drugi człowiek... rzecz w tem, kto silniejszy...

To bardzo brzydko, nieprawdaż? a przecie tak jest.

Łzy i cierpienia niezbędnie są potrzebne w ekonomice społecznej.

Z czegoż bowiem cieszyliby się źli, jeśliby nie płakali dobrzy? czemżeby się chlubili pyszni, jeśliby stopą swą nie rozgniatali słabych?

Stąd jednak dla ludzkości wypływa nadzwyczajne dobro. Jakie? wiedzą o tem źli i pyszni, a czują także niekiedy płaczący i pokrzywdzeni, gdy poprzez łzy i cierpienia widzą duchy swoje czyste, których męczarnie okupują grzechy świata...

Tak rozumowali sobie i gawędzili mieszkańcy X., z drżącemi sercami wsłuchując się w odgłosy tej burzy, która wrzała daleko, a z nimi razem gawędził, rozumował i przeróżne wnioski czynił o toczącej się wojnie, źródłach jej i następstwach, doktór Władysław.

Miał on dobre serce i głowę, nie dla proporcyi na karku osadzoną, to też silniej może, niż u wielu innych ludzi, drgnęła w nim owa nić tajemnicza, łącząca wszystkie pojedyńcze jednostki w jeden snop o solidarnem istnieniu, i dała mu znać, iż on jest kłosem, który czuje zawsze wzmożone gorąco, ilekroć ogień zajmie jakąkolwiek część jego snopa.

* * *

Było to przy końcu sierpnia; w pokoju, pięknie, a nawet kosztownie urządzonym, na wygodnym fotelu siedział doktór Władysław z gazetą w ręku.

O kilka kroków, przy otwartem i na ulicę wychodzącem oknie, siedziała żona jego w stroju, zastosowanym do pory roku, a więc jasnym i powiewnym, z twarzą świeżą, jak lilia o wschodzie słońca, z oczyma błyszczącemi, jak gwiazdy.

Za otwartem oknem widniało niebo bez chmury, pokój napełniony był błękitnem powietrzem, słonecznymi promieniami i woniami kwiatów, rozstawionych po stołach w kubkach z kryształu i porcelany.

Ale doktór Władysław nie zdawał się w tej chwili czuć tej pogody, tego ciepła i tych woni, jakie go otaczały.

Czoło jego rysowało się zmarszczką, całą twarz zalała powaga, połączona ze smutkiem, oczy nabrały surowego niemal wyrazu.

Nie był on już w owej chwili doktorem medycyny, któremu wybornie powodziło się na świecie, ani młodym małżonkiem,

spoglądającym z radością i dumą na piękną swą żonę; ale człowiekiem, w którego sercu odzywały się w grę wprawione, wszystkie najwyższe i najszlachetniejsze uczucia ludzkie; obywatelem, mierzącym z trwogą i nadzieją zarazem skutki i następstwa, jakie z wypadków, dokonywających się w oddali, wynikną dla jego własnego społeczeństwa; lekarzem, który przez wiele lat przyglądał się cierpieniom i nędzom ludzkim, a teraz z przerażeniem patrzył w nową otwartą cierpień tych i nędz otchłań...

Przed kwadransem doktór Władysław, zasiadając na fotelu z gazetą w ręku, rzekł do żony:

— Przeczytajmy, co też w dzisiejszej piszą gazecie...

A ona, uśmiechając się do Fida, który siedział na jej kolanach i patrzył jej w oczy, odpowiedziała:

— Dobrze.

I doktór Władysław czytał.

Czytał o rzeczach, które krew mrozem ścinały, które zdolne były poprzez najgrubszą skórę człowieka przedrzeć się aż do szpiku jego kości i zatrząść nim tak, żeby aż w oczach pociemniało od grozy.

Czytał prędko, bo chciał co prędzej dojść do końca szpalty i przejść na inną, na której myślał, że znajdzie się może cokolwiek pocieszającego.

Ale właśnie ten koniec szpalty zawierał w sobie parę wierszy najokropniejszych.

»Po obliczeniu — czytał głośno doktór Władysław — strata, poniesiona przez dwie nieprzyjacielskie armie w zabitych i rannych, wynosi trzydzieści tysięcy ludzi.

Miasto X. objęte srogim pożarem, wsie B. C. D. i R. zgorzały.

Gromady ludzi włóczą się po okolicy bez chleba i schronienia, wyziewy z placu bitwy rozchodzą się z nadzwyczajną szybkością i na wiele mil wokoło zanieczyszczają powietrze«.

Przeczytawszy te wyrazy, doktór Władysław opuścił w dół ręce z gazetą, i zamyślonym, omglonym wzrokiem spojrzał na żonę.

Kornelia siedziała w postaci lekko podanej naprzód.

Na gładkiem jej czole zjawiła się zmarszczka, a ponsowe usta wykrzywiły się nieco, jakby pod wpływem przykrego po-

czucia; ale oczy młodej kobiety nie były zwrócone ani na gazetę, ani na twarz męża, lecz tkwiły we własnej jej drobniutkiej nóżce, którą, z rozkoszną niedbałością, oparła była na brzegu poblizkiego krzesła, i której teraz przypatrywała się z uwagą, a zarazem, jak to wyraźnie wykazywało się z jej twarzy, z przykrością.

Doktór Władysław, jakkolwiek mocno zajęty i przejęty polityką, dostrzegł wyraz twarzy i stały kierunek wzroku swej żony...

Naturalnie, jako lekarzowi, przyszło mu wnet do głowy, że Kornelia zraniła sobie nogę, lub, że doświadcza w niej reumatyzmu, albo czego podobnego.

Pochylił się tedy ku niej i głosem pełnym troskliwości zapytał:

— Kornelko, co ci jest?

Kornelka podniosła wzrok na męża i odpowiedziała:

— Bucik mi pękł, Władziu!

Oczy doktora Władysława otworzyły się nieco szerzej, niż zwykle.

— Co powiedziałaś? — zapytał z wyrazem kompletnego niezrozumienia na twarzy.

— Bucik mój rozpruł się — dobitniej powtórzyła Kornelia.

I smutnym tonem dodała:

— Żałuję go, bo był bardzo ładny!

Doktór Władysław wyprostował się, wyglądał w tej chwili, jak ktoś, kto z największego upału wskoczył nagle do zimnej wody.

— Cóż tak patrzysz na mnie, Władziu? — mówiła Kornelka — jak gdybyś w tej chwili po raz pierwszy mnie widział?

W istocie, doktór Władysław nigdy nie widział żony swej mniej piękną; nie podzielił się z nią jednak tą uwagą i, podniósłszy gazetę do oczu, pogrążył się znowu w cichem tym razem czytaniu.

Kornelia bawiła się z Fidem.

— Władziu! — zawołała tak nagle, że doktór Władysław drgnął. — Zobacz! zobacz!

I, przechylona w oknie, drobnym paluszkiem ukazywała mu przedmiot jakiś, znajdujący się na ulicy.

Doktór Władysław, cały zaprzątnięty wojną, gotów był przypuścić, że przedmiotem tym był jaki, dziwnym wypadkiem

zabłąkany do odległego miasta, żołnierz ranny, a przynajmniej piękna mała kartaczownicza, jadąca sobie za miasto, aby tam na wolnem powietrzu popisać się ze swem gruchaniem. Porwał się tedy z miejsca, przyskoczył do okna i zapytał:

— Co tam takiego?

Kornelia uśmiechała się.

— Rozkoszny kolor! — przemówiła do siebie w zamyśleniu.

— Co? gdzie? jaki kolor? — dopytywał się doktór, daremnie rozglądając się po ulicy i nie mogąc dojrzeć nic, coby było godne jego uwagi.

— Cudny! prześliczny kolor tego kapelusza! — dokończyła Kornelia, ukazując na kapelusz damy, idącej zwolna przeciwległym chodnikiem.

— O, muszę mieć taki sam kapelusz! — powtórzyła parę razy i klasnęła w obie dłonie.

A potem jeszcze dodała:

— Dołożę tylko do niego kilka białych kwiatków dla uniknienia monotonii...

Doktór Władysław znowu szerzej nieco otworzył oczy, popatrzył na żonę, która, przechylona w oknie, ścigała jeszcze wzrokiem śliczny kapelusz, wzruszył nakoniec lekko ramionami i, nic nie rzekłszy, zwolna powrócił na dawne miejsce. I znowu rozpoczął czytanie gazety, a Kornelia, straciwszy z oka śliczny kapelusz, bawiła się z Fidem.

Ale pudelek źle jakoś dnia tego był usposobiony i nie nadawał się wcale do żartów, jakie stroić z nim chciała piękna jego pani.

Na wszelkie możebne zaczepki odpowiadał tylko lekkiem wstrząsaniem kudłatych uszu, oczy kleił do snu, a ociężałe łapki wyciągał w sposób, który mógł wielce niefortunne uszkodzenia poczynić w symetrycznie ułożonych fałdach muślinowej sukni.

Oburzona tą niewdzięcznością i ospałością faworyta swego, Kornelia zdjęła go ze swych kolan i złożyła na rozpostartym u jej stóp dywanie.

Fido, niekoniecznie może zmartwiony tą zmianą pozycyi, wyciągnął się wygodnie i po chwili usnął w ciepłych promieniach słonecznych, które złociły zewsząd orzechową sierść jego, a Kornelia, popatrzywszy na niego jeszcze chwil kilka, obejrzała się po pokoju, z miną osoby, upatrującej dla siebie jakiegokol-

wiekbądź zatrudnienia i, wypadkiem zatrzymawszy wzrok na twarzy męża, zawołała znowu:

— Władziu?

— Co, Kornelko? — machinalnie zapytał mąż, nie odrywając oczu od drukowanej karty.

— Porzuć-że ty już raz tę gazetę! — rzekła żona.

— Zaraz, zaraz! niech tylko skończę! — prosił doktór, nadzwyczajnie zajęty czytaniem.

— Ale co tam! dosyć się już naczytałeś! — zawołała młoda kobieta, a zarazem z chyżością kotki poskoczyła z miejsca, wyrwała z rąk męża gazetę i, zachodząc się głośnym śmiechem, wykręciła się z nią kilka razy na jednej nodze.

Dotąd bywało zwykle tak, że gdy Kornelia śmiała się, mąż jej śmiał się także, a gdy wykręcała się, jak w tej chwili, na jednej nodze, on, z uśmiechem zachwycenia na ustach, ścigał okiem jej uroczą postać, która, dla niestracenia równowagi, przechylała się to w tę, to w ową stronę, a była tak lekką i powiewną, jakby ją mgła stworzyła, a tak kształtną i plastyczną, jakby ją snycerz jaki ukuł z marmuru.

Ale tym razem Kornelia śmiała się, a mąż jej nie śmiał się; Kornelia ulatywała nad ziemię z szerokimi rękawami muślinowej sukni, fruwającymi u jej ramion nakształt skrzydeł anielskich, a mąż jej nie ją ścigał wzrokiem, ale swoją nieszczęśliwą gazetę, która fruwała także w powietrzu, niby trzecie skrzydło, a czepiając się o stoły i ramy zwierciadeł, darła się i mięła w sposób pożałowania godny.

— Kochana Kornelko! oddaj-że mi moją gazetę — prosił doktór Władysław, a brwi jego lekko drgały, co u niektórych osób bywa oznaką zbliżającego się niezadowolenia na seryo.

Ale w odpowiedzi zabrzmiał głośniejszy jeszcze wybuch śmiechu, a trzy skrzydła, z których dwa były muślinowe, a trzecie papierowe, szybciej jeszcze poczęły fruwać w powietrzu, bo Kornelia, wykonawszy kilka choreograficznych figur, okręcała się wkoło pokoju na drugiej nodze.

— Kornelko! oddaj-że mi moją gazetę! — powtórnie zawołał doktór Władysław, a należy zwrócić uwagę na to, że do imienia żony nie dodawał żadnego czułego epitetu, jak to dotąd nieodmiennie bywało u niego w zwyczaju.

Kornelia stanęła na środku pokoju i, ze śmiechem na ustach, wyciągnęła ku niemu w całej długości ramię z gazetą w rączce.

Doktór, którego nadzwyczajnie obchodziły losy wojujących

pomiędzy sobą mocarstw, uczynił dwa kroki naprzód i już, już, końcem palców dotknął zmiętoszonego do niepodobieństwa dziennika, gdy ten znowu frunął w przeciwną stronę i, wraz z dzierżącą go w dłoni młodą panią, rozpoczął swój napowietrzny wkoło pokoju taniec.

Muzyką, temu tańcowi przygrywającą, był głośny śmiech Kornelii, ów śmiech srebrzysty, melodyjny, zawrotny, który zazwyczaj tak piękny tworzył akompaniament do retoryki jej oczu.

Ileż razy doktór Władysław na falach tego śmiechu puszczał ducha swego w taniec czarodziejski, którego ostatnie figury rzucały go aż w same błękitności niebieskie!

Teraz jednak był on w takiem usposobieniu, że wolał gazetę, niż podobłoczne przebywanie; to też, zniecierpliwiony nieco, a w połowie też poddając się swawolnemu humorowi żony, puścił się w niepodobną pogoń za nią i za kręcącym się nad jej głową arkuszem papieru.

Powiadamy w pogoń niepodobną, gdyż Kornelia miała skrzydła, a doktór Władysław ich nie miał: to też ona, jak obłok, mknęła po różnych stronach pokoju, a on, jak człowiek z ciała i kości, gonił ją w podskokach i zwrotach, przypominających bardziej łacinę, niż wprawę gimnastyczną.

I taka jeszcze pomiędzy małżonkami, wyprawiającymi gonitwy, zachodziła różnica, że Kornelia śmiała się wciąż i coraz więcej, jak osoba, która bawi się przewybornie; a doktór Władysław śmiał się tylko trochę, ot tak, niby przez ustępstwo, jak bywa zwykle z człowiekiem, który przepędza czas w sposób wcale dla siebie niestosowny.

Nagle stęknęło w pokoju, dźwięknęło, gruzy posypały się, woda popłynęła.

Sądzićby można, że to jedna z bomb, których tyle kędyś na dalekim świecie latało, wpadła do spokojnego mieszkania doktora.

W samej zaś rzeczy było to wcale co innego. Oto jedno z muślinowych skrzydeł wirującej wokół pokoju pani zaczepiło o bronzowe skrzydło Kupidyna, zawieszonego nad zegarem w leżącej pozycyi.

Kupidyn, chętny zawsze do lotu, puścił się naprzód i pociągnął za sobą zegar, zegar przywalił swym ciężarem porcelanową wazę z bukietem świeżych kwiatów, waza rozbiła się na drobne kawałki, przez co woda, znalazłszy swobodne ujście, kilku strumieniami i fontannami popłynęła na posadzkę.

Były to najsmutniejsze ruiny, tu i owdzie przysypane kwiatami.

Przytem muślinowe skrzydło Kornelii uległo kompletnemu zepsuciu i na dwoje rozdartem zostało figlarną strzałą bronzowego Kupidyna.

Młoda pani przestała wirować, upuściła z rąk gazetę, niewinną tylu nieszczęść przyczynę, i z wielką troskliwością oglądała rany swego rękawa.

Doktór Władysław stanął zaś, jak wryty, i patrzył na przewrócony zegar, stłuczoną wazę i rozlaną wodę, z miną człowieka, który nic a nic nie rozumie, co się z nim dzieje.

Po chwili jednak spojrzał na żonę i rzekł:

— Czy wiesz, Kornelko, że bawimy się, jak dzieci.

— O, a tyś taki stary! — zawołała żona ze śmiechem i, zajęta wciąż swym rękawem, rzuciła na niego ukośne wejrzenie, z którego wieleby wyczytać można było, więcej może i coś daleko gorszego, niż dziecinną pustotę i wesołość.

Doktór Władysław jednak nie dostrzegł tego wejrzenia, ale dosłyszał wyraz: stary! — i być może, iż ten nie przypadł mu zupełnie do smaku, gdyż wyprostował się zlekka i z wielką determinacyą odpowiedział:

— Stary nie jestem jeszcze, ale do podobnych pustot, jak ta, której oddawaliśmy się w tej chwili, nie nadałem się już, co prawda.

Mówiąc to, schylił się po swą nieszczęsną gazetę, której dwa prądy płynących po posadzce strumieni groziły zupełnem zalaniem, a Kornelia przestała oglądać swój poraniony przez Kupidyna rękaw i, ze wzrokiem, który zapłonął czemś bardzo podobnem do gniewu, rzekła:

— Ciekawam bardzo, co mnie to obchodzić może, że się tobie podobne, jak je nazywasz, pustoty nie podobają? podobają się one mnie i na tem koniec.

Doktór Władysław z zadziwieniem spojrzał na żonę i rzecz dziwna, że, pomimo niezmiernej różnicy, jaką sprawiała młodość i piękność Kornelii, twarz jej wydała mu się, w tej chwili szczególniej, podobną do twarzy pani prezesowej.

Czarne bowiem oczy nabrały tej samej bystrości, a rumiane usta karmelkowej słodyczy, sączącej z siebie kwas cytrynowy.

Na twarzy doktora Władysława odbiło się przykre wzruszenie.

Z przemokłą i zmiętoszoną gazetą w ręku, usiadł na krześle i, po chwili milczenia, ozwał się z wielką powagą:

— Że jesteś wesołą, droga Kornelio, to mnie wcale nie dziwi, ani martwi. Owszem, wesołość jest w tobie wielkim wdziękiem, któremu rad przypatruję się zawsze. To tylko zdziwiło mnie trochę, że napadu tej wesołości doświadczyłaś w chwili, w której ja byłem zajęty i ciebie zająć pragnąłem rzeczą tak poważną i żywo obchodzącą każdego myślącego człowieka...

Kornelia przez kilkanaście sekund nie odpowiadała, i zajęta podnoszeniem zegara i umieszczeniem nad nim bronzowego Kupidyna, którego muślinowe jej skrzydło strąciło z właściwego mu stanowiska, stała plecami zwrócona do męża i zcicha nuciła drugą część walca »Il Baccio«.

Nagle przerwała nucenie, zwróciła głowę i, przez ramię spoglądając na męża, w te mu odrzekła słowa:

— Kochany Władziu! przed ślubem naszym mówiłeś mi nie raz, ale sto razy, że w małżeństwie mąż reprezentować powinien stronę poważną życia i myślenia, a żona wesołą. Ty jesteś poważny, a ja jestem wesołą. Sam tego chciałeś...

Wspomnienie pana Witolda i rozmów z nim prowadzonych żywo stanęło przed pamięcią doktora Władysława, a w myśli jego niewyraźnie zamajaczyły słowa:

— George Dandin!

. . . . . .

. . . . . .

Było to pierwsze pomiędzy młodymi małżonkami nieporozumienie, ale doktór Władysław czuł w niem może zarody bardzo nieprzyjemnego dla obu stron niezrozumienia się, gdyż w parę godzin potem, przeciwko zwyczajowi swemu, chmurny nieco zasiadł do stołu.

Być może zresztą, że i losy dwóch wojujących mocarstw, i to jakieś wielkie moralne dobro, mające wylecieć ze stosu gruzów i kości ludzkich, jak Feniks z popiołów, tkwiło mu nieustannie w głowie, bo milczał i widocznie był bardzo zamyślony.

Kornelia z zupełną swobodą karmiła Fida rosołem i z wybuchami śmiechu opowiadała matce o historyi bronzowego Kupidyna, obalonego zegara i stłuczonej w drobne kawałki wazy porcelanowej.

Żałowała tylko bardzo rękawa, który rozdarł się na dwoje a był pięknie ogarnirowany wstążką błękitną.

Pani prezesowa obojętnie słuchała śmiechu i żalów córki, a więcej, niż kiedy, latające jej oczy i słodszy jeszcze, niż zwykle, uśmiech, wiszący na ustach, zdradzały, że miała dnia tego myśl jakąś ukrytą, do której wypowiedzenia gotowała się w milczeniu.

Przy drugiej potrawie, szanowna dama zwróciła się ku milczącemu i zamyślonemu zięciowi, i w ten sposób głos zabrała:

— Czy piesze wędrówki po mieście, jakie codziennie odbywasz, nie utrudzają cię, luby, kochany zięciu?

Usłyszawszy to niespodziane pytanie, doktór Władysław z lekkiem zdziwieniem spojrzał na teściową swą i odpowiedział:

— Bynajmniej, szanowna mamo! piesze wędrówki nie utrudzają mnie, lecz owszem przewybornie służą mojemu zdrowiu. Gdy deszcz pada, lub czuję się zmęczonym, wracam do domu publicznym powozem.

Pani prezesowa złożyła nóż i widelec na talerzu i odchrząknęła; szczęki jej poruszyły się prędko, jak bywało zawsze, gdy przygotowywała się do czegoś ważnego.

Odchrząknęła po raz drugi i temi ozwała się słowy:

— Wiem dobrze, luby, kochany mój zięciu, rozumiem dobrze i czuję dokładnie, jakiem jest moje w twym domu położenie. Jestem biedną, zrujnowaną kobietą, która żadnych innych nie posiada zasług oprócz tej, że wychowała swoją lubą, kochaną córkę, i czyniła wszystko, co mogła, aby dać jej świetną edukacyę, a następnie los szczęśliwy zapewnić.

Niegdyś bywało ze mną inaczej: byłam bogatą i nieboszczyk mąż mój, pan prezes N., wziął za mną trzysta tysięcy złotych posagu, które stopniały w jego ręku, gdy luby, kochany ten człowiek, nieszczęśliwe mając zamiłowanie w gorzelniach i młynach...

— Mamo, mamo! zostaw w pokoju biednego ojca! — przerwała Kornelia, której oczy nagle się zaiskrzyły i z której ust zniknął uśmiech.

— Inaczej, inaczej niegdyś bywało ze mną! — ciągnęła pani prezesowa, nie zdając się zważać na przerwę — byłam bogatą, miałam salony, ale co się zwie salony, nie takie pokoiki, jak twoje, luby, kochany zięciu, ale z królewskiemi posadzkami i meblami, obitemi prawdziwym utrechckim aksamitem. Kor-

nelka wyhodowała się w salonach takich, to też przyznasz sam, luby, kochany zięciu, że znać po niej ten dobry ton i tę prawdziwą dystynkcyę, jakie ją od dzieciństwa otaczały. Wszystko to jednak minęło...

Tu szanowna dama westchnęła ciężko i po chwili milczenia, w czasie której głowa jej poruszała się w sposób niezmiernie żałosny, mówiła dalej:

— Wszystko to minęło, jak sen. Próżność, próżności i wszystko próżność! Fortuna kołem się toczy.

Nic niema stałego na świecie. Jestem teraz na łasce u ciebie, luby, kochany zięciu!

— Ależ, kochana mamo! — zawołał doktór Władysław, na którego twarzy zdziwienie walczyło z przykrem wzruszeniem, i który od kilku chwil złożył nóż i widelec, uczuwszy zapewne ten wpływ szkodliwy, jaki w podobny sposób nastrojone rozmowy wywierać zwykły na apetyt.

— Ani słowa! ani słowa więcej, luby, kochany zięciu! — zawołała pani prezesowa, tonem nieubłaganej stanowczości. — Wiem dobrze, rozumiem, czuję, jakiem jest moje w domu twym położenie...

Wiem dobrze, rozumiem, czuję, że nie powinnam mieszać się do spraw twoich, ani dawać ci rad, któremi pogardzać ci wolno, luby, kochany zięciu. Niemniej jednak tam, gdzie idzie o szczęście mego jedynego dziecka, o pozycyę, jaką córka moja zajmować ma wśród świata, tam, gdzie idzie o godność was obojga, lube, kochane dzieci, o stanowisko wasze, o szczęście wasze, tam powinnością moją, jako matki, jest podnieść głos i przemówić...

— Ależ na Boga, kochana mamo! — zawołał doktór Władysław, z wyrazem istotnego przerażenia na twarzy — o cóż chodzi? cóż się stało? W czem szczęście Kornelki i stanowisko nasze w świecie jest zagrożone?

— Powinnością moją jest, jako matki — kończyła pani prezesowa — świętą jest moją powinnością powiedzieć ci, luby, kochany zięciu, że ani tobie, ani żonie twojej, nie przystoi pieszo chodzić po mieście, i że dla szczęścia Kornelki, dla pozycyi jej w świecie i osobistej godności was obojga, potrzebny jest nieodbicie piękny powóz i przynajmniej para rosłych koni do karety...

Gdy szanowna dama wymawiała te wyrazy, w głosie jej brzmiał prawdziwie wzniosły patos.

Skończywszy mówić, skrzyżowała ręce na piersi i patrzyła

przed siebie z miną osoby, która mężnie spełniła swą powinność i, z godnym podziwienia stoicyzmem, oczekuje na dalsze wyroki przeznaczenia.

Ale doktór Władysław nie wydawał się zbyt wzruszonym patetycznym tonem, ani zbudowanym pełną stoicyzmu postawą swej teściowej.

Na twarzy jego walczyły śmiech i zdziwienie, wzbudzone zapewne tą, po raz pierwszy może w życiu usłyszaną wiadomością, iż piękny powóz i para rosłych koni do karety niezbędne stanowią warunki szczęścia i, o bogi miłosierne! godności osobistej dwojga ludzi.

Po chwili tedy milczenia, w czasie której uśmiechał się i dziwił na przemian, doktór Władysław następnemi ozwał się słowy:

— Kochana mamo! lubo nie mogę w zupełności zgodzić się na to, aby piękny powóz i para rosłych koni były niezbędnym warunkiem szczęścia Kornelki i osobistej godności nas obojga, toć jednak byłbym do najwyższego stopnia uszczęśliwionym, gdybym mógł spełnić tylko co wyrażone życzenie kochanej mamy. Ale znowu wydatki, jakieby sprowadziło za sobą nabycie i utrzymanie tych przedmiotów, uczyniłyby w budżecie mojm wielce szkodliwy przewrót; a że miasto nasze nie jest zbyt rozległe i kursuje w niem dostateczna ilość publicznych powozów, sądzę, że najrozsądniej będzie, jeśli się bez własnych koni i powozu obejdziemy, tembardziej, że nie powinniśmy przecie...

Tu mowę doktora przerwał stuk gwałtownie usuwającego się krzesła i szelest szybko przez pokój biegnących kroków.

Kornelia to porwała się od stołu i z chusteczką przy oczach pomknęła do przyległego pokoju.

— Kornelko! lube, kochane dziecię moje! — krzyknęła pani prezesowa, i z rozwartemi ramionami pobiegła za córką.

Doktór Władysław powstał także i przez chwilę osłupiałym wzrokiem patrzył na dwie uciekające panie. Po chwili jednak przestrach odmalował się na jego twarzy.

— Kornelko! — zawołał, przypadając do żony, która z głośnym płaczem rzuciła się na kanapę — Kornelko, życie moje, czyś ty nie chora?

Młoda małżonka odjęła chusteczkę od zarumienionej twarzy i, patrząc na męża wzrokiem załzawionym, wyrzekła:

— U ciebie, Władziu, zawsze, zawsze tylko choroba na myśli! Prawdziwy z ciebie doktór!...

I znowu zaczęła płakać.

Doktór Władysław zastanowił się chwilę nad słowami żony, zdziwił go bowiem niezmiernie ton, jakim je wymówiła.

Że był on prawdziwym doktorem, nie ulega to najmniejszej wątpliwości, ale gdzie tu był powód do gniewu?... Dlatego rzekł:

— Czegoż płaczesz, Kornelko? Za cóż się gniewasz?

— Jesteś okrutny, mój zięciu! — odrzekła pani prezesowa, która z nadzwyczajną troskliwością oblewała skronie swej córki płynem orzeźwiającym.

Wyraz: okrutny! ze szczególniejszą mocą uderzył o wyobraźnię doktora.

Nigdy bowiem dotąd nie przychodziło mu na myśl, aby w charakterze jego mogła znajdować się straszna wada okrucieństwa.

Do wady tej nie poczuwał się wcale i był nawet pewnym, iż jej nie posiada. To też z przeświadczeniem o zupełnej w tym razie niewinności, ozwał się bez najmniejszej skruchy w głosie:

— Nic a nic nie pojmuję, co się stało Kornelce.

Pani prezesowa, z flakonem kolońskiej wody w ręku, wyprostowała się jak struna.

— Co się stało? co się stało? — zawołała, obie ręce rzucając w powietrze — nie pojmujesz, co się Kornelce stało, luby, kochany zięciu! To bardzo niedobrze, że tego nie pojmujesz! To mnie wcale a wcale nie cieszy! To mi wcale a wcale dobrej wróżby dla szczęścia mojej córki nie daje! Powinieneś pan pojmować, koniecznie powinieneś pan pojmować! Dobry mąż pojmuje zawsze swoją żonę i gdy ona płacze nad tem, że jej odmówił powozu i koni, nie pyta jej o zdrowie! Pytaj o zdrowie pacyentów swoich, luby, kochany zięciu, ale nie żony twojej, która płacze nad tem, że jej odmawiasz powozu i nędznej pary koni!

Po tym wylewie słów pani prezesowa pochyliła się znowu nad córką, a doktór Władysław wzruszył ramionami i patrzył na Kornelię tak, jakby oczekiwał i spodziewał się po niej, iż wnet energiczny zaniesie protest przeciwko słowom matki swej, tchnącym, wedle rozumienia jego, najwyższą niesprawiedliwością.

Ale postawa młodej małżonki, w znękaniu rzucona na poduszki kanapy, zdawała się słowom tym przytakiwać raczej, niż zaprzeczać, a twarz jej pozostawała wciąż pod przysłoną bia-

łej chusteczki, z za której od czasu do czasu wymykały się grube łzy.

I była dosyć długa chwila powszechnego milczenia, przerywanego tylko niezrozumiałem, lecz burzą brzemiennem szemraniem pani prezesowej i monotonny odgłos wydającemi łkaniami Kornelii.

Doktór Władysław stał, jak wryty, na miejscu, zdumiony, zmartwiony, przerażony niemal tymi zastraszającymi w istocie symptomatami, które pojawiły się tak nagle w domowem pożyciu jego; ale, przyznać należy, wcale nie przygnębiony. Wyglądał on przeciwnie dosyć hardo, a nawet lekko zarumienione policzki jego i spojrzenia, jakie rzucał na teściową, okazywały widoczne postanowienie niepoddania czoła gromom.

Pochylił się nad żoną i bardzo uprzejmym głosem przemówił:

— Kochana Kornelko! dlaczego płaczesz?

Nie było odpowiedzi.

— Kornelko! — powtórzył — czy powiesz mi, dlaczego płaczesz?

Kornelia nie odpowiadała.

— Kornelio! — wymówił mąż, zupełnie już stanowczym głosem — proszę cię, abyś mi powiedziała, dlaczego płaczesz?

Tym razem młoda małżonka odjęła chusteczkę od oczu i, nie patrząc wcale na męża, odparła tonem niedopuszczającym odpowiedzi:

— Dajże mi pokój, Władziu! — poczem znowu twarz zasłoniła.

— Kornelko — mówiła pani prezesowa, schylona nad córką — lube, kochane dziecko moje, odpowiedz mężowi! trzeba mu przebaczyć, moja córko! on mężczyzna, a do tego, jak przekonałyśmy się teraz, mężczyzna, nieumiejący cenić skarbu, jaki w tobie posiada, ani pojąć potrzeb i pragnień kobiety dystyngowanej i dobrze urodzonej. Cóż robić? taki-to los nas kobiet... Przemów do męża, lube dziecię, i powiedz mu sama, że nie przestaniesz cierpieć i płakać, dopóki nie będziesz miała powozu i pary koni!...

Kornelia nie odpowiadała, ale zato na twarzy jej męża zjawiły się pewne znaki, zwiastujące, iż cierpliwość jego miała się ku końcowi.

Z miną człowieka, który tylko co obudził się ze snu, lub po długiej przejrzał ślepocie, popatrzył on jeszcze chwilę na dwie kobiety, poczem wyciągnął ramię po kapelusz swój, umieszczony na poblizkim stole. Z tym kapeluszem w ręku i wyrazem wielkiej stanowczości na twarzy, zwrócił się do swej teściowej i rzekł:

— Jestem pewny, że Kornelka przestanie płakać wprzód, nim znajdzie się w posiadaniu powozu i koni, których, na teraz przynajmniej, bez nadwerężenia interesów moich, dostarczyć jej nie mogę.

Co zaś do cierpienia, nie widzę do niego żadnej rozsądnej przyczyny, ani też wiem, co jest powodem nagłego rozkwilenia się Kornelki. Dlatego oddalam się i proszę Kornelki, aby przez czas mojej nieobecności zastanowiła się nad wszystkiem, co się stało, i wróciła do zwykłego swego humoru, który czem został zachwiany, prawdziwie nie wiem, tembardziej, że ona sama powiedzieć mi o tem nie chce...

To rzekłszy, doktór Władysław skierował się ku drzwiom i, nie zważając na piorunujące wejrzenia, jakiemi osypywała go pani prezesowa, opuścił pokój.

Podobny był on w tej chwili do walecznego żołnierza, który, pod gradem nieprzyjacielskich pocisków, regularnego dokonywa odwrotu, i lubo opuszcza zajmowaną przez siebie pozycyę, to jednak zwycięsko i chwalebnie ratuje całość i honor chorągwi.

Bywają wypadki, w których odwrót nietylko uważany jest za potrzebny i nieodbity, ale w dyrygujących nim wodzach większej dowodzi zręczności i odwagi, niż uparte i bezskuteczne trzymanie się na placu bitwy.

Dzieje prowadzonych na świecie wojen przytaczają kilka przykładów z cudownem niemal powodzeniem dokonanych odwrotów.

Najwięksi strategicy są zdania, że regularne dokonanie rejterady bywa nieraz trudniejszem i więcej umiejętnej taktyki wymagającem dziełem, niż wyraźnie odniesione zwycięstwo.

Bywają rejterady, które w skutkach swych nawet na równi stoją z niejednem zwycięstwem, i nieprzyjacielskie siły pogrążają w położenie wielce trudne. Wszystko to nie ulega żadnej wątpliwości.

A jednak rejterada jest zawsze rejteradą, i odwrót, choćby najregularniej wykonany i najlepiej świadczący o taktyce i odwadze tych, co go dokonali, ma w sobie zawsze coś nieskończenie bolesnego.

Wprawdzie całość i honor chorągwi się uratowuje, orły dumnie unoszą się nad cofającymi się szeregami i szelestem

swych skrzydeł zdają się wyśpiewywać hymny chwały; ale w sercu żołnierza osiada smutek, ten smutek, który powstaje z nadziei zawiedzionej i trwogi o przyszłość.

Doktór Władysław świetną wykonał rejteradę; nie upadł na kolana, jakby to wielu uczyniło mężów, przed płaczącą swą żoną, i nie błagał, aby mu przebaczyła nie wiedzieć dlaczego wylewane łzy swoje; nie upokorzył się też przed surową swą teściową i nie starał się odzyskać jej łaski przyrzeczeniami, których wykonanie uważałby w duchu za grubą niedorzeczność; nie, on z męstwem oparł się rozczuleniu, w jakie wprawiały go łzy małżonki, i mężny postawił opór niesłusznym żądaniom teściowej.

Przytem, czując dobrze, iż hart charakteru jednego mężczyzny nie może długo dotrwać zjednoczonej sile dwóch kobiet, z których jedna płacze, a druga gniewa się, wolał ustąpić z placu i, stanowczej unikając porażki, uratować honor i całość męskiej energii i mężowskiej powagi.

Rejterada tedy doktora Władysława była chwalebna i w pełnym wykonana porządku; a jednak wyglądał on tak, jak człowiek, w którego serce zapadł nagle smutek... ten smutek, który powstaje z nadziei zawiedzionej i trwogi o przyszłość...

Miał on dotąd nadzieję, piękną, różową, jak jutrzenka, nadzieję, że domowe życie jego popłynie w świętym pokoju i błogosławionej ciszy dwojga serc zjednoczonych; aż nagle ujrzał nad głową swoją grubą chmurę, o niepojętych dla niego, lecz groźnych barwach, i usłyszał w oddali, lecz wyraźnie, grzmiący huk tego orkanu, który, gdy raz wpadnie na drogę, jaką postępuje człowiek, to już w popiół i ruinę zamieni wszystkie budowane przez niego zamki na lodzie.

Przyszłość przedstawiała się oczom doktora Władysława jasno i wyraźnie zawsze, od dnia ślubu jego z Kornelią — różowo i złocisto...

Teraz poczęły błąkać się po niej cienie jakieś niepochwytne i nieokreślone, a na różowej barwie ukazywały się plamki...

Wprawdzie nic tak bardzo ważnego, nic stanowczego nie zaszło w domu i życiu doktora Władysława; niemniej jednak, gdy, wyszedłszy na ulicę, wypadkiem podniósł on wzrok do góry i ujrzał, rozciągnięty nad światem, pogodny namiot z nieskazitelnego błękitu, w oczach jego odmalowało się pytanie: azali nad tym błękitem w istocie znajduje się raj, pełen rozkoszy, za którego istnienie ręczyła mu niby rajska szczęśliwość, jakiej używał już tu na ziemi.

Teraz szczęśliwość ta z pewnika, jakim była dotąd, przemieniła się w problemat, drżący na odgłos orkanu, który nagle zahuczał w oddali.

* * *

Gdy tak doktór Władysław zwolna postępował ulicą i myślał o raju, w wątpliwość popadłym, o orkanie, zagrażającym świątyni domowego jego szczęścia, i o chwalebnie odbytej swej rejteradzie; Kornelia leżała wciąż na kanapie, z chustką przy twarzy, i wciąż płakała.

Ale pani prezesowa nie skrapiała już skroni jej orzeźwiającym płynem, ani wlewała w strapione serce córki balsamu macierzyńskich pociech; po wyjściu zięcia przetrwała parę minut w zupełnem milczeniu i bezczynności, a wyjrzawszy przez okno i przekonawszy się, że doktór Władysław był już na ulicy, stanęła nad córką i w te ozwała się słowa:

— Dosyć-że już tych beków, Kornelko. Mąż twój wyszedł.

Kornelia podniosła się w pół, spojrzała na matkę oczyma łez pełnemi i wymówiła:

— Więc mama sądzi, że ja grałam komedyę przed Władysławem? że płacz mój był udaniem? Jeśli tak jest, to mama myli się, mocno myli się...

To rzekłszy, powstała i obie ręce przeciągnęła po twarzy, rzęsistemi zalanej łzami.

Wkrótce jednak opuściła je na suknię i stała tak z pochylonem czołem w milczeniu.

Pani prezesowa patrzyła na nią z wyrazem zdziwienia, połączonego z gniewem.

— Cóż znowu! — rzekła — czyliż w istocie płakałeś nad tem, że ci mąż sprawić nie chce pięknego ekwipażu? Ależ bądź cierpliwą! jak uweźmiemy się obie, to postawimy na swojem...

— Ależ to właśnie przykrość mi sprawia, że jesteśmy zmuszone uwziąć się i postawić na swojem! — zawołała Kornelia, podnosząc głowę i z żywym na twarzy rumieńcem. — Mnie to boli, mnie to upokarza, że on mnie, mnie odmawia tak prostej, tak niezbędnej rzeczy... On powinien był sam odgadnąć, przewidzieć i spełnić moje żądanie... ale on taki zimny, prozaiczny, prawdziwy doktór! A przecież...

Umilkła i znowu pochyliła głowę.

— Cóż przecie? — rzuciła niecierpliwe pytanie pani prezesowa.

— A przecież — kończyła Kornelia — czuję, że nie mam prawa wymagać od niego wielkiej czułości; że, gdyby mnie nawet wcale nie kochał, gdyby wszystkiego mi odmawiał, nie miałabym prawa poczytywać mu tego za złe.

— I dlaczegoż-to, moja pani, nie miałabyś tego prawa? — z żywą niecierpliwością zawołała matka. — Dlaczego? dlaczego?

— Dlatego... — zaczęła Kornelia — dlatego...

Nie dokończyła.

Wyprostowała się, głowę w tył odrzuciła, wargi jej drżały, nozdrza rozdymały się, oczy płonęły, krwisty rumieniec oblewał czoło, policzki i spływał aż na szyję.

— O, mamo! — zawołała w końcu podniesionym i drżącym głosem — czyliż nie wiesz, czyliż nie wiesz dlaczego?...

Wykrzyknik ten wypadł z jej ust namiętny, gwałtowny, wrzący wyrzutem, żalem, gniewem i wstydem.

Pani prezesowa wzruszyła ramionami i odrzekła tonem pogardliwym nieledwie:

— Gdybym nie znała twego charakteru i raptusów, jakie cię często napadają, sądziłabym, żeś dostała pomieszania zmysłów.

Kornelia rzuciła na matkę jedno z tych spojrzeń ukośnych, migotliwych, w których wewnętrzne podrażnienie i tajona złośliwość łączyły się i kłóciły zarazem z dziecinną swawolą i pustą ochotą do śmiechu.

Ten ostatni przeważyłby zapewne, bo na drżących przed chwilą od żalu wargach zaigrał już rój uśmieszków, i pierś, tylko co wzdymana łkaniem, drgnęła rodzącą się w niej gamą głośnego śmiechu, gdy nagle w drzwiach salonu stanęła trzecia osoba.

Trzecią osobą tą był młody i bardzo przystojny mężczyzna, w wykwintnem ubraniu i z kapeluszem w ręku.

Stanął w progu i wlepił wzrok w Kornelię, nie zdając się nawet spostrzegać obecności jej matki.

Kornelia spojrzała także na niego, cofnęła się o parę kroków, jakby w wielkiem zadziwieniu, i z ust jej wyrwał się głośny wykrzyk.

W wykrzykniku tym było zdziwienie, przebrzmiał smutek i dźwięczała radość. Ostatnie uczucie przeważało dwa pierwsze. Pani prezesowa krzyknęła także, ale w głosie jej gniew przygłuszył wszystkie inne, jakie być mogły, uczucia.

Młody mężczyzna postąpił kilka kroków naprzód, głęboko skłonił się przed panią prezesową, a potem zbliżył się do Kornelii i, rękę jej niosąc do ust, wymówił:

— Powtarzałem pani zawsze, iż znajdę ją choćby na końcu świata. Nie zdawałaś się pani wierzyć temu; teraz widzisz pani, żem mówił prawdę...

Wymawiając te słowa, zatapiał w oczach jej spojrzenie swoich ciemno-błękitnych, śmiałych i zlekka rozmarzonych oczu.

Kornelia pobladła mocno i dłonią oparła się o konsolę. Po chwili jednak odzyskała swą zwykłą łatwość obejścia się i wyrzekła ze śmiechem:

— O, panie Gustawie! nie znajdujesz mnie przecie na końcu świata, ale w środku jednego z ucywilizowanych krajów Europy.

Młodzieniec nic nie odpowiedział, patrzył tylko ciągle na piękną kobietę, patrzył i patrzył, aż pani prezesowa cierpkim nieco tonem poprosiła go, aby zajął miejsce na fotelu.

* * *

Gdy się to działo w domu doktora Władysława, on sam powolnym krokiem wstępował na schody swych przyjaciół.

W przedpokoju przyszła mu nagle do głowy myśl, czy też pani Ludwika miewa podobne napady pustej wesołości lub spazmatycznego płaczu, jakich dziś doświadczała Kornelia?

Czy podobna zmienność humoru stanowi ogólną ujemną stronę płci żeńskiej, czy też bywa właściwością niektórych tylko kobiet?

Smutnaby to była wielce rzecz, myślał dalej doktór, gdyby wszystkie na świecie kobiety zanosiły się od śmiechu i wykręcały na jednej nodze wtedy, gdy ich mężowie czytają i rozmyślają o sprawach arcyważnych, i gdyby wszystkie one płaczem, nie wiedzieć czem wzbudzonym, przerywały swym mężom spokojne spożywanie obiadu.

Ostatnia ta uwaga przypomniała doktorowi, że był on nieco głodnym, gdyż wstał od stołu, nie dojadłszy drugiej potrawy, wtedy, gdy zazwyczaj codzienny obiad jego składał się z czterech potraw.

Z tem tedy poczuciem głodu i z takiemi pytaniami o wyłącznych lub ogólnych cechach płci żeńskiej, stanął doktór Władysław na progu bawialnego saloniku pani Ludwiki.

W saloniku tym było, jak zawsze, widno, słoneczno, wonno.

Niedaleko otwartego okna, przy którym kwitły wazonowe róże i gwoździki, siedziała gospodyni domu, przed nią stał okrągły stolik, pokryty różnemi narzędziami i materyałami, do robót kobiecych służącemi, i wyglądającemi z za nich książkami, a z drugiej strony stołu siedział pan Witold z roztwartym dziennikiem w ręku.

Oboje małżonkowie, bokiem zwróceni do drzwi, któremi wchodził doktór, nie zaraz spostrzegli jego wejście.

On zaś zatrzymał się w progu i przyglądał się im z taką uwagą, jak gdyby dziś dopiero nową miał z nimi zawiązywać znajomość.

Pani Ludwika ubrana była w jasną, lekką suknię, która z bardzo prostego materyału i bardzo po prostu uszyta, przedziwnie jednak przypadała do białej jej twarzy i bardzo pięknie uwydatniała wdzięczne, lubo pewną powagą nacechowane, kształty kibici.

Na kolanach jej rozpostarty leżał przezroczysty muślin, który snadź zszywała przed chwilą, bo w prawej jej ręce połyskiwała igła, nawleczona na cieniuchną niteczkę.

Teraz jednak przestała szyć, i z łokciem opartym na stole, a skronią na dłoń spuszczoną, oczyma, w których znać było skupienie i wytężenie myśli, wpatrywała się w twarz męża.

Pan Witold czytał na głos gazetę, tę samą gazetę, której czytanie w tak niefortunny sposób przerwane dziś zostało doktorowi, tę samą, której bliźni arkusz, przemokły i zmięty do niepodobieństwa, spoczywał teraz po przebytych katastrofach w kieszeni jego ubrania.

Nic w tem dziwnego, że pan Witold czytał gazetę, ponieważ w owej porze cały świat, umiejący czytać, temu samemu oddawał się zatrudnieniu.

I nic także dziwnego nie było w tem, że pani Ludwika z wielką uwagą i przejęciem się słuchała czytania męża, ponieważ cały świat, umiejący czuć i myśleć, z uwagą i przejęciem się słuchał tych ech, któremi grzmiała wielka katastrofa, zaszła na jednym punkcie kuli ziemskiej.

Nic w tem wszystkiem nie było dziwnego, a jednak doktór Władysław z nadzwyczajną uwagą przyglądał się obojgu, w podobny sposób zatrudnionym małżonkom, a szczególniej pani Ludwice.

Przypatrywał się on jej w taki sposób, jak gdyby pragnął

zbadać, czy też słuchanie o sprawach wszechświatowych, a niezmiernymi bólami i następstwami ciężarnych, każdą kobietę skłania do przypatrywania się uszkodzeniom, zaszłym w jej buciku, a następnie do porwania się z wybuchami śmiechu i wykręcania po pokoju na jednej nodze?

Ale postawa i wyraz twarzy pani Ludwiki nie objawiały najmniejszej skłonności do podobnych poruszeń duszy i ciała; co widząc, doktór nie przeciągał dłużej swych badań i spostrzeżeń, lecz, postąpiwszy kilka kroków, głośno wymówionem powitaniem oznajmił obecność swą przyjaciołom.

Pan Witold rzucił dziennik na stół i porwał się z krzesła z wielką radością.

— Kochany doktorze! — zawołał — jesteś najpoczciwszym człowiekiem z całego chrześcijaństwa za to, żeś pomyślał przecie o odwiedzeniu nas!

Pani Ludwika uprzejmie też i po przyjacielsku witała dawnego znajomego, który teraz rzadkim w jej domu bywał gościem.

Naturalnie, rozmowa weszła wnet na tor wypadków, jakie podówczas najżywiej zajmowały umysły wszystkich, a trzy osoby, siedzące przy okrągłym stole, piętrzącym się książkami, muślinami, koszykami do robót i kwiatami, jednakowy brały w niej udział.

Pan Witold odczuwał dokonywające się w odległej stronie fakta z siłą uczucia niemal młodzieńczą, lecz zarazem zastanawiał się nad nimi z rozwagą i wytrawnością dojrzałego człowieka.

Po półgodzinnej ożywionej pogadance, potarł ręką czoło, jak człowiek, którego umysł pracuje nad rozwikłaniem trudnej zagadki, i z lekkim smutkiem w głosie rzekł:

— Rzecz to dziwna, zaprawdę, i zastanowienia godna, jak trudno przychodzi ludzkości kroczyć po drodze postępu do prawdziwego dobra. Świetne pozory, jakimi cywilizacya pokrywa oświeceńszą część społeczeństw, łudzą wzrok nasz, i każą nam wierzyć w nadeszłe panowanie nad światem prawdy i piękna, gdy ni stąd, ni zowąd, straszna burza zaszumi, wstrząśnie ludzkością w najgłębszych jej podstawach, a my, biedni marzyciele, którzyśmy sądzili, że wszystko na ziemi ma się ku lepszemu, budzimy się ze snów naszych i widzimy znowu całą złość natury ludzkiej, w całej jej nagości, i prawo mocniejszego dzierżące berło świata, z tą samą siłą nieprawą, z jaką dzierżyło je od wieków.

Przy podobnym widoku przychodzi nieraz człowiekowi zwątpić o możebności dobra na ziemi i o prawdziwości tego postępu, który jest przecie wiarą i podporą wszystkich ludzi dobrej woli...

Gdy pan Witold wymawiał te wyrazy, z dźwięku głosu jego i wyrazu twarzy poznać można było, że czuł on w sobie bardzo żywo tę nić tajemniczą, która wszystkie pojedyńcze jednostki ludzkie łączy w snop o solidarnem istnieniu, i że w tej chwili nić ta boleśnie w nim zadrgała, pod dotknięciem smutnych zwątpień, jakie go ogarnęły.

Pani Ludwika słuchała słów męża z wielką uwagą, a gdy umilkł, zamyśliła się głęboko.

— Witoldzie! — ozwała się po chwili — nie jest tak, jak powiadasz. Wątpić o możebności dobra i prawdziwości postępu na ziemi nie możemy, bo czyliż każdy uczciwy i oświecony człowiek we własnych uczuciach, myślach i działaniach dobra tego nie odnajdzie i, zajrzawszy w sumienie swoje, o istnieniu jego nie przekona się naocznie? i czyliż sam ten ból, jakiego my doświadczamy dzisiaj, na odgłos tych cierpień, jakie dotykają wcale nieznanych nam i o wiele set mil odległych od nas ludzi, nie świadczą nam o szerokiem rozwinięciu się naszych władz moralnych, o większej potędze i wyższości uczuć naszych nad temi uczuciami, których doświadczały dawne pokolenia. Zresztą, cierpienia wielkie rodzą często również wielkie dobra. Kto wie nawet, czy cokolwiek powstać może na ziemi bez cierpień i bólu?

Pani Ludwika mówiła to z powagą, ale na twarzy jej rozlewała się pogoda ufnej i spokojnej w sobie samej myśli; w błękitnych oczach, nieco w górę podniesionych, błyszczała wiara gorąca, a przy ostatnich tylko wyrazach głos lekkim zadrżał smutkiem.

Pan Witold popatrzył chwilę na twarz żony, dziwnie upiększoną wyrazem, jaki ją pokrył, aż i jego czoło stopniowo się rozmarszczyło i w oczy wstąpił spokój.

— Tak — rzekł — wy kobiety, którym natura już sama rozkazała dwa razy więcej od nas cierpień ponosić, wy, dla których z łona najsroższych męczarni wykwita najwyższa rozkosz macierzyństwa, najlepiej odgadujecie tę harmonię, jaką wiąże się na ziemi ból z wynikającem z niego dobrem. Tam, gdzie my zwątpimy, wy wierzycie jeszcze; tam, gdzie oczom naszym przedstawia się samo zło i nieprawość, wy dojrzeć jesteście zdolne kiełkujące wśród pyłu źdźbło poezyi i nadziei. I wtedy,

gdy my, wstrząsani burzami, spoglądamy na stopy nasze, azali prędko roztworzy się pod niemi ziemia i nas w otchłań niezgłębioną pociągnie, wy, nawykłe do cierpień i wsłuchane w harmonię, jaka brzmi we własnem waszem sercu, wśród tych samych burz stoicie pogodne i spokojne, i czoła podnosicie ku niebu, wciąż wyglądając i spodziewając się, że zstąpi ono na ziemię... Wy, kobiety, stanowicie w ludzkości żywioł wiary i pogody...

— Stokroć szczęśliwe — łagodnym głosem przerwała pani Ludwika — stokroć szczęśliwe są te z nas, które mogą odtwarzać wiarę i wskrzeszać pogodę w sercach swych ukochanych.

Pan Witold w milczeniu wyciągnął rękę ku żonie i obie dłonie ich połączyły się uściskiem, w którym, oprócz miłości, objawiły się jeszcze przyjaźń, ufność i wdzięczność wzajemna.

Doktór Władysław z przyjemnością słuchał rozmowy dwojga małżonków i z zachwyceniem patrzył na panią Ludwikę która w tej chwili wydawała się istotnie żyjącem uosobieniem harmonii, wiary i pogody.

— Jacy oni szczęśliwi! — pomyślał w duchu, i doznał w głębi serca uczucia, podobnego do smutku.

Biada małżonkowi, który przy myśli takiej poczuje smutek! Snadź przestał on już uważać siebie za najszczęśliwszego z ludzi!

Dalsze jednak rozwagi doktora Władysława nad szczęściem państwa Witoldostwa przerwane zostały wejściem służącego, który oznajmił podany obiad.

— Kochany panie Władysławie! — wesoło i uprzejmie zawołała pani Ludwika — jeśliś nie jadł jeszcze obiadu, to zjedz go z nami! Tak dawno pan u nas nie byłeś!

Doktór Władysław zawahał się chwilę.

Właściwie nie mógłby on stanowczo powiedzieć, jadł-li obiad, czy nie. Wprawdzie pamiętał o tem dobrze, iż spożył talerz rosołu, ale już sztuka mięsa, przyprawna żałośliwą rozmową teściowej, wcale mu nie smakowała, a na trzecią i czwartą potrawę otrzymał łzy i niezasłużone wyrzuty.

Jakkolwiek zresztą wysoko nastroiła go prowadzona przed chwilą z państwem Witoldostwem rozmowa, fizyczna strona jego istoty nie zrzekła się przecie przyrodzonych praw swoich, i w dość dotkliwy sposób dawała mu poczuwać głód, ów smutny wynik zaszłej w domu jego katastrofy.

Zważywszy tedy w przeciągu kilku sekund wszystkie p r o

i contra, doktór Władysław pytanie pani Ludwiki, azali jadł już obiad, pominął dyplomatycznem przemilczeniem, a zaproszenie przyjął, i po chwili, wraz z przyjaciołmi swymi, zasiadł do stołu.

Po raz pierwszy od ożenienia się swego doktór Władysław jadł obiad za domem, nic tedy dziwnego, że, rozważając przyczynę, jaka fakt ten spowodowała, czuł się nieco markotnym.

Markotność ta nie uszła uwagi uprzejmej i szczerze sprzyjającej mu pary małżonków, to też oboje zdawali się podwajać usiłowania ku okazaniu mu swej życzliwości i ożywieniu prowadzonej u stołu rozmowy.

Pani Ludwika szczególniej okazała się gospodynią domu pełną wdzięku, serdecznego ciepła, a doktór Władysław, spoziérając na twarz jej łagodną i rozjaśnioną, przyglądając się ruchom spokojnym, a zarazem wdzięcznym, i wyrazowi jej oczu dobrych i myślących, myślał w duchu, że była ona wcieleniem i uosobieniem ślicznej, bogatej w promienie, kwiaty i owoce pogody letniej.

I myślał jeszcze, że pogoda taka była rzeczą nadzwyczajnie w życiu domowem cenną, że kto wie? ona-to może stanowiła tę stronę domowego życia wdzięczną i radosną, jaka, obok męskiej powagi i surowości, reprezentowaną przez kobietę być powinna, nie zaś, jak dotąd sądził, owa wesołość i pustota półdziecięca, milutka, lecz chwiejna i nieokreślonej natury, a tak blizka płaczu i gniewu, jak się o tem dziś właśnie przekonał...

I pierwszy raz w życiu zastanowił się nad różnicą, jaka zachodziła pomiędzy wesołością a pogodą kobiecą, i zapytał siebie: czy nie pomylił się, uważając dwa te przymioty za jednoznaczne, i czy pojęcia jego, jakie tworzył był sobie o żonie wesołej, nie były kapitalnie niedorzecznemi?

Kobieta bowiem, która ma pogodę w duszy, wśród smutku nawet zostanie pogodną; kobiecie zaś wesołej nie zawsze sprosta i dotrzyma placu w wesołości mąż, któremu przebyta już połowa życia cięży na barach...

Tak myślał doktór Władysław i bardziej jeszcze zmarkotniał, a pani Ludwika, pragnąc zapewne rozweselić go miłem przypomnieniem, zapytała:

— Cóż porabia Kornelka, panie Władysławie?

O, w jakże kłopotliwą pozycyę pytanie to wtrąciło doktora!...

Co Kornelka porabia? alboż on wiedział o tem? alboż podobna określić, co porabia barwny motyl, esy i floresy kreślący w błękitnej atmosferze?

On lata sobie i na tem koniec.

Trudnoż zaprawdę było młodemu małżonkowi otwarcie i bez ogródki powiedzieć przyjaciołom, iż zatrudnienia małżonki jego składają się z ubierania i rozbierania, okręcania się po pokoju na jednej nodze, tańczenia walca solo, ściągania bronzowych Kupidynów z właściwego stanowiska, obalania zegarów, tłuczenia waz porcelanowych i płakania bez przyczyny?

Gdyby zaś sto lat myślał, nic innego nad to w zatrudnieniach Kornelii wymyślićby nie mógł. To też pytanie pani Ludwiki po raz drugi zmuszony był pokryć dyplomatycznem przemilczeniem, a uczynił to nie bez pewnej dotkliwej przykrości.

Aliści w kwadrans potem pan Witold rzekł do przyjaciela:

— Żona twoja, Władysławie, wiele zapewne poświęca czasu muzyce?

— A tak... wiele... wiele — odpowiedział doktór, jąkając się i z roztargnieniem.

Jąkanie się to i roztargnienie pochodziło stąd, że doktór Władysław wyraźnie przypomniał sobie w tej chwili, że od pewnego czasu Kornelia coraz mniej oddawała się uprawianiu swych talentów.

Zapał jej do muzyki i śpiewu zmniejszał się w matematycznym stosunku do przedłużania się czasu, który ją oddzielał od dnia ślubu.

Wprawdzie wybuchał on niekiedy z całą dawniejszą siłą i świetnością, ale zdarzało się to tylko wtedy, gdy Kornelię otaczało liczne grono słuchaczy; w samotności zaś domowej gasł on zupełnie, i doktór Władysław, odpowiadając na pytanie przyjaciela, przypomniał sobie wyraźnie wiele wypadków, w których na prośbę jego o śpiew lub muzykę Kornelia odpowiadała krótkiem: »Nie chce mi się«, lub długim wybuchem śmiechu, rozbudzonego czemkolwiek, choćby niezręcznym podskokiem Fida, lub pieszczotliwem poruszeniem jego łapki.

Pan Witold spojrzał znacząco na żonę, dając jej przez to do zrozumienia, że nie należy wspominać więcej o Kornelii; jakoż potem mówiono już ciągle o czem innem.

Pogoda, jaką pani Ludwika roztaczała wkoło siebie, przy-

jemna rozmowa tak jej, jak jej męża, nie mogły nie wywrzeć na doktora Władysława zbawiennego wpływu.

Przy filiżankach z wonną kawą i pogadance, przerywanej głośnem czytaniem pana Witolda, lub srebrzystym szczebiotem dwojga Rubensowskich aniołków, które bawiły się na dywanie u stóp rodziców, markotny i zamyślony doktór rozmarszczył czoło, odetchnął swobodnie i doświadczył takiego uczucia, jakiego doświadcza człowiek, który, po długiem utrudzeniu, oddaje się błogiemu spoczynkowi.

Po jakiem-że to strudzeniu odpoczywał doktór Władysław wśród pogodnej atmosfery, napełniającej dom jego przyjaciół? Dwie sceny, jakie dnia tego odegrały się w domu jego, a z których jedna była rozpaczliwie wesołą, druga komicznie żałosną, nie mogły go przecie tak dalece utrudzić, przez wzgląd przynajmniej na krótkość swego trwania.

A jednak doświadczał wyraźnie takiego uczucia, jakie wypływa z oddawania się miłemu spoczynkowi, i takiego jeszcze, jakie bywa wynikiem przerzucania się człowieka ze sfery niewłaściwej mu we właściwą.

Uczucie to wprawiło go w zadziwienie, po którem jednak prędko nastąpił rozmysł.

— Zanadto śmiałem się przez kilka ubiegłych od ślubu miesięcy — pomyślał sobie — i za mało używałem stosownego do moich usposobień towarzystwa!...

Biada małżonkowi, który po kilku miesiącach bezprzestannego przebywania ze swą żoną, przyjdzie w końcu do wniosku, że mu przez ten czas stosownego niedostawało towarzystwa!

Cóż bowiem stanie się z owymi zimowymi wieczorami, spędzanymi we dwoje przy kominkowym ogniu, o których marzył w czasie samotnych swych wieczorów?...

Zimowe wieczory! To drobnostka! Tak lub owak, przejść one muszą!

A jednak doktór Władysław nieraz w samotnym swym gabinecie ze szczególnem marzył upodobaniem o tych wieczorach, spędzanych we dwoje. Wieczory takie miały być w wyobraźni jego nadzwyczajnie miłym po całodziennej pracy spoczynkiem, a kto wie? może nieraz i błogosławionem natchnieniem dla jutra.

Lecz nuż Kornelia zechce w ciągu wieczorów tych śmiać się z Fida, lub płakać bez przyczyny, lub jeszcze spraszać gości? — bo bardzo lubiła miewać u siebie gości licznych i częstych.

Ot i zabraknie mu stosownego do usposobień jego towarzystwa!...

Takiemi-to, niezbyt pocieszającemi myślami napółzajęty, a napół oddając się przyjemniejszemu wrażeniu, jakie wywierał na niego spokój, panujący w domu państwa Witoldostwa, i miłe a stosowne do jego usposobień ich towarzystwo, doktór Władysław przepędził z przyjaciołmi swymi dobrych kilka godzin, i ani się spostrzegł, jak wskazówki zegara dobiegły dziewiątej wieczornej godziny. Rzuciwszy jednak na te wskazówki wypadkowe spojrzenie, i spostrzegłszy to stanowisko, na jakie zapędził je nieubłagany pochód czasu, mąż Kornelii poczuł lekki wyrzut sumienia, że na tak długo opuścił swą rozpłakaną żonę i, uznając, że rejterada trwała dość długo, postanowił co prędzej wrócić na opuszczone stanowisko, aby, zamiast wojny, jaka się tak groźnie była rozpoczęła, zapewnić sobie stanowczy i pożądany pokój.

Ba! zawarcie pokoju nie zawsze bywa sprawą do spełnienia łatwą!

Obie skłócone z sobą strony mogą wzajem nakładać na się warunki uciążliwe, a wtedy zgoda w problematycznem okaże się świetle.

. . . . . .

. . . . . .

— Jeżeli Kornelia dlatego w istocie płakała, żem jej odmówił powozu i koni — myślał w drodze do domu doktór Władysław — tembardziej niepodobna mi będzie zaspokoić to jej żądanie, oparte na... próżności; tak, wyraźnie na próżności tylko, gdyż w mieście naszem powóz bynajmniej nie jest przedmiotem do wygody niezbędnym. Gdybym tym razem poddał się jej woli, w podobnie przykry szczególniej wyrażonej sposób, nastąpiłby wnet cały szereg takich samych żądań, których spełnienie mocnoby nadwerężyło stan moich finansów, a do tego stałoby w wyraźnej sprzeczności z radami zdrowego rozsądku! Co większa, tym sposobem postępując, mógłbym zostać jednym z tych mężów, na których głowach żony opierają podeszewki swych pantofli!

Nie, tak źle nie będzie!

Kornelia jest młodą kobietą, niedoświadczoną i lekko popsutą zbytkami i światowością. Trzeba koniecznie, abym powagą moją i energią pozyskał na nią wpływ i kierował umysłem jej i chęciami!

Postaram się o to...

Biada mężczyźnie, pracującemu i połowę dni swoich przepędzającemu za domem, w celu spełniania przywiązanych do stanu jego obowiązków, gdy, pojąwszy żonę, kształcić ją musi wpływem swym i obejmować kierunek nad umysłem jej i chęciami!

A kędyż znajdzie on czas po temu?

Wprawdzie miłość dokonywa cudów, i w jednym dniu może kochającą kobietę nauczyć różnych rzeczy, którychby najbieglejszy profesor w ciągu długich lat dostatecznie wyłożyć nie potrafił.

Ależ właśnie ta miłość... w tem sęk, czy istnieje ona zawsze tam, gdzie okazuje się tak wyraźna potrzeba edukacyi małżeńskiej, jak to zaczynał dostrzegać doktór Władysław względem Kornelii?

Bądź co bądź, takiemi-to myślami i postanowieniami żywo zajęty, i wobec zagadki, w jaką przyoblókł się własny jego los, tracąc całkiem z uwagi losy dwóch, w oddali wojujących pomiędzy sobą mocarstw, Władysław wszedł do przedpokoju swego mieszkania.

Tu o uszy jego obiła się, z salonu dochodząca, szumna muzyka fortepianowa, wyraźnie przez dwie osoby, grające na cztery ręce, wykonywana.

— Czy są goście? — zapytał służącego, który mu drzwi otworzył.

— Jest jakiś pan nieznajomy — odpowiedział sługa.

Doktorowi ów pan nieznajomy niezupełnie był na rękę; pragnął on bowiem co prędzej rozmówić się z żoną sam-na-sam i, zbadawszy przyczynę jej dzisiejszego płaczu, uczynić pierwszy krok ku zajęciu stanowiska męża, nauczyciela i kierownika.

Wejście doktora Władysława do salonu nie zaraz spostrzeżonem zostało przez znajdujące się w nim osoby.

Pani prezesowa bowiem siedziała plecami do drzwi zwrócona i, przy świetle lampy, palącej się przed kanapą, bardzo pilnie poruszała szydełkiem i białą bawełną, a Kornelia z nieznajomym panem grała na cztery ręce Cavatinę z »Don-Żuana«.

Wesołe i figlarne dźwięki tej Cavatiny niemile jakoś wpadły w ucho wchodzącego doktora, stanowiły one bowiem zbyt rażącą sprzeczność z poważnym nastrojem, z jakim przygotował się spotkać żonę.

Ale daleko jeszcze przykrzejsze wywołało w nim uczucie to spostrzeżenie, że nieznajomy pan, grający w wiolinie, nie patrzył bynajmniej na klawisze, ani na nuty, rozpostarte na pulpicie, ale trzymał oczy wlepione w twarz Kornelii, która grała w basie.

— Co się to znaczy? — pomyślał doktór Władysław — miałżeby ten jegomość ujrzeć Cavatinę, wypisaną na twarzy mojej żony? Powinien przecie wiedzieć o tem, że podobne wpatrywanie się w cudzą żonę jest co najmniej rażącą nieprzyzwoitością.

Kończąc tę myśl, doktór Władysław stanął naprzeciw grającej pary i wymówił głośno:

— Dobry wieczór, Kornelko!

Cztery ręce opadły nagle od fortepianu, i na dwóch twarzach zaiskrzyły się dwa rumieńce.

Kornelia i nieznajomy pan wyglądali przez parę sekund, jak zbudzeni ze snu, a doktór Władysław, który patrzył tylko na żonę, gwałtowny rumieniec jej przypisał nagłemu przypomnieniu zdarzonego pomiędzy nią a nim zajścia i wyciągnął z niego nawet najlepsze dla siebie wróżby.

Spostrzeżenie to i wyciągnięte z niego wnioski sprawiły, iż zapomniał zupełnie o dziwactwie nieznajomego pana, który przed chwilą zdawał się, niby z nut, czytać Cavatinę z twarzy jego żony i, przyjaźnie uśmiechając się, podał rękę Kornelii.

Na ten, pragnieniem zgody tchnący objaw Kornelia odpowiedziała prześlicznym uśmiechem, a przyjmując podaną sobie rękę męża, wdzięcznym ruchem głowy wskazała nieznajomego pana i rzekła:

— Przedstawiam ci, Władziu, kuzyna mego, pana Gustawa X. Znamy się z nim od dzieciństwa, i uważam go za rodzonego mego brata!

Jakkolwiek doktór Władysław przy pierwszem spojrzeniu na pana Gustawa nie poczuł do niego szczególniejszego pociągu, toć jednak rozumiał dobrze, iż krewnemu żony, a do tego jeszcze takiemu, którego ona uważała za rodzonego brata, należą się z jego strony pewne życzliwe względy. To też podał dłoń gościowi z całą możebną grzecznością i uprzejmością, a następnie zwrócił się w inną stronę, aby powitać panią prezesową.

Pani prezesowa nie zdawała się dotąd spostrzegać obecności zięcia i, pilnie poruszając szydełkiem, w taki sposób pochyliła głowę nad robotą, że światło lampy padało tylko na jej czoło, ukazując na niem zmarszczki groźne i przepowiednie srogich burz.

Widok tych zmarszczek niemile uderzył oczy doktora.

Przeczuł on raczej, niż zrozumiał ich znaczenie. Zbliżył się wszakże do teściowej i, czyniąc przed nią ukłon, który daremnie stracony został, ponieważ nie dostrzegły go niczyje oczy, wymówił zwyczajne wyrazy powitania.

Pani prezesowa nie odpowiedziała i zdawała się być pozbawioną słuchu i mowy.

Doktór Władysław powtórzył wyrazy powitania.

Pani prezesowa wydawała się wciąż głuchą i niemą.

— Kochana mama tak zajęta robotą... — wymówił do zgody dążący zięć.

Teściowa podniosła głowę i przemówiła:

— Niepotrzebnie, wcale niepotrzebnie zwracasz na mnie uwagę, luby, kochany zięciu! Uwalniam cię od tego uciążliwego zapewne obowiązku, całkowicie uwalniam! Pozwalam ci, kochany zięciu, wcale nie zważać na mnie, ani na rady, jakich kiedykolwiek poważę się ci udzielić, a nawet będę ci wdzięczną za to, ponieważ nauczy mnie to pokory, wielce potrzebnej kobiecie, która, jak ja, pozostaje na łasce u swego zięcia!...

Tym razem doktór Władysław spostrzegł, że ma do czynienia nie ze zwyczajną sobie i byle jaką, ale z wielce niepospolitą teściową.

Czoło jego sfałdowało się, z niepokojem zwrócił się w inną stronę, w tej zapewne będąc obawie, aby obcy gość nie dosłyszał wyrazów pani prezesowej, które z natury swojej zaliczały się do tych powiedzeń i znamionowały takie uczucia, i przepowiadały jeszcze na przyszłość takie fakta, jakie pozostawać winny w niedostępnej obcym oczom i uszom dziedzinie familijnych tajemnic.

Wprawdzie doktór Władysław nie miał szczególniej dobrego wyobrażenia o familijnych tajemnicach, a nawet wyobrażał sobie zawsze, iż familia powinna być, jak szklanka, czysta i przezroczysta, bo wtedy tylko przysłuży się ludziom zdrowym i smacznym napojem.

Wszakże na ten raz nie przedstawiało się do uczynienia nic lepszego, jak surowe słowa pokornej teściowej zaliczyć do rzędu familijnych tajemnic i ustrzedz je od ucha gościa. To też doktór Władysław z niepokojem spojrzał w stronę Gustawa. Ale pan Gustaw, zajęty dotąd półgłosem prowadzoną rozmową z Kornelią, teraz dopiero zwrócił się do gospodarza domu i, zabierając miejsce na poblizkim fotelu, wymówił:

— Pochlebiam sobie, że nazwisko moje nie jest panu nieznanem, i że nie po raz to pierwszy obiło się ono o uszy pana.

Doktór Władysław przypomniał sobie w istocie, że słyszał już był kiedyś nazwisko pana Gustawa, ale gdzie? jak? nic a nic nie pamiętał.

I dlaczego młody gość jego pytał go o to? wcale się nie domyślał.

— W istocie, przypominam sobie... Kornelka mówiła mi...— zaczął, jąkając się nieco, gdyż pamiętał dokładnie, że Kornelia nigdy a nigdy nie wspominała mu o swym kuzynie, którego przecie uważała za rodzonego brata.

— Stokrotnie wdzięczny jestem pani Kornelii, jeżeli wspominała przed panem imię moje — przerwał gość z ukłonem i przelotnem na młodą kobietę spojrzeniem — jestem jednak pewny, że imię to inną jeszcze drogą dojść musiało uszu pańskich; tak, przekonany jestem o tem, i jakkolwiek miasto, w którem obecnie znajdujemy się wszyscy, nie należy do wielkich centrów, skupiających w sobie wszystkie promienie nauk i sztuk pięknych, rozsiane po kraju, toć jednak niepodobna, abyście państwo nie posiadali żadnych wiadomości o ludziach, stojących na czele, że tak powiem, piastujących dla szczęścia i oświaty profanów te nauki i sztuki...

Ze słów tych pana Gustawa, a więcej jeszcze z wyrazu twarzy, z jakim je wymawiał, i pewnego, sprawiedliwą dumę oznaczającego podniesienia się jego czoła spłynął na doktora Władysława promyk, rozświecający grubą niewiadomość, w jakiej zostawał.

— Zgaduję — wyrzekł z prostotą człowieka, który sam nigdy nie upędzał się za chwałą — jesteś pan zapewne literatem... autorem jakiejś powieści lub poematu, albo może rozprawy o którejś z bieżących kwesyi społecznych.

— Nie, panie — przerwał młody gość, wyżej jeszcze podnosząc czoło i z odcieniem niezadowolenia w głosie — nie jestem literatem i nie napisałem żadnej powieści, ani rozprawy. Jestem artystą...

Miałem honor dwa razy z grą moją występować publicznie w stolicy, i śmiało rzec mogę, że oba wystąpienia moje były dwoma odniesionymi tryumfami. Skromność moja nie pozwala mi dokładnie przedstawić panu tego zapału, jaki ogarnął był zebraną w sali koncertowej publiczność, gdy, na zakończenie drugiego mego koncertu, odegrałem fantazyę własnej mojej kompozycyi, pod tytułem »Le coeur brisé«. To tylko panu powiem, że, gdym złożył skrzypce i miał zejść z estrady, książę N., jak wiadomo, największy w tych czasach znawca i protektor

sztuk pięknych, zbliżył się do mnie i, ściskając mię za rękę, rzekł:

— »Muzyka pańska jest do najwyższego stopnia oryginalną. Jeżeli oddasz się pan pilnie studyom nad Beethovenem, Haydnem, Mozartem, to się przekonasz, że nic do niej podobnego nie znajduje się w dziełach tych mistrzów«.

To rzekłszy, pan Gustaw poprawił się na krześle i białą, wypieszczoną rękę przeciągnął po gęstych włosach, które fantastycznie ułożonym czubem piętrzyły się nad czołem i w długich, złotawo połyskujących kędziorach opadały prawie aż na ramiona.

Przez cały ciąg mowy pana Gustawa Kornelia stała naprzeciw niego, z dłonią opartą o stół, z głową podniesioną niby w tryumfie, a ztote gwiazdy, błyszczące na tle aksamitnych jej źrenic, spoczywały na twarzy młodego gościa miękko i promieniście.

— Mocno czuję się zawstydzonym niewiadomością moją — ozwał się po chwili milczenia doktór Władysław — ale, pomimo najszczerszych chęci, ludzie, oddający się zawodom, podobnym do mojego...

— Mają w pogardzie sztuki piękne, które zwą lekkiemi i błahemi mrzonkami — dokończył pan Gustaw z ironicznym uśmiechem i skłonieniem głowy.

Doktór Władysław uśmiechnął się zlekka.

— Złe pan o mnie masz wyobrażenie — odrzekł — jeśli przypuszczasz, że lekceważyć i pogardzać mogę tak wysoko cywilizacyjnym w życiu ludzkości żywiołem, jakim jest sztuka. Nietylko poważam sztuki piękne i rozumiem cały zbawienny wpływ, jaki wywierać mogą i wywierają istotnie na świat, ale nawet w muzyce wyłącznie i szczególnie rozmiłowany jestem. Cała rzecz w tem, że, przy szczerem i sumiennem zajęciu się obowiązkami, jakie wkłada na mnie mój zawód, nie zawsze mogę posiadać wszelkie wiadomości, tyczące się świata artystycznego...

— Panie! — wyrzekł pan Gustaw, pochylając głowę — jesteś pan aż nadto wytłómaczony z niewiadomości, w jakiej pozostawałeś względem mego imienia i mojej osoby. Zapoznanie i lekceważenie bywa zwykłym udziałem tych, którzy serce swe i życie oddają posługom Muz...

— Tym razem — odparł doktór — wyrządzasz pan niesprawiedliwość społeczności ludzkiej wogóle, a społeczeństwu naszemu w szczególności.

Co do mnie, sądzę, że talent prawdziwy i praca wytrwała znajdą dla siebie zawsze wygodne i zaszczytne miejsce pod słońcem, a zapoznane geniusze wydają mi się reminiscencyą z dawnych czasów, posługującą w naszym wieku próżniakom, pozującym na wielkich ludzi.

Lekki rumieniec przemknął po twarzy pana Gustawa, a na ustach jego ukazał się uśmiech, nietylko już na ironię zakrawający, ale nieco gorzki.

Nie spuścił jednak wzroku, i śmiałe bardzo spojrzenie zatrzymując na twarzy doktora, z czołem wyżej jeszcze i dumniej podniesionem, zaczął mówić:

— Mylisz się pan, twierdząc, że zapoznane geniusze są w wieku naszym anomalią i próżną z dawnych czasów reminiscencyą. I owszem, w naszym to właśnie wieku, w wieku, nacechowanym dążnościami grubo materyalnemi, w czasie, w którym ludzkość na ołtarzu czci swojej umieściła koleje żelazne, zimne eksperymenty nauk ścisłych i prozaiczne teorye ekonomii politycznej, w tym-to właśnie czasie, wszystko, co duchowe, wzniosłe, poetyczne, co w niebo dąży, a po ziemi nie pełza, w najwyższej zostaje pogardzie, a duchy wybrane, z natury swej wznoszące się ponad poziom materyalizmu i pospolitości, błądzą po świecie, jak wśród pustyni, nadaremnie bratnich szukając duchów. O, wierz mi pan, że nie laurami, nie różami, ale cierniem i głogiem usłana dziś bywa droga artysty.

Pan Gustaw mówił to płynnie, z uniesieniem i ogniem, ale doktór Władysław nie zdawał się być wymową tą, aczkolwiek gładką i ognistą, uniesionym i przekonanym. Przeciwnie, uśmiechał się zlekka, a gdy pan Gustaw umilkł i głowę na pierś opuścił, rzekł z kolei:

— Że ludzkość wogóle, a społeczeństwo nasze w szczególności umie cenić talenty i nie ma pogardy dla sztuk pięknych, świadczą już te tryumfy, które gra pańska odnosiła w stolicy, a o których sam rozpowiadałeś nam przed chwilą. Co się zaś tyczy grubego materyalizmu, to, o ile mi się zdaje, gorszej on w świecie używa sławy, niżby istotnie należało. Koleje żelazne, panie, są instytucyą wielce dogodną i dla postępu oświaty pomocną; ekonomia polityczna zapobiega, o ile może, nędzy, tej najokropniejszej prozie naszego świata; a w zimnych, jak je pan nazwałeś, eksperymentach naukowych mieści się taka spora doza poezyi, o jakiej ani śni się tym, co nigdy nie zaglądali we wnętrza wspaniałych i arcy-poetycznych tajemnic natury. Ciernie i głogi spotykają się nietylko na drogach, któremi postępują

artyści, a laury i róże bywają zwykle nagrodą prawdziwej zasługi, trzeba tylko umieć ich szukać nie wśród ludzi, ale we własnem sumieniu. Szanuję wysoko, rzec mogę nawet, iż uwielbiam sztukę, objawy jej w ludzkości i tych, którzy, za istotnem idąc natchnieniem, objawy te sprowadzają na ziemię; niemniej jednak sądzę, że i innym zawodom należy się szacunek, i że każda praca...

— Władziu! — zawołała Kornelia, która przez cały ciąg rozmowy roziskrzonemi oczyma patrzyła na męża i gościa z kolei — Władziu! przyznać przecie musisz, że zawód artysty ze wszystkich zawodów na świecie najwznioślejszy jest, najpoetyczniejszy, najpiękniejszy, naj... naj... naj...

Nie mogła dokończyć; niewiadomo, czy dlatego, że w myśli swej nie znajdowała dość silnych określeń, jakiemi uczcić pragnęła zawód artysty, czy, że tajemne wzruszenie mowę jej tamowało.

Bądź-co-bądź głos jej, gdy mówiła, był tak drżący i zapałem podniesiony, oczy tak gorzały, policzki tak żywym rumieńcem zapłonęły, że doktór z pewnem zdziwieniem spojrzał na nią.

Zdziwienie to jednak ustąpiło wkrótce przykremu uczuciu.

— Kochana Kornelko! — rzekł łagodnym, ale poważnym tonem — powtarzam raz jeszcze, że zawód artystyczny, pojęty w całej godności i wielkości swojej, zasługuje na wysoką cześć i szacunek; niemniej jednak praca, w innym zwrócona kierunku jeżeli rozumną jest i wytrwałą, oddać może światu również wielkie przysługi i niekoniecznie także musi pełzać po ziemi, ani w grubej zatapiać się prozie...

— O! — zawołała Kornelia, na której twarzy zjawiały się coraz wyraźniejsze oznaki rozdrażnienia i uporu — bywają zawody, którym oddając się, człowiek staje się zimnym, prozaicznym, nie zdolnym do zrozumienia... do zrozumienia...

I znowu zająknęła się, niewiadomo, czy dlatego, że zabrakło jej wyrazu ku określeniu myśli, jaką wypowiedzieć chciała, czy dla innej jakiej przyczyny.

— Do zrozumienia potrzeb serc gorących i umysłów z wyższym polotem — dokończył słowa Kornelii pan Gustaw.

— Tak, tak właśnie — zawołała młoda kobieta. — Bywają zawody, którym oddając się, ludzie stają się nudni, poważni, okrutni, zimni. Nie umieją oni ani zachwycać się pięknemi rzeczami, ani wesoło i swobodnie przepędzać czasu. Pragnęliby tylko siedzieć całe życie pomiędzy czterema ścianami nad książką lub

piórem i żeby koło nich zawsze było cicho, bardzo cicho, co znaczy nudno, bardzo nudno; wtedy, gdy artysta, jak ptak unosi się nad światem, swobodny, świetny, wesoły. Wszędzie, gdzie się ukaże, spotykają go pochwały, oklaski, tryumfy... ach, tryumfy!... cóż podnosi więcej człowieka, co jest świetniejszego nad tryumf!...

Umilkła i patrzyła na męża wzrokiem prawdziwie tryumfującym, a pan Gustaw patrzył na nią tak, jakby w wyrazie twarzy jej czytał w tej chwili najpiękniejszy swój tryumf. Ale doktór Władysław nie tryumfował wcale. Słowa żony i sposób, w jaki je wymówiła, widocznie przejął go nawskroś bardzo przykrem wrażeniem.

Nie jest to bowiem dla człowieka rzeczą arcy-przyjemną, jeśli osoba, najbliżej z nim związana, tak otwarcie i z takiem uniesieniem wyraża pogardę swą dla tej gałęzi działalności ludzkiej, której on sam się oddaje, którą uważa za lepszą połowę swojej istoty i za całą swoją wobec świata zasługę.

Przytem ubodła go mocno otwartość, z jaką Kornelia zdanie swe wobec gościa wypowiadała.

Nie chcąc jednak przedłużać przykrej dla siebie rozmowy, doktór postanowił zmienić jej przedmiot i w tym zapewne celu zapytał pana Gustawa, jaki wyłącznie rodzaj muzyki jest ulubionym jego rodzajem.

— Za najwznioślejszy ze wszystkich rodzajów muzyki — odparł pan Gustaw — uważam ten, którego twórcą i mistrzem jest boski, niezrównany Wagner. Hołduję też przedewszystkiem rodzajowi temu, który w języku artystycznym nosi nazwę muzyki *przyszłości.*

Doktór Władysław przypomniał sobie, że Kornelia hołdowała przedewszystkiem muzyce *przyszłości.* Sam dobrze nie wiedział dlaczego, ale ta solidarność gustu, zachodząca pomiędzy żoną jego i młodym gościem, wcale mu jakoś przyjemności nie sprawiła.

Oprócz tego był to rodzaj muzyki, który właśnie najmniej u niego posiadał łaski, dla tej może prostej przyczyny, że działał on zwykle na organ jego słuchu w sposób, który groził popadnięciem w głuchotę i że poprawdzie nigdy go dobrze zrozumieć nie mógł, ani złowić uchem muzycznego jego sensu.

Z całą więc prostotą i pokorą ducha uznał swoją w tym względzie niższość i, w milczeniu zasunąwszy się w głąb' fotelu, swobodnie pozostawił pole żonie swej i młodemu gościowi do

prowadzenia żwawych rozpraw nad ulubioną im obojgu muzyką niedorównanego Wagnera.

To też Kornelia i młody gość, unoszeni zapałem, zrodzonym niewiadomo, czy miłością dla sztuki, czy też ogniami, jakie gorzały w oczach ich obojga, ile razy tylko oczy te spotkały się z sobą, w pełne posiadanie objęli to pozostawione im przez doktora pole do rozpraw.

Co do pani prezesowej, ta przez cały czas rozmowy nie podniosła ani razu głowy, nie przestała ani na chwilę poruszać błyszczącem szydełkiem i ani jednego nie wyrzekła wyrazu. Tylko na czole jej zapowiednie burz gromadziły się coraz liczniej, i szczęki poruszały się, jak zwykle bywało, gdy szanowna dama czuła się srodze niezadowoloną. To ruszanie się szczęk było u pani prezesowej czemś w rodzaju przeżuwania złego humoru.

Doktór Władysław w milczeniu przysłuchiwał się toczonym przez dwoje młodych ludzi rozprawom o muzyce przyszłości, a nie czując się na siłach uczestniczenia w tych rozprawach, przypatrywał się kiedy niekiedy chmurnemu czołu teściowej i jej w ustawiczny ruch wprawionym szczękom. Ponieważ jednak był to widok niezbyt zajmujący, ani estetyczny, wzrok doktora daleko częściej zatrzymywał się na twarzy i postaci gościa, aż w końcu spoczął na nich stale, jak gdyby chciał dokładnie zbadać i obejrzeć człowieka, tak blizkimi związkami krwi i gustów połączonego z jego żoną.

Powierzchowność pana Gustawa była jedną z tych, którym z przyjemnością, a zarazem ciekawością przyglądać się można.

Przyjemność pochodziła stąd, że Gustaw był bardzo przystojnym, pięknym prawie młodzieńcem; ciekawość zaś obudzić mogło szczególniejsze połączenie najrozmaitszych cech charakteru i umysłu, jakie odbijały się w fizyognomii jego i układzie. Było tam wszystkiego po trosze: dobrego i złego, naturalnego i aż do zbytku przesadnego.

Ubiór i ruchy młodego człowieka znamionowały wprawę w życiu salonowem, posuniętą aż do takiej wykwintności, która stanowi już rozbrat z prostotą; ale natomiast dźwięk jego głosu i wyraz ust, gdy śmiał się lub uśmiechał, były takie świeże, nieprzymuszone, młodzieńcze, iż niepodobna było nie odgadnąć w nich pewnej wrodzonej dobroci serca i miłej wesołości charakteru.

Wesołość ta i młodzieńczość zakrawały wszakże chwilami

na płochość i lekkomyślność, ale tuż obok, jakoby sprzeczności, ukazywała się powaga i melancholia, zakrawające znowu na pozowanie i ostentacyjnie objawiany sentymentalizm. W pięknych, wypukłych, chabrowego koloru oczach młodzieńca płonęły ognie życia i młodości, i jaśniały światła niepospolitego sprytu, a nawet inteligencyi; ale znowu spojrzenie tych oczu było zbyt śmiałe i nacechowane podobnież niepospolitą zarozumiałością. Zarozumiałość ta widniała zresztą w całej postawie, w pewnym sposobie poruszania głową, odrzucania włosów, podnoszenia czoła, a nawet w układzie świeżych, purpurowych, leciuchnym zaledwie złotym puszkiem ocienionych warg, które jednak nabierały chwilami prawdziwie miłego wyrazu dobroci, połączonej z dowcipem i miękką prawie czułością charakteru.

Zresztą, pan Gustaw był bardzo jasnym blondynem i cerę twarzy miał kobiecej nieledwie białości i delikatności. Ręce jego białe były, drobne, wypieszczone i kilku pierścieniami przyozdobione; wymowę posiadał płynną i wyrażał się poprawnie, lubo czasem zbyt górnych używał zwrotów i zanadto starał się o zaokrąglanie frazesów. Mówiąc, nigdy nie zająkał się i łatwo można było poznać, że wolałby w najgorszym razie powiedzieć niedorzeczność, niż zająknąć się, lub nie dodać w mowie swej jakiego wyrazu, którego brzmienie potrzebne było do zaokrąglenia, lub przystrojenia wymawianego frazesu. W ogólności, była to osobistość świetna i błyszcząca, jedna z tych, które mają przywilej zwracania na siebie uwagi kobiet i... fortuny. Wiele tam było barw i świateł od hojnej natury wziętych, a więcej jeszcze piórek pożyczanych, któremi jednak, przyznać należy, młody człowiek oklejać się umiał bardzo zręcznie i ze smakiem. Materyału na artystę było tam bardzo skąpo, lubo jednak było go trochę; natomiast z zachowania się i pewnych właściwych mu ruchów widniało wyraźnie, że pan Gustaw we własnem przekonaniu uważał się za geniusza nietylko w zarodku, ale w pełni już i całej potędze rozwoju i dojrzałości.

Wszystkie te cechy, odznaczające młodego gościa, doktór Władysław dokładnie mógł zbadać w czasie rozmowy, która toczyła się obok niego, a w której on sam żadnego nie brał udziału.

Pan Gustaw i Kornelia mówili długo o muzyce *przyszłości;* potem wspomnieli coś o niemieckich klasykach, którzy, według zgodnego ich mniemania, ani w porównanie iść nie mogli z niezrównanym Wagnerem; następnie jeszcze przerzucili się w dziedzinę Donizettich, Rossinich, Verdich i Auberów, po-

trącili o wesołego Offenbacha, spotkali się z głębokim Chopinem, objawili wspólne swe sympatye dla czułego Schuberta, zachwycali się chwilę nad marzącym Schumannem, aż nakoniec stale i na długo zatrzymali się na kompozycyach... pana Gustawa.

Kompozycyi tych Kornelia znała niewiele, posiadała bowiem tylko jednego walca i dwie polki, skomponowane przez młodego artystę na cześć jej w czasach, o których nie mówili, przez wzgląd zapewne na obecność doktora-męża. Zato pan Gustaw wiele o kompozycyach swych miał do opowiedzenia, a mianowicie o fantazyi, noszącej tytuł »Le coeur brisé«, którato zyskała mu ów wielce dwuznaczny komplement księcia X., o jakim w początku rozmowy wspominał, a także o nowej operze, którą układał i której dwa pierwsze akty ukończone leżały w jego tece, czekając na trzy inne.

O operze tej pan Gustaw mówił najdłużej: przedmiot jej wziętym być miał ze złotej epoki ludzkości, z wieków idyllicznych, pasterskich, z owych błogosławionych czasów, w których młodzieńcowi dosyć było posiadać na własność flet i atmosferę okrążającą kulę ziemską, aby módz śmiało sięgnąć po rękę ubóstwionej dziewicy, gdy teraz w żelaznym wieku... Pan Gustaw miałby o tem wiele do powiedzenia i Kornelia także; nie wyrazili jednak słowami myśli, jakie im nasuwała treść opery pana Gustawa, lubo także i nie przemilczeli ich całkiem, bo oczy młodego artysty były bardzo wymowne, a retoryka właściwą aksamitnym źrenicom.

Kornelia nigdy więcej, jak tego wieczora, nie posiadała do rozporządzenia swego zwrotów, figur i wykrzykników. Co było jednak najszczególniejsze, to, że retoryka ta najwięcej nabierała mocy i ożywienia w chwilach, gdy młoda kobieta twarz swą zwracała do gościa, wzrokowi męża ukazując olbrzymie sploty włosów, które przepysznie stroiły tył jej głowy.

. . . . . .

. . . . . .

W ten sposób upłynął całemu towarzystwu wieczór do godziny pierwszej po północy.

Kornelia i młody gość bawili się przewybornie; ale doktór Władysław, który miał zwyczaj wstawać rano i, według prawideł higienicznych, przed północą udawać się na spoczynek, nie mógł powstrzymać poziewań, nielitościwie co pewien czas wstrząsających jego szczękami, a pani prezesowa, z po-

dziwienia godną wytrwałością surowe zachowująca milczenie, skinęła parę razy głową w sposób, który kazał domyślać się bliskiej przy niej obecności Morfeusza.

I długo możeby jeszcze przeciągnęło się to położenie czterech osób, z których dwie bawiły się, a dwie spać chciały, gdyby umieszczony na konsoli zegar tuż przy fotelu, na którym siedział pan Gustaw, nie wydzwonił pierwszej godziny nad samem uchem gościa.

Na dźwięk ten młody gość porwał się i najuprzejmiej przeprosił gospodarzy, że do tak późnej pory utrudzał ich swą obecnością.

— Pan długo zamierzasz bawić w naszem mieście?— zapytał doktór Władysław.

— Przez czas nieokreślony — odpowiedział pan Gustaw. — Prawdopodobnie przez całą zimę. Myślę bowiem dać tu kilka koncertów... przytem jestem swobodny, jak ptak, i mogę przebywać jak najdłużej tam, gdzie największą znajduję przyjemność.

Przy ostatnich wyrazach patrzył na Kornelię, a żegnając się, dodał jeszcze:

— Pozwolisz pani, abym jutro, około południa, przyniósł ci moją fantazyę »Le coeur brisé«, przełożoną na fortepian... radbym co prędzej usłyszeć ją wykonaną przez panią.

Młoda kobieta potwierdzająco skinęła głową, a gość, raz jeszcze oddawszy tyle ukłonów, ile w salonie znajdowało się osób, zniknął w drzwiach przedpokoju.

Jednocześnie pani prezesowa powstała.

Powstała sztywna, surowa, z czołem napiętnowanem niezachwianą powagą.

Złożyła robotę do koszyczka i, wysunąwszy się z za stołu, za którym siedziała przez cały wieczór, postąpiła ku zięciowi, który stał na środku salonu i, nie potrzebując już krępować się obecnością gościa, z całą swobodą oddawała się przyjemności poziewania.

Doktór Władysław spostrzegł dążenie ku sobie teściowej, a biorąc je za oczywistą pokojową oznakę, stłumił co prędzej poziewanie i przygotował się do przyjęcia i oddania uprzejmego życzenia dobrej nocy.

Ale jakże srogo w oczekiwaniach swych zawiedzionym został!

Pani prezesowa nie podała mu ręki swej do ucałowania, jak zwykle bywało dotąd, lecz, zatrzymawszy się o parę przed

nim kroków i oddając mu dyg głęboki, te tylko proste wymówiła wyrazy:

— Dziękuję ci, luby, kochany zięciu, z całego serca dziękuję ci za to, żeś pogardził radą, jakiej poważyłam się udzielić ci dzisiaj!...

To rzekłszy i raz jeszcze dygnąwszy, odeszła.

Doktór Władysław poczuł się do żywego dotkniętym tą zawziętością teściowej, a szczególniej sposobem, w jaki mu ją objawiła.

Sposób ten do najwyższego stopnia drażnił wrodzoną otwartość i prostotę jego charakteru, i budził w nim przykrą wątpliwość, azali w istocie nie ubliżył kobiecie, dla której, ze względu na wiek jej i stanowisko, jakie zajmowała w jego rodzinie, pragnął zachowywać zawsze nieposzlakowane uszanowanie.

Dlatego też, po odejściu pani prezesowej, mąż Kornelii stał przez chwilę na miejscu nieruchomy, a potem, zwracając się do żony, zapytał:

— Kornelko, powiedz mi, co się stało twojej matce?

Kornelia szybkim krokiem, z rękoma skrzyżowanemi na piersi i głową schyloną, przechadzała się po salonie.

Była tak zamyśloną, że na pytanie męża nie dała żadnej odpowiedzi.

— Czy nie wiesz, co się stało twojej matce, Kornelko? — ponowił pytanie doktór Władysław.

Za całą odpowiedź usłyszał jednostajny szelest kroków niezmordowanie przechadzającej się po salonie Kornelii.

— Kornelko! — zawołał z niecierpliwością w głosie — co się stało dzisiaj? dlaczego mi nie odpowiadasz?

Niestety, głos jego był głosem wołającego na puszczy. Kornelia odziedziczyła po matce wytrwałość w wykonaniu raz przedsięwziętego zamiaru.

Doktór Władysław z przerażeniem spostrzegł, że usposobienia żony jego, obok wiekuistego śmiechu i płaczu bez przyczyny, zawierają w sobie trzeci jeszcze żywioł składowy: uparte go milczenia.

Były to wszystko odkrycia, które mu wcale nie smakowały, i w coraz większą wątpliwość podawały ten raj, o którym sądził, że znajduje się w jego posiadaniu.

Tym razem jednak postanowił spróbować kompromisu, tembardziej, że łagodność i cierpliwość w wielkiej części wchodziły w programat, jaki był sobie ułożył, co do obowiązku i zadań męża nauczyciela i kierownika.

W celu tego pokojowego załatwienia całej sprawy, postąpił kilka kroków i usiłował znaleźć się w takiej blizkości przechadzającej się wciąż kobiety, aby módz ująć ją za rękę, z czułością spojrzeć w jej oczy, i tym sposobem dać jej poczuć błąd, jaki popełniła i niesprawiedliwość, jakiej dopuszczała się względem niego, bez żadnej rozsądnej przyczyny, przykrość mu sprawiając.

W tej chwili jednak zbliżyć się do Kornelii nie było rzeczą łatwą, suknia jej bowiem była długą i ilekroć doktór Władysław znajdował się tuż-tuż obok żony, zawsze nieszczęsny ogon zachodził mu drogę tak, że, w obawie przydeptania go, musiał cofać się o parę kroków, a cofania się te miały wszelki pozór drobnych i jedna po drugiej następujących rejterad. Po kilku uczynionych daremnie próbach ominięcia ogona sukni i dostania się do ręki Kornelii, po którą za każdym razem sięgał, zniecierpliwiony doktór wzruszył ramionami i w milczeniu oddalił się w głąb' mieszkania.

* * *

Nie zdziwicie się zapewne, mili czytelnicy, gdy wam powiemy, że doktór Władysław, pomimo znużenia, jakie po przejściach doświadczonych dnia tego uczuwał, długo w noc usnąć nie mógł.

Dzień ów był dla niego w istocie dniem fatalnym. Nie przyszedł on wprawdzie bez przygotowania, niemniej jednak uwydatnił i w jaskrawych ukazał barwach to wszystko, co dotąd ukazywało się oczom młodego małżonka z poza mgły złudzeń i barwy różowej, przystrajającej miodowe miesiące każdej niemal świeżo połączonej pary.

Wesołość Kornelii, która dotychczas zlekka go tylko kiedy niekiedy nużyła, dziś zmęczyła go śmiertelnie; płacz jej i upór, jaki okazała w zatajeniu przyczyny onego, jak też w zachowywaniu milczenia, gdy do niej przemawiał, przedstawiały także przedmiot do rozmyślań niemałej wagi. Niemiłą też była doktorowi pogarda, z jaką żona jego odzywała się o wszystkich w ogólności zawodach z lekarskim włącznie, wyłączając tylko i czcią tak pełną zapału darząc zawód artystów; niemiłem pojawienie się nagłe kuzyna, którego uważała za rodzonego brata;

niemiłem przypomnienie o pani prezesowej, o zmarszczonem jej czole, poruszających się szczękach i wyrazach, którymi go na dobranoc żegnała. Wszystko zaś to razem zebrało się w jedną gromadę wielce nieprzyjemnych faktów i objawów, które tembardziej działały na wyobraźnię doktora, że posiadały wszelki pozór początku czegoś, co prawdopodobnie nie miało mieć końca.

Przewracając się z boku na bok i rozważając wszystkie szczegóły dnia przebytego, doktór Władysław słyszał ustawicznie grzmiący w oddali orkan, taki orkan, który, gdy raz wpadnie na drogę, jaką postępuje człowiek, to już pewno w gruzy zamieni wystawiony przez niego pałac czarodziejski, siedlisko jego szczęścia.

Nic też dziwnego, że przy tym groźnym odgłosie mąż Kornelii zapomniał całkiem o tej burzy, która szumiała na dalekim świecie, i jakkolwiek bardzo szczerze zajmował się zwykle polityką europejską, tym razem jednak losy dwóch wojujących wielkich mocarstw wcale mu nie przychodziły do głowy.

On lękał się, mocno się lękał, czy własny dom jego nie stanie się placem ustawicznej walki, i czy wypadkiem rodzinne jego życie nie zamieni się z raju, za jaki uważał je dotąd, w czyściec, przez który grzeszne dusze przechodzić muszą, nim dojdą do nieba.

Kiedy nakoniec przed samym porankiem doktór Władysław kleił do snu oczy, w myśli jego zjawiło się pytanie:

— Azali pani Ludwika nie miała słuszności, utrzymując, że Kornelia posiada naturę »umkliwą«?...

Pytanie to przeraziło go, natury »umkliwe« bowiem przedstawiają tę niedogodność, że są, jak mary niepochwytne i nieokreślone, a tą niepochwytnością i nieokreślonością swoją utrudniają, rzec można nawet, uniemożebniają zadanie męża-nauczyciela i kierownika.

* * *

Tej nocy, nie wiedzieć dlaczego, sen figlarz przed uśpioną wyobraźnią doktora Władysława przyniósł obraz Józi.

Zobaczył on ją w jej codziennej popielatej sukni, u której nie było ogona; widział jej kryształowe oczy, pogodne czoło, uśmiech szczery i swobodny, a zarazem spokojny i myślący; rozmawiał z nią, a ona ani śmiała się, ani płakała; czytał dziennik, a ona mu go z ręki nie wyrywała... Słowem, śnił o młodej, zapomnianej już prawie dziewicy, długo, długo, a gdy obudził się, przetarł oczy i przypomniał sobie dzień wczorajszy, poczuł się w bardzo złym humorze.

V.

Jesień nadeszła; nad miastem X. zawisł ciężki, nizki namiot, utkany z obłoków popielatego koloru, brzydki, gruby namiot, którego pokłębiona i w dziwaczne wypukłości porzeźbiona tkanina kryła bez śladu to niebo błękitne i to słońce złote, które tak pięknie przyświecają latem ziemi kwitnącej i oczom ludzkim, światła szukającym.

Biedna ziemia! jak mało nieba dostaje się jej w udziale!... Biedne oczy ludzkie! jak rzadko i na krótko poją się one tem światłem, którego całe życie szukają.

— Biedna ta nasza ziemia! — myślał pewnego dnia jesiennego doktór Władysław, siedząc sam jeden w swoim gabinecie z głową melancholicznie na dłoń pochyloną. — Biedna ta nasza ziemia! Ile-to człowiek żyjący na niej ponosić musi bied i kłopotów, a jak mało ma przyjemności i jak krótko one trwają!

Popielate chmury, wiszące nizko nad murami miasta i zaglądające w okno gabinetu doktora, nie były tak ciemne i tylu porznięte zmarszczkami, jak czoło małżonka pięknej Kornelii, w chwili, gdy oddawał się on rozmyślaniu nad skąpą dozą pomyślności, udzielaną życiu ludzkiemu.

Na dworze powietrze było przesiąknięte wilgocią, bujne krople porannego deszczu kapały z dachu jedna po drugiej i spływały po szybach, niby brudne łzy. Był to widok wcale nie rozweselający.

W gabinecie dawał się poczuwać chłód przenikliwy, na kominku nie było płomienia, lecz tylko trochę węgli żarzyło się leniwie, na podobieństwo zagasających i dymiących zgliszczy.

Doktór Władysław powstał od biurka, przy którem siedział, i zbliżył się do kominka.

Daremnie jednak próbował rozniecić żywszy ogień za pomocą mieszka i dmuchania; sprawił tylko to, że z czarnego łona

wpół zgorzałych węgli buchnęły gęstsze kłęby dymu i rzuciły się mu prosto w twarz, tak, że aż przymknął oczy i zakrztusił się.

— Dziwna rzecz! — pomyślał, z niecierpliwością rzucając mieszek — wyobrażałem sobie, że gdy będę żonatym, ogień na moim kominku weselej i żywiej płonąć będzie, że w domu moim będzie zawsze ciepło, spokojnie, jak w raju! Tymczasem... ach, czemuż są marne nadzieje ludzkie!... Oto zimno mi, zimniej daleko, niż kiedykolwiek dawniej bywało; a co do spokoju... ba! któż posiąść może ten skarb najdroższy, mieszkając razem z tak niepospolitą teściową, jak pani prezesowa, i będąc mężem kobiety tak niepospolicie wesołej, jak Kornelia!

Zaprawdę — ciągnął dalej wewnętrzny monolog swój doktór Władysław — zaprawdę, Kornelia jest kobietą nieposkromienie wesołą, i gdybym mógł pierwej zbadać naturę wesołości kobiecej i wszystkie jej tajemnice, kto wie? czy byłbym bardzo pragnął posiadać żonę wesołą.

I niech mi odtąd nikt nie opowiada, że smutek tylko ludzki miewa swe tajemnice; wesołość ma je także, a liczne i niezbadane.

Tak naprzykład: radbym był bardzo dowiedzieć się, dlaczego Kornelia śmieje się i wykręca na jednej nodze, gdy ja jestem zamyślony, lub poważnie nastrojony, a płacze i spazmuje, kiedybym ja pragnął spokojnie rozmawiać z nią, lub spożywać obiad?

Dlaczego także przy gościach jest ona ożywioną i pełną wdzięku, a sam-na-sam ze mną milczy często tak uparcie, że aż unoszę się niekiedy i ostro do niej przemawiać muszę?

Są to wszystko tajemnice jej wesołości, które jednak nie powiem, aby stanowiły urok mego domowego życia!

Brrrr! jak zimno!...

Tak dumał doktór Władysław, samotnie siedząc w swym gabinecie i oczekując godziny, w której zwyczajnie wychodził na miasto dla odwiedzenia swych pacyentów.

Popielate chmury, które zaglądały przez okno, brudne krople deszczu, spadające z dachu, i węgle, dymiące się na kominku, w taką wprawiły go melancholię, że rzucił się na sofę i zawołał prawie głośno:

— Tak, niezawodnie! pomiędzy mną a Kornelią zachodzi wielka niezgodność charakterów!

Potem wziął książkę i usiłował czytać, ale usiłowania jego

niezupełnie pomyślnym uwieńczone były skutkiem. Myśl jego co chwila odrywała się od uczonej treści książki i krążyła około ostatniego wymówionego przezeń wyrazu.

— Niezgodność charakterów! — pomyślał doktór, z roztargnieniem przebiegając oczyma karty książki — niezgodność charakterów w małżeństwie nie jest wcale rękojmią szczęśliwego domowego pożycia. Widzę, żem się omylił, sądząc, że będę mężem stosownym dla kobiety, obdarzonej tak wesołym charakterem; gdybym miał lat dwadzieścia parę i nic nie robił... zapewne... ale w moim wieku i przy moich zajęciach te ciągłe zabawy... goście w moim domu od rana do wieczora... rozmowy o strojach... pieszczoty z Fidem — są to rzeczy nieco uciążliwe i, szczerze mówiąc, nudne.

Tu doktór Władysław ziewnął potężnie.

— Wprawdzie — myślał dalej — Kornelia jest tak piękną, tak pełną wdzięku, gra i śpiewa prześlicznie, charakterem zaś jej i umysłem mógłbym i powinienbym pokierować tak, aby dostroić je do mego charakteru i umysłu... ha! próbowałem! ale ona taka uparta... o! uparta... Kiedy czynię jej przedstawienia, śmieje się, lub milczy, a jak rozgniewam się, płacze... Nigdy żadnej argumentacyi, przeciw której mógłbym również argumentami walczyć... ale co tu robić z kobietą, która milczy, śmieje się, albo płacze... a w dodatku jeszcze taka teściowa!...

Przy wspomnieniu teściowej, doktór mocniej jeszcze nachmurzył czoło i, chcąc snadź odpędzić od siebie zbyt przykre myśli, zagłębił się całkiem w czytaniu.

* * *

W tej samej chwili, w bawialnym salonie, oddzielonym od gabinetu doktora parą pokojów, odbywała się przy fortepianie lekcya harmonii.

Nauczycielem był pan Gustaw, a uczennicą Kornelia, która w kilka tygodni po przybyciu do X. młodego artysty prosiła go, aby udzielił jej szeregu lekcyi zasadniczych prawideł muzyki, które, lubo grała pięknie i z wprawą, znała jednak niezupełnie dokładnie.

Pan Gustaw z radością przyjął propozycyę, a doktór Władysław nie był także od tego, aby żona jego zapoznała się z prawidłami, rządzącemi harmonią, sądząc zapewne, że wleje to

pierwiastki harmonijne w jej charakter, któremu bardzo ich niedostawało.

Kornelia siedziała przy fortepianie, ubrana w pełen wdzięku i elegancyi negliż z białej miękkiej materyi, plecami opierała się o poręcze krzesła, a toczone palce prawej jej ręki niedbale spoczywały na klawiszach.

Pan Gustaw jaśniał dnia tego całym swym wykwintnym, bardziej kobiecym, niż męskim wdziękiem; ubranie jego tchnęło najwytworniejszą stołeczną elegancyą, złote kędziory miękko opuszczały się na białe czoło i śnieżny kołnierz cieniuchnej koszuli, a batystowa chustka, ilekroć wydobywał ją z kieszeni, rozlewała wkoło woń najdoskonalszej perfumy.

Wszystko to jednak było niczem w przyrównaniu do promienności, jaką jaśniała twarz młodego artysty, i do ognistego, a zarazem słodko rozmarzonego wyrazu, jaki przybierały jego oczy, ilekroć topił je w świeżem i delikatnem, jak kwiat liliowy, obliczu pięknej swej uczennicy.

Jedno ramię z wdziękiem opierając na tylnej poręczy krzesła, przez Kornelię zajmowanego, drugie wyciągnął przed siebie i palcami dotykał także klawiszy, i zniżonym nieco głosem przypominał nadobnej uczennicy treść wczorajszej lekcyi, która zawierała naukę o tonach, stopniach i interwallach.

— Przypominasz sobie, pani — mówił — że za punkt wyjścia obraliśmy sobie ton »C«.

Kornelia skinęła głową na znak twierdzenia.

— Toniką tedy naszą, czyli pierwszym zasadniczym tonem, przez Niemców nazywanym »Grund-ton«, jest »C«.

Tu młody nauczyciel bardzo delikatnie uderzył palcem w klawisz, noszący nazwę litery »C«.

— Z toniki — mówił dalej — rodzi się kwinta, czyli dominanta...

Umilkł nagle, bo aksamitne źrenice Kornelii odwróciły się od klawiszy i bardzo powoli spłynęły na twarz jego.

— Z zamienionego spojrzenia — wymówił ciszej — rodzi się sympatya, czyli miłość.

Kornelia zsunęła nieco brwi i patrzyła znowu na klawisze.

Pan Gustaw nauczał dalej:

— Inne interwalla oktawy: sekunda, tercya, kwarta, seksta, septyma...

Po krótkiej chwili milczenia dodał cichszym głosem:

— Dalsze następstwa miłości: nadzieja, zachwyt, uniesienie, wzajemność, szczęście...

Ręka Kornelii spadła z klawiszy, usta jej poruszyły się i wyszeptały:

— Panie Gustawie!

Szept ten zdradzał wzruszenie, ale i trochę rozgniewania także.

Pan Gustaw przeciągnął dłoń po czole, jak człowiek, który stara się poskromić nieposłuszne myśli, a potem zaczął znowu:

— Odwrócone interwalla oktawy przemieniają się: septyma w sekundę, seksta w tercyę, kwinta w kwartę, kwarta w kwintę... Nieprzyjazne losy zamieniają nadzieję w zwątpienie, zachwyt w boleść, wzajemność w obojętność, szczęście w rozpacz...

— Panie Gustawie! — zawołała Kornelia, ale tym razem głośniej już i ze spojrzeniem, zwróconem wprost na twarz młodego nauczyciela.

W spojrzeniu tem widać było migotanie dwóch gwiazd złotych, przyćmione mgłą wilgotną, dobywającą się z za powiek.

Pan Gustaw po raz drugi potarł dłonią czoło.

— Pani! — wymówił — przebacz mi! Czyliż zawsze człowiek może być panem samego siebie?...

Umilkł nagle i, po kilku sekundach milczenia, widocznie z wysiłkiem, nad sobą samym dokonywanym, rozpoczął nanowo przerwaną lekcyę:

— »C, cis« mała sekunda — mówił, dotykając klawiszy, których wymieniał nazwy — »c d« wielka sekunda, »c dis« sekunda nadmierna, »e es« mała tercya, »c e« wielka tercya, »c f« kwarta naturalna, »c g« kwinta czysta, »c gis« kwinta nadmierna...

Dwoma palcami uderzył zarazem dwa klawisze i mówił dalej:

— Wsłuchaj się pani dobrze w brzmienie tej kwinty! jest w niem rzewność, a zarazem pewien dźwięk ostry i dziki...

Pochylił się nieco i dodał znacznie ciszej:

— Dźwięki podobne słyszę w sercu mojem, w którem zamieszkały miłość i cierpienie...

Kornelia poruszyła się żywo.

Na twarzy jej coraz silniejszy występował rumieniec i zdawał się być łagodnem odbiciem tego, który pokrywał policzki młodego nauczyciela.

Pan Gustaw milczał chwilę, a po wyrazie oczu jego, które nie na klawisze wcale patrzyły, poznać można było, iż był silnie wzruszonym i że kwinta, o dźwięku ostrym i rzewnym zarazem, dźwięczała istotnie w jego sercu.

Po chwili jednak, z widocznem wysileniem, zmienił kierunek swego wzroku i nanowo rozpoczął nauczanie:

— Od dolnej kwinty »f« wznosi się sześć kwint bemolizowanych, od przedniej zaś kwinty »g« drugie sześć kwint krzyżykowych... tak więc mamy kwint dwanaście... wieniec tonów... czarodziejskie koło harmonii... źródłem jego tonika... podstawą dominanta...

Głos pana Gustawa zniżał się coraz i słabł, ręka uczennicy drżała lekko pomiędzy zwojami miękkiej materyi.

— Naturalny skład każdego akordu wymaga tercyi wielkiej, czy małej, a kwinty czystej.

Słowa te szeptem już prawie wymówione zostały, urwał je nagle młody nauczyciel, a jedną dłonią przysłaniając sobie oczy, drugą pochwycił rękę pięknej uczennicy i zawołał prawie głośno:

— Ach, pani! miłość moja dla ciebie była taką wielką, taką czystą... dlaczegoś ją odrzuciła?

Mówił prawdę, można to było poznać po dźwięku jego głosu i wyrazie twarzy, który, gdy odjął dłoń od oczu, ukazał się dziwnie wyszlachetnionym, podniesionym, prawdziwem cierpieniem nawskroś przejętym.

Tak, niepodobna było omylić się.

Młody artysta szczerze i z młodzieńczym zapałem kochał Kornelię.

Ona siedziała nieruchoma, rumieniec wzrastał na jej licu, oczy coraz głębszą mgłą zachodziły, wargi poczęły drżeć.

— Pani — po chwili milczenia mówił pan Gustaw — czy podobna, aby oczy twoje i usta kłamały, tyle razy obiecując mi wzajemność... szczęście?... dlaczegoś odjechała? czemuś rękę swą oddała komu innemu? ja cię tak kochałem!.. jam pragnął, abyś była aniołem stróżem moim... natchnieniem mojem... Wszystko, co kiedykolwiek czułem, myślałem, uczyniłem najlepszego, było to wtedy, kiedym miał nadzieję... jabym dla ciebie cudów dokazał... góry z posad ich wzruszał... zniknęłaś mi z oczu... cóż mi pozostało... sztuka... bez ciebie martwa...

— Dosyć! dosyć! przestań pan! — stłumionym szeptem zawołała Kornelia.

I z krzesła się porwała, i stanęła przed młodym artystą

z rękoma obwisłemi, szyją naprzód nieco wyciągniętą, z tym wyrazem wrzącej namiętności, który niekiedy, w rzadkich i wyłącznych momentach, twarz jej oblewał.

Wyglądała w tej chwili zupełnie tak samo, jak owego wieczora, gdy, wśród rozmowy z matką, z nadętemi nozdrzami i drżącemi usty, powtarzały słowa: sto razy, tysiąc, milion, miliard razy wolałabym Gustawa!

Tak, wyglądała tak samo, jak wtedy, bo te same słowa musiały cisnąć się do jej wzburzonej myśli. Nie wypowiedziała ich jednak głośno, lecz, składając ręce, które drżały mocno, zawołała kilka razy:

— Dosyć! dosyć! przestań pan! idź pan sobie! idź! idź!

Z białej twarzy młodego artysty rumieniec zniknął bez śladu.

Pobladł, odstąpił parę kroków i ręce załamał.

— Odpędzasz mnie od siebie! — szepnął — Kornelio! Kornelio! czyliż nie pamiętasz...

— Idź pan! idź! — powtarzała kobieta, i takie poruszenia czyniła rękoma, jakie czynić musi człowiek tonący, aby odepchnąć fale wodne, które mu coraz bardziej tłoczą głowę i pierś.

— Czyliż nie pamiętasz — szeptał wciąż młodzieniec — tych chwil, których ja zapomnieć chciałem, ale nie mogłem... w których oczyma i słowem dawałaś mi nadzieję, a ja chwytałem ją do serca i prządłem w niej dla siebie i ciebie błękitne pieśni przyszłości... byłaś wtedy wolną... Kornelio...

— Byłam wtedy wolną... — podchwyciła młoda kobieta, i z gorączkowym pośpiechem dodała:

— Teraz nie jestem nią, Gustawie! Gustawie, przypomnij sobie, że teraz już nie jestem wolną...

— A dlaczegoś nią być przestała? — zapytał młodzieniec, i wyprostował się, a głos jego, postać i wejrzenie takiej nabrały surowości, jakby czuł się w prawie żądać od niej rachunku z uczuć jej i czynu.

— Dlaczegoś przestała być wolną? — powtórzył — dlaczegoś oddała rękę innemu, skoro mnie kochałaś? Dlaczego sponiewierałaś miłość moją, jedyne może w życiu piękne, szczere, gorące uczucie? Dlaczego sponiewierałaś i zdeptałaś własne serce swoje?

Pytał tak i patrzył na nią z żalem i wyrzutem.

Kornelia milczała, głowa jej pochylała się coraz niżej, a ręce powolnym ruchem podnosiły się w górę, aż opasała niemi

sobie czoło, jakby przeszkodzić chciała, aby nie schyliło się do samej ziemi i w proch nie upadło.

Po chwili zbladłemi usty szepnęła:

— Dlaczego? dlaczego? Wstyd! wstyd! dla chleba, Gustawie, dla chleba!

— Nie dla chleba, Kornelio! nie dla chleba! — głuchym głosem wymówił młodzieniec — ale dla bogactwa, dla bogactwa! dla pięknych pokojów, dla kosztownych sukien! dla zbytku! Gdybyś była moją żoną, stałbym się lepszym, pracowałbym więcej, nie dałbym ci umrzeć z głodu! Wiedziałaś o tem dobrze, bom ci to mówił nieraz, a tyś mi uwierzyła! Ale chciałaś być bogatą, Kornelio, chciałaś być bogatą, a ja bogatym jeszcze nie jestem...

Umilkł, zakrył dłonią oczy i zawołał:

— A jednak kocham cię...

Mówił prawdę.

Z dźwięku głosu jego i wyrazu twarzy znać było, że kochał i cierpiał istotnie.

Na dźwięk ostatnich wyrazów Gustawa, Kornelia podniosła głowę, wyciągnęła przed siebie ręce i pochyliła się naprzód tak, jakby chciała rzucić się ku niemu; ale w mgnieniu oka pobladła, zarumieniła się znowu i, cofając się, wlepiła oczy w drzwi, prowadzące do pokojów, za którymi znajdował się gabinet jej męża.

— Gustawie! — zawołała głośnym szeptem — dosyć już, dosyć! przestań! idź sobie! idź! jam go już raz oszukała! ja nie chcę oszukiwać go więcej!...

Przy ostatnich wyrazach wyciągnęła wskazujący palec w stronę drzwi zamkniętych.

Gustaw obejrzał się i giest jej zrozumiał.

Niemiłe jakieś światło przebiegło po jego twarzy i zgasiło na niej wyraz szlachetnego żalu, który pokrywał ją przez chwilę.

— Mąż twój, Kornelio! — wymówił z przykrym uśmiechem — a! mąż twój! i cóż stąd?...

Odgiął w tył głowę zwyczajnym nieco giestem, znamionującym zuchwałą zarozumiałość, i mówił dalej:

— I cóż stąd? dlaczego w tej chwili wspominasz mi o tym człowieku? czy może on mierzyć się ze mną, ze mną, kapłanem sztuki?...

Czy miłość jego dla ciebie może mierzyć się z moją miłością? po co mówisz mi o nim? to człowiek zimny, w którym lata

i poziomy zawód, jakiemu się oddaje, zgasiły ten ogień, co z całą siłą płonie jeszcze w mojej piersi! Twój mąż, Kornelio! Bądź spokojna! myśli on w tej chwili zapewne o katarze którego ze swych pacyentów, albo o najlepszym sposobie stłumienia, za pomocą medycznych środków, zbyt silnego bicia serca swych bliźnich!...

Przybliżył się do Kornelii i, patrząc w jej twarz pochyloną, dodał:

— Gdyby mąż twój wiedział, jak oba serca nasze silnie uderzają w tej chwili, nie omieszkałby zaadministrować nam parę gran chininy, lub czegoś podobnego... Alboż on się zna na uczuciach takich, jak moje i twoje? Katary, kaszle, gorączki, suchoty: oto jego dziedzina... miłość, Kornelio, miłość, która w niebo unosi, to nasza własność... co mu do niej?...

Kończąc te słowa, młodzieniec ujął w obie swe dłonie rękę milczącej i pobladłej kobiety.

Ona mu tego nie broniła; z twarzy jej znać było, że mowa jego aż nadto trafiła do jej przekonania, że nie była nawet niczem więcej, jak powtórzeniem własnych jej myśli.

Podniosła też zwolna głowę i aksamitne źrenice zatopiła w twarzy rozkochanego artysty.

Była to wszakże krótka chwila.

Kornelia cofnęła rękę i gwałtownym rzutem usunęła się w stronę.

Ciemny rumieniec znowu na twarzy jej wytrysnął.

— Nie! nie! — zawołała z pełnem trwogi poruszeniem — nie mów już nic więcej! proszę cię! nic, ani słowa więcej! później, później kiedy, pomówimy z sobą! a teraz idź już sobie! idź! idź!...

— To mówiąc, wciąż się cofała, aż upadła na sofkę, stojącą zdala od fortepianu, przy którym został Gustaw i, wyciągając przed siebie ręce ruchem słabego dziecka, które się od czegoś strasznego zasłonić pragnie, coraz cichszym powtarzała głosem:

— Idź już, Gustawie, idź już sobie stąd! idź!

Ale Gustaw przeistoczył się już zupełnie, a raczej stał się znowu takim, jakim bywał zawsze, to jest zuchwale śmiałym, z ogniami nieposkramianych namiętności w oczach, a lekkomyślnością na odrzuconem w tył czole. Stał wyprostowany i patrzył na młodą kobietę, z wyrazem uporu, zuchwalstwa i namiętnego zarazem porywu.

— Nie pójdę — rzekł tonem, w którym łączyły się te

wszystkie odcienie, jakie i twarz jego cechowały w tej chwili— nie pójdę stąd, Kornelio, dopóki mi nie powiesz, co mam myśleć, czego spodziewać się!... nie pójdę...

Młody artysta widocznie był upartym, ale i charakterowi Kornelii nie brakło tego przymiotu, który przedrzeźnia niekiedy silną wolę, ale nic a nic wspólnego z nią nie ma.

— Nie pójdziesz pan? — wymówiła młoda kobieta, prostując się i podnosząc głowę — bardzo dobrze, ale ja z panem mówić nie będę...

Po sposobie, w jaki, mówiąc to, skrzyżowała ręce na piersi i zasunęła się w kąt sofki, pan Gustaw zrozumiał, że słów swych nie wymówiła napróżno.

Pochwycił tedy kapelusz i, wychodząc, raz jeszcze zwrócił się ku pięknej kobiecie.

— Posłuszny jestem — rzekł — odchodzę, ale wiedz pani o tem, że z rozpaczą w sercu!...

Zaledwie drzwi zamknęły się za odchodzącym, Kornelia porwała się z sofki, stanęła i westchnęła z głębi piersi.

— Och! jakże mi serce bije! — szepnęła i dłoń przycisnęła do piersi. — Och, jakże się zlękłam!

Oddech jej był w istocie ciężki i nierówny, ręce i wargi drżały.

— Czegoż ja się tak zlękłam? — po krótkim przestanku spytała sama siebie.

Oczy utkwiła w drzwi pokoju, które prowadziły do gabinetu jej męża.

— A! — rzekła — nie sądziłam nigdy, aby to była rzecz tak straszna... straszna!...

I, z trwogą istotną, obiema dłońmi twarz sobie zakryła.

W tej samej chwili poczuła, że ją coś lekko szarpnęło za suknię.

Zarazem u stóp jej ozwał się dźwięk napół żałosny, napół pieszczotliwy. Był to wyżełek Fido, który w ten sposób przypominał się pamięci swej pani.

Młoda kobieta odsłoniła twarz i, schyliwszy się, ujęła w ramiona tulące się do niej stworzonko.

— Biedny mój Fido! — zawołała — kochany, drogi, piękny Fido! biedny, biedny mój Fido!

Mówiąc to, przyciskała pieska do piersi, rozpaloną twarz przykładała do jego kudłatej główki i potokiem łez, które posypały się z jej oczu, rosiła długie, orzechowego koloru, jego uszy.

— Biedny, biedny! — szeptała wśród łez, a Fido tulił się do niej i patrzył w jej twarz takim wzrokiem, jakby czułe epitety, jakimi okrywała go jego piękna pani, i łzy, któremi go rosiła, w samej rzeczy dla niego przeznaczone były.

Mniemając tak, Fido zostawał w takim błędzie, w jaki popadają nieraz nieskończenie wyższe od niego istoty, albowiem łzy Kornelii i czułe przymiotniki, z ust jej wychodzące, miały na celu nie jego wcale, ale kogoś, kto w tej chwili szedł ulicą i na spotykanych przechodniów spoglądał wzrokiem takiej nieprzyjaźni pełnym, jak gdyby oni wszyscy byli doktorami, biorącymi sobie za żony dziewice, kochające kogo innego i przez kogo innego kochane.

Tak się skończyła ta lekcya harmonii, która na domowe pożycie doktora Władysława wywarła skutki nieobrachowane.

Kornelia, wierna swej naturze »umkliwej«, zdrowego sądu i stałości woli niedopuszczającej, za boleść, której doznawała sama, i za tę, jakiej w obecności jej doświadczył pan Gustaw, i za ten gwałt, jaki uczyniła nad sobą samą i nad wzruszeniem swojem, poczuła srogą urazę do małżonka, który jednak w całej tej sprawie tyle był winien, ile być może człowiek, najspokojniej w świecie siedzący w swoim pokoju i z najsumienniejszem oddaniem się swemu obowiązkowi badający organizm bladego chudego i kaszlącego pacyenta.

* * *

W gabinecie doktora Władysława siedział na wygodnym fotelu blady, chudy i co moment kaszlący pacyent. Doktór widział go po raz pierwszy w swem życiu, ale z żółtej cery, ustawicznego kaszlu i innych tym podobnych cech wnosząc o zatrważającym stanie jego zdrowia, oglądał go i wypytywał z troskliwością i uwagą, dobrze świadczącą o sumieniu jego i umiejętności.

— Wszystko, coś mi pan powiedział, niedostatecznie mnie jeszcze objaśnia — mówił doktór — pozwolisz zatem, abym przyłożył ucho do pańskiej piersi.

Pacyent wymówił parę słów, które niezrozumiałemi zostały z powodu towarzyszącego im kaszlu.

Doktór przysunął fotel swój do fotelu pacyenta i przyłożył ucho do jego piersi.

Aliści jednocześnie, niby rozkazem złośliwej wieszczki wy-

wołana, w salonie wybuchnęła muzyka fortepianowa tak nagle i rozgłośnie, że chory drgnął, a doktór uczynił giest niecierpliwości.

Kornelia grała z takiem frenetycznem i ogłuszającem »brio«, jak może grać tylko kobieta, która się gniewa.

— Oddychaj pan mocniej! nie słyszę! — wymówił doktór.

Pacyent począł oddychać, jak mógł, najmocniej.

— Jeszcze mocniej! — prosił doktór.

— Nie mogę! — odpowiedział chory pomiędzy dwoma napadami kaszlu, spowodowanymi może zbyt silnem oddychaniem.

Doktór Władysław porwał się i śpiesznym krokiem przebiegł dwa niewielkie pokoje.

Otworzył drzwi salonu, wysunął przez nie głowę i wymówił bardzo łagodnym tonem:

— Kochana Kornelko! przestań grać na chwilę; przeszkadza mi to w moich zajęciach!

Rzekłszy to, zamknął drzwi i wócił do chorego, stanął i słuchał, słuchał i czekał, ale końca muzyki nie doczekał się.

Złośliwa wieszczka pomiędzy organem jego słuchu a piersią chorego rozlewała potoki coraz frenetyczniej z fortepianu wydobywanych tonów, tonów, które nie były niczem innem, jak fantazyą pana Gustawa, pod tytułem »Le coeur brisé«. Co prawda, fantazya ta nie trafiała nigdy do smaku doktorowi, dlatego zapewne, że należała do rodzaju znanego pod nazwą »muzyki przyszłości«, i skupiała w sobie wszystkie jego dziwactwa, z zupełnem wyłączeniem właściwych mu przymiotów.

Doktór Władysław wolałby w tej chwili o wiele, aby boski, nieporównany Wagner nigdy nie egzystował na tym świecie, a serca, łamiące się w podobnie hałaśliwy sposób, wzbudzały w nim prawdziwe obrzydzenie, teraz, gdy oczy jego patrzyły na człowieka, w którego cierpiącej piersi cicho i zwolna życie łamało się na dwie połowy, z których druga... zaświatowa, nieznana...

Brwi doktora drgnęły parę razy, jak zwykle bywało, gdy czuł się przykro wzruszonym.

— Spróbujmy raz jeszcze! — wymówił i powtórnie przyłożył ucho swe do piersi pacyenta, w której życie łamało się na dwie połowy.

Ale ręka niewidzialnej Parki tak cicho rwała w tej piersi nitki życia, a serce złamane tak głośno w łonie fortepianu krzyczało, że doktór ze zdwojoną porwał się niecierpliwością i nanowo przebiegł dwa pokoje.

— Kornelko! — zawołał, otwierając drzwi salonu — proszę cię, abyś na chwilę grać przestała.

Aksamitne źrenice grającej zwolna spłynęły na twarz jego i również powoli opuściły się znowu na klawisze. Ale ponsowe usta nie wyrzekły ani jednego słowa odpowiedzi, a białe i zwinne palce robiły wszystko, co mogły, aby w najdobitniejszy sposób oddać ten wrzask, trzask, brzęk i jęk, jakie wydaje z siebie serce, łamiące się wedle prawideł i smaku »muzyki przyszłości«.

Doktór Władysław, który pozostał na progu, patrzył na żonę dziwnym wzrokiem.

We wzroku tym znać było ostatnie dogorywanie wiary w możebność raju na ziemi. Był to wzrok człowieka rozgniewanego, ale i rozżalonego zarazem.

— Kornelio! — wymówił po chwili głosem znacznie podniesionym — czy przestaniesz grać, kiedy cię o to proszę?

Odpowiedzią na słowa te były dysonanse, wypływające z głębi łamiącego się serca tak tłumnie, że pomiędzy nimi konsonanse, jeśliby były jakie, topiły się i niknęły bez śladu. A nic nie jest tak zaraźliwem, jak wszelki dysonans. Zgrzyta on w uszach, jak piła po szkle prowadzona, i jak piła, zębatym szlakiem wpada w pierś i głowę człowieka, całą jego istotę zamieniając w jeden fałszywy akord.

Pod tym-to zapewne dysonansowym zostając wpływem, doktór Władysław przystąpił do fortepianu z pobladłą nieco twarzą i drgającemi brwiami.

Przez chwilę mogło się zdawać, że, opierając się na męzowskiej i męskiej powadze, albo po prostu powodowany bezwiedną siłą, jaka się rodzi z ojca gniewu i matki boleści, dokona on aktu przemocy, i bądź-co-bądź, odłączy białe ręce grającej od mniej białych, niż one, klawiszy. Nie uczynił jednak tego.

Od najwcześniejszej bowiem młodości nawykł był do uszanowania względem płci pięknej, a grająca była piękną... piękną...

Zatrzymał się przy fortepianie i patrzył na piękną grającą.

Ona nic patrzyła na niego; zdawałoby się, że nie spostrzegła wcale jego obecności, że nie wiedziała nawet o egzystencyi jego na świecie.

Całkiem a całkiem zajęta była łamiącem się pod jej palcami sercem pana Gustawa.

— Kornelio! — zaczął doktór drżącym, niewiadomo, czy od żalu, czy od gniewu głosem — dlaczego tak niedobrą dla mnie jesteś, Kornelio?

Pod palcami Kornelii dźwięczała kwinta nadmierna, po niej nastąpiło kilka kwart naturalnych, z tych utworzyła się nona, a z niej wypłynął akord enharmoniczny, który zamienił wkrótce w wielkie czwórbrzmienie skali minor i ostatecznie rozpłynął się na perełkowate pasaże, z których każda perełka, jak kropla wrzątku, wpadała do ucha doktora, a stamtąd płynęła do piersi i uderzała w serce, wywołując w niem cały szereg najkrzykliwszych dysonansów.

— Kornelio! — zawołał raz jeszcze doktór głosem człowieka, utopionego w dysonansach.

Kornelia przestała grać, ale nie odjęła rąk od klawiszy.

— Co tam takiego? — zapytała takim tonem, jakby po raz pierwszy spostrzegła obecność męża, i jakby zadaniem tego pytania uwolnić się od niej pragnęła.

— Prosiłem cię — mówił doktór wyraźnie, powstrzymując się od wybuchu — prosiłem cię i proszę, abyś na chwilę grać przestała. Jest-że to tak wielką ofiarą, abyś uczynić jej dla mnie nie mogła?

Kornelia utkwiła w twarzy męża spojrzenie, które nie przypominało wcale raju i mieszkających w nim aniołów.

— Ciekawam bardzo — rzekła — dlaczego rozkazujesz mi, abym grać przestała?

Wyraz »rozkazujesz« wymówiony był z naciskiem, który mocno zakrawał na ironię królowej, szydzącej z próżnych zachcianek zbuntowanego niewolnika.

— Nie rozkazuję, ale proszę — odpowiedział doktór. — W gabinecie moim znajduje się pewien człowiek, którego chcę dokładnie wyegzaminować...

— Chory! — zawołała Kornelia i zaśmiała się tak głośnym i długim śmiechem, że aż piękna jej głowa nieco w tył się odgięła — spodziewam się przecie, mój drogi, że nie zamierzasz przemienić domu naszego w szpital...

— Jeżeli obejrzysz się wkoło siebie — przerwał doktór — przekonasz się niezawodnie, że mieszkanie nasze nie ma najmniejszego podobieństwa ze szpitalem... powinnaś niemniej wiedzieć o tem i pamiętać, że jesteś żoną doktora...

Kornelia wpatrzyła się w tak mówiącego męża szeroko

otwartemi oczyma. Wargi jej drgały, ale tym razem już od śmiechu.

— Żoną doktora! — zawołała — ciekawam bardzo, co mnie może obchodzić to, że ty jesteś doktorem!

Doktór Władysław opuścił ręce.

Ze wszystkich wyrazów, jakie znajdują się w mowie ludzkiej, najboleśniejszymi może dla serca mężczyzny są te, które w tej chwili wymówiła Kornelia.

Biada mężowi, którego żona z lekkomyślnym śmiechem wymówi:

— »I cóż mnie może obchodzić, kim ty jesteś!«

Kim jesteś? czem się trudnisz? co miłujesz? jakie spełniasz powinności? — w pytaniach tych spoczywa główna treść jego życia, lepsza połowa jego istoty, praca całej młodości jego, wartość jego człowiecza, tajemnica jego siły moralnej, z której pomocą idzie przez świat nie z pożnemi rękoma, z sercem pełnem.

— »I cóż mnie może obchodzić to, kim ty jesteś!«

Niech losy dobrze strzegą każdego uczciwego i rozumnego mężczyznę od usłyszenia wyrazów tych, z ust towarzyszki życia jego wychodzących...

Są one bowiem wyrokiem, skazującym miłość dla niej na śmierć, a życie z nią na wiekuisty dysonans.

Doktór Władysław opuścił ręce. Po krótkiej chwili milczenia rzekł:

— O tem, co powiedziałaś, Kornelio, pomówimy później. Mam nadzieję, że nie zastanowiłaś się dobrze nad słowami, które wyrzekłaś, i że nie myślisz tak, jak mówisz; inaczej...

Nie dokończył, ale wyraz, który pokrył twarz jego, dopowiedział:

— »Inaczej doświadczyłbym boleści wielkiej i tak długiej, jak życie«.

— Tymczasem — mówił dalej po chwili milczenia — proszę cię, abyś wysłuchała mej prośby i nie grała póty, póki pacyent mój zostawać będzie w moim gabinecie.

Kornelia wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

— Mój drogi! — rzekła — przed ślubem naszym mówiłeś mi nie raz, ale sto razy, że pragniesz, aby żona twoja uprawiała starannie talenty, jakimi ją niebo obdarzyło, że w każdem dobranem małżeństwie mąż reprezentuje stronę surową i rozumną, a żona piękna i artystyczną. Według tedy własnej tej twojej za-

sady, słusznem jest, abym ja zajmowała się muzyką wtedy, gdy ty zajmujesz się swoją medycyną... Sam tego chciałeś...

To rzekłszy, puściła ręce po klawiszach, a serce pana Gustawa łamało się znowu pod jej palcami z wrzaskiem i krzykiem, który zdawał się przepowiadać mu długie jeszcze życie.

Doktór Władysław stał przez chwilę w milczeniu, potem podniósł rękę do czoła i zcicha wymówił:

— George Dandin!

Z imieniem tego arcytypu zawiedzionych małżonków na ustach, powolnym i głęboką a niewesołą medytacyę objawiającym krokiem, doktór opuścił salon.

Co uczynił z pacyentem swym? — niewiadomo. Powiódł go może do najodleglejszego od salonu i znajdującego się w nim fortepianu zakąta swego mieszkania?

Może w przedpokoju lub na schodach, tam, kędy najmniej dochodziły odgłosy muzyki, przysłuchiwał się cichej robocie niewidzialnej Parki, która w piersi człowieczej rwała i targała subtelną przędzę życia?

Może odesłał go do innego lekarza, który nie miał szczęścia posiadać żonę, wygrywającą na fortepianie fantazye na temat złamanego serca?

To pewna, że po odejściu pacyenta wyszedł z mieszkania, z nachmurzonem czołem, bladą twarzą, a na wszystkie spotykane kobiety, mianowicie młode i piękne, spoglądał w tak nieprzychylny sposób, jakby każda z nich, z ironicznym i lekkomyślnym śmiechem na ustach, powtarzała wyrazy:

— »I cóż mnie obchodzić może to, kim ty jesteś!«

. . . . . .

. . . . . .

O, młodzi czytelnicy! wy, którym nie zapłonęła jeszcze pochodnia powabnego, lecz zbyt często zdradliwego bożka Hymenu, wierzajcie, wierzajcie, że słowa te są straszne, i baczcie na to pilnie, aby przyszła towarzyszka życia waszego nigdy ich do was nie wyrzekła. Inaczej, miłość wasza skazaną będzie na śmierć, a życie wasze dysonansem popłynie.

* *
*

I płynęły dni za dniami, jak mówi pewna smętna piosenka, a czoło doktora Władysława nie rozmarszczało się wcale, i jeśli

nawet rozmarszczyło się na chwilę, to wnet spływały na nie chmury, bardzo podobne do tych, jakie wisiały pod niebem, mglistą i dżdżystą niepogodą ciężarne. A niema chmur przykrzejszych i dla ludzkiej egzystencyi niezdrowszych, jak te właśnie, które powoli, cicho, nieznacznie, z niewidzialnych mętów, szarych dymów i mglistych wyziewów złożone, kupią się w grubą, ciemną masę i wiszą nad światem, obejmując go chłodnym i wilgotnym całunem.

Lepszą już jest tu czarna, groźna chmura, która wśród dnia skwarnego, z błyskawicami w łonie i przy akompaniamencie dzikiej muzyki wichrów, przelatuje nad ziemią, jak okręt z czarnymi żaglami, mknący po błękitnym oceanie. Chmura taka grzmi, huczy, błyska, wypuszcza na świat roje płomienistych węży, które łamią dęby, trzciny rzucają w błoto, w głębiach puszcz zapalają świetne iluminacye, a uszom wszech istot żyjących taką wyprawiają kanonadę, iż, słuchając jej, zda się, że niebo wypowiedziało wojnę ziemi i otworzyło przeciwko niej ogień z bateryi, pożyczonych od piekła.

Burze takie strasznemi są zapewne, mianowicie dla dębów, które mogą się złamać, i dla trzcin, które, chwiane przez nie czołami wpadają w błoto; niemniej jednak jest w nich strona wspaniała, poetyczna, przywodząca na pamięć niebo, piekło i trąby Archaniołów, mające z pełnym koncertem wystąpić w dniu sądu ostatecznego; jest w niej pewna groza przejmująca, majestat nakazujący i błoga pociecha, czerpana ze świadomości, że wszystkie te świetne i wielkie rzeczy nigdy nie trwają długo.

I cóż z tego wszystkiego posiadają chmury, złożone z niewidzialnych wyziewów, szarych dymów i brudnych mętów ziemskich?

Czy przypominają one niebo? czy dają poznać grozę piekieł? czy huczą nakazującym głosem artyleryi niebieskiej? czy brzmią potężną orkiestrą wichrów?

Gdzie tam! są to włóczęgi brudne, w podartych i zmoczonych łachmanach, które, kulejąc i wlokąc powoli bezwładne cielska, czołgają się pod niebem i, drżąc same od zimna, krople wilgoci strącają na nosy ludzkie, zadarte ku nim w daremnem poszukiwaniu ukrytego za niemi słońca.

W życiu ludzkiem bywają także chmury takie i owakie; jedne przeraźliwe burze niosące z sobą; inne, które piorunów nie ciskają, sercem człowieka nie wstrząsają w podstawach jego tak, aby pękło odrazu, rozsypało się w gruzy, ale kropla po

kropli, minuta po minucie, zatruwają mu dni życia, na czole gromadzą zmarszczki, jedne kładąc przy drugiej, zagłębiając pierwsze w chwili tworzenia się ostatnich, i obchodzą się z sercem człowieka, jak wody z łożyskiem, w którem płyną nieznacznie, powoli, wytrwale, bróżdżąc je, chropowacąc, składając na niem całe pokłady gorzkie i ostre...

Jeżeli pierwsze chmury, pełne niebezpieczeństw i grozy, zabójczemi być mogą, drugie posiadają naturę zjadliwą i rozkładającą.

Nie pogrążają one czowieka w ciemność zupełną, ale kryją przed nim słońce i błękit nieba; nie zabijają go, ale czynią mu życie nieznośnem.

Chmury, które zasępiły widnokrąg doktora Władysława, posiadały naturę ostatnich.

Ażeby lepiej zrozumieć rodzaj nieszczęścia, które dotknęło szanownego Eskulapa, pomimo wszystkich przymiotów serca i rozumu, jakie posiadał i jakich nikt ze znających go zaprzeczyć mu nie mógł, aby lepiej zrozumieć rodzaj nieszczęścia tego i przekonać się, że nie było ono wcale urojonem, ale rzeczywi stem i wielce dotkliwem; zastanówmy się przez chwilę, łaskawi czytelnicy, nad trzema prądami, na które rozdziela się ogólny potok życia człowieka, jeśli życie to ma być zupełnem, takiem, jakiem pragnąłby je mieć każdy, kto w piersi posiada serce, nie kamień, w żyłach krew, nie wodę, w głowie mózg, nie zefiry, a wzrokiem sięga cokolwiek dalej, niż do końca własnego swojego nosa.

Owóż, trzema tymi prądami, na które rozdziela się ogólny potok istnienia człowieczego, są trzy jego strony, z których jedna przedstawia uczucia i sprawy domowe, rodzinne, druga obowiązki i przyjemności towarzyskie, trzecia działalność publiczną, społeczną.

Nic łatwiejszego, jak omylić się co do natury i znaczenia tych trzech działów życia, i pomieszać je z sobą, nie odróżniając jednego od drugiego.

Bywają ludzie, którzy, ograniczając się na pierwszym, wyobrażają sobie, że spełniają zadania i obowiązki trzeciego, co jest wielką omyłką, i tacy, co biorą drugi za pierwszy lub trzeci i, bawiąc się, sądzą, że kochają lub działają. Rzecz w tem, że trzy te działy, posiadając wiele właściwych sobie odrębności i spełniając każdy rolę, jaka mu się przynależy, związane są przecie z sobą najściślejszą solidarnością.

Wszyscy tego doświadczają, wszyscy o tem wiedzieć powinni, a jednak rzadko kto zdaje sobie z tego dokładną sprawę. Stąd pochodzi to błędne wyobrażenie, wielce pomiędzy ludźmi rozpowszechnione, że jeden z działów tych wymaga wyłącznie serca i opiera się na stronie uczuciowej, drugi potrzebuje tylko rozumu z zupełnem wyłączeniem wszystkiego, co się nazywa uczuciem.

Jest to błąd, który sprowadza na ziemię tyle nieszczęść i pociąga za sobą tyle innych błędów, ile bywa łez wylanych i egzystencyi ludzkich niedokończonych. Pierwszą bowiem i główną wspólnością trzech działów życia jest to, że wszystkie one wymagają jednostajnego współudziału serca i rozumu.

Myśl i uczucie, miłość i rozum, tak samo są potrzebne w poufnej pogadance dwojga małżonków, toczącej się przy świetle domowego ogniska, jak wśród towarzyskiego zebrania, jeśli to ma pretensyę być czem innem, niż zebraniem papug i kumoszek, co na jedno wychodzi, jak w działalności publicznej, ku dobru powszechnemu i własnemu przez człowieka pełnionej, na trybunie naprzykład, lub przy katedrze, z paletą, piórem, dłótem w ręku, igłą, nawet heblem, pługiem, z siekierą nawet do rąbania drzewa, lub miotłą do zamiatania ulic miejskich.

Drugą, niezmiernie ważną, najważniejszą wspólnością tych trzech działów życia ludzkiego jest to, że jeden na drugi wpływa przemożnie, co więcej, jeden z drugiego wypływa tak, że częstokroć, bez zupełnej świadomości człowieka, pierwszy urodzi się z drugiego i trzeciego, lub trzeci powstanie z dwóch pierwszych.

Ktoś bardzo mądry solidarność tę określił temi słowy:

— »Powiedzcie mi, jak ten człowiek bawi się, a ja wam powiem, co on czyni«.

Jest to jedno z najgłębszych orzeczeń, jakie kiedykolwiek wypowiedziały usta ludzkie.

Ośmielamy się dodać do niego to jeszcze:

— »Powiedzcie nam, jak ten człowiek żyje w domu swoim, a powiemy wam, jak bawi się on i co czyni za domem«.

Słabe zaledwie wyobrażenie posiadają ludzie o tem, jak potężny wpływ wywiera życie domowe na sposób, w jaki człowiek znajduje się względem postępków swych i działań towarzyskich i publicznych; jakim dla człowieka życie to zbawiennym być może wiatykiem, lub jaką zabójczą trucizną; ile stóp, dość silnych nawet, grzęźnie w niem tak, że dalej postąpić nie

może, lub ile rąk buduje na niem wspaniałe gmachy czynów; ilu ludzi czerpie z niego wielkość, a ilu przez nie nigdy właściwej sobie miary moralnej dosięgnąć nie może.

Nieszczęśliwe życie domowe mało poczyniło trupów, ale mnóstwo niedołęgów, niewiele umysłów doprowadziło do waryacyi, ale wiele ogłupiło, niewiele sprawiło śmierci fizycznych, ale zadało mnóstwo cierpień moralnych, gorszych niż śmierć.

Temu wszystkiemu zaprzeczać mogą tacy tylko ludzie, którzy, zapatrzeni na planety, najbardziej odległe od naszej kuli ziemskiej, w wysokiej mądrości swojej nie raczą lub nie umieją spostrzegać tego, co się dzieje naokoło ich szacownej osoby, albo tacy, którzy, zdolni ujrzeć zaledwie koniec własnego swego nosa, wyobrażają sobie, że sięgają wzrokiem na najodleglejszą planetę, albo nakoniec tacy, którzy, posiadając sami kamień na miejscu, kędy powinno uderzać serce, nie wierzą w uciechy i zmartwienia, których doświadczać niezdolni, i całą ludzkość obejmują maluczką swoją miarką, w której zaledwie ślizki i zimny robak w skurczonej pozycyi pomieścić się może.

My, którzy nie jesteśmy tak dumni, abyśmy mieli wlepiać wzrok nasz w Syryusza, z zapomnieniem o rzeczach ziemskich, ani tak pokorni, żebyśmy koniec nosa naszego uważali za ostateczny punkt, spostrzeżeniom naszym dostępny, ani tak zręczni w sztuce krawiectwa, iżbyśmy sądzili, że suknię naszą potrafimy zastosować do wszystkich ciał wszystkich naszych bliźnich; nie zaprzeczamy tych niezmiernych wpływów, jakie życie domowe (w mniemaniu wyżej wspomnianych osób podrzędne) wywiera na cały ustrój moralny człowieka, na sposób, w jaki płyną dwa inne życiowe jego prądy.

Ponieważ więc wpływów tych nie zaprzeczamy, przez to samo już i utrapień doktora Władysława, które dla niego wpłynęły z domowego jego życia, w najmniejszą wątpliwość podawać nie możemy.

Utrapienia te istotne były, a liczne, o, liczne!

Właściwie wyrażając się, doktór Władysław, lubo żonatym już był człowiekiem, a w dodatku posiadał pod dachem swym teściową, której dawał czcigodne miano matki, słodyczy życia domowego doświadczał niesłychanie mało, można rzec nawet, iż, po przeminięciu pierwszych poślubnych miesięcy, nie doświadczał ich wcale.

Życie towarzyskie zato otworzyło się przed nim na oścież

i, jak starożytne miasto Teby, zdawało się posiadać sto bram które co chwila rozwierały się z wielkim gwarem i hukiem, i przepuszczały przez się roje gości, wpływających już dalej wszystkiemi drzwiami i we wszystkich momentach do spokojnego niedawno mieszkania doktora.

* * *

Od chwili, w której Kornelia otworzyła dom swój dla wszystkich, którzy do niego przybywać chcieli, zdawało się, że życie towarzyskie w mieście X., na podobieństwo wód wzburzonych, wystąpiło ze swego łożyska i, szemrząc, śpiewając, świergocąc, szumiąc całemi gromadami bałwanów, uderzało o ściany domostwa doktora, z wielkiem dla niego niebezpieczeństwem przemienienia się w natychmiastową ruinę.

Doktór Władysław miewał teraz gości zrana, w południe, wieczorem, przy śniadaniu, przy obiedzie, przy wieczerzy, znajdował ich w domu swym, gdy do niego po codziennych powracał trudach, i pozostawiał wtedy, gdy na nowe po mieście puszczał się wycieczki, i wśród gwaru gości, z uczuciem tęsknem, do melancholii wielce zbliżonem, słyszał częstokroć odzywające się na poblizkim dziedzińcu kilkakrotne pianie kogutów, tych, jak wiadomo, zwiastunów zbliżającego się poranku.

— Czy są goście?

— Są, panie!

— Czy są goście?

— Niema nikogo, i pani niema w domu.

Takiemi nieodmiennemi bywały rozmowy wracającego z miasta doktora ze służącym, który otwierał mu drzwi przedpokoju.

— Zmizerniałeś coś, doktorze!

— Tak... trochę...

— Świetny dom prowadzisz, doktorze!

— Tak... trochę...

— Wybornie bawią się u ciebie, doktorze!

— Wybornie? może być... nic o tem nie wiem!

— Żona twoja, doktorze, zachwycającą jest kobietą!

— Zachwycającą? tak... bardzo zachwycającą.

Takiemi bywały rozmowy doktora ze znajomymi.

Niekiedy przybywało im parę pytań następujących:

— Kto jest ten przystojny blondyn, doktorze?

— To kuzyn mojej żony, którego ona uważa za rodzonego brata.

— A! za rodzonego brata! Czy on z wami razem mieszka?...

— Wcale nie; mieszkanie jego znajduje się przy ulicy X.

— A! przy ulicy X.! Dziwna rzecz, że nigdzie spotkać go nie można, tylko w waszym domu!

— Tak blizki krewny...

— O tak! tak! blizki krewny!

— A do tego jeszcze artysta...

— O, tak! tak! artysta! a żona twoja gra i śpiewa prześlicznie; cóż dziwnego, że ma upodobanie w towarzystwie artystów.

Doktór Władysław wolałby o wiele, aby żona miała upodobanie w towarzystwie doktorów; na nieszczęście jednak przekonywał się coraz mocniej, iż życzenie to jego niepodobnem było do spełnienia.

— Zastanów się trochę nad tem, kochana Kornelko — mówił do żony w chwilach, gdy na pamięć przychodziła mu rola męża, nauczyciela i kierownika — chciej tylko chwilę zastanowić się nad tem, kochana Kornelko, że te ciągłe wizyty, proszone obiady, tańcujące wieczory, gadające herbaty i t. d., pochłaniają mi zbyt wiele czasu i przeszkadzają nieraz w spełnianiu powinności, do mego zawodu przywiązanych.

— Mój Władziu! sam chciałeś przecie, aby żona twoja była wesołą.

— Ależ moja Kornelko!... zastanów się...

— Ależ mój Władziu! sam masz tyle zastanowienia, starczy go dla nas obojga...

— Kochana Kornelko! pragnąłbym, abyśmy choć jeden dzień przepędzić mogli we dwoje.

— We dwoje! ależ mój Władziu! czyliż jesteśmy amerykańskimi kolibrami?

Na ostatnie to orzeczenie doktór żadnej nie znajdował odpowiedzi; aż nadto bowiem był pewny, że ani on, ani Kornelia nie byli podobni do tych czułych ptasząt, które jedno bez drugiego ani chwili żyć nie mogą, z niesłychanym tedy dysonansem, brzmiącym w sercu, udawał się do swego gabinetu, gdzie siadał przed biurkiem, z głową opuszczoną na dłonie,

i pogrążał się cały w rozmyślaniu nad reformami i ulepszeniami, jakie wprowadzić należało do instytucyi felczerów.

* * *

Pan Gustaw, od chwili przyjazdu swego do X., doświadczał bezprzestannego natchnienia; gorączka kompozycyi stała się moralnym jego stanem.

Koncert, z którym wystąpił, zdobył mu uwielbienie całej publiczności miasta X. i niepomiernie wpłynął na usposobienie względem niego Kornelii.

Młoda kobieta, której całe uprzednie życie za wyłączny cel miało tryumf, uniesiona była radością na widok tryumfu swego krewnego, któremu w sercu swojem wyznaczała miejsce, jakieby się należało rodzonemu jej bratu, gdyby go posiadała... kto wie? może nawet i obszerniejsze nieco...

Kiedy pewny siebie, wykwintnie ubrany, z dumą na czole, a niezachwianą niczem śmiałością w oczach, pan Gustaw wstępował na estradę, Kornelia mimowoli podnosiła także głowę a aksamitne jej źrenice, utkwione w postać koncertanta, ćmiły się mgłą wzruszenia.

Kiedy grał, mało zwracała uwagi na muzykę, i zdawała się niecierpliwie, z rodzajem pewnej obawy nawet, oczekiwać końca wykonywanej kompozycyi. Myśl jej cała zajęta była pytaniem:

— Jak publiczność przyjmie grę pana Gustawa?

Ale publiczność pomniejszych miast bywa zazwyczaj bardzo do ekstazy skłonną. To ostatnie dzieje się skutkiem ciągłej presyi, jakiej doświadcza wrażliwość prowincyonalnej ludności, bardzo rzadko znajdująca się w posiadaniu przedmiotu, na który wylaćby się mogła.

Wiadomo powszechnie, że im rzadziej ludzie bywają w możności bawienia się lub uwielbiania, tem zapalczywiej potem bawią się i uwielbiają, skoro im los najmniejszą ku temu nasunie sposobność.

Mieszkańcy miasta X. oddawna mieli serca przepełnione zachwytem, który nie znajdował dla siebie ujścia, a ręce ich świerzbiały potrzebą dawania oklasków, których nie było komu dawać.

Gdy więc pan Gustaw odegrał kompozycyę, rozpoczynającą szereg innych, mających składać koncert, pod stopy jego

wylało się z serc słuchaczy, długo w nich zamknięte, morze admiracyi, a kilkaset rąk, z prawdziwą dla siebie ulgą, napełniło salę kilkakrotnie powtórzonym grzmotem oklasków.

Młody skrzypek kłaniał się, uśmiechał i odrzucał z czoła złote swoje kędziory, a Kornelia, zapłoniona i rozkosznie wzruszona, słała mu najpiękniejsze swoje spojrzenia. Im dłużej pan Gustaw grał, tem silniejszem wzruszeniem burzyło się w sercach słuchaczy długo w przymusowej ciszy pozostające morze admiracyi, a po każdym odegranym ustępie wybuchało zdwojoną wrzawą.

Wrzawa ta, w połączeniu z rzęsistem światłem, zalewającem estradę, zdawała się wzbijać młodego koncertanta nad ziemię coraz wyżej, wyżej, aż przy końcu koncertu, pochwycony przez nią, zalany, uniesiony, pan Gustaw, z rumieńcem na policzkach, z czołem wysoko podniesionem, trzymając skrzypce w jednej ręce a w drugiej smyczek nieco wyżej głowy, przedstawiał oczom publiczności świetną i wybornie urządzoną apoteozę.

Kornelia nie dochodziła pierwotnej przyczyny, która wywołała w publiczności tak potężny i niesłychany zapał; nie myślała wcale o tem, czy w zapale tym mieściła się choć kropla zdrowego sądu o sztuce, i czy artysta w istocie do słuchaczy swych przemówił głosem serca, lub też podbił ich tylko wielką zwinnością swoich palców, i posłużył za odczekiwany oddawna przedmiot, mający ulżyć sercom, przepełnionym bezczynną admiracyą i dłoniom, spragnionym dawania oklasków.

Ona widziała tylko tryumf, apoteozę, i pan Gustaw wydał się jej wielkim, potężnym, zachwycająco pięknym i wzniosłym w swojej chwale.

A jakże maluczkim i prozaicznym wyglądał teraz w jej oczach doktór Władysław, który, przez cały czas koncertu, cichutko siedząc obok niej na swojem krześle, nie otrzymywał żadnych oklasków, nie zwracał niczyjej uwagi, nie przedstawiał żadnej apoteozy.

Kornelia z trudnością oderwała oczy od młodego artysty i przeniosła je na pełną godności, lecz skromną i prostą, postać małżonka.

Popatrzyła na niego i westchnęła; westchnęła i śnieżnymi swymi ząbkami przygryzła zlekka dolną wargę; potem powstała i, nie patrząc już wcale na męża, nie zwracając na niego nawet najmniejszej uwagi, zabrała się do wyjścia.

— Może chcesz, abym ci podał ramię? — zapytał postępujący obok niej mąż.

— Dziękuję; mogę iść sama — była odpowiedź, suchym wymówiona tonem.

W przedpokoju otoczył ją rój mężczyzn.

Były to wszystko planety, należące do jej systematu, i w mniejszej lub większej od słońca swego trzymane odległości. Ale Kornelia nie raczyła w tej chwili trudzić się sprawami swych poddanych; bardzo powoli wkładała futro, oglądała się i widocznie była czemś zaniepokojoną. To roztargnienie słońca mocno zatrwożyło cały systemat.

Planety oglądały się także i wzrokiem zadawały sobie wzajem pytanie:

— Czemby był ów przedmiot, który z ich szkodą pochłania myśli i wzbudza niepokój królowej?

Przedmiot ten ukazał się wkrótce w postaci pana Gustawa, który, po przepłynięciu morza admiracyi, zstąpił z apoteozy i, przemieniając się w zwyczajnego śmiertelnika, opuszczał salę wraz z publicznością.

Kornelia dojrzała go pierwsza i on ją dojrzał pośród tłumu; oczy ich zdwojonym blaskiem zagorzały, na ustach zakwitły uśmiechy, mówiące więcej, niż najdłuższy szereg wyrazów.

Na widok ten, planety zadrżały i porozumiały się spojrzeniami.

W panu Gustawie oddawna przeczuwały one Jowisza, w tej chwili poczuły się już napewno Neptunami, skazanymi na przebywanie w strefach lodowatych, lub Marsami, dręczonymi wiecznym skwarem, pozbawionym najlżejszego zefiru nadziei.

Ale słońce i Jowisz nie dbały bynajmniej o troski pomniejszych planet, i zbliżyły się do siebie, jak dwie gwiazdy, równe sobie i pokrewnym świecące blaskiem. Jowisz podał ramię słońcu, które ono przyjęło z bardzo wdzięcznym uśmiechem, i oboje postąpili ku schodom, napełnionym tłumnie zstępującą publicznością.

Planetom nie dostało się od słońca nic, ale co się nazywa nic: ani jednego spojrzenia, ani jednego słowa, ani jednego choćby przelotnego skinienia głową. Zwyczajną właściwością podobnych planet jest nadzwyczajna mściwość i złośliwość. Omylone w swych nadziejach, czują one konieczną potrzebę ukąszenia, lub przynajmniej uszczypnięcia przedmiotu swych przedchwilowych admiracyi.

Tym sposobem mszczą się one za swe nieprzyjęte hołdy, i gojący balsam przykładają do ran, zadanych ich miłości własnej.

Obyczajowi takiemu wierne, planety Kornelii zamieniły pomiędzy sobą spojrzenia i uśmiechy, a potem zebrały je wszystkie w jedną gromadę i cisnęły na głowę niewinnego doktora Władysława.

On postępował zwolna za idącemi w parze Jowiszem i słońcem, nie spostrzegając wcale, że był przedmiotem dwuznacznych spojrzeń i złośliwych uśmiechów całego planetarnego świata.

I nic dziwnego, że nie spostrzegł on tych uśmiechów i spojrzeń, bo po raz to pierwszy dotykały go one. Dotąd otaczał go szacunek powszechny, imię zaś jego wymawiane było z poważaniem i przychylnością, a nie ironicznie i zjadliwie, jak w tej chwili pomiędzy szepcącemi zcicha planetami. Jedna z tych ostatnich, najmłodsza zapewne, a zatem najmniej umiejąca panować nad uczuciami swego serca i dźwiękiem swego głosu, wymówiła to imię wyraźniej i głośniej, niżby sama zapewne chciała.

Doktór Władysław obejrzał się i spostrzegł otaczające go fizyognomie zawiedzionych i rozgniewanych planet, i pojął niemą mowę tych fizyognomii.

Krew uderzyła mu do twarzy, czoło zmarszczyło się groźnie, a oczy tak błysnęły, że planety rozstąpiły się i zaprzestały szeptów i spojrzeń. Ale to spojrzenie, jakiem doktór Władysław okrył w tej chwili postępującą przed nim, wdzięczną postać swej żony, wcale nie było podobnem do tego, z jakiem patrzył na nią w błogosławionych onych chwilach, w których mniemał, iż posiadał raj na ziemi...

Ach! czegożby nie dał za to, gdyby żona jego mogła być mniej świetną i uwielbianą, gdyby, zamiast słońcem, była ona kobietą, nieposiadającą żadnego systematu planetarnego, a szczególniej tego planety Jowisza, który teraz podawał jej ramię i z tak zuchwałem spojrzeniem przemawiał do niej, z jakiem przemawiać może człowiek, tylko co wyłoniony z morza admiracyi swych bliźnich!

Myśli te doktór Władysław, w łagodnych, lecz poważnych słowach wyraził żonie zaraz po powrocie z koncertu.

Ona popatrzyła na niego przez chwilę z dziwnym wyrazem i rzekła:

— Mój Władziu! jeśli mnie ludzie admirują, jeśli mi hołdy

składają, mojaż to wina? Widziałeś przecie dobrze, że i dawniej tak było.

— Tak — przerwał doktór — ale dawniej było co innego; teraz jesteś kobietą zamężną i nie powinnaś pozwalać nikomu na zbyt jaskrawe składanie hołdów. Naruszyć to może twoją dobrą sławę, a mnie postawić w nader przykrej i niestosownej dla mnie pozycyi.

Kornelia zrozumiała, o kim myślał mąż jej, gdy to mówił. Oczy jej, dotąd obojętne i roztargnione, zapłonęły nagłym ogniem.

Powstała i, rozkładając nuty na pulpicie, rzekła:

— Mój kochany! przed ślubem naszym mówiłeś mi nie raz, ale sto razy, że chciałbyś, aby żona twoja świetnie prezentowała się w towarzystwach i ściągała na siebie powszechną uwagę i admiracyę. Jeśli twój gust odmienił się, nie moja w tem wina; ja jestem taką, jakąś mnie poznał, jaką byłam zawsze i jaką abym była, sam wprzódy chciałeś...

To rzekłszy, usiadła i puściła ręce po klawiszach, a doktór Władysław, wiedząc z doświadczenia, że od dalszych uwag jego zasłoni się muzyką, jak nieprzenikliwym pancerzem, machnął ręką i odszedł, mówiąc do siebie:

— George Dandin!

Kornelia, grając ciągle, przeprowadziła go wzrokiem aż do drzwi, ale potem nie wybuchnęła głośnym śmiechem, jak bywało zwykle, gdy muzyką pozbyła się gderania matki lub przedstawień męża, ale skrzyżowała ręce na piersi i nieruchomemi oczyma wpatrzyła się w przestrzeń.

Przed nią, zawieszony w powietrzu, stał wciąż pan Gustaw, w apoteozie.

Dotąd widziała w nim tylko pełnego dla niej powabu człowieka, teraz dorósł on w jej wyobraźni do rozmiarów półbożka.

Zakochana w świetnościach i połyskach, z zachwytem topiła oczy w obrazie tryumfującego artysty. O ile tryumf ten był zasłużonym, o ile pan Gustaw był artystą, nie myślała o tem; widziała tylko jego tryumf i dumna była tem, że tryumfator składał jej hołdy.

Czuła to, co czuć musiała Kleopatra wtedy, gdy Pompejusz padał do stóp jej, tylko że chluba tej ostatniej była uzasadnioną.

Ale Kornelia mało troszczyła się o wszelkiego rodzaju zasady, a jeżeli dotąd poczuwała pewną trwogę, ilekroć miała

popełnić coś złego, działo się to za sprawą dobrych instynktów, które wzięła od natury, i które mogły były przemienić się w zasady, ale się nie przemieniły.

Dziś instynkty te nawet umilkły, wobec apoteozy pana Gustawa, a w młodej kobiecie odbywał się kryzys duchowy, na którego widok doktór Władysław byłby przejęty zgrozą i rozpaczą, a pan Gustaw uniesiony radością i nowym tryumfem.

* * *

Nazajutrz Kornelia wstała ze snu blada i z wyrazem nerwowej niespokojności na twarzy.

Dwa razy dłużej, niż zwykle, siedziała przed zwierciadłem, co przedstawiało sumę czasu znakomitą, i parę razy otworzyła usta, jakby chciała o coś zapytać służącej, ale nic nie wyrzekła, jakby jej wargi nie mogły wymówić imienia, które wciąż przebywało w myśli. Chciała się dowiedzieć, czy pan Gustaw znajdował się już w salonie, najczęściej bowiem zastawała go tam zajętego nastrajaniem skrzypców, albo przeglądaniem dzienników, gdy, po skończonej tualecie, wychodziła ze swej sypialni. Tego dnia jednak, lubo pora była już dość spóźniona, pan Gustaw był jeszcze nieobecnym.

Kornelia, wszedłszy do salonu i nie znalazłszy tam nikogo, zsunęła brwi, pobladła silniej, i z książką w ręku rzuciła się na otomankę.

Twarz jej i ruchy wyrażały niecierpliwość i niepokój, a oczy co chwila zwracały się na drzwi od przedpokoju.

Pan Gustaw nie przybywał; niewiadomo, czy z powodu przeszkód jakichś, które nie pozwalały mu pośpieszyć do Kornelii, czy przez dyplomatyczne wyrachowanie, doradzające mu zwłokę.

Prawdopodobnie mniemał, że im dłużej oczekiwanym będzie, tem uprzejmiej zostanie przyjętym, i im później ukaże się Kornelii, po odniesionym wczoraj tryumfie, tem większej wagi tryumf ten nabierze w jej oczach.

Jeśli takiem było wyrachowanie pana Gustawa, dowodziło to głębokiej znajomości, jaką posiadał co do charakteru Kornelii. To bowiem, coby obraziło i zraniło inną kobietę, w niej powiększyło tylko niecierpliwość, z jaką wyglądała wczorajszego tryumfatora.

Niecierpliwości tej nie był świadkiem doktór Władysław,

ponieważ od rana wyszedł na miasto, zapowiedziawszy, że nie wróci, aż przed wieczorem; nie spostrzegła jej nawet pani prezesowa, która dnia tego, wstawszy w szczególniej złym humorze, sprowadzonym oporem zięcia, co do sprawienia nowego i kosztownego umeblowania domu, zamknęła się w swoim pokoju i oświadczyła córce, że cały dzień przepędzić zamierza w zupełnej samotności.

Kornelia tedy była samą, samą aż do późnej poobiedniej godziny, w której-to godzinie zjawił się nakoniec pan Gustaw z promieniejącą twarzą i pudłem, zawierającem drogocenne skrzypce w objęciu.

Kornelia spotkała go z rumieńcem na twarzy i łzą, migocącą na długiej rzęsie.

Ręka jej drżała nieco, gdy podawała ją do uścisku młodemu i pięknemu gościowi.

Siedzieli obok siebie i rozmawiali półgłosem.

Rozmawiali zrazu o rzeczach obojętnych, powszednich; ale spojrzenia, jakie zamieniali pomiędzy sobą, nie były ani obojętne, ani powszednie.

Powoli głosy ich zniżały się; na miejscu codziennych rzeczy, będących dotąd przedmiotem ich rozmowy, występowały przypomnienia czasów minionych, czasów, o których mówiąc, pan Gustaw stawał się promiennym i zrozpaczonym zarazem, a Kornelia usuwała się zlekka od swego towarzysza i białą dłonią przysłaniała sobie oczy.

Usuwała się i przysłaniała sobie oczy, ale nie rozkazywała już młodemu artyście, aby odszedł.

Chwilami tylko, niepewnym głosem przerywała mu mowę i powtarzała:

— Mówmy o czem innem!

Ale pan Gustaw ani myślał mówić o czem innem.

Słowa jego stawały się coraz gorętszemi, wymowa płynniejszą i ognistszą, a zarazem głos coraz zniżał się, a spojrzenia coraz śmielej i dłużej tonęły w twarzy młodej kobiety. Nagle umilkł, pochwycił opierającą się mu jeszcze dłoń Kornelii i nieprzeliczonymi okrywał ją pocałunkami.

W tej samej chwili w przyległym pokoju ozwały się kroki pani prezesowej, i szanowna ta dama niebawem stanęła we drzwiach.

Rozmawiająca para nie zaraz dostrzegła jej obecność, i pani prezesowa miała czas dosłyszeć, zcicha zamienione, następujące wyrazy:

— Gustawie, Gustawie! co czynisz, na Boga? dokąd mnie prowadzisz? Jam już do żadnej myśli nie zdolna! Zlituj się... wszak przysięgłam...

— Luba! najdroższa! aniele! bogini! Uspokój się! prowadzę cię do szczęścia! Ty mnie kochasz! kochałaś zawsze... zapomnij o wszystkiem...

Tu pani prezesowa chrząknęła. Skromny ten i podrzędny akt człowieczego organizmu nigdy może w niczyich uszach nie rozległ się z tak przerażającą grozą, jak teraz w uszach pana Gustawa.

Zerwał się on z kozetki, na której siedział, i jak człowiek, który nagle się zbudził, patrzył przed siebie osłupiałym wzrokiem.

Ale Kornelia nie zerwała się z miejsca i nie okazała najmniejszej oznaki przestrachu lub pomieszania. Zasunęła się głębiej tylko w kąt sofki i, najspokojniej skrzyżowawszy ręce na piersi, zwróciła głowę w stronę drzwi, w których, w nieruchomej postawie, stała jej matka.

— Kochana mama opuściła swój pokój — wyrzekła dźwięcznym i czystym głosem. — Bardzo cieszę się z tego; dowód to, że migrena minęła...

Pomimo zmroku, jaki zaczynał ogarniać salon, widać było, jak po twarzy pani prezesowej przebiegały nerwowe drgania, jak ruchliwe jej oczki ruszały się ze zdwojoną szybkością i błyszczały zdwojonym połyskiem.

— Tak — ozwała się po chwili ostrym i suchym tonem — tak, luba Kornelko; opuściłam mój pokój, ponieważ dowiedziałam się, że masz gościa... Pomyślałam sobie, że po wczorajszym wieczorze musisz być sfatygowaną, i przyszłam ci z pomocą...

— Dziękuję mamie za troskliwość — odparła Kornelia — ale zarazem upewniam, że bynajmniej nie jestem sfatygowaną, czego dowodem, że będę przyjmowała dziś w wieczór nietylko jednego gościa, ale ze trzydziestu...

— Tembardziej powinnaś o szarej godzinie odpocząć sobie nieco, lube, kochane dziecię — wymówiła pani prezesowa, umieszczając się na fotelu. — Radziłabym ci, abyś położyła się na chwilę i zasnęła trochę... to dodaje trzeźwości myślom, polepsza humor i odświeża cerę... Co zaś do pana...

Tu zacna dama zwróciła się do gościa:

— Dałabym panu tę samą radę. Wczorajsze wystąpienie

musiało pana sfatygować; jeżeli nie spoczniesz, nie będziesz mógł uświetnić dziś wieczoru Kornelki grą swoją...

Pan Gustaw, ze wzrokiem utkwionym w Kornelię, sięgnął ręką po kapelusz.

Ona rzuciła mu spojrzenie, które mówiło:

— Odejdź!

Wymówiwszy kilka powszednich frazesów, pan Gustaw pożegnał damy i odszedł.

— Przyjdź pan najdalej za godzinę! — zawołała za nim Kornelia w chwili, gdy drzwi otwierał.

— Nie omieszkam! — z ukłonem wymówił gość, i zniknął.

Matka i córka zostały same.

Parę minut milczały obie.

Kornelia siedziała ze skrzyżowanemi na piersi rękoma i plecami spokojnie opartymi o poręcz sofki; pani prezesowa niecierpliwie szamotała się na swym fotelu, a szczęki jej poruszały się z wyjątkową i nadzwyczajne wzburzenie znamionującą szybkością.

Kornelia pierwsza przerwała milczenie.

— Czy mogę wiedzieć — rzekła — z jakiego powodu mama tak niegrzecznie wyprawiła stąd pana Gustawa?

— Z jakiego powodu? z jakiego powodu? — zawołała pani prezesowa, która zdawała się oczekiwać tylko zaczepki ze strony córki, aby wybuchnąć. — I ty mnie pytasz o powód! Czy nie zdaje ci się, że za daleko zaszłaś z tym chłystkiem...

— Kochana mamo! — przerwała Kornelia, nie zmieniając postawy, ni głosu — najgrzeczniej i najpokorniej proszę i waruję sobie, abyś w przytomności mojej nie nazywała tak pana Gustawa.

— A więc z tym jaśnie wielmożnym panem! — fuknęła matka.

— On nie jest jaśnie wielmożnym panem — ponowiła protestacyę córka.

I ciszej dodała:

— Gdybyż nim był...

— Jakże więc rozkażesz, abym go nazywała, luba, kochana córeczko?

— Tak, jak on się istotnie nazywa, to jest po prostu Gustawem — odparła córka.

Zimna krew Kornelii i stanowczy ton, jakim mówiła, wzmagał wzburzenie pani prezesowej.

— Pytam cię — zawołała — czy nie sądzisz, żeś za daleko z nim zaszła?

— Nie sądzę — krótko odpowiedziała Kornelia.

— Nie sądzisz tak! — krzyknęła pani prezesowa — czy nie można wiedzieć, dlaczego tak nie sądzisz?

— Dlatego — mówiła córka — żeś sama, kochana mamo, dała mi najwyraźniejsze i wielokrotnie powtarzane pozwolenie marzyć i wspominać o panu Gustawie, ile mi się podoba, bylebym tylko nie myślała o zostaniu jego żoną, a wyszła za człowieka majętnego, lub z pozycyą.

Pani prezesowa wlepiła w córkę wzrok niemal przerażony.

Szczęki jej poruszały się żywiej, niż kiedykolwiek.

— Marzyć! wspominać! — wymówiła po chwili mniej już gwałtownym tonem. — I któż ci mówi o marzeniach i wspomnieniach? Baw się niemi, ile ci się podoba, ale nie posuwaj się do uczynku...

Miała coś więcej powiedzieć, ale umilkła, bo rzuciwszy spojrzenie na córkę, dojrzała na twarzy jej wyraz taki, jakiego nigdy nie widziała.

Po chwili milczenia, wśród którego słychać było ciężki jej oddech, Kornelia zwolna i zmienionym głosem mówić zaczęła:

— Czy widziałaś kiedy, mamo, granicę, oddzielającą marzenia od uczynku? czy ktokolwiek ją widział? Mnie się zdaje, że tej granicy nikt nie widział, że jej niema. Marzenie, mamo, jest to droga, po spadzistości idąca, ślizka. Człowiek zstępuje po niej z góry i schodzi na dół, a na dole znajduje uczynek...

Przestała mówić, a pani prezesowa patrzyła na nią osłupiałemi oczyma i otwartemi od zdziwienia usty.

Po chwili wymówiła, jakby z trudnością:

— Uważam, że napada cię w tej chwili jeden z raptusów, którym podlegasz i pod których wpływem mówisz bez sensu. Ja tam nie rozumiem twoich andronów o górach i dołach, a przypomnę ci tylko religię, przysięgę, którą wykonałaś...

Kornelia milczała.

Ręka jej tylko, zwieszona pomiędzy fałdami sukni, zadrżała trochę przy słowach matki; pani prezesowa mówiła dalej:

— Przypomnę ci moralność, która nakazuje, aby żony były wierne mężom swoim...

Kornelia milczała jeszcze i tylko dziwny, nieokreślony uśmiech przesunął się po jej ustach.

Pani prezesowa kończyła swą przemowę:

— Przypomnę ci, abyś miała wzgląd na twoją sławę, pozycyę towarzyską, na to, co świat powie o tobie.

Głos pani prezesowej, gdy mówiła to wszystko, nie miał już w sobie ani cienia uprzedniej gwałtowności. Był on przeciwnie stłumionym nieco i, rzecz dziwna, napomnienia swe matka ta dawała córce z rodzajem nieśmiałości i wahania się, tonem, któryby właściwszym był usprawiedliwieniu się, niż upominaniu.

— Przypomnę ci nakoniec — zaczęła jeszcze, ale tym razem przerwała jej Kornelia.

— Mamo — wymówiła z dziwnem nagięciem głosu — a ja pragnę cię zapytać, dlaczegoś o tem wszystkiem nie przypomniała mi dawniej... dawniej?...

Pani prezesowa zadrżała i głowa jej opadła na piersi. W całej osobie jej odmalowały się przygnębienie, przestrach. Być może, iż w piersi złej matki, gorzkiem pytaniem córki obudzone, serce zakołatało żywszem tętnem; być może jeszcze, iż ta, do gruntu zmateryalizowana, głęboko samolubna natura, nie pojmując duchowego zepsucia i lekceważąc je, zadrżała przed faktem grubym, materyalnym i usłyszała głos sumienia, przemawiającego do niej głosem jej dziecka.

Bądź co bądź, pomiędzy dwiema kobietami trwało dość długo milczenie.

W końcu pani prezesowa podniosła głowę, wytężyła wzrok, aby wśród zmroku przyjrzeć się twarzy córki, i tym samym niepewnym głosem wymówiła:

— Spodziewam się, że przynajmniej nie myślisz o porzuceniu męża...

Kornelia zwolna podniosła się i stanęła przed matką.

— I jakże mam o tem myśleć? — wyrzekła stłumionym głosem — jakże mam o tem myśleć, skoro jestem ubogą, a Gustaw nie posiada także majątku? Czy sądzisz, mamo, że gdybym była bogatą, jeden dzień dłużej przebyłabym z Władysławem? Nie, z pewnością nie. Ale jestem ubogą i Gustaw także... muszę więc pozostać tu... muszę...

To rzekłszy, zbliżyła się ku oknu i, oparłszy czoło o chłodną szybę, wpatrzyła się w pokrytą wieczornym cieniem ulicę.

Patrz, młoda kobieto, poprzez chłodną szybę na wieczornym cieniem pokrytą ulicę, patrz i zobacz!.

Oto tam przeciwległym chodnikiem, wśród mgły i zmroku, przesuwa się postać kobieca, ciemna, niewyraźna. Pełznie raczej pod murami domostw, niźli idzie, i staje często przy słupach zapalonych latarni ulicznych, aby przechodniom ukazać twarz, okrytą sztucznym rumieńcem i oczy, z których zniknęło światło kobiecego wstydu.

Czy wiesz, kim jest ta kobieta i jaką rolę odgrywa w ludzkości?

Wiesz o tem i odwracasz oczy ze wstydem, z pogardą, sądząc, że sam widok jej pokala cię i zhańbi.

Otóż daremnie tak czynisz.

Wolno ci patrzeć na nią śmiało, długo i ciekawie, boś taką samą, jak ona.

Rumienisz się od gniewu, dumna twarz twoja tryska oburzeniem.

Daremnie! tyś gorsza od niej!

Tamta urodziła się nizko, oczy miała zamknięte na wiele świateł, które ty widziałaś, lub widzieć mogłaś; tamta na srogą hańbę swą zarzucić może płaszcz okropnej nędzy, tamta, nakoniec i nadewszystko, nie oszukuje nikogo.

A ty to samo czynisz, co ona, tylko na hańbę swą zarzucasz atłas i oszukujesz świat cały, począwszy od człowieka, któremu się sprzedajesz.

Całą między wami różnicę stanowi to, że tamta sprzedaje się za monetę miedzianą, a ty za złotą!

Wierzaj, że to wszystko jedno i że, choć nigdy a nigdy nikt ci nie powie tego, w gruncie jednak ta kobieta z chodnika nie jest niczem innem, jak uboższą i nieszczęśliwszą koleżanką twoją!

Kornelia stała wciąż przy oknie, z czołem opartem o szybę i wzrokiem wlepionym w mrok uliczny; a pani prezesowa, widząc zamyślenie córki, poszamotała się jeszcze chwilę w fotelu i odeszła w głąb' mieszkania.

Idąc, twarz miała zasępioną i krok nierówny.

— Co to z tego będzie? — szeptała do siebie — co to z tego wyniknie? Ona gotowa zaawanturować się, zniesławić, ciężki grzech popełnić, i to dla kogo?...

Z największą pogardą wzruszyła ramionami i dodała:

— Co ona tam mogła upatrzyć w tym chłystku, skrzypicielu? Gdybyż to przynajmniej był ktoś porządny, z majątkiem, imieniem, pozycyą! Prędzejbym już była przypuszczała, że hrabia R... No, brzydki on, co prawda, i ograniczony, ale zawsze to

jednak hrabia... A ten, Boże odpuść! co ona mogła w nim upatrzyć?...

Z temi słowami szanowna dama weszła do swego pokoju i, usiadłszy w zmroku na kanapie, puściła wodze szczękom swym, które nadzwyczajnie szybkiem ruszaniem się dowodziły bardzo złego humoru, w jaki popadła.

* * *

Doktór Władysław cały ten dzień przepędził na mieście. Był to dla niego dzień wyjątkowej pracy i przywiązanych do niej trudów, zmartwień i wzruszeń.

Mnóstwo smutnych, rozdzierających serce obrazów przesunęło się przed nim w ciągu kilkunastu godzin; wśród nich napatrzył się on na łzy i biedę, nasłuchał się jęków i narzekań, parę razy śmierć mignęła mu przed oczyma, a on nie mógł uczynić nic, aby z twarzy bliźniego zedrzeć jej bladą oponę; parę razy z radością widział, jak wskutek starań jego opona ta znikała i rozwiewała się, a w miejscu, kędy była, występowało słabe światło odradzającego się życia.

Przenikał w najgłębsze i najciaśniejsze zakąty miasta i wchodził do domostw tak nizkich i ciemnych, że wyglądały na jaskinie, wykopane w ziemi, tak kruchych, że zdawało się, iż nie dotrwają tej burzy zimowej, która przez dzień cały wrzała na dworze.

Tam znajdował nędzę straszną, nagą, niby zaraźliwymi wrzodami porośniętą nałogami, które z niej powstały; tam także widział niejedne oczy, zaszłe na widok jego serdeczną łzą wdzięczności, i czuł, jak niejedne usta opierały się na jego dobroczynnej ręce z niemą wymową, która głośno przemawiała mu do serca.

W wędrówce tej więcej, niż kiedykolwiek, przejmowało go nawskroś poczucie posłannictwa, jakie pełnił na świecie.

Czuł się kapłanem nauki, która, ratując ciało od zguby, częstokroć także zbawia ducha od upadku; przykładał rękę do piersi i twarz jego pięknem jaśniała światłem, bo sumienie mówiło mu, że uczynki jego dobrymi są; że, pracując, pocieszając, lecząc ciało i duszę swych bliźnich, zostaje on wiernym swoim zasadom, które to wszystko spełniać mu nakazywały.

Z tem wszystkiem jednak, czuł się wciąż trochę smutnym i smutku tego nie zdołały zatrzeć ani dziękczynienia, jakiemi go

okrywali biedni, ani uprzejmość i poważanie, z jakiem spotykali go możni, ani pochwalny głos sumienia, przemawiający do niego w domostwach pierwszych, ani materyalne pożytki, jakie wynosił z bogatych mieszkań drugich.

Pomimo twardych i surowych stron swego zawodu, nie zdołał on nigdy pozbyć się całkiem wrodzonej sobie wrażliwości.

Będąc doktorem, nie przestał być człowiekiem i należał do liczby tych, u których realizm nie zaciera cech ogólnie ludzkich a nauka nie wysusza serca, ale, przeciwnie, rozszerza je i wzmaga moc jego uderzeń.

To też, ile razy doktór Władysław przez dłuższy przeciąg czasu oddawał się powinnościom swoim, zawsze poczuwał przy końcu smutek nieokreślony, powstały z łona cierpień ludzkich, na które się napatrzył, i tych mnóstwa myśli, które na widok tych cierpień przebiegały mu przez głowę.

Tak więc i teraz, z długich i utrudzających wycieczek wracał on do domu smutny trochę, zmęczony bardzo. Ostatnie odwiedziny jego odbyły się na ulicy, odległej od tej, przy której położone było jego mieszkanie, i spory kawał drogi przebyć mu przychodziło, aby się do niego dostać. Jak na złość, na drodze jego nie znalazł się żaden powóz publiczny, pieszo ją zatem przebywać musiał.

Po ulicach wściekle szalała zamieć zimowa, mróz był tęgi, a obok tego wiatr gwałtowny dął z hukiem i świstem, i w twarze rzadkich przechodniów miotał ostrą kurzawą zmrożonego śniegu.

Doktór postępował szparkim krokiem, przebijał się przez fale wichru i zamieci, czując, jak zimno, pomimo ciepłego futra, jakiem się otulał, przenikało go aż do kości.

Był przytem głodny.

Szedł tedy szparkim krokiem, bo bardzo mu pilno było do domu.

Nie pamiętał wcale w tej chwili o częstych nieprzyjemnościach, jakie go tam spotykały; całodzienne trudy i kłopoty zatarły je w jego pamięci; myślał tylko o tem, że w domu znajdzie ciepły pokój, posiłek, ciszę i odpoczynek. W takiej postaci przedstawia się zwykle dom własny każdemu pracownikowi, wracającemu do niego po ciężkiej pracy.

Nareszcie, wśród mgły śniegowej, oczom doktora Władysława ukazała się upragniona kamienica. Przyśpieszył kroku, wbiegł w bramę i wstąpił na schody.

Zaledwie jednak przebył kilka stopni, stanął nagle i twarz jego, pogodna przed chwilą, lubo nosząca ślady fizycznego zmęczenia, zasępiła się.

Do uszu jego doszedł odgłos, podobny do brzęczenia roju pszczół, zamkniętego w ulu. Odgłos ten wychodził z jego mieszkania, a składały się na niego głosy wielu rozmawiających osób, w połączeniu z nadzwyczajnie huczną i brzmiącą muzyką.

— Goście! — wymówił doktór Władysław.

Po sposobie, w jaki wyraz ten wyszedł z ust jego, łatwo można było domyślić się, że nic a nic nie wiedział o tem, iż dnia tego Kornelia wydawała u siebie wieczór muzykalno-wokalny.

Daleko już powolniej, niż wprzódy, i z rodzajem przykrego namysłu wstępował dalej.

Im wyżej podnosił się, tem więcej głuchy szum, zasłyszany z oddali, nabierał wyrazistości; można było wśród niego rozróżnić głosy męskie i kobiece, śmiechy, żarty, półgłosem prowadzone rozmowy i nad tem wszystkiem panujące dźwięki kilku zjednoczonych instrumentów, razem i ze zgodą, wielce podobną do kłótni, wygrywających jakiegoś marsza podzwrotnikowego.

Przedpokój gorzał od świateł. Znajdowało się w nim dwóch służących, którzy jednak tak byli zajęci układaniem na tace licznych przysmaków, że nie dostrzegli bynajmniej wejścia swego pana.

Doktór Władysław niepostrzeżony wszedł do gabinetu swego bocznemi drzwiami, wprost z przedpokoju wiodącemi, i, zrzuciwszy z ramion białe od śniegu i szronu futro, sam sobie rozniecił światło.

Zapalona lampa słaby na pokój rzuciła połysk, a doktór Władysław stał, jak przykuty do miejsca, i osłupiałym wzrokiem patrzył przed siebie. Może doświadczał takiego ogłuszającego poczucia, jakiego doznaje człowiek z nagła wrzucony w odmęt spienionej wody. W istocie, wrzucony on nagle został w odmęt hałasu, wrzawy i wszelkich możebnych krzykliwych dźwięków.

W przyległych pokojach kilkadziesiąt osób rozmawiało, kilkunastu mężczyzn śmiało się, kilka instrumentów grało. Skrzypce piszczały, kontrabas huczał, fortepian dudnił, flet dzwonił, klarnet gwizdał, wiolonczela jęczała.

Wszystko razem składało marsz wojenny jakiegoś czarnego narodu, zamieszkującego strefę spaloną słońcem, a nieubłogosła-

wioną cywilizacyą. Przy dobrej dozie wyobraźni, można było pojąć, jak wspaniały widok przedstawiać muszą czarni ludzie, z naciągniętymi łukami u boków i rzędami kolorowych szkiełek u piersi, w wojennym pochodzie idący, przy taktach tego marsza.

Ale wyobraźnia doktora Władysława znakomicie ochłodła dnia tego pod wpływem zimowej zamieci, na jaką tak długo był wystawiony; marsz więc wojenny czarnych narodów nietylko nie nasuwał myśli jego żadnych przyjemnych, ani wspaniałych wyobrażeń, ale przeciwnie, rozrywał mu ją boleśnie, jakby tysiącem wyostrzonych noży, i w przeciągu kilku minut sprowadził mu dolegliwy ból głowy. Z pierwotnego ogłuszenia i osłupienia, w jakie popadł, obudziło go przenikliwe zimno, panujące w jego gabinecie.

Kornelia, spodziewając się gości, wzbroniła dnia tego służbie zbytniego ogrzania pokojów, w obawie, aby, przy licznem zebraniu osób, temperatura w mieszkaniu nie stała się zbyt duszącą. Ale w samotnym gabinecie doktora źle ogrzanym i ze ścianami wystawionemi na wichry, które weń uderzały, zimno było, jak w lodowni.

Doktór Władysław wstrząsał się tedy od chłodu, przytem głód mu dokuczał.

Ręką, drżącą od niemiłego wzruszenia, pociągnął za taśmę dzwonka i szerokimi krokami, zacierając ręce dla rozgrzania się począł przebiegać pokój.

Chodził i chodził, rad nie rad wysłuchał dobrej już połowy wojennego marsza czarnych narodów, a nikt ze służby nie zjawił się na odgłos jego dzwonka. Zadzwonił po raz drugi z tem samem niepowodzeniem.

Za trzecim dopiero razem wbiegł do pokoju służący w czarnym fraku, białej kamizelce i z nadzwyczajnie roztargnioną twarzą.

— Dajcie mi jeść! — zawołał doktór Władysław z niecierpliwością, której pohamować nie mógł.

— Co pan rozkaże przynieść sobie?

— Cokolwiek!

Służący wyszedł i, po upływie sporego kwadransa, wniósł do gabinetu tacę z kilku talerzami, na których znajdowały się cukry, pomarańcze, konfitury i tym podobne przysmaki.

— Czyś oszalał? — krzyknął pan domu — mówiłem ci, abyś mi przyniósł jedzenie, a ty mi przynosisz łakocie!

Lokaj stał nieruchomy z tacą w ręku, a twarz jego coraz

bardziej stawała się roztargnioną. Co chwila spoglądał na drzwi, jak człowiek, któremu bardzo się śpieszy, i który stoi, jak na rozżarzonych węglach.

— Czy nie zostawiono dla mnie obiadu? — zapytał doktór, stłumiwszy wydzierający się mu z ust gniewny wykrzyk.

— Nie, proszę pana.

— A wieczerza będzie?

— Będzie, proszę pana, ale pani rozkazała, aby była gotowa na godzinę pierwszą po północy.

Zegar wskazywał zaledwie pół do dziesiątej; doktór machnął ręką i rozpoczął nanowo przechadzkę swą po pokoju. Lokaj zaś co prędzej podążył ku drzwiom, ale od progu jeszcze odwrócił się i zapytał:

— Może pan rozkaże przynieść sobie lodów? będą gotowe za pół godziny.

— Idź do dyabła ze swymi lodami! — krzyknął do ostateczności przywiedziony pan domu.

Lokaj odszedł, doktór Władysław pozostał sam. Z rękoma w tył założonemi chodził i chodził po pokoju, a czarne ludy maszerowały i maszerowały przy odgłosie swej wojennej muzyki.

Straszna to rzecz, jak te narody ze stref gorących wrzeszczeć muszą, gdy idą do boju!

Pod rozpalonem niebem głębokiego południa, na przestworzach wydm piaszczystych, pomiędzy dziką gęszczą palm i platanów, wrzask ten może posiadać pewną sobie właściwą melodyę; ale dla północnego człowieka, o białej skórze i drażliwych nerwach, wśród czterech ścian porządnego europejskiego mieszkania, wydaje się on tak potężnym i wielkim, że aż przygnębiającym. A cóż dopiero, jeśli ten człowiek północny, przyzwyczajony do komfortu, nie mającego żadnej wspólności ze skwarem słonecznym, wydmami i platanami, czuje się głodnym, przeziębłym i zmęczonym, aż do wyczerpania sił fizycznych?

Natenczas dzika melodya pustyń wprawia go w uczucie tak dzikie i nielitościwe, że wszystkim czarnym ludziom, maszerującym w jego uszach, życzy z całego serca, aby marsz ich skończył się aż w głębokościach piekielnych!

Doktór Władysław złorzeczył czarnym narodom, ich muzyce wojennej i wszystkim, którzy tę muzykę wykonywali w nierozległych mieszkaniach spokojnych i spracowanych europejczyków... Stanął na środku pokoju i spojrzał na swój ulubiony kominek.

Nie było w nim ani jednego drewienka, ani jednego węgielka, osmolony i pusty otwór spoglądał na niego smutnem okiem opuszczenia.

A czarne ludy maszerowały wciąż i maszerowały...

— Otóż to są te wieczory zimowe, o których tyle marzyłem, zamierzając pojąć sobie towarzyszkę życia! — zawołał do siebie doktór Władysław. — Otóż to są te rozkosze i przyjemności domowe, jakich doznać miałem po ożenieniu się! Jestem sam tak, jak i byłem wprzódy, tylko w dodatku jeszcze czuję chłód, głód i zmuszony jestem słuchać tej piekielnej wrzawy, czego dawniej nigdy nie bywało.

Mówiąc tak, doktór Władysław mylił się co do jednego przynajmniej punktu. Głodu bowiem nie czuł: fizyczne uczucie to stłumionem i zabitem zostało przykrem moralnem wzruszeniem, doznanem na widok miękkiej zgrabnej sofki, w pobliżu kominka postawionej.

Dawniej, ile razy, spoglądając na sprzęt ten, marzył sobie o tem, jak zasiądzie na nim kiedyś, obok przyszłej ukochanej towarzyszki swojej i, po dniu pracowicie, uczciwie spędzonym, otwierając przed nią myśli swe, z rozrzewnieniem męskiem tulić będzie tę, która miała być radością, chlubą, natchnieniem i świętym spokojem jego życia!

Obok nich na kominku miał palić się żywym płomieniem ogień, jak żywy symbol błogosławionego domowego ogniska; głos jej słodki zagłuszać miał w jego uszach dzikie gamy wichrów, szalejących po świecie; strudzone czoło wspierać się miało na jej łagodnem, wiernem ramieniu, i z łona jej czerpać coraz to nowe bogactwa ciepła, poezyi, miłości!

Zamiast tego wszystkiego, pusty otwór komina patrzył na niego okopconem okiem, sofka stała pogrążona w cieniu, kurzem okryta, on stał sam jeden w pustym swym, zimnym, zimniejszym, niż był kiedykolwiek, pokoju, a czarne ludy maszerowały wciąż i maszerowały przy odgłosie wojennego swego marsza...

— Otóż to owe błogie wieczory zimowe, o których tyle marzyłem! — raz jeszcze zawołał doktór Władysław, przyczem obie ręce podniósł w górę i zatopił je w gęstych swych włosach.

Na przeciwległej ścianie zarysował się wielki czarny cień, przedstawiający postać doktora do olbrzymich zwiększoną rozmiarów, a u szczytu postaci tej gęsta czupryna, podniesiona i roztargana, przedstawiała najdziwaczniejszy strój głowy, jaki

tylko istnieć może na tym świecie: było to coś podobnego do piór strusich, postrzępionych i gdzieniegdzie podzielonych strzelającymi do góry rogami i rożkami.

Doktór Władysław machinalnie przygładził sobie włosy, patrząc na ścianę, jakby w zwierciadło. Gdy to czynił, cień poruszał także swemi wielkiemi czarnemi rękami, i tym razem podobny był do olbrzymiej mary, z tamtego świata przybyłej i patrzącemu na nią człowiekowi dającej tajemnicze jakieś znaki.

Był to widok ponury.

Doktór Władysław odwrócił się w inną stronę i począł znowu chodzić po pokoju. Ale czarny wielki cień chodził ciągle obok niego, przesuwał się po ścianie z tajemniczą cichością; a ile razy doktór Władysław dotknął ręką włosów, tyle razy cień jego przybierał nanowo fantastyczny strój głowy, złożony z postrzępionych piór strusich i sterczących do góry rogów i rożków.

W salonie czarne narody maszerowały wciąż i maszerowały, a wielki czarny cień, kroczący po ścianie, wydawał się ich olbrzymim dowódcą.

Zniecierpliwiony, zgryziony, rozgniewany, doktór Władysław przemienił na prędce ubranie i wyszedł ze swego gabinetu.

W istocie nic lepszego nie pozostawało mu do uczynienia, jak połączyć się z towarzystwem, dom jego napełniającem i, chcąc nie chcąc, wziąć udział w zabawie.

W pierwszych dwóch pokojach nie było nikogo.

Całe towarzystwo zebrało się w salonie, gdzie, przysłuchując się wojennej muzyce czarnego narodu, wyobraźnią przenosiło się w kraje słońca, piasków, palm, lwów, hyen i tygrysów.

Doktór Władysław stanął we drzwiach i potoczył okiem dokoła salonu.

Towarzystwo składało się z kilku kobiet i kilkunastu mężczyzn. Oprócz tego było tam jeszcze sześć instrumentów muzycznych i sześciu grających na nich ludzi obojej płci.

Kornelia siedziała przed fortepianem, pan Gustaw stał naprzeciw niej i grał na skrzypcach, trzech innych młodzieńców obrabiało flet, klarnet i wiolonczelę, kontrabasista pochodził z miejscowej orkiestry i przyjęty był do towarzystwa na mocy swego, potrzebnego do koncertu, kontrabasu; pani prezesowa siedziała na kanapie pomiędzy innemi paniami: w orzecho-

wej swej sukni, z orzechowemi wstążkami u czepca i orzechowymi włosami, przyczesanymi nad czołem, wyglądała na imponującej wielkości wiewiórkę.

Resztę przestrzeni zajmowały planety, poubierane w galowe stroje.

Jedne z nich, pierwszej wielkości zapewne, otaczały krzesło Kornelii; inne krążyły, upatrując pory, w którejby mogły zbliżyć się do słońca; inne jeszcze tułały się tu i owdzie, jak błędne asteroidy, smutne szczątki gwiazd roztrzaskanych; inne nakoniec gromadziły się na uboczu, podobne do mgławic, zalegających najodleglejsze punkta firmamentu.

Po kilku nakoniec minutach, czarne ludy, tchu i głosu pozbawione, maszerować przestały, muzyka umilkła; ale zato gwar głosów, należących do ludzi białych, salon napełniających, wzmógł się i ruch zrobił się wielki.

Jowisz, ze smyczkiem w ręku, szedł obok słońca, planety pierwszej wielkości postępowały tuż za niem; asteroidy zbiegały się w jedną gromadę i posunęły się nieco naprzód; mgławice wypłynęły też ze swych nieprzejrzanych odległości i zdawały się mieć nadzieję, że, po upływie wieków, promienie słoneczne dojdą aż do nich.

Nastąpiły wzajemne ukłony, podziękowania, wykrzyki zachwytu.

Wkoło kanapy rozmowa toczyła się o wczorajszym koncercie.

Jowisz kłaniał się na wszystkie strony i dziękował za sypane sobie pochwały i grzeczności.

Kontrabasista pozostał w kącie i stroił swój kontrabas; asteroidy, jak echa, powtarzały wyrazy, wypadające z ust planet pierwszej wielkości; mgławice szeptały pomiędzy sobą z nieśmiałością istot, zagubionych w powietrzu.

Przybycia doktora Władysława, który stał ciągle we drzwiach, nikt nie zauważył. On nie zbliżał się do nikogo i w milczeniu przyglądał się wszystkiemu, co się działo.

Kornelia bawiła się wybornie. Jakkolwiek smutne uczucia, lub dręczące niepewności dotykały ją przed wieczorem, teraz wszystko to utonęło w wirze zabawy, gwaru, hołdów, jakich była przedmiotem. Wyglądała świeżo, zdrowo, prześlicznie; strój miała na sobie kosztowny i pełen smaku; była mowną, ożywioną, wesołą do pustoty.

Pan Gustaw nie odchodził od niej ani na chwilę, a do

walki z nim występował ciągle młody hrabia R., silny tytułem swym i fałszywą swą grą na flecie.

Kornelia, jakkolwiek wyraźne pierwszeństwo oddawała młodemu artyście, nie okazywała się też całkiem niełaskawą na hrabiego, tak, że, jeżeli pierwszy wyraźnie i widocznie zajmował przy niej miejsce Jowisza, to drugi mógł być uważany za kandydata, mającego na następnych wyborach zająć przyjemną i zaszczytną posadę planety, ubłogosławionego nigdy nieustającą wiosną.

Doktór Władysław patrzył na to wszystko wzrokiem, który coraz bardziej mglił się od żalu, połączonego z gniewem.

We własnym domu czuł się on bardziej obcym, niż każdy z tych przybyszów, którzy tak wesoło bawili się w jego obecności, wcale jej nie spostrzegając.

Płochość i zalotność Kornelii, jej zupełne zapomnienie o nim, każde ze spojrzeń, jakiemi obdarzała swych gości, każdy wybuch jej śmiechu, zdający się naigrawać ze wszystkiego, co dla niego było ważnem i świętem, raniły go boleśnie; podrzędna, bierna niemal rola, jaką zajmował w swym domu, upokarzała go głęboko.

Obok uczuć męża i gospodarza domu, podniosły się w nim także uczucia człowiecze. Lubił towarzystwo, uwielbiał sztukę, chętnie kiedy niekiedy oddawał się zabawie; ale i towarzystwo, i sztuka, i zabawa, takie, jakiemi otaczała się Kornelia, były wcale innego rodzaju, niż te, w jakichby on mógł znaleźć przyjemność dla głowy i serca.

Płoche zalecania się, rozmowy próżne wszelkiej treści, niesforna wrzawa muzycznych instrumentów, raziły umysł jego i uczucia.

Z boleścią myślał o nadzwyczajnej różnicy, zachodzącej pomiędzy obrazami, na które napatrzył się był przez dzień cały, a tym widokiem, jaki w tej chwili przedstawiał dom jego. Poważnie i surowo nastrojony, głęboko przyganiał w duchu zabawie, która była bezładem, a okazywała zbytek, dochodzący do marnotrawstwa, próżności, bardzo blizkiej grzechu.

Czuł przenikające go nawskroś zimno wewnętrzne, pochodzące z ostatecznego przeświadczenia się o tem, jak małą rolę odgrywał on w życiu tej kobiety, w której ręce złożył spokój domowego swego życia, honor swego imienia, nadzieje swego serca; tej kobiety, która stroiła się, bawiła i błyszczała przed oczyma swych wielbicieli kosztem uczciwej i ciężkiej jego

pracy, a o nim pamiętała tyle, ile właściciel kopalni złota, rozrzucając po świecie swe bogactwa, pamięta o nędznym wyrobniku, dobywającym mu z łona ziemi kosztowny metal.

I jakiekolwiek były te uczucia, które doktór Władysław miał dla Kornelii, ostatnie iskry ich zagasły w nim w tej chwili.

Czuł, że pomiędzy nim a nią panuje rozdźwięk, którego nigdy nie będzie mógł stłumić, i niema ani śladu żadnej z tych nici, które wiążą ludzi pomiędzy sobą ścisłymi węzły.

Doświadczył takiego uczucia, jakby nagle utracił tę, której czas jakiś dawał nazwę żony. Pomyślał, że odtąd będzie w domu swym samotnym, jak był dawniej, tylko, że nad głową jego zawiśnie Damoklesowy miecz cochwilnych zgryzot, wstydu, ruiny.

Cofnął się do przyległego pokoju i jak był przyszedł, tak odszedł, niepostrzeżony przez nikogo.

Wrócił do swego gabinetu i zarzucił futro na ramiona.

Dokąd szedł? sam nie wiedział.

Potrzebował oddalić się, uciec, nie mógł w tej chwili znieść gwaru i wrzawy, nie mógł patrzeć na Kornelię, ani na jej satelitów...

Wyszedł z mieszkania.

W tej samej chwili Kornelia grała przegrywkę do mającego być wykonanym kwartetu z »Cyrulika Sewilskiego«.

Doktór Władysław był na schodach, kiedy zaczęto śpiewać kwartet.

— Buona notte, mio signore! — zabrzmiał donośnie kontralt Kornelii.

— Buona notte! — jak wzmożone echo, ozwał się piękny baryton pana Gustawa.

— Buona notte! — huknął basem hrabia kandydat.

— Buona notte! — zapiszczała fałszywym sopranem młoda jakaś śpiewaczka.

Biedny Bartolo coraz prędzej schodzi ze schodów...

— Va a letto! — doszedł do niego jeszcze głos Kornelii.

— Va a letto! — zaśpiewał chór tak donośnie, że doktór Władysław usłyszał go, na ostatnim już znajdując się stopniu.

A jednak opłakany Bartolo szczęśliwszym był jeszcze od niego.

O, nie miał nawet tej miłej perspektywy, jaka przyświecała tamtemu, aby, po niegrzecznem pożegnaniu Rozyny i Almawiwy, módz udać się do ciepłego i wygodnego łóżka.

Przeciwnie, spoczynku i odetchnienia zmuszony on był szukać wśród mroźnej zamieci zimowej, pod ostremi falami wichru.

Wzburzonym krokiem przebiegł parę ulic bez zupełnej świadomości tego, co czyni i dokąd udać się zamierza, aż stanął nagle przed domem niewytwornej powierzchowności i spojrzał na dwa okna, które, przysłonione z wewnątrz roletami, przepuszczały przez szyby łagodny blask lampy.

Na tle rolet rysowały się festony białych, skromnych firanek i drobne liście mirtu i róż miesięcznych.

Doktór Władysław stał przez chwilę nieruchomo i patrzył na te okna; potem wszedł w bramę domu.

Było to mieszkanie Józi.

Dlaczego doktór Władysław zatrzymał kroki swe tam, a nie gdzieindziej? sam o tem jasno nie wiedział.

Kierował się on zapewne tem mimowolnem uczuciem, które ludzi cierpiących pociąga do serc im oddanych, niezadowolonych z chwili teraźniejszej zwraca ku lepszej, choćby długo zapomnianej, przeszłości.

. . . . . .

. . . . . .

Na odgłos dzwonka otworzyły się drzwi małego przedpokoiku i młoda, miłej choć nader skromnej powierzchowności służąca wprowadziła przybyłego w głąb' mieszkania.

W pierwszym od wejścia pokoju nie było światła; doktór Władysław zatrzymał się o kilka kroków od progu i przez chwilę nie postępował dalej.

W ramach otwartych drzwi od sąsiedniego pokoju, na tle białego łagodnego blasku, ujrzał bardzo prosty i powszedni obrazek, który jednak przykuł do siebie jego oczy.

Przy niewielkim okrągłym stole, na którym paliła się dość duża lampa, siedziały dwie osoby. Jedną z nich była Józia, drugą jej ojciec.

Obfite światło padało na całą postać młodej dziewczyny, twarzą do drzwi zwróconej, a w półcieniu, utworzonym od stojącej na stole zielonej zasłony, wyraźnie zarysował się profil starca i białe włosy jego srebrnawe rzucały połyski.

Obie twarze, ojca i córki, szlachetne były, we wszystkich zarysach swych doskonale wykończone, wzniosłą dumą, a zarazem głęboką pogodą i łagodną dobrocią nacechowane.

Starzec plecami opierał się o wysoką poręcz staroświe-

ckiego fotelu, a oczy trzymał utkwione w córkę; przed nią stał na stole koszyk z ręczną robotą i leżała książka otwarta, na którą ona wzrok swój spuszczała, białą skroń, zwieńczoną złotem połyskującymi włosami, zlekka opierając na dłoni.

W mieszkaniu cicho było i ciepło, od okien dolatywał miły zapach kilku rozkwitających w doniczkach kwiatów; wszystko dokoła porządne było, czyste i pełne wdzięku, lubo prawie zupełnie ubogie.

Ale najwznioślejszym już i najwięcej uroku pełnym wdziękiem jaśniały lica młodej dziewczyny.

Odkąd doktór Władysław nie widział jej (a przestał ją widywać od dnia zaręczyn swych z Kornelią, sam może nie wiedząc dobrze, dlaczego to czynił), Józia odmieniła się cokolwiek. Twarz jej była tak samo białą i przezroczystą, jak dawniej, tylko osiadł na niej wyraz zupełnej skończoności moralnej, tej pełni ducha, którą wprzódy chwilowe zwiastowały przebłyski. Na szlachetnem otwartem jej czole, obok dziewiczej pogody i niewinności, jaśniała dojrzałość świadomej siebie myśli, a w układzie ust spokojnym i łagodnym przebijał się pewien zarys, przypominający koniecznie chwile samotnego i mężnego smutku, jakie przebywać musiała.

To samo przypomnienie przywodził dźwięk jej głosu, czysty, miły, z brzmieniem pełnem i giętkiem, ale wyraźnie wychodzący z piersi, która zapoznała się ze łzami i tęsknotą.

Tym-to głosem czytała w tej chwili ojcu piękną jakąś poezyę, i tym samym, podnosząc oczy z nad książki, wymówiła:

— Coby to znaczyć mogło, ojcze, że Ludwinia i Zosia nie przychodzą dotąd? przecie dziś niedziela, a one zawsze i ich mężowie przepędzają z nami niedzielne wieczory.

— Przed chwilą dzwonił ktoś, moje dziecko, sądziłem, że może oni...

— Czy dzwonił kto? — wyrzekła Józia — nie słyszałam. Ludwinia i Zosia może są dziś na wieczorze u państwa Władysławostwa...

Przy tych słowach po twarzy starca mignął wyraz, jakby przykrego wzruszenia.

— Czy znowu wydają wieczór? — zapytał z odrobiną ironii w głosie.

— Mówiono mi o tem na mieście — spokojnie odparła Józia — ma to być wieczór muzykalny... Ale czy wiesz, ojcze..

Zatrzymała się i powieki jej znowu w dół opadły.

— Co, moje dziecko?

— Widziałam dziś doktora Władysława.

Na dźwięk, z jakim wymówiła jego imię, doktór Władysław, jakby czarodziejską jakąś siłą przykuty do miejsca, na którem stał, drgnął cały.

— Gdzieś go widziała, moje życie?

— Widziałam go na ulicy — mówiła Józia przyciszonym nieco głosem — wracałam właśnie od biednej Maryanny, i zobaczyłam go, wychodzącego z poblizkiego domostwa, w którem wiem, że mieszka pewna nadzwyczajnie uboga rodzina. Ojciec rodziny tej pracuje zwykle przy jednej z tutejszych fabryk, ale przed tygodniem ciężko zachorował, a Maryanna mi mówiła, że dzieci jego bez chleba są prawie i także chore. Otóż jestem pewna, że doktór Władysław przychodzi im z pomocą lekarską i pieniężną, i czy wiesz, ojcze...

Tu znowu umilkła.

— Co, moje życie? — powtórzył pytanie starzec.

— Czy wiesz, ojcze, że, gdy zobaczyłam pana Władysława wychodzącego z mieszkania nieszczęśliwej rodziny, pomyślałam sobie, że w jednej porze oddawaliśmy się zajęciom jednakowej treści. On leczył biednego wyrobnika i jego rodzinę, ja uczyłam dzieci ubogiej praczki... Odkrycie tej wspólności, zachodzącej pomiędzy nami, uczyniło mi przyjemność wielką.

Mówiła to głosem cichszym nieco, niż pierwej, ale zupełnie pewnym i prawdziwie czystym.

Milczała chwilę, a potem rzekła znowu:

— Pan Władysław nie spostrzegł mnie. Szedł stroną ulicy przeciwną tej, po jakiej ja postępowałam, był bardzo zamyślony i trochę smutny.

— Skąd wiesz o tem, że był smutny? — zapytał ojciec.

W oczach Józi, zwróconych na ojca, odmalowało się niby zdziwienie.

— I jakże jabym tego nie poznała? — wyrzekła. — Wiem z pewnością, że był on smutnym; ja także, sama nie wiem, dlaczego, czułam się dziś trochę smutną... Była to jeszcze jedna pomiędzy nami wspólność...

Starzec pochylił się trochę naprzód i, splatając ręce, a wzrok topiąc w twarzy córki, okrytej w tej chwili dziwnie pięknym wyrazem, zawołał trwogą przejętym głosem:

— Józiu! Józiu!

Nic więcej nie mógł powiedzieć, bo Józia krzyknęła w tej

chwili, porwała się z miejsca i stanęła z twarzą gwałtownym oblaną rumieńcem.

Doktór Władysław stał w progu.

Blady był bardzo, a w oczach jego, utkwionych w młodą dziewicę, palił się blask łzy, przemocą zatrzymanej w głębi źrenic.

Usłyszawszy przedchwilną rozmowę Józi, chciał cofnąć się i opuścić jej mieszkanie, ale siła nieprzeparta pchnęła go ku niej.

We wnętrzu jego w tej chwili dopiero zrodził się dramat prawdziwy.

Jakież niezmierne zobaczył tu skarby! jakie wysokie piękności odkryły się przed jego oczyma!

Jakież tkliwe, głębokie, bohaterskie serce odsłoniło przed nim swe tajemnice!

Jakie szczęście niezmierzone w tajemnicach tych mieściło się dla niego!

Ale on utracił to wszystko dobrowolnie, bezpowrotnie; dziewica ta, wierna, kochająca, rozumna, pełna świętego przebaczenia, jak anioł niebieski, stracona była dla niego na zawsze!

Wszedł i wyciągnął do niej drżącą rękę.

Ona po chwili silnego wzruszenia, jakie w nią uderzyło, szybko wróciła do zupełnego panowania nad sobą i powitała go tak, jak dawniej: przyjaznem słowem, uśmiechem i serdecznym uściskiem dłoni.

To samo uczynił ojciec jej, chociaż przez chwilę przykre wrażenie malowało się na jego twarzy.

Zaledwie trzy te osoby zamieniły pomiędzy sobą kilkanaście wyrazów, dzwonek w przedpokoju ozwał się znowu, a wraz po nim zabrzmiał wesoły głos pana Witolda:

— Gdyby jeszcze trochę, pozamienialibyśmy się wszyscy w słupy lodowe. Szalenie zimno!

— Zwątpiłam już o przybyciu państwa — mówiła Józia, pomagając dwom przybyłym paniom rozbierać się z futer, stężałych od mrozu. — Myślałam, że nie zechcecie narażać się na chłód dzisiejszy, albo, że jesteście gdzieindziej...

— Jesteś pani najniesprawiedliwszą osobą z całego chrześcijaństwa, jeśli mogłaś posądzać nas o chybienie dnia, raz na zawsze umówionego!

Z temi słowami pan Witold wszedł do pokoju, w którym paliła się lampa, i stanął nagle z otwartemi ustami.

— Władek tu! — zawołał ze zdziwieniem — toż dziś u ciebie, kochanku, wieczór, na który i my zaproszeni byliśmy...

— A ponieważ państwo nie raczyliście przybyć, jam go także opuścił — odparł doktór głosem, który chciał uczynić swobodnym, ale w którym czuć było ciężkie wewnętrzne cierpienie.

W kilkanaście sekund po panu Witoldzie ukazały się w pokoju błękitne oczy pani Ludwiki, wyglądające zawsze jak gwiazdy dobrej nadziei, i miła twarz pani Zofii, jaśniejąca wesołym uśmiechem, który jednak zniknął z jej ust przy spojrzeniu na doktora Władysława.

Obie kobiety najmniejszem słowem, ani spojrzeniem, nie okazały zdziwienia, jakiego musiały doznać, znajdując go u Józi, w dniu, w którym w domu jego odbywała się świetna zabawa. Przeczuły snadź one i odgadły powód, dla którego nie był tam, gdzie byćby powinien, i całą różnicę, zachodzącą w sposobie, w jaki go powitały, stanowiło to, że serdeczniej jeszcze, niż zwykle, uścisnęły mu rękę, i spojrzały na niego ze zdwojoną przyjaźnią.

Ale pan Stefan, mąż pani Zofii, tak, jak i pan Witold, wykrzyknął ze zdziwieniem:

— Co ty tu robisz, Władysławie, kiedy u ciebie bawią się?...

Czy spostrzegliście, mili czytelnicy, że w trudnych położeniach, w jakich ludzie stają niekiedy względem siebie, kobiety łatwiej zwykle wpadają na tor, którym właściwie postępować należy, i że tam, gdzie idzie o odgadnienie i zrozumienie delikatnych odcieni uczuć, o oszczędzenie czyjejś drażliwości, o ostrożne pominięcie jakiej przykro dźwięczącej struny, okazują one zawsze więcej przenikliwości i taktu, niż najlepsi i najrozumniejsi mężczyźni?

Dowiodły tego panie Ludwika i Zofia, nie zadając doktorowi najmniejszych pytań, a nawet odciągając od tego mężów swych przez zręczne zwrócenie rozmowy na inny przedmiot. Po chwili całe towarzystwo obsiadło stół okrągły, a Józia zakrzątnęła się koło urządzenia herbaty.

Doktór Władysław siedział pomiędzy panami Witoldem i Stefanem, i zdawał się ze szczególną uwagą przypatrywać temu ostatniemu.

Był to człowiek czterdziestoletni, powierzchowności wcale nie odznaczającej się pięknością, w okularach, z za których pa-

trzyły rozumne i przenikliwe oczy, i z nosem niepospolitej długości, panującym nad wargami, bardzo miły posiadającemi wyraz.

Popatrzywszy chwilę na pana Stefana, doktór Władysław zwrócił wzrok na pana Witolda, i oczy jego upadły odrazu na sporą łysinę tego ostatniego, połyskującą pod światłem lampy i panującą nad szlachetnem, otwartem czołem.

Doktór Władysław daleko był przystojniejszym od obu swych przyjaciół, i o wiele od nich młodszym; a jednak, jak czule i wiernie kochani byli oni, a on... on, którego głowa przyozdobiona była gęstymi i pięknymi włosami, on, którego nos nie posiadał bynajmniej znakomitej długości i wielkości, jaką odznaczał się nos pana Stefana, on, który obok tego na równi stał z obu tymi ludźmi pod względem uczciwości, honoru i wysoce wykształconego umysłu, nie posiadał ani odrobiny miłości tej, którą obrał sobie za towarzyszkę życia.

W chwili, gdy tak myślał, pani Zofia, z promieniejącą od radości i dumy twarzą, opowiadała obecnym o powodzeniu, jakiego doświadczyła świeżo wydana przez jej męża naukowa rozprawa, i o wielce pochlebnych sądach o niej najznakomitszych w kraju krytyków.

Pan Stefan mówił o tym przedmiocie z powściągliwością i prostotą prawdziwie rozumnego człowieka, który cokolwiekby czynił, zawsze sądzi, że uczynił za mało; ale pani Zofia tryumfowała za męża, a w ciągu rozmowy pokazało się, że rozprawę pana Stefana czytała po kilka razy, najwyborniej ją rozumiała i wydawała o niej sąd zdrowy i bezstronny.

Pani Ludwika, słuchając radosnego opowiadania przyjaciółki, trzymała wzrok, przywiązany do twarzy męża z niewypowiedzianą czułością, on zaś sam mniej był wesoły, niż zwykle.

— W tych dniach — rzekł — przegrałem jeden z najważniejszych powierzonych mi procesów.

Czoło jego zasępiło się nieco, ale spotkał się ze wzrokiem żony i wnet je rozpogodził.

Na twarzy pani Ludwiki znać było głębokie przejęcie się niepowodzeniem, które spotkało jej męża, ale oczy jej, pogodne zawsze, kochające i mężne, patrząc na niego, świeciły ciągle, jak gwiazdy dobrej nadziei, i zdawały się mówić:

— Nie smuć się zbytecznie niepowodzeniem, które nie jest twoją winą, i nie dopuszczaj do siebie zwątpienia w siły własne, ale ufaj i działaj ciągle, jak dotąd.

Pan Witold zrozumiał tę niemą mowę gwiazd dobrych i znać było, jak pod ich wpływem uspokajał się i ufał.

Doktór Władysław patrzył i słuchał, i pojmował tę głęboką serdeczną łącznię, jaka związała te dwie przedziwnie dobrane pary, i wzrok jego mimowoli przeniósł się na Józię, a w głowie zjawiła się myśl:

— Ta kobieta zrozumiałaby mnie i oceniła także; mój tryumf byłby jej tryumfem, mój smutek jej smutkiem, ona byłaby także moją wiarą, ufnością i pogodą nawet wśród burz!

I zaraz potem pomyślał, że wszystko to utracił dobrowolnie, i pobladł bardzo, i oczy, w których zapaliły się ognie żalu i gniewu, na samego siebie poczuwanego, spuścił ku ziemi.

Józia, zajmując się gośćmi i prowadząc rozmowę z ożywieniem i właściwym sobie wdziękiem, często spoglądała na bladego i zamyślonego doktora. Wszystko odgadła, wszystko odczuła; w kryształowych jej oczach błysnęła parę razy szybko ukryta łza.

Dawno już, dawno doktór Władysław takiego, jak teraz, nie przepędził wieczoru.

Tu dopiero, pomiędzy tymi ludźmi, i umysł, serce jego poczuły się we właściwej sobie sferze.

Tu nie było ani czarnych ludów, maszerujących przy odgłosach muzyki przyszłości, ani planet, poubieranych we fraki, ani wrzawy bezładnej, ani zbytku grzesznego, ani słońc, jeżdżących na tryumfalnych wozach, wśród wrzasku różnej wielkości satelitów; tu była pogoda prawdziwa, z serc spokojnych i umysłów zadowolonych płynąca, miłość wzajemna, oparta na podstawach trwałych, jak opoka, wesołość zdrowa i miła, wolna od bezładu i grzechu, poezya istotna i wzniosła, rozlewająca się z przeczystych lic niewieścich i serc ich, wezbranych ukochaniem wszystkiego, co piękne, pojęciem wszystkiego, co wielkie i dobre.

Teraz dopiero doktór Władysław jasno i w zupełności przejrzał i zrozumiał, czem jest rodzina, w obszernem, poetycznem i wzniosłem znaczeniu swojem, i jakie żywioły składać powinny istotę moralną kobiety, która wraz z podobnym sobie mężczyzną zawrzeć ma święte przymierze wspólnego życia...

* * *

Kiedy nareszcie, o dość spóźnionej porze, grono przyjaciół rozeszło się w różne strony, doktór Władysław kroczył zwolna ulicą, z głową schyloną i smutnych myśli pełną.

Długo tak szedł bez celu, zatopiony w rozmyślaniach, i późna już popółnocna była godzina, gdy zatrzymał się u drzwi swego mieszkania.

Nie zapukał jednak do nich odrazu, i stał dość długo przed progiem.

Być może, iż czuł w tej chwili nieprzezwyciężony wstręt, który odpychał go od ścian własnego jego domu, zdawał się także wytężać słuch i przysłuchiwać, azali czarne ludy biegną tam jeszcze do boju przy odgłosach swej wojennej muzyki, i azali świat planetarny krąży tam jeszcze z szumem około słońca, które właściwie powinnoby było być słońcem jego życia. Ale w głębi mieszkania cisza już panowała zupełna, wszyscy spali, a spali tak głęboko, że pan domu odgłosem dzwonka rozbudził wszystkie okoliczne echa wprzód, nim ktokolwiek drzwi przed nim otworzył.

Przedpokój i salon pogrążone były w stanie chaosu, w jakim, wedle tradycyi, pozostawała ziemia nasza, dopóki siły twórcze nie przywiodły jej do należytego porządku.

Żaden przedmiot nie znajdował się tam na właściwem sobie miejscu, dokoła widać było tylko jakieś grupy bezładne, z dziwacznie poustawianych sprzętów złożone; instrumenty muzyczne, jako to: wiolonczela, kontrabas, flet, klarnet, skrzypce, stały lub leżały koło fortepianu, i zdawało się, że z łona ich wnet wybuchnie marsz podzwrotnikowych ludów.

Kiedy blask zapalonej świecy słabo rozświetlił salon, wszystkie, znajdujące się tam przedmioty rzuciły na ściany roje cieniów fantastycznych, rogatych, połamanych, pokrzywionych, karłowatych lub olbrzymich.

Doktorowi Władysławowi wydało się, jakoby otoczył go wieniec mar ponurych i pijanych, a wśród nich, własny cień jego, z ubiorem ze strusich piór, przeplatanych sterczącymi rogami na głowie, wyglądał znowu jak dowódca czarnego ludu, kroczącego do boju.

Postawił świecę na stole i stanął na środku salonu, głęboko zamyślony.

Bezład, panujący w tej chwili w jego mieszkaniu, był istotnym obrazem tego, jaki napełniać miał zawsze domowe życie jego. Wniosła go z sobą kobieta, kobieta, której najwyższem zadaniem miało być stworzenie spokoju, harmonii.

Myśl o roli męża, nauczyciela i kierownika daleką już była od umysłu doktora Władysława.

Pojął, że, aby spełnić rolę tę z powodzeniem, trzeba kochać, a przedewszystkiem być kochanym, trzeba wystąpić do walki ze złymi narowami, przywarami, ze słabością umysłu i charakteru kobiety, w towarzystwie tego wielkiego sprzymierzeńca, któremu na imię... miłość.

Sprzymierzeńca tego doktór Władysław nie posiadał; Kornelia nie kochała go; byłby chyba ślepym lub bezrozumnym, gdyby sądził inaczej.

Wzajem w nim samym wszystkie dobre uczucia, jakie miał kiedy dla niej, wygasły do szczętu; daremnieby wypatrywał choć jednej nitki, którąby pomiędzy nimi szczerą i trwałą tworzyła spójnię.

A jednak byli z sobą związani na zawsze.

Teraz więc stroskanemu małżonkowi nie pozostawało do uczynienia nic innego, jak oprzeć się na swem stanowisku męża i pana domu, i siłą despotyczną strzedz tego, co strzeżonem powinno być przez miłość.

Nieśmiały wzrok podnosił na Józię, i wnet go spuszczał ku ziemi...

Nie był on z rzędu tych, którzy z owczą uległością poddają się wypadkom, nie próbując z nimi walczyć; ale miał dobroć w sercu, głębokie poszanowanie dla praw każdej jednostki w umyśle; wywieranie nad kimś despotycznej władzy raniło zmysł jego moralny, jak zbrodnia.

A jednak ten mu tylko środek pozostał, jeśli chciał ustrzedz imię swoje od hańby, osobistą godność swą od śmieszności, położenie swe, na które tak długo pracował, od ruiny. Sumienie jego drażliwem było, jak u każdego, gruntownie uczciwego człowieka.

Zapytał więc samego siebie, czy tylko ten jedyny pozostał mu środek, czy nic mu już innego nie pozostawało, jak deptać po kimś, lub być zdeptanym samemu, czy pomiędzy owczą rezygnacyą i użyciem despotycznej władzy męża i pana domu nie było nic pośredniego, czegoby mógł użyć na korzyść swoją i tej, która, bądź co bądź, nosiła jego imię i miała już na zawsze pozostać przy jego boku.

Gdybyż ona miała dla niego choć odrobinę miłości, choć trochę tego szacunku, na jaki czuł, że zasługiwał! gdyby ona choć trochę zrozumiała jego serce i jego zadania życiowe, i jego szlachetne pragnienia i dążenia!

Stłumiłby on w sobie gorycz i niechęć, jaką poczuwał w tej chwili i, starając się zapomnieć o tem, co utracił, pomiętałby tylko, że jest członkiem społeczeństwa, obowiązanym do strzeżenia świętości i czystości rodzinnego ogniska, człowiekiem, odpowiedzialnym za losy i duszę tej kobiety, której przecie dobrowolnie i samowiednie nadał miano swej żony!

Ze świecą w ręku zmierzył ku pokojowi Kornelii.

Pragnął rozmówić się z nią stanowczo i tak, jak to wiele już razy uczynić zamierzał, a jeśliby już spała, przypatrzyć się jej przynajmniej, i z twarzy jej wyczytać, czy była dla niego choć odrobina nadziei, jeśli już nie szczęścia, które było niemożebnem, to przynajmniej jakiego-takiego spokoju.

Kornelia spała już, ale napół ubrana, bogatymi fałdami białego kaszmiru owinięta.

Sen pochwycił ją snadź niespodzianie w chwili, gdy w leżącej postawie oddawała się jeszcze snutym na jawie marzeniom, bo cztery świece niedogaszone paliły się na tualecie w bronzowym kandelabrze, i obfity blask rzucały na cudnie piękną twarz i przedziwnie uroczą w sennem swem zaniedbaniu kibić młodej kobiety.

Leżała z twarzą zwróconą do sufitu, i jednem ramieniem, z którego opadał szeroki rękaw ubrania, otoczyła sobie głowę. Olbrzymie jej włosy rozwinęły się w całem bogactwie swem, strugami hebanu o srebrnych połyskach spływały po krawędzi łoża, aż na rozesłany u stóp jego barwisty kobierzec. Wśród tych potoków czarnych widniała, zwieszona w dół, ręka alabastrowej białości; policzki zafarbowane były delikatną barwą karminową, a usta świeże, jak pączek róży, wpółotwierały się uśmiechem, trochę naiwnym, trochę namiętnym, jakimi zwykle bywały uśmiechy Kornelii.

Po chwili usta te poruszyły się, wyszedł z nich dźwięk niezrozumiały.

Młoda kobieta wymówiła imię jakieś, które tak stale mieszkać musiało w myślach jej na jawie, że aż przedarło się w krainę snów.

Doktór Władysław pochylił się nad śpiącą i nastawił ucha.

Gdybyż wymówiła jego imię!

Oddając się na jawie szałowi zabaw i narkotykowi hołdów, gdybyż choć we śnie zbliżyła się do niego i przypomniała sobie, czem on jest dla niej, czem ona powinna być dla niego!

Usta Kornelii poruszyły się raz jeszcze i trwożnie, namiętnie, boleśnie i radośnie zarazem wymówiły:

— Gustawie!

Imię to było tak niepodobnem do jego imienia, że doktór Władysław omylić się, ani wątpić nie mógł. Straszne światło spłynęło na niego i jasno ujrzał teraz to, co dotąd w niewyraźnych tylko spostrzegał zarysach, o czem myśl odpychał od siebie z całej siły, lubo i wprzódy często już zjawiała się ona przed nim.

Z rozpaczą, żalem, wstydem niezmiernym odszedł od łoża śpiącej kobiety, która śniła o kim innym wtedy, gdy on stał nad nią, i w rysach jej twarzy, w oddechu jej piersi, w szepcie jej ust sennych, szukał dla siebie ostatniego promyka nie już szczęścia, ale spokoju tylko, spokoju i ratunku od cohwilnych, wiecznych udręczeń.

I znowu znalazł się w salonie, pośród wieńca mar czarnych, rogatych, chwiejących się, jak gromada widm upojonych. A pomiędzy marami temi rysował się ciągle cień jego własny, z więcej postrzępionemi, niż kiedy, piórami na głowie i rogami, które wzrosły do przerażającej wielkości.

Cóż miał uczynić?

Czy zgodzić się z losem, który sam sobie zgotował, i zagłębić się w nauce i obowiązkach swego powołania, a kobiecie tej zostawić całą swobodę działania i rozrządzania sobą tak, jakby mu ona zupełnie obcą była? Ale w takim razie czeka go wstyd niezawodny; śmieszność, przywiązująca się zawsze do oszukiwanych mężów, okryje poważne dotąd imię jego, dom jego napełniony będzie wrzawą nieustającą, a sumienie wolnem nie zostanie od zarzutu grzesznej pobłażliwości i biernego zezwalania na to, co za złe uważał.

Więc będzie mężem despotą, wola jego nieugięta zaciąży nad tą kobietą i zegnie ją do biernej postawy posłusznej niewolnicy. Lecz czyliż postępowanie takie nie będzie także występnem? czyliż ktokolwiek ma prawo gwałcić cudzą indywidualność? A zresztą, choćby zmusił Kornelię, aby uczynki jej stosowały się do jego woli, czyliż zdoła zakreślić granicę jej myślom i uczuciom?

Po wielu targaniach się, wrzawach, kłótniach, walkach, które dom jego w piekło zamienią, osiągnie tyle tylko, że będzie miał obok siebie zbrudzoną i nienawidzącą go duszę w czystem i uległem ciele.

Więc rozerwać ten związek, którym połączył się z nią lekkomyślnie, raz na zawsze roztargać tę nić, która ich nie łączyła, ale wiązała tylko?

Głęboką tę dysharmonię, jaka brzmiała pomiędzy nimi wśród czterech ścian domowych, zamienić w dysonans głośny, publiczny, i rozstać się na wieki, pozyskując prawo postępowania dalej osobnemi drogami?

Ale krokowi temu sprzeciwiały się prawa kościelne i społeczne. Zawierając śluby dozgonne, oboje byli pełnoletnimi, żaden materyalny i widomy przymus nie ciążył nad nią, ani nad nim, nie zaszła żadna omyłka co do tożsamości osoby i właściwości parafialnego kościoła, w którym ręce ich stułą kapłańską związane zostały.

Nie mieli więc nic, coby mogli postawić przed sobą, jako słuszną, wedle mądrości praw, przyczynę do rozwiązania tego, co związała omyłka z jednej strony, nizkie wyrachowanie z drugiej. Wprawdzie wolno im było rozstać się wedle wzajemnej, dobrowolnie pomiędzy sobą zawartej umowy. Wolno mu było zamieszkać na jednej ulicy, a jej na drugiej, albo jemu w jednem mieście, a jej w drugiem. Ale pomimo to, pozostaną oni na zawsze zależni od siebie, związani z sobą, choć przedzieleni całymi światami wspólnych zażaleń i niechęci.

Ona będzie zawsze nosiła jego imię, i wolno jej będzie tarzać je wszędy, gdzie tylko się jej podoba, on nie będzie miał prawa podać dłoni innej kobiecie, aby spełniła względem niego to, czego tamta spełnić nie chciała lub nie mogła, a bez czego żadna egzystencya, choćby z innych względów najpełniejsza, kompletną nie jest.

Ostatni środek ten przedstawiał niezmiernie trudne do spełnienia warunki i, pomimo mądrości praw, które uznały go lepszym od innych środków, był bardzo niemądrym.

A jednak doktór Władysław najbliższym był pochwycenia tego środka, który, pomimo niemądrości swej, był jeszcze najuczciwszym ze wszystkich pozwolonych.

* * *

Obudzony z rozmyślań tych dźwiękiem struny, która pękała w fortepianie, raz jeszcze spojrzał wokoło, zobaczył się otoczonym nieopisanym nieładem i wieńcem czarnych cieniów rogatych, fantastycznych, ponurych.

W uszach jego brzmiało ciągle to imię, które na usta Kornelii wypłynęło z sennych jej marzeń, a zarazem, z rozpaczną

wyrazistością, przed wyobraźnią jego stanęła urocza, słodka, mężna i kochająca postać Józi.

Jednym rzutem myśli ciężko strapiony człowiek objął wszystkie biedy, w jakie popadł, i wszystkie dobra, jakie utracił, a obie ręce podnosząc w górę i topiąc je w swych gęstych włosach, zawołał:

— Sam chciałeś tego! o, sam chciałeś tego, George Dandin!

PAJĘCZYNA.

(OBRAZEK).

F. ORZESZKOWA XVII.

Drukowana po raz pierwszy w broszurce. Warszawa 1871 roku.
Nakładem Józefa Kaufmanna.

O parę godzin drogi od jednego z większych miast prowincyonalnych, przed obszernym dworcem kolei żelaznej stał na platformie różnolity tłum ludzi i przypatrywał się stojącemu pociągowi z długim szeregiem wagonów i buchającej dymem lokomotywie. Widok to był powszedni, zwyczajny, niemniej jednak zajmujący i elektryzujący ludność prowincyonalną, spragnioną jakiejkolwiek rozrywki i wrażenia.

W długim, gołemi ławkami opatrzonym wagonie trzeciej klasy siedziało ze dwadzieścia osób, przedstawiając wielką rozmaitość ubiorów i fizyognomii. Byli tam Izraelici z długiemi brodami i chałatami, znudzeni długą podróżą i nawpół śpiący, kobiety w kolorowych chustkach na głowach i z dziećmi na kolanach, jakiś szlachcic zagonowy, który na tej właśnie stacyi wsiadł do wagonu i widocznie po raz pierwszy puszczał się w podróż bez koni, bo z tajonym lecz niedającym się zupełnie utaić niepokojem rozglądał się wokoło, dwóch czy trzech urzędników niższego stopnia drzemiących lub poziewających, dwóch czy trzech jeszcze wojskowych, swobodnie rozpartych i grube kłęby tytuniowego dymu wypuszczających z ust prosto w twarze sąsiadów i sąsiadek.

Pośród tego pstrego zebrania grubych lub nic nie znaczących postaci, trzy osoby wyraźnie odznaczały się tak stosunkowo do otoczenia w jakiem się znajdowały wytwornością ubioru, jak zajmującym charakterem fizyognomii.

Jedną z nich była kobieta w popielatej sukni z niedrogiej materyi, ale uszytej bez zarzutu i włożonej z wdziękiem, w czarnym skromnym kapelusiku, ozdobionym gałązką drobnych białych kwiatów. Mogła mieć lat 25, ale z wyrazu jej fizyognomii poznać było można, że każdy dzień jej życia znaczył dla

niej więcej, niż dla wielu innych ludzi lata mnogie; na wysokiem bladem czole jej i w wielkich błękitnych oczach leżało zamyślenie, delikatne usta łagodne były i spokojne, ale po bladości ich i pewnem zagięciu znać było przyzwyczajenie do cichego, zamkniętego w sobie cierpienia.

Z pod kapelusza wysuwały się grube sploty ciemnopłowych włosów i okrywały białą o pięknych kształtach szyję. Głowę opierała na drobnej ręce, ociągniętej ciemną rękawiczką, i profilem zwrócona do towarzyszów podróży, wyglądała przez otwarte okno wagonu spokojnem i zamyślonem wejrzeniem błękitnych źrenic, ścigając w górze białe obłoki, które przesuwały się pod rozpogodzonem, majowem niebem.

Naprzeciw zamyślonej kobiety znajdowało się dwóch mężczyzn w pięknych podróżnych ubraniach, tak nawet pięknych, że aż niestosownych do skromnego miejsca, w jakiem podróżowali.

Jeden z nich wyglądał na lat pięćdziesiąt z górą, miał szpakowate włosy, zaokrągloną figurę, pulchną, bardzo starannie utrzymaną rękę i twarz o rumianych okrągłych policzkach, ponsowych ustach, ocienionych bujnym wąsem, i szarych niewielkich a ruchliwych oczach.

Z pozoru można go było wziąć za właściciela ziemskiego, zasiedziałego trochę na wsi, utuczonego zrazami i obwarzaną kaszą, ale jowialnego, dowcipnego, wrodzonym sprytem i wielką otwartością charakteru obdarzonego poczciwca. W ręku trzymał długi cybuch z osadzoną na nim bursztynową fajeczką, na głowie miał szary kapelusz, z pod którego szerokich brzegów widniały gęste, siwiejące brwi i błyszczały ruchliwe, zarazem dobroduszne oczki.

Siedzący obok szpakowatego pana mężczyzna stanowił z nim powierzchownością swą zupełny kontrast, — o ile bowiem tamten rumiany był, zaokrąglony i dobroduszny, o tyle ten wydawał się wyżyty i zamknięty w sobie. Wiek jego trudnoby było odgadnąć, bo ściągłe jego policzki pokryte były chorobliwą żółtością i mnóstwo zmarszczek tworzyło się koło ust i oczu, wtedy, gdy pomiędzy jasnymi, rzadkimi włosami, wyglądającymi z pod kapelusza, nie było jeszcze ani jednego białego, a z za grubych, obwisłych warg widniały dwa rzędy zębów zdrowych i całych, a tylko żółtych i nazbyt dużych. Oczy miał wielkie i bardzo wypukłe, uderzające składem białek, które tworzyły pośrodku lekką śpiczastość. Na śpiczastości tej znajdowały się dwie malutkie, bladawe i zamglone źrenice, nieruchome najczęściej, a niekiedy tylko z gorączkową niemal szybkością rzucające się w różne strony, jakby pod wpływem obawy albo niespokojnego poszukiwania.

Na głowie mężczyzna z żółtą twarzą i śpiczastemi oczyma miał takiż kapelusz o szerokich brzegach.

Ścisła snadź znajomość łączyła obu panów, bo zamieniali pomiędzy sobą częste półsłowa, wymawiane półgłosem, po których starszy wybuchał rubasznym, jowialnym śmiechem, a młodszy wprawiał w szybki ruch swoje małe omglone źrenice.

Po wykwintności ubrania, swobodzie układu, delikatności rąk i złotych kosztownych zegarkach, na jakie spoglądali niekiedy, każdyby się domyślił, że tanie i niepokaźne miejsce w trzeciej klasie wagonów obrali nie przez potrzebę oszczędności, ale dla dogodzenia fantazyi albo wyłącznego im tylko wiadomego celu.

Kwadrans jeszcze czasu zostawało do odejścia pociągu, z wagonów wychodzili ludzie i znikali w głębi dworca, albo przechadzali się po platformie.

Dwaj tylko mężczyźni, szpakowaty i żółtotwarzy nie ruszyli się z miejc swoich ni razu i nie ruszała się ze swego miejsca zamyślona kobieta, lubo z tamtymi nie zdawała się mieć nic wspólnego i wcale nie na nich patrzyła, ale na obłoki płynące w górze, albo na świeżą zieleń drzew, otaczających dworzec i kołysanych miłym powiewem nadchodzącego wieczoru.

Nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi i do wagonu lekko i zgrabnie wskoczył nowy przybysz. Był nim wysmukły, kształtny młodzieniec, najwięcej dwudziestotrzyletni, z podróżną torebką, zawieszoną na popielatym, zgrabnie leżącym paltocie, z odkrytą głową i z czapeczką w ręku.

Wskoczył do wagonu, przystanął i pogodnym, wesołym wzrokiem wielkich szafirowych oczu, długą ozdobionych rzęsą, rozejrzał się wokoło.

Rozejrzał się wokoło i zatrzymał spojrzenie na zamyślonej kobiecie i dwóch wykwintnie ubranych panach, w tejże chwili uśmiechnął się, smagła twarz jego zapromieniała młodzieńczą swobodą, a z za warg koralowych, ciemnym ocienionych wąsikiem, błysnęły dwa rzędy białych jak śnieg zębów. Wydawał się być wtedy wcieleniem młodości świeżej, nietkniętej, pełnej barw i słonecznych połysków.

Dwaj panowie zwrócili na niego spojrzenia wtedy jeszcze, gdy był na stopniach wagonu.

Szpakowaty, patrząc nań, uśmiechał się dobrodusznie, towa-

rzysz jego wydobywał z kieszeni paltota kosztowną cygarnicę z kości słoniowej, srebrem inkrustowaną.

Młody człowiek powściągnął uśmiech zadowolenia, jakiego może doświadczył na widok osób, których powierzchowność zdawała się obiecywać miłe towarzystwo, i z wielką przyzwoitością, a nawet skromnością ruchów zbliżył się i umieścił w pobliżu dwóch panów.

Nie zaczynał jednak rozmowy, lubo widocznem było, że miał wielką do tego ochotę, wydobył z torebki książkę, ale jej nie otworzył, a tylko spoglądał na tytuł i kiedy niekiedy przelotne na swych sąsiadów rzucał wejrzenia. Może nieśmiałość powstrzymywała go w rozpoczęciu rozmowy, może też chciał przyjrzeć się wprzódy, czy warto i należy ją rozpoczynać.

Uwagi jednak, jakie czynił nad powierzchownością i fizyognomią nowych towarzyszy, mogły tylko na ich korzyść przemawiać.

Szpakowaty pan z miną pierwotnej niewinności i z niewysłowioną pogodą oblicza nakładał sobie fajeczkę, a żółtotwarzy podtrzymywał mu cybuch i woreczek z tytuniem z wielką prostotą, a zarazem grzecznością i nawet uszanowaniem. W przeciągu dwóch czy trzech minut raz tylko zamienili pomiędzy sobą znaczące wejrzenia; starszy podniósł swe gęste brwi i głową lekko skinął w stronę nowoprzybyłego mężczyzny, młodszy na ten milczący znak odpowiedział potakującem mrugnięciem powiek i szybkim ruchem warg, który mógł wyrazić i ironię i ukontentowanie zarazem.

Niema ta rozmowa trwała zaledwie przez jedno mgnienie oka i umknęła całkiem uwadze pięknego młodzieńca, który w tej właśnie chwili spoglądał na tytuł swej książki.

Skończyło się nakładanie fajeczki i szpakowaty pan z cybuchem w ustach zwrócił się do młodzieńca.

— Szanowny łaskawco — wymówił z odrobiną nieśmiałości — ja do pana po ogień, jak do jasnej świecy. Ani ja, ani mój towarzysz nie mamy przy sobie zapałek, a panu z oczu patrzy, że nosisz z sobą sporą dozę ognia!

Przy ostatnich wyrazach rozśmiał się trywialnie i żartobliwie mrugnął parę razy oczyma.

Młodzieniec nie dał sobie po dwa razy prośby powtarzać, pośpiesznie sięgnął do torebki i wydobył pudełko z zapałkami.

Szpakowaty pan zapalił fajkę i w tejże chwili towarzysz jego podał nieznajomemu młodzieńcowi kosztowną swą cygarnicę, w której pomiędzy papierosami, od niechcenia zapewne włożony, barwił się sturublowy papierek.

Młody człowiek z ukłonem i pięknym swoim uśmiechem przyjął ofiarowany papieros i usiadł zupełnie już obok szpakowatego pana.

— Tak, tak — mówił ten ostatni zwolna, wypuszczając z ust błękitne kłęby — u was młodych zawsze ogień się znajdzie, niestanie zapałki, to go sobie z serca wykrzeszecie albo z oczu, co palą jak żużle! a nam starym, to już tylko patrzeć na was i coś rościć i własne młode lata wspominać! Oj, tak, tak! młodość to radość, a starość nieradość!

I westchnął sobie podżyły pan i głową pokiwał smutnie.

— Stryjaszek zaczyna melancholizować — ozwał się żółtotwarzy — ale ani pan wierz w to, aby się w duszy uważał za starego... Niechno tylko zobaczy ładną twarzyczkę, a wnet mu się zda, że jeszcze dwudziestu lat pełnych nie przeżył...

— Bredzisz, Guciu! — zawołał szpakowaty — bierzesz z siebie miarę. Bo to — ciągnął, zwracając się do nowego towarzysza — nie uwierzysz pan, co to za wietrznik z tego mego synowca! Jemu tylko dawaj jaką zabawę, wesołych kolegów, wojaż, błyszczące oczki... na koniec świata pójdzie, łaskawco, za błyszczącemi oczkami.. to i mnie chce przed panem dobrodziejem ogadać... ale to nieprawda! nie wierz mu pan! ja człowiek stateczny, a przytem, ha, stary... stary...

I mówiąc to, śmiał się i wzdychał, i głową kiwał na przemian.

— Stary, ale jary — zabrał głos nowoprzybyły — pan dobrodziej doskonale wyglądasz...

— Szósty krzyżyk, szósty krzyżyk, łaskawco! a kłopoty majątkowe, gospodarstwo, interesy, a familia liczna na karku, dziatki drobne jeszcze, a na mojej tylko zostające opiece, bo matki, panie dobrodzieju, nie mają... wdowcem jestem.

I przesunął dłoń po oczach, które zwilgotniały nagle.

Młodzieniec przypatrywał mu się z wielką życzliwością i widocznem zajęciem.

— Pan dobrodziej jest właścicielem ziemskim, obywatelem? — wysunął się nieśmiało z pytaniem.

— A tak, łaskawco, mam majątek niedaleko stąd, niewielki mająteczek, ale złote jabłko, gleba pszenna, lasu kawał, spory młyn wodny, słowem mąka i łąka, grzyby i ryby...

— I synowczyk w sąsiedztwie — dorzucił żartobliwie pan żółtotwarzy.

— A tak, tak, w sąsiedztwie — zaśmiał się szpakowaty — ale mało z ciebie korzyści, wietrzniku, bo jak fruniesz w świat, to tyle ciebie i widział czasem przez całą zimę...

— A zawsze jednak tęsknię do stryjaszka i wracam! — wyrzekł synowiec i nawpół wesoło, nawpół z rozrzewnieniem pocałował stryja w ramię.

Nowoprzybyły młodzieniec zdawał się być całkiem już ujętym dla nieznanych towarzyszy, bo patrzył na nich wzrokiem, w którym malowała się młoda poczciwa wiara i ta serdeczna radość, jakiej doświadcza każde szlachetne serce na widok czegoś, co może pochwalić i uszanować.

— A pan dobrodziej z jakich stron, czy można wiedzieć? — zapytał po chwili pan szpakowaty.

— Pochodzę z gubernii A. i tam udaję się teraz do starego ojca, ale jadąc z M. (tu wymienił jedno z większych miast cudzoziemskich), po drodze wstąpiłem do siostry zamężnej i mieszkającej o mil kilka od tej stacyi, bawiłem u niej kilka tygodni i dziś dopiero puszczam się w dalszą podróż.

— A — zapytał weteran — za kimże to siostra pańska? znam cały powiat, ba, nawet gubernię, może i szwagra pańskiego miałem kiedy zaszczyt spotykać...

Młodzieniec wymówił nazwisko, o jakie go pytano.

— Znam, znam! — z wybuchem radości zawołał pan szpakowaty — od dziecka znam, na ręku nosiłem! z ojcem jego żyliśmy, jak dwaj bracia. No proszę! więc pani N. to siostra pańska! szczególny wypadek! śliczna kobiecina, a dobra choć do rany przyłóż i rozumek nie lada! A jakże godność pańska? bo doprawdy nie pomnę już jak pani N. z domu!

— Władysław R. — wyrzekł młodzieniec z ukłonem.

Weteran plasnął rękami ze zdziwieniem i najwyższą radością.

— A toż ja z ojcem pana kolegowałem w szkołach! — zawołał — żyliśmy z sobą jak dwaj bracia, pamiętam, pamiętam. Mój Boże, a teraz już się syna doczekał, takiego ślicznego syna. Kochany Wicuś! wszak Wincenty ma imię? czy tak?

— Nie, panie dobrodzieju, Wacław!

— Wacław, Wacław! — poprawił się weteran, uderzając się w czoło. — Starość nie radość, pamięć chybia, najlepszych przyjaciół imiona wylatują z głowy, ale zato tu, tu zostają.

Pulchną dłonią po kilka razy uderzył się w piersi.

— Kochany Waciek! Waćkiem zwaliśmy go w szkołach! jakie to było poczciwe serce, jaka wielka dusza! co za umysł

bystry i obejmujący! celujący w naukach, najsilniejszy w grach, najserdeczniejszy w przyjaźni! takim był twój ojciec, młodzieńcze, w szkołach, a i potem w tej wielkiej szkole, która się światem nazywa, takim był! Wiem o tem, że takim był w tej wielkiej szkole, która się światem nazywa, boć wiele o nim słyszałem! naśladuj twego ojca, młodzieńcze, naśladuj twego ojca! to ozdoba obywatelstwa naszego, podpora chwiejącej się społeczności, wzór dla młodego pokolenia! naśladuj twego ojca, młodzieńcze!

Tym razem oczy szanownego weterana zaszły dwiema grubemi łzami, które otarł nieznacznie pulchną dłonią, niby wstydząc się swego rozczulenia.

Młody mężczyzna, słuchając pochwał, jakie oddawano jego ojcu, promieniał cały radością i dumą; serdecznym ruchem wyciągnął rękę do szpakowatego pana i wymówił, że bardzoby rad wiedzieć nazwisko dawnego przyjaciela swego ojca.

Weteran otworzył mu swe ramiona, powiedział swoje imię i nazwisko, imię swego ojca i imię i nazwisko swej matki, a bodaj jeszcze i babki i macierzystego dziada, a wymawiając te wszystkie imiona i nazwiska, oczywiście wycałował młodzieńca w oba policzki, okryte puchem świeżej młodości.

— Ale cóż u Boga! — zawołał po skończonej akoladzie — cóż u Boga porabiasz w M.? toż to miasto na drugim końcu świata położone!

— Studiosus sum — z uśmiechem odpowiedział młodzieniec — uczęszczam na uniwersytet, na wydział literacki, jeden już tylko rok pozostał mi do ukończenia nauk, a teraz jadę na wakacye, aby nacieszyć się z ukochanym ojcem, posłuchać słowika i odetchnąć powietrzem ukochanych naszych rodzinnych pól i borów...

Gdyby młodzieniec nie był tak zupełnie ujętym dla swych nowych towarzyszy i nie miał tak poczciwych ufnych oczu, dostrzegłby zapewne, jak cień niezadowolenia przemknął po twarzach obu panów w chwili, gdy objawiał im, że jest studentem uniwersytetu.

Było to jednak jedno mgnienie oka, poczem fizyognomia weterana odzyskała znowu swą dobroduszną wesołość, a żółtotwarzy patrzył jak wprzódy na młodzieńca z życzliwym wyrazem w drobnych źrenicach.

Weteran wzrokiem pełnym czułości ogarniał młodego studenta.

— Jednak — zapytał po chwili, kładąc rękę na jego ramieniu — braci nie masz?

— Nie mam — odparł student — jedną tylko siostrę, którą dziś właśnie pożegnałem.

— Ho, ho! łaskawco! — mówił, zabierając się do nakładania drugiej fajeczki, pan szpakowaty — takim tedy sposobem dziedzicem jesteś całą gębą; słyszałem bowiem, że kochany Waciek, twój ojciec, młodzieńcze, dobił się fortuny książęcej.

— Książęcej! — zaśmiał się ze swobodą młody człowiek — mylnie pan słyszałeś. Książęcej fortuny nie dobił się mój ojciec i wątpię nawet, czy bardzo się o nią dobijał, ale szlachecką posiada niezłą. Folwark nasz położony nad rzeką N., najżyzniejszy w okolicy i długu nie ma ani grosza. Niewiele jednak wiem, ile właściwie, na brzęczącą ceniąc monetę, warta wieś moja rodzinna, wiem tylko, że szerokie pola jej i wonne bory są dla mnie nad wyraz drogie. W dalekich nawet stronach, wśród pogrążenia się w naukowym mozole, śniły mi się niekiedy; a nieraz, gdy gwar wielkiego miasta, w którem przebywałem, ucichł i usypiał, zdawało mi się, żem słyszał łagodny szum naszych lasów, śpiew słowika w ogrodowym gaju i tę cichą cudowną rozmowę, jaką wśród nocy letniej prowadzą z niebem trawy i drzewa nasze...

Piękny zapał wytrysnął na twarz młodzieńca i oblał ją świeżym rumieńcem, w oczach zagorzała poezya i zamgliła się rzewność serdeczna.

Zdawało się, że w tej chwili młodość mu przypnie skrzydła do ramion i uniesie go na te pola wonne, w te bory szumiące, do których rwała się, spragniona rodzinnego powietrza, poczciwa dusza jego.

— Pięknie, bardzo pięknie mówisz, łaskawco! — odezwał się pan szpakowaty. — Otóż to, kiedy wymowa! znać, panie dobrodzieju, że uczęszczałeś na literaturę. A jak to tam Mickiewicz pisał o lasach litewskich, he? umiałem kiedyś na pamięć, ale wywietrzało z głowy, zwyczajnie staremu przy kłopotach i nieprzyjemnościach wszelakich...

Zapalił fajeczkę z pomocą usłużnego synowca, a zwracając się znowu do młodego studenta, mrugnął kilka razy oczyma z dobroduszną figlarnością.

— No! a pieniążków dużo tam w M. natraciłeś, co? przyznaj się! ojczulek nie żałował pewno dla jedynaka i dawał ile wlazło.

— Pan dobrodziej złe o mnie masz mniemanie — uśmiechnął się student — nie na to przecież wyjechałem tak daleko od

swego kraju i swoich, abym pieniądze tracił, ale abym nauczył się na nie zarabiać...

— Pięknie, bardzo pięknie, łaskawco! — potwierdził weteran. — Otóż tak to lubię. Gdzie statek, tam i dostatek, panie dobrodzieju. No, ale przecie... coś... ile się tam przehulało, tak z kolegami, w dobrej kompanii... w przestankach uczenia się... zwyczajnie, łaskawco... młode piwko...

Młody człowiek zarumienił się i spuścił oczy.

— Ha! — wyrzekł nie bez pewnego wahania się — człowiek nie jest bez grzechu! zdarzyło się parę razy stracić trochę i czasu i grosza bez potrzeby, a nawet ze szkodą, ale Bóg widzi, żem każdy podobny wyskok starał się potem wynagrodzić zdwojoną pracą nad sobą i naukami. Zresztą nie często bywało to, nie często...

— No tak, parę razy na miesiąc może? — zagadnął młodszy pan, chichocąc zcicha i znacząco spoglądając na studenta.

— A niechże Bóg broni! — z przerażeniem zawołał ten. — Parę razy na miesiąc! a cóżby się stało z nauką i skądbym też brał pieniędzy...

— A papo? — zapytał weteran obojętnie, poprawiając fajeczkę.

Student spoważniał.

— Mój ojciec — rzekł — nie przyzwyczajał mnie do zbytków i dostarczał mi środków ściśle tylko do życia potrzebnych, za co też wdzięczny mu jestem, bo nauczyłem się na małem przestawać. Nigdy nie byłem w posiadaniu wielkich sum pieniężnych i dziś prawdziwie czuję się prawie w kłopocie...

— Zabrakłożby panu pieniędzy na podróż? — zapytał pośpiesznie pan szpakowaty.

— O nie — odparł student — pieniędzy na moje potrzeby mam dość, ale właśnie przeciwnie...

Tu zaciął się trochę.

— Cóż takiego? — zapytał weteran bardzo obojętnie, zajęty ciągle swoją fajką.

— Nic, nic — odparł młody ze śmiechem. — Szwagier przysyła ojcu memu przeze mnie sporą sumę, dług jakiś, z którego uiszcza się, jak mniemam... Otóż nieprzyzwyczajony do noszenia się z grubymi pieniędzmi, jestem w ciągłej obawie, aby nie zgubić tych, które wiozę...

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się basem weteran — jak widzę, nowicyusz z ciebie, mój łaskawco...

I najobojętniej w świecie wypuszczał dymek z pulchnych

warg, a palcem prawej ręki wybębniał na kolanie jakiegoś marsza.

Synowiec, pochylony naprzód, trzymał wzrok utkwiony w koniec swego buta i nucił przez zęby aryetkę. Zdawało się, że wcale nawet nie słyszał ostatnich słów rozmowy stryja swego ze studentem.

Pociąg od kwadransa był już w ruchu, a blada, zamyślona kobieta wyglądała ciągle przez okno i ani razu nie zwróciła twarzy w stronę trzech mężczyzn, którzy naprzeciw niej siedzieli.

Prawdopodobnie pogrążona w myślach, nie słyszała wejścia do wagonu nowego towarzysza podróży i nie spostrzegła jego obecności.

Żółtotwarzy pan skończył nucenie aryetki, podniósł głowę, zdjął kapelusz, odkrywając przez to wysokie czoło, przerznięte w różnym kierunku przedwczesnemi zmarszczkami i wyrzeźbione w dziwaczne nieregularne wypukłości, potem zapalił drugiego papierosa, wstał, spojrzał w okno przeciwległe temu, przez które wyglądała kobieta, i rozpoczynając nucenie nowej śpiewki, usiadł na innem miejscu tuż obok studenta.

W ten sposób młody człowiek znalazł się siedzącym pomiędzy synowcem i stryjem.

Po chwili żółtotwarzy szepnął mu do ucha kilka wyrazów; młodzieniec zarumienił się lekko, ale zarazem uśmiechnął się.

Weteran pochylił się i szepnął mu coś do drugiego ucha.

Student zaśmiał się jeszcze serdeczniej i parę słów odpowiedział półgłosem.

Stryj i synowiec wybuchnęli w odpowiedź głośnym śmiechem, i każdy ze swej strony zaczęli mu coś mówić, o czemś opowiadać, a wszystko po cichu, z figlarnem mruganiem oczu i ożywionymi giestami. Student zarumienił się trochę, ale śmiał się coraz bardziej i coraz częściej odpowiadał.

Rozmowa przybierała wyraźnie ton coraz więcej swobodny i poufały.

Nagle weteran położył rękę na ramieniu młodzieńca, pochylił się bardzo blizko do jego twarzy i musiał powiedzieć coś wielce zabawnego czy dowcipnego, bo wszyscy trzej roześmiali się głośno i chórem.

W tejże chwili zamyślona kobieta, czy przebudzona z zadumy wybuchem wesołości swych sąsiadów, czy może skończywszy pasmo myśli, które ją zajmowały, odwróciła się od okna i zatrzymała wzrok na młodym człowieku, siedzącym po-

między szpakowatym panem a jego synowcem. Zatrzymała na nim wzrok najprzód pobieżnie i z roztargnieniem, potem spojrzała nań nieco uważniej, potem z większem jeszcze zajęciem obiegła spojrzeniem pogodne jego czoło, świeże policzki, łagodne usta i całą twarz młodzieńczą, skromną, trochę tylko zrumienioną pod wpływem rozmowy, jaką prowadził, i jak zdawało się o tyle przynajmniej zakłopotaną, o ile rozweseloną.

W błękitnych jak niebo, myślących oczach bladej kobiety mignął niepokój.

Zdawało się, że cała jej duma zbiegła się w źrenice, które upornem wejrzeniem tkwiły w twarzy młodzieńca, a gdy z niej przesuwały się na twarze jego sąsiadów, stawały się ciemniejsze jakoś i gorętsze, ale smutne i jakby pogardliwe.

Pociągnięte może magnetyczną siłą jej wzroku, oczy studenta, spuszczone przez cały prawie czas rozmowy jego z towarzyszami, podniosły się i spotkały z oczyma bladej nieznajomej. Patrzył na nią kilka sekund, potem rzucił jakieś pytanie w ucho jednego ze swych sąsiadów. Ten zaśmiał się z odrobiną przymusu.

— Nie znam tej pani — odpowiedział.

— Ho, ho! — pośpiesznie szepnął weteran młodzieńcowi do ucha — czy takie tylko piękności posiada nasze miasto! zostań pan z nami na parę dni, a zobaczysz!

— Co tam, stryjaszku, mówić o pięknościach kobiecych! — przerwał synowiec. — Tych pełno wszędzie! ale miasto nasze jakże z innych względów piękne jest i zajmujące. Ile pamiątek historycznych, starożytnych zabytków! osobliwości, powiadam panu, osobliwości!

Młodzieńcowi znowu zapromieniały oczy szlachetnem uczuciem.

— Gród stary! — szepnął.

— Ba! i jak stary! — odparł weteran. — Pan dobrodziej, co uczęszczasz na literaturę, znalazłbyś tam wiele, wiele zajmujących rzeczy...

— Nie wątpię — rzekł młodzieniec — bylebym tylko mógł skorzystać z grzecznych zaprosin panów...

— Skorzystaj z nich, skorzystaj, łaskawco, nie pożałujesz tego; daję ci na to słowo honoru...

I znowu obaj panowie pochylili się do obu jego uszu i znowu mu coś szeptali, opowiadali, prawili, tylko że teraz mniej już śmiali się i zdawało się, że o bardziej poważnych, niż wprzódy, mówili rzeczach.

To też i student ożywił się więcej, snadź poczuł się w stosowniejszym dla siebie żywiole, mówił też, opowiadał, a komitywa coraz stawała się ściślejszą.

Tymczasem blada nieznajoma nie przestawała spoglądać na trzech panów, a ile razy spojrzenie jej zatrzymywało się na twarzy studenta, malowała się w niem litość i migotał niepokój.

Pociąg zatrzymał się przed obszernym dworcem, niedaleko widniało miasto szeroko rozłożone po wzgórzach i nastrzępione licznemi wieżycami kościołów.

Pomiędzy podróżnymi powstał ruch, wielu z nich zbierało swe tłómoki i gotowało się do wysiadania z wagonu.

Blada kobieta wzięła też w rękę mały podróżny woreczek i powstała z miejsca. Nie oddalała się jednak, ale poprawiła na sobie ubranie.

Uważne oko mogłoby dostrzedz, że mniej była zajęta suknią i okryciem, niż trzema podróżującymi z nią panami, którzy wszyscy, stojąc już przy drzwiach wagonu, żywo i głośno rozprawiali.

— No dosyć, dosyć tych ceregieli! — wołał szpakowaty pan — zostajesz pan z nami na dni parę i kwita!

Mówiąc to, śmiał się basem i wstrząsał ręką studenta.

— Zostajesz pan, zostajesz! — nalegał młody — pokażemy ci wszystkie piękności i osobliwości naszego miasta.

Pochwycił młodzieńca pod ramię i uśmiechał się szeroko obwisłemi wargami.

— Cóż to? wątpisz o naszej gościnności czy co u licha? sądzisz, że źle ci z nami będzie? — z lekkim dąsem powtarzał stryj.

— Schwyciłeś nas za serca, a teraz chcesz umykać! — dodawał synowiec i trzymał się ramienia studenta i w oczy mu zaglądał.

Młodzieniec stał pomiędzy nimi zmieszany, niepewny; widocznie chciało mu się pozostać i zobaczyć gród stary a pełen pamiątek, i weseli, a tak serdeczni towarzysze zniewalali ku sobie pewnie poczciwe młode serce; z drugiej strony wahał się, napomykał o ojcu, który go oczekiwał, o wydatkach, jakie pociągnie za sobą przystanek.

— Głupstwo, panie! — zawołał weteran — ojciec nie będzie się niepokoił, bo pomyśli, żeś przydłużej zabawił u siostry, a co do wydatków, Boże jedyny, toż nie odmówisz gościnności

mojej i do mojej chaty zajedziesz, a mam ją własną w tem mieście...

— Uczyń-że pan nam tę przyjemność — prosił synowiec.

— Ha! — rzekł student — nie wiem, czem zasłużyłem sobie na taką życzliwość u panów, ale dalibóg nie chcę pokazać się niewdzięcznym i...

Chciał zapewne powiedzieć: zostaję; ale wypadkiem wzrok jego spotkał się z upornem, tkwiącem w jego twarzy spojrzeniem bladej kobiety. Spojrzenie to błękitne jak niebo i dobre jak niebo, ale zapalone w tej chwili gorącą iskrą trwogi, wołało na niego:

— Nie zostawaj!

Zatrzymał się, umilkł i patrzył na nieznaną kobietę, niewiadomo, czy przez chęć zrozumienia niemego wołania jej oczu, czy może przez chęć popatrzenia na te oczy prześliczne.

— Cóż to? wahasz się jeszcze? — zawołał weteran — słuchaj-no, Guciu, weźmy go tak pod ręce obydwaj i poprowadzimy z sobą. Teraźniejsza młodzież, panie, to za grosz nie ma energii i determinacyi!

— No pójdź pan, pójdź! chcąc nie chcąc musisz zawrzeć dobrą znajomość z naszem miastem i z nami...

— Na początek odkorkujesz w bufecie buteleczkę szampana — zaśmiał się synowiec.

I z temi słowami ujęli młodzieńca z obu stron pod ramiona i oszołomionego, ujętego tak niesłychaną życzliwością, rozśmieszonego kilku konceptami po drodze przez szpakowatego pana, wciągnęli go w głąb dworca.

Tuż za nimi, z woreczkiem swoim w ręku, wbiegła pośpiesznym krokiem do bufetowej sali błękitnooka kobieta.

Wbiegła i obejrzała się i zobaczyła przy jednym ze stolików towarzyszów swej podróży z kielichami szumiącego płynu przy ustach.

— Wiwat! niech żyje Władysław N.! — zawołał weteran, podnosząc swój kielich w górę.

— Niech żyje koleżeństwo i przyjaźń zawarta w podróży! — zawołał żółtotwarzy.

— Niech żyje nasza starodawna gościnność i otwartość! — z zapałem wymówił student, którego policzki zarumieniły się już nieco od trunku, a oczy zapłonęły wesołością.

W tej chwili tuż przy nim przemknęła popielata suknia.

Blada kobieta stanęła przy stole i, niby nalewając sobie wodę do szklanki, szepnęła nad samem uchem studenta:

— Ostrożnie panie, ostrożnie!

Młody człowiek drgnął i odwrócił się ku niej zdziwiony.

Stała, nie patrząc na niego, i spokojnie piła wodę. Sądził, że mu się przysłyszało, ale zaledwie przytknął do ust trzeci już, czy czwarty kielich wina i rozpoczął nową a żwawą z towarzyszami rozmowę, znowu usłyszał obok siebie łagodny, niemal błagalny szept:

— Ostrożnie, panie, ostrożnie!

Obejrzał się, ale bladej kobiety już nie było przy nim.

O kilka kroków tylko w tłumie dojrzał jej popielatą suknię.

Pobladł nieco, umilkł i zamyślił się.

— Panowie — rzekł po chwili — doprawdy, bardzo mi przykro, ale pożegnam was, pojadę, ojciec będzie mnie oczekiwał...

Szpakowaty pan rozśmiał się basem i rękę wyciągnął ku oknu, za którem właśnie z szumem, gwizdaniem i kłębami dymu przesunął się długi szereg odjeżdżających wagonów.

* * *

Nad miastem N. zmrok zapadał. W cienistym ogrodzie, przeznaczonym dla publicznych przechadzek, po alei, słabo oświetlonej wschodzącym nad drzewami księżycem, szybkim krokiem przechadzało się dwóch mężczyzn. Jeden miał zaokrągloną figurę, rumiane pulchne policzki i szpakowate włosy, drugi był słuszny, chudy, żółtotwarzy.

Pomimo że ogród pusty był zupełnie, przechadzający się panowie rozprawiali z sobą szeptem prawie.

— No i cóż będzie? — powtórzył zniecierpliwionym tonem.

— A cóż? — odparł z nadąsaniem starszy — strasznie poetyczna bestya! idzie z nim jak z kamienia!

— Toć widzę — ofuknął pierwszy. — Wszak to już drugi dzień minął bez pożytku, a jutro lub pojutrze wymknie się i nas na dudków wystrychnie.

Stary zaklął i splunął.

— Nie poradzim — rzekł — w tym chłopcu woda nie krew. Ja mu o kartach, a on mnie o pięknych wzgórzach, ja

o winie, a on o jakimś obrazie, co go w kościele zachwycił; ja mu o kobietach, a on o historycznym zamku; cały tylko boży dzień lata po mieście i ogląda osobliwości...

— A dużo tam tego? nie zmiarkowałeś? — przerwał młodszy.

— Powiedział sam — odparł starszy i wymienił znaczną cyfrę pieniędzy.

Oczy młodszego zaiskrzyły się w zmroku, jak dwa świętojańskie robaczki.

— Warto zachodu! — wycedził przez zęby, a potem ze złością zwrócił się do towarzysza:

— Ty bo nic porządnie nie zrobisz! ty z tą twoją obywatelską miną znudzisz tylko każdego! Ty nic więcej nie umiesz, jak sypać głupimi konceptami! Tobie piątej klepki brak w głowie!

Stary zaśmiał się przykro.

— Ho, ho! jak rozśpiewał się kanareczek! a czy to z takiem uszanowaniem do stryja przemawiać należy?

— Idź do Lucypera z twojem stryjostwem! — wycedził przez zęby młodszy. — Gdybyś to jeszcze miał tę wieś, o której tyle gadałeś temu błaznowi, tobym może i przypisał się do pokrewieństwa...

— No więc przynajmniej uczniem moim jesteś! — zaśmiał się szpakowaty.

— Który prześcignął swego mistrza! — szepnął żółtotwarzy i westchnął prawie głośno.

— Czyż znów wzdychasz? — spytał go towarzysz gniewnie.

— At! — machnął ręką młodszy — pomyślałem sobie, że gdybym nie został twoim uczniem...

— Tobyś umarł z głodu, albo biura wycierał rękawami — dorzucił szpakowaty i zaśmiał się przykrym, ochrypłym śmiechem.

— No, i cóż będzie? — ponowił pytanie młodszy mężczyzna i znowu przystanął nagle.

Stanęli obaj, pospuszczali głowy i zamyślili się.

— No, i cóż będzie?

— Dziś trzeba z nim skończyć, albo nic z tego nie będzie! — z determinacyą wymówił szpakowaty.

— I ja tak myślę. Czy zaprosiłeś na dziś kompanię?

— A jakże.

— Szampana wiele?

— Ile się zmieści.

— A... — tu żółtotwarzy zniżył głos i jeszcze jakieś pytanie rzucił szpakowatemu.

— Będą — odpowiedział ten.

Powolnym krokiem zmierzali do ogrodowej bramy.

— A gdzie on teraz?

— Zrana jeszcze poszedł za miasto zwiedzać okolice i przyglądać się historycznemu okopowi.

— Może już wrócił?

— Może Ignaś i Klemens czekają tam na niego?

— To dobrze.

Minęli ogrodową bramę i raz jeszcze stanęli, popatrzyli na siebie.

— Już my go ujeździm! — półgłosem zawołał szpakowaty, a towarzysz jego rozśmiał się przez zęby.

* * *

W tej samej prawie porze, w której w ogrodzie publicznym poprzedzająca odbywała się rozmowa, wchodził do miasta mężczyzna, a wyraźnie wracał z długiej zamiejskiej wycieczki, bo w ręku trzymał wielki pęk polnych roślin, a co chwila ocierał z twarzy pot zmęczenia.

Mimo tego ostatniego, szedł raźnym i szparkim krokiem, głowę swobodnie podnosił ku sklepieniu wieczornego nieba, które zapalało się gwiazdami, i nucił zcicha wesołą jakąś rodzinną śpiewkę.

Przechodził ulice zawsze tym samym lekkim krokiem, minął parę zaułków, aż znalazł się na samym prawie końcu miasta. Tam pomiędzy gęstymi ogrodami stał zupełnie odosobiony dom, bardzo niepokaźnej powierzchowności, długi, nizki, drewniany i niepobielony, chylący się od starości i zaniedbania.

Znaczna przestrzeń dzieliła dom ten od innych zabudowań, które wszystkie wyglądały równie nędznie, a nawet wiele z nich daleko nędzniej jeszcze.

Było to przedmieście miasta N., przedmieście ubogie, samotne, dostarczające schronienia nędzy, tak materyalnej, jak moralnej.

Zamieszkanie na tem przedmieściu można było zresztą upozorować potrzebą samotności i zieleni, jakiej tam znajdowało

się obficie, albo posiadaniem własnego domu odziedziczonego, a z którym koniec końców nie było nic lepszego do zrobienia, bo sprzedany mógłby tylko liche przynieść pieniądze, a takim, jakim był, dostarczał zawsze jakie takie pied-à-terre dla obywatela wiejskiego, przybyłego do miasta za interesami na czas niedługi.

Ku temu tedy domowi, stojącemu w odosobnieniu, długiemu, nizkiemu, niepobielonemu, staremu, zaniedbanemu i więcej podobnemu do jaskini, niż do mieszkania zamożnego właściciela ziemskiego, skierował swe kroki młody mężczyzna, powracający z zamiejskiej przechadzki z pękiem roślin w ręku.

Okiennice domu były szczelnie pozamykane.

W jednej tylko z nich znajdowała się szpara i przepuszczała strugę rzęsistego światła, jakie musiało płonąć wewnątrz domu.

Na ganku siedzieli dwaj mężczyźni wytwornie ubrani i palili cygara.

W zmroku niepodobna było dojrzeć rysów ich twarzy, ale słaby promień wschodzącego dopiero księżyca odbijał się w szkiełkach lornetki, w którą uzbrojone były oczy jednego z nich, i błyszczał w brylancie, zdobiącym rękę drugiego.

Zdala dostrzegli nadchodzącego młodzieńca i powstali na jego powitanie.

— Jak się masz, koleżko! dobry wieczór! — rozległo się w powietrzu.

— Uf, jakżem się zmęczył! — wymówił młodzieniec, rzucając się na ławkę ganku.

— Ależ dyabelnie głodny pan być musisz! chodzisz od rana? — zagadnęli panowie z lornetką i brylantem.

— Głodny i spragniony! — zaśmiał się młody człowiek — ale zato com widział, to widział...

— Później nam to opowiesz, a teraz pójdź pan posilić się do domu. Gospodarz jeszcze nie wrócił, cały dzień biega biedaczysko za interesami. Ale spotkał nas na mieście i prosił, abyśmy go zastąpili, póki nie wróci...

— Nieoszacowany to człowiek! — z ekstazą zawołał pan z brylantem na palcu — nie dla tego chwalę go, że jestem jego siostrzanem, ale istotnie to człowiek niepospolitej zacności...

— I gościnności — dorzucił drugi.

— O już co gościnność, to prawdziwie nasza starodawna. Wiesz pan? zaprosił na dziś kilkanaście osób do siebie, jedynie dlatego, aby pana poznajomić ze wszystkiem, co miasto nasze najuczeńszego i najdystyngowańszego posiada.

— Doprawdy! — wymówił młodzieniec — nie rozumiem nawet, czem przy tak krótkiej znajomości zasłużyć mogłem...

— No, już co o tem to pan nam nie mów! — rozśmiał się pan z lornetką — masz pan szczególniejsze szczęście do ludzi: kto tylko cię pozna, to już i przylgnąć do ciebie musi...

— Zresztą wuj mój kolegował niegdyś z pańskim ojcem, a u niego pamięć serca jest co się zowie — dorzucił pan z brylantem.

I wnet podchwycił:

— Ale my tu bzdurzymy, a pan głodny jesteś i spragniony. Klemensie, zawołaj na służbę, aby podała wszystko, co trzeba...

Pan z lornetką powstał z pośpiechem i ujął pod ramię młodego mężczyznę, pan z brylantem ujął go pod drugie ramię i tak razem weszli w głąb domu.

W kilka minut potem zmierzało do nizkiego, długiego, osamotnionego domu dwóch mężczyzn, jeden zaokrąglony i szpakowaty, drugi chudy i żółty.

Po nich szło jeszcze dwóch, jeden jeszcze i trzech znów razem, a wszyscy szli pośpiesznie, w milczeniu; niektórzy nawet przystając chwilami, oglądając się i nadsłuchując.

Gdy otwierali drzwi domu, buchało za każdym razem z sieni światło rzęsiste i wychodził gwar wesołych głosów i śmiechów, ale było to tylko jedno mgnienie oka, bo wchodzący panowie zamykali za sobą drzwi z nadzwyczajnym pośpiechem.

Około północy słychać było, jak z wewnątrz zamykano i zaryglowano drzwi od ganku, szpara nawet w okiennicy znikła, założona czyjąś ręką kawałkiem wełny czy wojłoku, cisza nocna zupełna zapanowała wokoło opuszczonego domu, który, hermetycznie ze wszech stron zamknięty, zdawał się być w głębokim śnie pogrążonym.

U progu domu na ganku leżał pęk polnych roślin, upuszczony z ręki młodego mężczyzny, który go tam przyniósł, i poruszony świeżem tchnieniem letniej nocy, rozlewał wkoło balsamiczną woń ziół i kwiecia.

. . . . . .

. . . . . .

Skończyła się krótka noc majowa, zaświtało, nastał ranek, południe; pogodne słońce stoczyło się ku zachodowi i zniknęło za krańcem sklepienia, na zegarach miejskich wybiła północ i znowu zaświtało, skwarem słonecznym na świat spłynęło po-

łudnie, wieczorny powiew od pól i lasów przyniósł ku miastu ożywcze wonie i znowu dwanaście nocnych uderzeń rozległo się w powietrzu nad miastem uśpionem.

Stary, nadrujnowany dom stał ciągle pomiędzy gęstymi ogrodami milczący, zamknięty. Żadne głosy nie wychodziły zeń na zewnątrz, nikt wychodzący ani wchodzący nie otworzył drzwi ni razu, okiennice, szczelnie pozamykane, nie zostały uchylone ani na jedno mgnienie oka, na zamkniętym ze wszech stron dziedzińcu i w oparkanionym zielskiem porosłym ogrodzie ani jedna żywa nie postała dusza.

Domostwo z całem swem otoczeniem wydawało się pustką niezamieszkaną przez nikogo, miejscem skazanem na ruinę i wieczne milczenie samotności.

Jedynym śladem życia był tam leżący pod progiem pęk roślin polnych.

Leżał on tam pod różowymi promieniami wschodzącego słońca i pod skwarem południa, i pod chłodnem tchnieniem północy, zwolna poruszał gałązkami ziółek polnych, wiądł, coraz mniej woni wydawał z siebie, aż w końcu zmienił się w suchą bezbarwną wiązkę uwiędłych łodyg i liści.

* * *

W ogrodzie publicznym cicho było i pusto.

Księżyc w pełni płynął wspaniale po ciemnem sklepieniu i obfitemi smugami białego światła oblewał aleje i trawniki ogrodu.

Skrzypnęły wrota, dwie męskie postacie śpiesznym krokiem wbiegły w jedną z najgęstszych alei.

Jeden z nadchodzących mężczyzn szczupły, wysoki i zgrabny wyprzedzał drugiego, cięższego tuszą i jak widać było latami; ten, który szedł naprzód, zdawał się uciekać od drugiego, bo co chwila przyśpieszał kroku i podnosił rękę do czoła z gestem przestrachu czy rozpaczy.

Żaden z nich nic nie mówił. Zdawali się obaj zmęczeni i zdyszani.

Tak dobiegli do miejsca, w którem urywała się nagle cienista aleja, a rozpoczynała się przestrzeń, zasłana murawą i z drzew ogołocona.

Światło księżyca oblało twarze ich i postacie, ukazując szpakowatego weterana, który przed kilku dniami przybył do

miasta, pociągiem kolei, i młodego, z nim razem przybyłego studenta.

Twarz pierwszego pałała rumieńcem zmęczenia i strasznie wykrzywiła się złością i szyderstwem. Uprzedniej dobroduszności i otwartości nie było już w niej ani śladu, szare oczy gorzały teraz zjadliwym blaskiem, pulchne usta to zacięte były, to drżały na przemian.

Ale o ileż więcej zmienioną była świeża i piękna wprzódy twarz młodego studenta!

Wychudłe policzki jego pokryły się żółtawą bladością, ponsowe usta zbladły, z zapadłych oczu nie strzelał już młodzieńczy, wesoły blask młodości, ale paliły się one rozpacznym, ponurym ogniem.

Zatrzymał się, gorączkowym ruchem zdjął czapkę i odsłonił czoło blade, potem kroplistym oblane i brwi zsunięte groźnie, a rozpacznie zarazem.

Towarzysz jego stanął tuż przy nim i, szare, zjadliwe oczy topiąc w strasznie zmienionej twarzy młodzieńca, śmiał się po cichu, stłumionym, gardłowym chichotem.

Z piersi młodzieńca wydarło się westchnienie, do okropnego podobne jęku.

Wyciągnął rękę jakby dla odparcia widma, które go ścigało, i zawołał złamanym, lecz zawsze jednak dźwięcznym głosem:

— Czego chcesz ode mnie? czego mię gonisz, szatanie, kusicielu? czyliż nie zabrałeś mienia, które wiozłem z sobą, a które nie należało do mnie? nie rzuciłeś na czystą dotąd moją duszę pyłu występku i brudnych obrazów, jakimi mię otoczyłeś przez dwa dni i dwie noce? czyliż nie odarłeś mię z pieniędzy i czystości myśli? czegoż więcej chcesz ode mnie? dlaczego mię gonisz? odetchnąć nie dajesz? Uciekłem z tej jaskini, do której porwałeś mię ty z twoimi towarzyszami, zdrowe powietrze owiało mię i otrzeźwiło, zrozumiałem kim jesteś, kim jesteście wszyscy i chciałem biedz, uciekać kędy oczy poniosą, a ty, jak szatan za duszą zgubioną, puściłeś się za mną... Precz! patrzeć na ciebie nie mogę!...

Okropne łkanie wydarło się z piersi młodzieńca, zakrył twarz obu rękoma i upadł na najbliżej stojącą ławkę.

W pobliżu cienista była altana.

W chwili, gdy młodzieniec złamany, targany boleścią straszną, nawpół tylko przytomny, rzucił się na ławkę, w głębi altany zaszeleściło coś zlekka.

Byłże to powiew wiatru, który poruszył młodymi brzóz listkami, czy stłumione westchnienie, które uleciało z piersi kogoś, kto tam czuwał i cierpiał?

Szpakowaty pan zbliżył się i ciężką rękę wsparł na ramieniu młodzieńca, pochylonego pod brzemieniem rozpaczy.

— Słuchaj-no — wyrzekł tonem zimnym jak lód i szyderskim nieco — poco te rzucania się, te wyrzuty, wyrzekania? wszak to już nic nie pomoże. Nie przymuszaliśmy cię, abyś pił i grał w karty, fizycznego gwałtu nam nie dowiedziesz...

— Fizycznego gwałtu! — zawołał młodzieniec, podnosząc głowę i ciskając oczyma błyskawice pogardy i męczarni wewnętrznych. — Tak, nie fizycznemu uległem gwałtowi, ale moralnemu. Skorzystaliście z mojej młodości, niedoświadczenia, głupiej wiary w ludzi... tak, głupią teraz zwę tę wiarę, która była rozkoszą moją i dumą... świat jest podły... o! podły!...

Mówiąc to, chciał zaśmiać się z goryczą, ale młode serce stłumiło śmiech i wybuchło łkaniem strasznem, łez pozbawionem.

— No, skończmy już tę melodramę, łaskawco — wymówił pan szpakowaty — oto lepiej pójdź, wracaj ze mną, może się odegrasz...

— Nigdy! — zawołał młodzieniec i porwał się z miejsca — nigdy — powtórzył, ale słabszym już głosem i głowa na piersi mu opadła.

— I cóż uczynię? — szepnął do siebie — nie mam o czem wracać do domu? a jak ja tam wrócę, mój Boże? jak złodziej... jak złoczyńca, który utracił powierzone mu mienie cudze...

Ostatnie wyrazy skonały mu na ustach w zaledwie dosłyszanym szepcie, twarz śmiertelną okryła się bladością, oczy ponuro tkwiły w ziemi, głowa schyliła się nizko, bardzo nizko, niby pod niezmiernym ku dołowi ją tłoczącym ciężarem wstydu.

— Oto widzisz — ozwał się szpakowaty — nie masz o czem wracać do domu i wstydzisz się wracać, zostań z nami, dopóki się nie odegrasz...

— Jak ja się mogę odegrać — zawołał młodzieniec z nowym wybuchem rozpaczy — wam wszystkim tak szalenie los sprzyja w kartach...

Zaledwie te słowa wyszły z ust nieszczęśliwego, wielka radość błysnęła na twarzy jego towarzysza, głowę podniósł z tryumfem i szepnął do siebie bardzo cicho:

— O niczem nie wie, niczego nie domyśla się niewiniątko! niema niebezpieczeństwa!

Zdawało się, że jakiś ciężar niezmierny spadł z piersi pana szpakowatego, odetchnął szeroko i z wypogodzoną twarzą zbliżył się do młodzieńca, w ciemnej pogrążonego zadumie. Wyciągnął rękę i rzekł:

— No, Władysiu kochany, dosyć już tych fochów i wyrzutów. Mnie samemu to bardzo przykro, że cię w moim domu podobna nieprzyjemność spotkała, ale cóż robić? w kartach to tak! komu szczęście sprzyja, ten wygrywa, cóżbym ja na to mógł poradzić!

— Pocoś mię skusił do gry? poco wprzódy odebrałeś mi przytomność trunkiem i tą piekielną zabawą, jaka się w twoim domu odbywała? — zawołał młodzieniec, w którego głosie odbrzmiewał żal łzawy. — Com ja wam złego uczynił? czego przylgnęliście do mnie jak smoła, aby mię wtrącić w przepaść wstydu i nieszczęścia?

Szpakowaty pan nawpół z żalem, nawpół z urazą pokręcił wąsa.

— Spodziewam się — rzekł tonem pełnym godności — że nie bierzesz nas za oszustów, którzyby z umysłu czyhali na twe pieniądze i zabrali je tobie! Jesteśmy wszyscy ludzie honorowi, a tylko hulacy potrosze! No, mój Boże, wolno ci było hulać z nami albo nie!

Młodzieniec nic nie odpowiedział i patrzył w ziemię, cały pogrążony w ponurych myślach. Pan szpakowaty znowu położył mu rękę na ramieniu.

— Zostawiam cię teraz samemu sobie — rzekł — namyśl się, ochłoń z żalu i wracaj do nas. Może odegrasz swoje pieniądze, a w najgorszym razie pożyczę ci trochę grosza na drogę... Do widzenia.

To rzekłszy, odszedł pan szpakowaty, a o kilka kroków za ogrodową bramą spotkał się z panem żółtotwarzym.

— I cóż? — spytał z pośpiechem ten ostatni.

— A cóż? — odparł weteran, ocierając chusteczką pot z czoła — przeląkłem się dyabelnie! myślałem, że biegnie zaskarżyć nas przed policyą...

— I cóż? — ponowił pytanie żółtotwarzy.

— No nic — odparł towarzysz — nieświadomy jest jak dziecię nowonarodzone, powiada, że »los« szalenie nam sprzyjał w kartach...

Zaśmiali się obaj po cichu.

— Więc myślisz, że skarżyć nie będzie? — rzucił pytanie żółtotwarzy.

— Utopi się raczej z desperacyi, albo sprzeda paletot i odjedzie do ojca — odpowiedział z upewnieniem szpakowaty.

— A my? — raz jeszcze rzucił pierwszy.

— My w różne strony jutro rano — odpowiedział szpakowaty.

Kiwnęli sobie głowami i rozeszli się w różnym kierunku.

* * *

W ogrodzie cisza panowała głęboka, żaden nawet liść nie poruszał się na drzewach.

Po niebie szafirowem płynął wspaniale księżyc, owinięty w obłoki z krepy srebrzystej, a w dali na krańcu ogrodu szumiała zcicha bystra rzeczka.

Na ławce siedział młody mężczyzna z głową w tył odrzuconą, z rękami podniesionemi i splecionemi nad głową, srebrne światło rzucało się na twarz jego wychudłą, bladą śmiertelnie, ale zawsze piękną. Oczy jego, wpatrzone w szafirowe sklepienie, ciskały błyskawicami strasznej boleści, usta miał zaciśnięte, po wyniosłem, pobladłem czole włóczyły się chmury posępne, złowróżbne.

Siedział tak nieruchomy i myślał, myślał może o owej młodości splamionej, duszy zbrukanej w niecnej zabawie, mieniu cudzem, rzuconem przez niego pod stopy łotrów, niegodziwości tych ludzi, których tak kochał, w których tyle wiary swej złożył młodzieńczej...

Siedział tak i myślał długo i twarz jego stawała się coraz bledszą, oczy coraz posępniejsze, oddech coraz trudniejszy. Zbudził się z myśli okropnych i wstrząsnął się całem ciałem, jakby je zrzucić z siebie pragnął, i powiódł dłonią po czole rozpalonem, i pochylił głowę nizko i ręce opuścił w dół, jak człowiek, który sam już nie wie co czynić, co myśleć, w co wierzyć, czy żyć, czy nie żyć.

Blade wargi jego, zacięte z bólu, drgnęły i otworzyły się.

— Zgubiony jestem! — wymówił półgłosem — cóż uczynię? kędy się obrócę? co zrobię z sumieniem mojem, które mi mózg wypala zgryzotą? gdzie podzieję serce, co straciło wiarę i zamiera z bólu?

Za ławką, na której siedział, poruszyły się delikatne brzóz gałązki. Nie widać było nic, tylko nad głową jego, jak tchnienie wieczoru letniego, popłynął słodki, łagodny szept:

— Uciekaj stąd! wróć do ojca!

Młodzieniec zadrżał, ale się nie obejrzał. Sądził zapewne, że szept usłyszany był głosem własnej jego myśli.

— Wróć do ojca! — powolnym echowym wymówił głosem — wróć zhańbiony, splamiony, bez powierzonego sobie dobra... z plamą na duszy, a wstydem na czole.

— Żal duszę oczyści, zacne czyny wstyd zmyją z czoła — szepnął znowu głos łagodny pomiędzy brzóz zielenią.

Młody mężczyzna podniósł nieco głowę i znowu echowym tonem powtórzył posłyszane wyrazy.

— Życie długie, świat szeroki — szeptały mu nad głową niewidzialne usta — ile godzin w życiu, tyle sposobów zadośćuczynienia, ile ziarn piasku w tej drogiej ziemi naszej, tyle głosów upominających się o duszę twoją. Weź garść tej ziemi świętej i do ust ją przyciśnij, woń jej uzdrowi chorą pierś twoją...

— Weź garść tej ziemi świętej! — echowo powtórzył młodzieniec, ale w głosie jego więcej już było życia i powracającej przytomnej myśli.

Pochylił się, zerwał pęk traw wysokich, rosnących wkoło stóp jego, i wonne, rosą zwilżone ziela przycisnął do ust i czoła.

Niewidzialne usta szeptały znowu:

— Ten wielki i mocny jest, kto z upadku dźwignąć się potrafi, bez rozpaczy postawi przed oczyma swemi grzech swojej duszy, schłoszcze go i odpędzi od siebie myślą rozumną. Powstań, bądź mężny! spojrzyj w swą przyszłość i potocz wzrokiem dokoła, daleko. W przyszłości szukaj mocy i powstania, tam daleko, wszędzie, kędy tylko rozciąga się niebo twe rodzinne, idź i pełń zadosyćuczynienie za szału godziny, myśl, kochaj, czyń...

Łagodny szept umilkł i rozwiał się w cichem powietrzu; na blade lice młodzieńca wstąpił rumieniec do jutrzenki podobny, w oczach jego zgasł ogień rozpaczy, a zapalił się piękny blask nadziei...

Chwilę jeszcze siedział nieruchomy i niby posłuszny tajemniczemu głosowi, jaki przed chwilą obijał się o słuch jego, wodził wzrokiem dokoła, podnosił go w górę i błyszczącem spojrzeniem zdawał się przebijać drzew gęstwinę, aby sięgnąć tam, daleko, kędy tylko rozciągało się jego niebo rodzinne...

Nagle oprzytomniał zupełnie, porwał się z miejsca i zwrócił się w stronę altany, z której wypływał przed chwilą szept tajemniczy.

— Kto tu jest? — zawołał drżącym głosem. — Kto mówił do mnie słowa pociechy? kto mi pokazał to, co na chwilę z oczu straciłem? kto mię zbawił?

Nie było odpowiedzi.

— Tak, musiał to być głos własnej myśli mojej — wymówił zcicha i w zamyśleniu — zbawczy głos! tak, nie wszystko jeszcze stracone dla mnie! życie długie, świat szeroki! każda piędź ziemi mojej upomina się o duszę moją! oddam ją, oddam ją całkiem. Przed ojcem moim wyspowiadam się, ukorzę... przebłagam...

Nagle uderzył się w czoło i upadł znowu na ławkę przygnębiony.

— Nędzarzem jestem! — zawołał — żebrakiem stałem się! jakże wyrwę się stąd? jakże odjadę? do ostatniego grosza wszystko, wszystko zostawiłem tam... u nich...

I znowu przycisnął dłoń do czoła z wyrazem niemej rozpaczy w oczach.

Gałązki brzeziny poruszyły się, obok młodzieńca coś z głuchym dźwiękiem upadło na ławkę. Drgnął, spojrzał: obok niego na ławce białej błękitniał pod promieniem księżyca przedmiot jakiś. Jak senny wyciągnął rękę, wziął przedmiot, patrzył nań zdumionym wzrokiem. Był to woreczek z błękitnego jedwabiu, urobiony delikatnymi snadź palcami kobiety, w nim szeleściło papierków parę i przez ażurowe szlaczki połyskiwało kilka sztuk złota.

Upłynęło kilka minut, młodzieniec patrzył i patrzył na przedmiot niewidzialną rzucony mu ręką.

Powstał potem, obejrzał się wkoło, przytomna, światła myśl jaśniała mu w oczach i na twarzy.

— Tak — wymówił zcicha — tu był ktoś, co mówił do mnie słowa pociechy i podniesienia, co rzucił mi to złoto, abym z pomocą jego wydobył się z toni. Tu był anioł jakiś niewidzialny... opiekuńczy...

Zamyślił się, a przed oczami wyobraźni jego, rzecz dziwna, stanęła blada nieznajoma, którą był widział w podróży.

— Tak — szepnął — to była ona.

Szparkim krokiem począł przebiegać wszystkie ulice ogrodu, ale puste były i tylko księżycowego światła zasłane płachtami. Niekiedy wśród gęstej zieleni bzów i jaśminu zaszeleściły liście, ale był to tylko powiew lekkiego wietrzyka, przylatującego z oddali, albo poruszenie się sennej w gniazdeczku ptaszyny.

— Ukryła się, niewidzialna, czysta, święta w swym czynie

miłosierdzia! — wyrzekł młodzieniec. — O, więc obok szatanów, żyją na ziemi tej aniołowie...

Podniósł twarz, na którą występować zaczynała dawna poezya i wiara młodzieńcza.

— Życie długie — rzekł — świat szeroki, każda piędź ziemi mojej dopomina się o duszę moją... Wszędzie, kędy rozciąga się niebo moje rodzinne, pójdę pełnić zadosyćuczynienie za szału godziny, myśleć, kochać, czynić!...

Postać jego wyprostowała się, pierś odetchnęła szeroko, jak po uciśnięciu długiem, oczy zapaliły się po dawnemu gorącym, szlachetnym zapałem.

* * *

O wschodzie słońca pociąg kolei odchodził od dworca, przy mieście N. postawionego. W jednym z wagonów siedział młody student z czołem opartem na dłoni i myślał. Myślał długo bez przerwy, boleśnie snadź ale i spokojnie zarazem, myślał temi myślami, które obmywają duszę, w których gdy skąpie się człowiek występny i chory, staje się znowu czysty i mocny. Różowy promień słońca padał pros o na pochyloną jego głowę i profil bladej twarzy. Z twarzy tej pierwsza burza życia starła puch pierwotnej świeżości, swobodę młodzieńczą, pogodę niezmąconą. Oczy jego wyglądały tak, jak fale wód, które wzburzone wrzącą niedawno nawałnicą, zwolna uspokajać się zaczynają. Niebo rozpogodzone przegląda się w nich znowu, męty, które, wydostawszy się z głębin, przyćmiły były ich przezroczystość, wyrzucone już na brzegi, ale fale, zmęczone burzą, silą się dopiero na odzyskanie łagodnych linii, w jakie nakreśliła je natura, a jakie się zachwiały; pęd ich nieregularny zda się dyszeć nieprzebolałym jeszcze bólem i niepokojem, wstrząśnieniem. Młodzieniec, zamyślony ciągle, położył przed oczyma swemi woreczek z błękitnego jedwabiu, niby świadectwo, że wszystko, co przebył, jawą było, nie snem. Potem wydobył zeń kartkę białego papieru, drobnem, kobiecem nakreśloną pismem, i nie po raz pierwszy już zapewne następujące czytał na niej wyrazy:

»Nie znasz mię i ja cię nie znam. Prawdopodobnie nigdy nie spotkamy się i nie zobaczymy więcej. To nic, jesteś jednak bratem moim, bo na jednej ze mną zrodziłeś się ziemi i pod rodzinnem mojem żyjem niebem. Dlatego to, gdy widziałam, że szatani porywają duszę twoją, litowałam się nad tobą i ostrzegałam cię. Nie usłuchałeś mojej przestrogi. Widziałam to i postanowiłam czuwać nad tobą o ile było w mej mocy. Znam tych ludzi, z ciężkiego doświadczenia poznałam ich drogi. Zgubili oni człowieka, którego kochałam. Upadł w otchłań występku, zginął. Odtąd wrota szczęścia zamknęły się na zawsze przede mną, ale przebaczyłam mu, i podnoszenie ludzi upadłych, podawanie im ręki pomocnej postawiłam przed sobą, jako zadanie mego życia. Nie mogłam zapobiedz temu, abyś nie uległ pokusom szatanów, ale czekałam cię, aż przyjdziesz zrozpaczony, aby owiać twe czoło tchnieniem pociechy i we wzburzoną duszę twoją wlać zbawczą myśl ukojenia. Nie szukaj mię nigdy, nie staraj się dowiedzieć mego nazwiska. Żyję ukryta w cichem ustroniu, mało znana ludziom. Na nic ci się nie przyda wiedzieć kto jestem, bo ani dla ciebie, ani dla nikogo nie będę niczem więcej jak siostrą nieznaną, kochającą braci swoich w imię ziemi wspólnej i nieba wspólnego. Tej trochy złota, jaką pragnęłam wydźwignąć cię z troski i rozpacznego położenia, nie staraj się wracać mi nigdy. Uważaj ją jako dług, z którego uiścisz się wtedy, gdy z jego pomocą podźwigniesz z niedoli kogoś nieszczęśliwego, kogoś upadającego cofniesz od brzegu otchłani. Oto cały obowiązek, jaki wkładam na ciebie«.

U dołu pisma nie było żadnego nazwiska ani nawet imienia.

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Nr 33876/XVII
W Białymstoku
CZYTELNIA DLA DOROSŁYCH

SPIS RZECZY.

	Str.
Wesoła teorya i smutna praktyka	1
Pajęczyna	241

821.162.1
Orzeszkowa
Wesoła
33876